

Joanna Łańcucka

**Stara Słaboniowa
i Spiekładuchy**

I po cóż te z Piekła duchy?

[...]

*Niechaj przyjdą na podłuchy,
na Wesele, gdzie muzyka...*

[...]

*Muzyka ich chwilę popieści;
duch taki chwilę przystanie,
a potem, jako dym, znika.*

S. Wyspiański, Wesele



PIERWSZE ŚNIEGI

O szarej godzinie stara Słaboniowa wyszła na podwórze. Zapadał rzeński, mroźny wieczór, pokrywający szronem włoski w nosie i mrowiący delikatnie w opuszkach palców. Słaboniowa, wyciskając w skrzypiącym śniegu równiutkie ślady nowymi gumofilcami, podeszła do płotu okalającego jej podwórze.

– Znowuż trza odgarniać... – mruknęła pod nosem.

Zmrużyła oczy otoczone gęstą siatką zmarszczek rozbiegających się promieniście w kierunku skroni i policzków i potoczyła bystrym spojrzeniem po rodzinnej wiosce – Capówce. Słaboniowa była krzepką staruszką lat około siedemdziesięciu, choć mocno już zgarbioną i pozbawioną kilku zębów. W śniadej jej twarzy, przez długie lata smaganej wschodnimi suchowiejami i przypiekanej promieniami słońca, jaśniały jak dwie grudki lodu przenikliwe oczy barwy jesiennego nieba. Mówili we wsi, że wzrok Słaboniowa miała jak na swoje lata nadzwyczajny i ku niezadowoleniu okolicznych mieszkańców nieraz docierał on tam, gdzie sięgać nie powinien.

Słaboniowa wciągnęła nosem powietrze pachnące żywicznym dymem unoszącym się z kominów. Spokojną wieś otulała cisza, przerywana czasem tylko dalekim szczekaniem psów i porykiwaniem oporzędzanych właśnie zwierząt. Ale nawet te ostatnie przed nocą dźwięki tłumiała gruba warstwa śniegu zalegającego białymi czapami na dachach domów, stodół, komórek i psich bud, na gałęziach drzew i czubkach sztachet w płotach. Pojedyncze płatki opadały bezgłośnie i topiły się z ociąganiem na wspartych na płocie, pokrzywionych reumatyzmem dłoniach Słaboniowej.

Dom Słaboniowej znajdował się na małym pagórku, mogła więc widzieć z niego niemal całą Capówkę. Z lewej strony widniała ginąca w lesie droga, prowadząca do przystanku PKS, którym można było dojechać do Chmielowa i innych miast, większych jeszcze i nieznanych. Na wprost, po horyzont ciągnęły się pola, a za nimi, w oddali migotały światelka pobliskiego miasteczka. Z prawej zaś strony jeden za drugim mościły sobie miejsca domy mieszkańców wsi. Za niewielką łączką ogrodzoną drzewami wiśni i krzakami leszczynowymi mieszkał jeden z dwóch we wsi starych kawalerów – Czarny Jan. Dobiegał już pięćdziesiątki i nikt w Capówce nie wróżył mu żeniaczki, a i on po prawdzie wcale się do niej nie spieszył. Po drugiej stronie drogi mieszkali Baraniuki. Maryśka, o której kiedyś marzyli wszyscy, jędrna, dupiasta, o czerwonych ustach i wesołych oczach. Mimo urody i powodzenia, nie mając dobrego posagu i wielkiego wyboru, wyszła za Suchego Józka – złośliwego konusa o rzadkich blond włosach, w dodatku tak zazdrosnego, że i nieraz rękę podniósł na swoją żonę, a jak się wściekł, to siły miał za pięciu chłopów. Maryśka urodziła mu trzech wiecznie głodnych synów, zwanych we wsi Kanciakami, bo kwadratowi byli od gór kartofli, które im matka codziennie na obiad dawała.

Maryśka właśnie krzątała się po kuchni, szykując kolację dla swoich czterech mężczyzn, z niecierpliwością przygotowując się na film po dzienniku, podobnież romans jakiś – coś jak *Przeleciało z wiatrem*. Wyobrażając sobie, jaki to piękny może być film o miłości, modliła się w duchu, żeby na drugim programie nie było przypadkiem meczu.

W głębi, za gospodarstwem Suchego Józka mieszkała stara Zapasiukowa z pozostałym w domu synem Albinem – pijakiem i nierobem jakich mało. Zapasiukowa była wdową, odumart ją niedawno mąż – jedyny, acz niedościgły wzór dla Albina, bo tak się zapieć jak stary Zapasiuk nikt, nawet nieodrodny syn, nie potrafił.

Dalej przy drodze mieszkali Latoszuki. Ona krągła, czerwona na gębie, wiecznie roztaczająca wokół siebie zapach gęsiego sadła, on na wschodnią modłę długi niczym miesiąc i blady jak surowy, obrany ziemniak odmiany Astra, z wielkim nosem i smutnie opadającymi kącikami ust. Mieli dwie córki – Justynkę i Jadżkę – obie panny na wydaniu, choć Jadżka, lat dwudziestu trzech, nieco już była przechodziona i brzydsza też od młodszej siostry. Latoszukom dobrze się powodziło dzięki ciężkiej pracy i oszczędności posuniętej czasem do granic skąpstwa – pierwsi we wsi postawili murowany dom, a do Justynki chodził już od pół roku syn wójta z Chmielowa. Brzydka Jadżka w czasie wizyt adoratora siadywała na małym stołeczku pod drzwiami pokoju i nasłuchiwała z wypiekami tłumionych chichotów i gorączkowych szeptów młodej pary.

Dalej jeszcze Zośka Samoszuk, hodująca kolejnego pijaka i trójkę dzieci w domku ukrytym pod dębami, a obok jej córka Anetka z mężem Staśkiem, co jeździł do miasta na zarobek, a taki był chłopak obrotny, że dorobili się nie tylko telewizora, ale nawet i pralkę Franię mieli, i małego fiata kupili, choć używanego. Dalej jeszcze Dominiki z gromadką dzieci, między którymi przewijała się bieda i wyła po kątach. W małej chatynce wśród jabłonek stary Daciuk w towarzystwie równie starego budzika i małego radyjka, które co i raz się psuło. Dalej wiecznie zwaśnieni Kubaszuki i Łobaszuki, a na samym końcu zaczynała się Nowa Wieś, gdzie mieszkał sołtys. Tam sokoli wzrok Słaboniowej już nie sięgał.

I tak rozglądała się uważnie po okolicy, a na koniec jeszcze spojrzała za siebie, w stronę Borku i chat na Sinokrejach, gdzie, jak mawiał Stasiak Butrym, same płaczki mieszkają. Stała tam chata Grubej Berty, którą synowie musieli karmić i wyprowadzać na podwórko, bo sama chodzić nie mogła od nadmiaru sadła, i kilka jeszcze innych chatynek przydrożnych, polnych i podleśnych, gdzie mało kto ze wsi się zapuszczał.

Tymczasem opłotkami, kryjąc się w cieniu i otrząsając z obrzydzeniem łapki z lepkiego śniegu, przyleciał czarny kocur zwany przez Słaboniową Mruczkiem. Mruczek był tłustym bydłakiem o gęstym futerku, długich wąsiskach i oczach koloru brzoźowych listków na wiosnę, na łapkach miał białe skarpetki, a na brodzie kropelkę mleka. Przysiadł nieopodal, czekając niecierpliwie, aż Słaboniowa skończy swój wieczorny obchód i wleje mu trochę mleka do miseczki stojącej przy piecu. Mruczek oblizwał się rozmarzony.

Już miała Słaboniowa wracać do domu, gdy coś pod lasem się poruszyło. Jakiś jakby chłop wielki, w wysokiej włochatej czapie i w długim kożuchu wywróconym kudłami na wierzch. Wyteżyła wzrok. Chłop z wyraźnym trudem, ale bez ustanku brnął przez zasy w stronę wsi. Jakiś spóźniony pijak wraca od ostatniego autobusu? Toż ostatni autobus półtorej godziny temu był, a i nikt we wsi tylko Czarny Jan taką wysoką czapę ma, a Czarny Jan musi w domu siedzi, bo okna się świeco. Słaboniowa wychyliła się jeszcze bardziej w przód, tak, że omal nie przeleciała przez płot na drogę.

Czarny wędrowiec zatrzymał się i popatrzył z oddali wyraźnie w jej stronę. Wydało się Słaboniowej, że gębę ma jakąś dziwnie długą, a choć był daleko, to jego oczy świeciły niczym dwa rozżarzone węgle, ale blask ich był zimny i martwy, nieludzki. I zaraz też Słaboniowa poznała, że to jakiś czarci pomiot, jakieś zło wcielone, co błąka się po polu i szuka ofiary. Nagle zimnica zrobiła się jeszcze gorsza, a we wsi ucichło szczekanie psów i beczenie bydła, jakby zwierzęta wywąchały parszywca i pochowały się w najdalszych kątach obórek.

– A kysz, maro nieczysta! – syknęła Słaboniowa, czyniąc dłonią pradawny znak odpędzający złe uroki, po czym obróciła się trzy razy wokół siebie, mamrocząc coś pod nosem i popluwając przez lewe ramię, czemu Mruczek przyglądał się z niekłamanym zdziwieniem.

Stwór z tępym uporem ruszył dalej kanciastym, sztywnym krokiem, nie przybliżając się do wsi, ale też nie oddalając od niej, pewien, że znajdzie to, czego szukał.

Poprawiwszy pod brodą chustę w czerwone róże i zielone liście, Słaboniowa poszła w stronę domu, co i rusz oglądając się za siebie.

Zamknęła drzwi na haczyk, naląła Mruczkowi mleka i siadła na zydelku. Oparta plecami o ciepłą ścianówkę zaczęła obierać kartofle do zupy na następny dzień. Cienkie łupinki spadały drżącymi serpentynami do metalowego wiaderka, a krągłe, żółte kartofle wpadały z pluskiem do garneczka z wodą. Słaboniowa słuchała tykania drewnianego zegara wiszącego na ścianie koło kredensu i chrobotania myszy, które zimowały pod podłogą. W izbie było ciepło, czerwone ogniki wyzierały ze szpar między fajerkami i pełgały po bielonych ścianach. Mruczek opity mlekiem umościł sobie legowisko na ławce przy piecu i zabrał się do wieczornej toalety.

W domu były dwie izby, ale po śmierci męża Słaboniowa stwierdziła, że jedna zupełnie jej wystarcza. Mieściło się tutaj łóżko nakryte kapą w fioletowe i zielone pasy, stał kredens wypełniony naczyniami z grubego fajansu i szklankami rżniętymi w jodełkę, a pod oknem stół z dwoma krzesłami. Na stole stała lampa naftowa, na wypadek gdyby elektryczność we wsi wysiadła, co zdarzało się nader często.

Tego wieczora Słaboniowa, mimo że otoczona znajomymi sprzętami i dźwiękami, które od dawna jej towarzyszyły, spokoju znaleźć nie mogła. Włączyła dziennik w telewizorze, który jej zięć z miasta przywiózł, coby staruszka wiadomości ze świata miała i wieczorami się nie nudziła. Ale miast oglądać ludzi narzekających na podwyżki cen chleba i drogowców, których zaskoczyła zima, Słaboniowa nasłuchiwała dźwięków dochodzących ze dworu, usiłując wyłowić ze szczekania psów, szelestów i skrzypienia gałęzi antonówki rosnącej za oknem coś, co da jej wskazówkę, naprowadzi na właściwy trop. Ale uszy już nie te, w przeciwieństwie do oczu, i poza odgłosami zwyczajnymi dla wiejskiej, zimowej nocy Słaboniowa nie usłyszała niczego szczególnego.

Usiadła na łóżku i popatrzyła na wizerunek Matki Boskiej z Dzieciątkiem wiszący na ścianie. Maryjka pochylała się z troską nad Słaboniową, jej kotem i jabłonką za oknem, lecz z największym niepokojem spoglądała na swojego syna, który nieświadom swojej przyszłości, dziecko jeszcze, wznosił w górę rękę w geście błogosławieństwa. Ich czarne twarze były spokojne i zdało się Słaboniowej, że cokolwiek stanie się złego na tym padole, tych dwoje z tym samym wyrazem smutnych oczu będzie patrzeć na to, jak na mizerną kroplę w morzu nieszczęść

tego świata.

Przeniosła wzrok na monidło wiszące między świętą ikoną i obrazem przedstawiającym jelenia na rykowisku. Monidło ukazywało dziewczynę o owalnej twarzy, poważnie patrzącą, z jasną grzywką zaczesaną na czoło, w welonie z białego płótna, zebrany nad uszami i przyozdobionym niezapominajkami. Obok niej stał równie poważny, postawny kawaler z wąsem, w ciemnym garniturze i z czarną aksamitką zawiązaną w kokardkę pod szyją.

– No i co ty na to, Hendryk, aa? Powiedz, co mnie tera czynić z tym spiękaduchem, co pode wsio chodzi, aaa? – zapytała Słaboniowa, ale kawaler ze zdjęcia, godny i uroczysty jak zawsze, nawet okiem nie mrugnął.

– Aaaa, z chłopami to taka robota... Nijakiej pociechy za życia i żadnej pociechy po śmierci... Przecie wiem, żeś tam jest, ino ręki nie wyciungasz. A prze cie zawsze ciebie pytam o radę, proszę o pomoc. Ale ty nic nie odpowiadasz. Ech, z chłopami to takie gadanie... – i tak wyrzekając pod nosem, Słaboniowa włączyła małe radyjko stojące przy łóżku i zaczęła szykować się do snu. Gdy zasypiała, w radiu grali jazz.

Tej samej nocy Anetka Samoszuków leżała na swojej nowej wersalce i płakała. A płakała cichutko, ze strachu, bo pod domem coś stukało, jakby koń chodził po betonowej wylewce, tylko na dwóch nogach i tak wolniuszko i równo. I zdawało się Anetce, że przez okno coś zagląda do pokoju i patrzy na nią zimnymi oczami, i coś chce jej zabrać. Tylko sama nie wiedziała, co by to mogło być. Leżała więc samotnie, nakryta kołdrą po sam czubek głowy, czekając świtu.

Styczniowy, ciemny poranek zastał Słaboniową przy obrządkach. Kiedy została sama, sprzedała większość zwierząt, bo miała już swoje lata, a nie było komu pomóc. Teraz doglądała jednej tylko krowy, dwóch świnek i stadka kur na jajka, które co czwartek woziła na rynek. Kiedyś tak nie było. Kiedyś było zupełnie inaczej – myślała Słaboniowa, ciamkając kawałek chleba z masłem i popijając ze szklanki letnią herbatę z cukrem. Pamiętała dom pełen ludzi i parne obórki pełne pomrukujących i porykujących zwierząt. Pamiętała ciepło łóżka, w którym spała z trzema siostrami, gwar przy krótkim śniadaniu, krzyki matki, która zapędzała wszystkich do roboty przy zwierzętach, w ogrodzie i na polu. A potem wszystko się zmieniło. Starsze rodzeństwo rozjechało się po okolicznych wsiach i miasteczkach za chlebem i ożenkiem, potem rodzice umarli jedno po drugim, potem Słaboniowa stała się Słaboniową, wychodząc za Henryka Słabonia, potem urodziła trzy córki, potem jej bracia i siostry pomarli, potem zmarła jej najstarsza córka, a dwie młodsze wyjechały do miasta mieszkać w blokach i pić mleko ze sklepu, a potem umarł Słaboń. I tak Słaboniowa została sama na gospodarstwie.

Siedziała jak co rano przy stole pod oknem i patrzyła na białe podwórko, pocięte czarnymi gałęziami jabłoni i sztachetami płotu. Szyby były z grubego pełnego szkła, co sprawiało, że świat za oknem falował, gdy przesunęło się głowę lekko w lewo lub w prawo – Słaboniowa czyniła to z lubością. Zafalowała też niepewnie postać Anetki Samoszuk, która weszła na podwórko przez skrzypiącą furtkę. Potem w sieni Anetka tupiała i szurała, otrzepując botki ze śniegu, wreszcie rozległo się pukanie do drzwi i Anetka weszła do izby.

– Dzień dobry, matko krzestna – powiedziała Anetka.

– A, dzień dobry – odparła Słaboniowa. – Zachodź, Anetka, zachodź.

– A, ja tylko tak na chwilę zaszłam. – Dziewczyna stanęła w progu, przestępując z nogi na nogę.

– Jak na chwilę zaszłaś, to i na chwilę możesz sięść – powiedziała Słaboniowa.

Anetka usiadła przy stole, złożyła ręce na podolku i zaczęła się gapić na czubki swoich butów. Jej trójkątna, dziecienna jeszcze twarz była blada, a oczy czerwone i zapuchnięte jakby od płaczu albo z niewyspania.

– A jak w domu? Matka zdrowa? – zapytała Słaboniowa po chwili ciszy.

– Jakoś leci. Jak ojciec nie pije, to i matka nie narzeka. Jak ojciec nawyzywa od najgorszych, to matka się cieszy, że nie bije. A jak bije, to matka się cieszy, że nie na śmierć. Aaa... – zakończyła Anetka, machając ręką.

– A Stasiak w chałupie?

– Znowu pojechał do roboty na dwa miesiące. Sama w domu siedzę. Czasem matce pomogę przy obrządkach, dzieciaków popilnuję. Ale tak to sama w domu siedzę. W kominku napalę, pooglądam telewizor. – Popatrzyła w okno szeroko otwartymi oczami. – Wiecie, w nocy spać nie mogę. Byle hałas, a mnie już serce wali, zapalam lampkę, leżę tak godzinami do świtu.

– Jaki hałas? – zapytała Słaboniowa.

– Coś koło domu chodzi, tupie, zagląda przez okno i gapi się na mnie jak, jak... jakiś zboczeniec! Już bym wcześniej do was przyleciała, ale wstyd mi było – powiedziała Anetka i zaniosła się głośnym szlochem.

– No już. Nie rycz, Anetka – powiedziała Słaboniowa. – Herbaty nastawię. Czego wstyd było?

– Że na wariatkę wyjdę. Powiedzą we wsi, że bez chłopca mózg mi się lasuje albo coś. Już oni umio nagadać. To nikomu nie mówiłam, tylko matce. Myślałam wpierw, że to Głupi Sławek. Słyszałam, że on czasem chodzi po wsi i zagląda przez okna, jak baby się przebierają, ale Sławek nie ma takich świecących oczów i strasznej gęby! – Anetka znowu zaczęła straszliwie łkać i wycierać sobie nos chusteczką, którą miała schowaną w rękawie.

– No nie rycz, toż ci gadam, nie ma co ryczeć. Widziała ty jeszcze co? – zapytała Słaboniowa.

– Nie wiem... – Anetka nagle przestała płakać i zaczęła uważnie przyglądać się cukiernicy stojącej na stole. – Głowę nakrytą miałam.

– Aha. – Słaboniowa spojrzała na nią uważnie i jak gdyby nigdy nic zajęła się herbatą. Wlała esencję z czajniczka do dwóch szklanek i dopełniła wrzątkiem. – Na. – Postawiła przed

gościem jedną szklankę, a z drugą usiadła naprzeciwko dziewczyny. Położyła ręce płasko na obrusie po obu stronach szklanki i kolistymi ruchami zaczęła gładzić grubo tkane, bielone płótno. Pod jej pokrzywionymi palcami przesuwają się zielone ptaki zwrócone do siebie dziobkami, czerwone kwiaty peonii kwitnące wśród wielkich liści, dziewczyny wszerokich spódnicach uśmiechające się zalotnie do chłopaków w kapeluszach. To jej matka haftowała ten obrus dawno temu, gdy Słaboniowa była małą dziewczynką. – Pij, Anecia, póki ciepłe – powiedziała niby łagodnie, ale jakoś tak, że Anetka wcale nie poczuła się lepiej. Jednak posłusznie upiła łyk, parząc sobie przy tym usta. – I nic ty więcej nie widziała... – ni to spytała, ni oznajmiła Słaboniowa.

– No przecież mówię – odburknęła Anetka.

– Ano mówisz, mówisz... – odparła Słaboniowa i jakby nigdy nic zapytała: – A śniadanie ty jadła?

– Aaa, nie jadłam. Jakoś mi tak mgło było od rana, to i głodna nie byłam.

– To tera zjisz – powiedziała Słaboniowa i nałożyła Anecie kopkę gotowanych kartofli, okrasiała paroma skwarkami i dodała kubek zsiadłego mleka. – Na, jidz. Błada jesteś, mizerna.

– Dziękuję – wybełkotała Anetka z buzią pełną kartofli.

Słaboniowa siadła po drugiej stronie stołu i z uwagą zaczęła się przyglądać jabłonce za oknem.

– Smakuje ci, Anecia?

– Tak – bąknęła Anetka. – Co ma nie smakować...

– A herbata dobrze słodka? – ciągnęła Słaboniowa.

– Słodka, słod... No, o co wam chodzi, no?! – Anetka odsunęła gwałtownie miskę z kartoflami i naburmuszona założyła ręce na piersiach.

– Anecia.

– No?

– Ja swoje lata mam.

Anetka popatrzyła na nią pytająco.

– Wy młodzi myślicie, że jak stara, to głupia, na nowoczesnym życiu się nie zna. Ale powim ci, Anecia, jedno: że ludzie zawsze tacy sami. A ja może i stara, ale wim, kiedy nieprawdę gadają, to i tera widzę, że ty coś, dziecko, kręcisz.

– Że niby ja kłamię?! – oburzyła się Anetka.

– Kłamiesz, nie kłamiesz, a prawdy nie gadasz. Ty wiesz, co kole twojej chałupy chodzi.

– Jak Boga kocham, nie wiem. – Anetka walnęła się pięścią w wątlą pierś.

– Ty Boga do tego nie mieszaj – fuknęła Słaboniowa surowo. – Bo to nieboska sprawka.

– A jaka? – wyjąkała Anetka.

– Już ty dobrze wiesz jaka.

– Oj, wy to dzisiaj jakimiś zagadkami gadacie... Ja nic nie wiem, nic nie widziałam...

– Gadaj, Anecia! – powiedziała Słaboniowa groźnie, wbijając w nią przenikliwe spojrzenie szarych oczu. – Co pod twojem oknem stuka? Ma ci on wysoko czapę futrzano?

– Ma ci on czapę... – wyjąkała Anetka. – Nawet coś jakby rogi długie, ostre...

– Rogi, powieasz. – Pokiwała Słaboniowa głową z zadowoleniem. – A gembe długo ma?

– Oj, ma ci on gębę... – Anetka zadrżała. – Taką kozią mordę czy coś.

– No – potaknęła Słaboniowa i nachylając się nad Anetką, wyszeptwała straszonym głosem:
– A ślipia ma lodowate, świecące?

– Ma takie oczyska zimne, świecące, że i przez firanki, i przez koldrę widzę to niebieskie światło, tak świdrują... – Anetka ostatnie słowa wypowiedziała zbiełałymi wargami, wpatrzona niewidzącymi oczami w pajęczynę utkaną pod sufitem. Słaboniowa złożyła ręce na podołku i sapnęła ponuro:

– Musi Kozieł.

Anetka zamrugwała oczami i popatrzyła na starą zaskoczona.

– Musi co?

– Kozieł, dziecko – powtórzyła Słaboniowa ze zniecierpliwieniem. – Niby takie mundre, do szkół chodzo, znajo sie na tych tam maszyniach i inszej nowomodnej nauce, a co to Kozieł, nie wiedzo.

– No, kozieł, znaczy się kozioł to takie zwierzę domowe, roślinożerne, samiec... – powiedziała Anetka niepewnie. – Z biologii miałam piątki zawsze.

– Zwierzę, zwierzę... – westchnęła Słaboniowa. – Kozieł, Anecia, to czarci pomiot, król piekieł, ojciec i oblubieniec wszystkich czarownic. Najgorszy z najgorszych, najczarniejszy z czarnych, grzech wcielony. I nie tak często na świat wychodzi, a jak już wychodzi, to upomnieć się o swoje, o jakąś duszyczkę się upomnieć i przygarnąć biedactwo do swojej kosmatej piersi.

Powiedz, Anecia, jakiej duszyczki on u ciebie szuka, aa?

Anetka nic na to nie powiedziała, tylko zbladła nagle jeszcze bardziej, zakryła ręką usta i wyleciała biegiem do sionki, skąd dobiegły Słaboniową odgłosy wymiotów wpadających do wiadra na obierki.

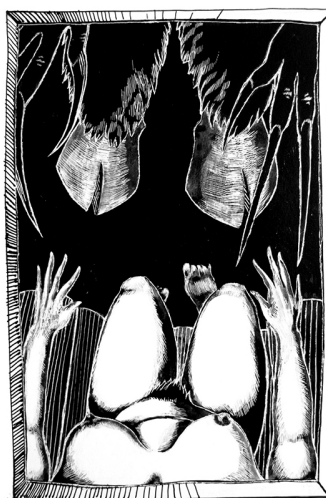
Stara spokojnie wstała, wyjęła z kredensu słoiczek z ziołami, nasypała łyżeczkę do szklanki i zalała wrzątkiem. Podłożyła drewno do pieca i siadła na powrót przy stole. Anetka wróciła naburmuszona.

– Za tłuste te skwarki robicie... Co to jest? – spojrzała podejrzliwie na szklankę z unoszącymi się w żółtym naparze gałązkami.

– Ziółka na wzmocnienie. Pij, Anecia – poradziła Słaboniowa – I powiedz, nie widziała ty już kiedy tego Kozła?

– Dobrze, powiem. – Anetka dała za wygraną, wiedząc, że prędzej czy później powie matce chrzestnej więcej jeszcze, niż by chciała. – Już nie taka mała byłam, może z dziesięć lat miałam, wiedziałam, co do czego. Matka wysłała mnie do Nowej Wsi do ciotki Adelki po mąkę, bo racuchy miały być na kolację, a mąki zabrakło. To skrótem chciałam przez las, bo do ciotki najbliżej, a jesień już była i szarówka już taka, że w lesie ciemno, strasznie. Idę przez ten las, idę, a wiatr zaczyna wiać, gałęzie skrzypią, coś między drzewami chodzi, coś piska, drogi już nie widać za bardzo.

Stanełam w tym lesie i stoję, nasłuchuję, zestrachana, że aż. A tu zza drzewa wychodzi on, ten cały Słaboniowej Kozieł. Stoi przede mną wielki, groźny i tymi świecącymi oczami się na mnie gapi. Cały kudłami porośnięty, kopyta wielkie, siarką śmierdzi i łapska kosmate do mnie wyciąga. Patrzę, a jemu stoi, za przeproszeniem, pała wielka jak u buhaja przed pokryciem, myślałam, że ze wstydu zapadnę się pod ziemię. A on mówi: „Zaraz pod ziemię pójdziemy, głęboko pod ziemię, chodź do mnie”. No to ja zaczęłam płakać. A on tylko „pójdiesz ze mną” i „chodź do mnie”, i „chodź do mnie, pod ziemią nam dobrze będzie”, a głos miał taki chrypliwy, jakby spod ziemi wychodzący, i gęba mu się wcale nie otwierała. No to ja na kolana i obiecuję, że wszystko mu dam, wszystko, tylko żeby mi krzywdy nie robił, że obiecuję mu, co chce. No to on nic nie mówi, tylko patrzy na mnie, jakby myślał, co dalej, i patrzy, i tak się patrzy na mnie, i pyta, czy jestem chrzczona. No to ja mówię, że chrzczona, a jakże, wszyscy tutaj chrzczeni. A on się pyta, kto mnie do chrztu trzymał. No to ja mówię, że stara Słaboniowa.



Mówię, jak było, ja bym mu wszystko powiedziała, byle tylko mnie nie skrzywdził. A on widać strasznie zadowolony nagle i mówi tak: „Anetka, idź teraz wolno, krzywdy ci nie zrobię. Ale wrócę za dziesięć lat od tej chwili i wezmę to, co moje, co mieć będziesz, a o czym jeszcze nie wiesz, że mieć to będziesz. O naszym spotkaniu nie mów nikomu, bo się dowiem i wyślę moje najwścieklesze sługi, i kamień na kamieniu tutaj nie zostanie. Obiecuj, że nikomu nie powiesz!”. No to ja obiecałam i patrzę, a on podchodzi do drzewa takiego z dziuplą i no, mówię Słaboniowej, zaczął to drzewo grzmocić, że aż trzeszczało. W tę dziuplę... – Anetka zaczęła się histerycznie śmiać.

– No i co dalej było? – zapytała Słaboniowa, uśmiechając się pod nosem.

– No co, no co? Uciekłam. Miałam czekać, aż się rozmyśli? – odparła Anetka, ocierając łzy rękawem.

– Uhm – powiedziała Słaboniowa zamyślona. – Tylko co ty takiego masz, Anecia, że Kozieł sam tu przylazł na własnych kosmatych girach, żeb się o to upomnieć?

Anetka wzruszyła ramionami.

– A co ja mam? Tego małego fiata? Pralkę? Te dolary jeszcze po ciotce, co i tak już wartości nie mają? No, co on może chcieć, ten Słaboniowej cały król piekieł?

Słaboniowa podeszła do Anetki, wzięła ją za rękę, zajrzała jej w jedno oko, w drugie, przyłożyła rękę do czoła i powiedziała:

– Toż ty, Anetka, zaciunżyła. Ot, cała zagadka. I to trzeci miesiąc idzie, ino chuda jeźdeś, to nie widać. Toś nie widziała, że krwawienia nie masz?

– No też, co Słaboniowa gadają? – pisnęła Anetka i znowu się popłakała. – Brzuch troszkę urósł, to ja myślała, że przytyłam, a już wcześniej bywało, że okresu i pół roku nie miałam. Ginekolożka kiedyś mówiła, że nieregularna owulacja.

– Oluwacja, nie oluwacja, na brzuchach to ja się znam bez tego doktorskiego gadania. Ale

pląsiwa to ty jesteś, Anecia. To od brzucha, toż ci gadam. Nie ma co płakać, cieszyć się trza.

– Ale ja się cieszę, tylko boję się trochę i sama w domu jestem, Stasiu dopiero za miesiąc wróci, no i co ja teraz zrobię, toż ja jeszcze dwudziestki nie skończyła? – szlochała Anetka.

– Na dzieciaka dobry masz wiek, zdrowy będzie, silny. Jak ja była młoda, to i szesnastki rodziły, i dobrze było. Ja rodziła ośmnaście lat mający i nie było we wsi zdrowszej dziewczuchy jak moja pierworodna, Marcjanna. Póki się jej nie zmarło. Tu o co innego się rozchodzi. Kozieł przylazł po twojego dzieciaka. A ty go zaprosiła wtenczas w lesie, obiecała, że dasz mu, co chce, a on poprosił o to, czegoś ty nawet jeszcze nie przewidziała. Taki mundry, widzisz...

– Ale jak dzieciaka? Co, z brzucha mi wyrwie czy co? – Anetka zadrzała porażona tą wizją. – Skoro jemu o duszyczkę chodzi, to już chyba moje ma duszyczkę i on już może je sobie zabrać...

– Może i mógłby z brzucha wyrwać... – Słaboniowa pomyślała chwilę nad taką wersją wydarzeń i rzekła: – Widzisz, Anetka, z to duszo to nic pewnego. Jedne gadajo, że dusza je u dziecka od samego początku, jak się tylko w brzuchu zapłęgnie, inne gadajo, że dusza je u dziecka od trzeciego tygodnia, a jeszcze inne, że duszy całkiem ni ma...

– A jak wy myślicie? – spytała Anetka.

– Że niby o czym?

– No o tej duszy... Jest czy nie ma? – Anetka popatrzyła na Słaboniową z przestraszeniem.

– No a czego cię dziecko w kościele z ambony ksiundz uczyli?

– No, że jest... – odparła Anetka niepewnie.

– No to jak w kościele gadajo, że je, to je. Wąpysz w istnienie nieśmiertelnej duszy, Anetka?

– Nie wątpię. Ale ja chciałam się dowiedzieć, jak wy myślicie.

– Moje dziecko, kto to może wiedzieć, jak to z tym je? Nie mnie decydować, nie tobie i nie ksindzu. Wierzyć nam trza, Anetka, wierzyć. A i sam Kozieł tyż nie wi, jak to je z to duszo nieśmiertelno... – Słaboniowa znowuż chwilę pomyślała i zakończyła wreszcie ze stoickim spokojem: – Dlatego poczeka, aż urodzisz, i wtedy zabierze.

– Ale ja nie chcę! – zakrzyknęła Anetka w słusznym oburzeniu.

– A pewnie, że nie kcesz. – Słaboniowa westchnęła, jakby ubawiona, i spojrzała na Anetkę nieco łagodniej. – Po prawdzie nie twoja to wina. Mała ty była, ty nie mogła wiedzieć, co będzie. A Kozieł swój rozum ma, oj ma...

– Ale po co on teraz przylazł, skoro chce gotowego dzieciaka zabrać? – zapytała Anetka

podejrzliwie.

– A przypomnieć się, postraszyć trochu, potargować. Stare porachunki załatwić...

– No i co teraz? – zapytała Anetka, wpatrując się w Słaboniową wzrokiem pełnym niezachwianej nadziei. – Słaboniowa na pewno coś wymyśli, Słaboniowa taka mądra...

– No, Anecia, ty mnie pod włos nie bier.

Stara zasepiła się mocno, jakby coś w sobie wążąc. Sękatą ręką gładziła swój haftowany obrus, mruzczała coś pod nosem, jakby sama sobie chciała odpowiedzieć na jakieś bardzo trudne pytanie. Wreszcie popatrzała ponuro na Anetkę, która czekała z zapartym tchem na jej decyzję, i powiedziała:

– Idź tera do domu, a powidz matce, że zajdę po obrządkach.

– Dobrze, matko krzestna. – Anetka z ulgą wypuściła powietrze. – Ale zostanieie na noc? Ja sama spać nie będę za nic na świecie.

– Dobrze, Anecia, idź już. Zajdę z wieczora.

– To ja lecę matce powiedzieć! – zawołała Anetka uradowana i poleciała, tupiąc radośnie botkami po twardym śniegu. Słaboniowa, zostawszy sama, westchnęła rozgłośnie, aż się Mruczek obudził, i jęła medytować.

Medytowała tak do wieczora, nie jedząc i nie pijąc, aż wreszcie opatulila się wełnianą chustą i wsparta na lasce wyszła na drogę, starannie zamykając za sobą furtkę.

Noc była ciemna choć oko wykol. Drogę było ledwo widać, a bateryjka, którą Słaboniowa wzięła ze sobą, rzuciła na śnieg tylko mały, nieprzydatny, żółty krążek światła. Słaboniowa wyłączyła latarkę, aby przyzwyczaić oczy do ciemności, i ruszyła powolutku dalej, kierując się rozświetlonymi oknami pobliskich domów. Zresztą znała tę drogę na pamięć, chodziła nią całe życie – na łąkę w czasie żniw, do kapliczki na majowe, a za młodu do remizy na zabawy taneczne. Jak to dawno było... Dom czarnego Jana, dalej krzyż z kolorowymi wstążkami przywiązanymi do ramion – Słaboniowa słyszy ich furkot na wietrze – dalej transformator buczy elektrycznością, pole i wreszcie trzy wielkie dęby rosnące przy domu Samoszuków.

Słaboniowa zapukała i nie czekając na odpowiedź, weszła do ciepłej, wąskiej kuchni. W piecu ogień buzował porządnie, a na fajerkach stały trzy wielkie, parujące gary i patelnia pełna wytapiającej się słoniny. Przy stole pod oknem przycupnęła Anetka, blada i okropnie nieszczęśliwa, a w kącie, na łóżku przykrytym pasiastą narzutą siedziała babcia Stasia. Ręce miała złożone na podołku, maleńkie stopy prawie nie dotykały ziemi. Babcia Stasia płakała i mamrotała:

– Wnusia bedzie, nareście Zośka wnuczka doczekała...

– Ano doczekałam... – mruknęła Zośka pod nosem i zwróciła się do Słaboniowej: –

A siadajcie, Słaboniowo, o tutaj, przy stole, zara herbaty dam. – I posadziła Słaboniową naprzeciwko Anetki.

– A co to, świniobicie mieliście? – zapytała Słaboniowa, patrząc na garnki.

– Aaaaaaa... Goście byli z Kalinowej. Tydzień cały siedzieli, ale ćwiartkę świniaka przywieźli, no to jakoś wytrzymałimy... – Zośka westchnęła ciężko. Była jędrną jak na swój wiek kobietą, o okrągłej, rumianej twarzy i donośnym, ostrym jak brzytwa głosie.

– A Zenek dzie?

– Usłyszał, że wnuk będzie, wypił połówkę i śpi. Cieszył się. – Zośka westchnęła z rozczuleniem. – Aneta mówiła, że dzisiaj u niej śpicie...

– A śpię. Coś Anecia lękliwa z tej ciąży zrobiła się, to obaczym, czy ma jakie powody.

– A to, że niby diabły jej pod oknem latają? – Zośka zaniósła się głośnym śmiechem i machnęła ręką z lekceważeniem. – Et, gadanie. Tylko kłopot wam robi i we wsi śmiech będzie. Komuś pewno cielak uciekł i latał po polu.

– Cielak, cielak... – powtórzyła Anetka z goryczą, a ponuro. – Mama zawsze na mnie mówi. Żadnego cielaka tam nie było, tylko co inne. Mama nie widziała, to niech nie gada. Wszyscy dobrzy, tylko ja zła i głupia – rozżaliła się na koniec i znowu zaczęła chlpać w mankiet.

– No już, już – rzekła Zośka trochę łagodniej. – Masz chleba ze słoniną. Dla dzieciaka dobrze będzie. A może wy zjecie, Słaboniowo?

Słaboniowa jednak odmówiła stanowczo i pajda ze słoniną powędrowała do uradowanej babki Stasi, która ciamkając i wznosząc łzawiące oczy do nieba, wychwalała po swojemu zalety świeżej słoninki. Anetka za to ugryzła kawałek i po chwili już biegła do sionki całkiem zielona na twarzy.

– Skaranie z tą dziewczyną – westchnęła Zośka. – Chuda, że sama skóra i kości, a jeść nie chce. Dzieciakowi skąpi czy co?

– Jeszcze trochu i jeść będzie – uspokoiła ją Słaboniowa. – Jutro już jeść będzie – dodała zagadkowo.

Zośka popatrzyła na nią bez przekonania.

– Skoro tak mówicie...

Anetka wróciła blada i z podkrążonymi oczami.

– Nawet mi tej słoniny na oczy nie pokazujcie. A dla dziecka warzywa są dobre, a nie te kiełbasy tłuste. Na biologii uczyli...

– Warzywa, warzywa. Jak ja z tobą w ciąży chodziła, to marzyłam o kawałeczku kiełbasy. Chocia o takim tycim. – Zośka pokazała na paznokciu małego palca, o jak tycim kawałeczku. – Ale jadłam tylko te twoje warzywa, bo nic innego nie było, i patrzcie tylko, jakie to głupie wyrosło z tych buraków i kartofli. Słonina dla niej niedobra... – burczała pod nosem Zośka, mieszając w garach wielką łyżką.

– No, już czas... – Słaboniowa wstała z krzesła i zwróciła się do nieustannie łkającej Anetki: – No, Anecia, idziem. No, nie rycz, dziewczyno, gadam ci. Ni ma czego...

Droga do domu Anetki nie była daleka, wystarczyło tylko przejść przez furtkę, kawałek ogródka, gdzie Zośka zawsze kapustę sadziła, i już Anetka – ka, cały czas chlipiąc, zapraszała Słaboniową do „salonu”.

– Salonu? – zapytała Słaboniowa niepewnie.

– No, do pokoju, gdzie się siedzi, telewizję ogląda... – tłumaczyła Anetka, wycierając nos.

– Uhm – mruknęła Słaboniowa, wchodząc do „salonu”.

Salon Anetki był sporym pokojem mieszczącym komplet mebli na wysoki połysk, a więc wersalkę, dwa fotele, ławę, stół z telewizorem, w rogu zaś pysznił się kominek obłożony czystsą jak cegła, tylko błyszczącym. Na kominku buzował ogień.

– A kuchnia dzie? – zapytała Słaboniowa, szukając pieca z fajerkami i kredensu.

– A o tu, oddzielnie – pokazała Anetka z dumą.

Słaboniowa omiotła małą kuchnię, całą w beżowych kaflach, spojrzeniem pełnym dezaprobaty i uciekła do salonu.

– Siadajcie! – krzyknęła Anetka z kuchni, szykując herbatę.

Słaboniowa usiadła na jednym z foteli, ostrożnie umieściła łokieć na twardym, śliskim oparciu i ponuro popatrzyła w ogień na kominku.

– Sypialnię też mamy oddzielną, ale jak Staśka nie ma, to tu śpię na wersalce, różnie przy telewizorze – mówiła Anetka, wnosząc na tacy herbatę w dzbanku w różyczki i dwie filiżanki. – Ładny serwis, nie? W prezencie na ślub dostaliśmy.

Słaboniowa westchnęła.

– Jak ja była młoda, to w jednej izbie i gotowało się, i jadło, i spało. I to jeszcze na jednym łóżku nieraz wszystkie spali. I to była chałupa jak się patrzy. A wy tu wszystko oddzielnie, oddzielnie... – sarkała, rozlewając herbatę na spodeczek.

– Stasiek gadał, że w mieście to wszyscy mają oddzielnie kuchnię, to my chcieli po

miastowemu se zrobić, jak normalni ludzie – odparła Anetka nieco urażona.

– Anecia, daj no mnie normalno szklanke, bo ja się na tych serwisach nie rozumiem. – Słaboniowa wyciągnęła w stronę Anetki filiżankę i spodek pełen herbaty.

Anetka z westchnieniem poczłapała do kuchni po szklanke.

– Ale koszyczka nie mam – rzuciła jeszcze od progu, wywracając oczami. – Ja tu chcę matkę krzestną porządnie ugościć, a wam nic się nie podoba.

– Aaaa... – Słaboniowa machnęła ręką. – Dzisiaj ja się tu nie przysła gościć.

Anetka posmutniała na powrót i usiadła na wersalce, smętnie pogryzając ciastko z marmeladą. Słaboniowa siorbała swoją herbatę ze szklanki, ogień w kominku strzelał wesoło. Było ciepło i bezpiecznie. Anetka osunęła się na poduszki i skulona zasnęła tak jak stała, w ubraniu. Słaboniowej oczy też zaczęły się zamykać, kontury straciły ostrość, fotel wydał się jej nagle wcale nie taki zły, wygodny nawet, mięciutki...

Obudziło ją zimno. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że polana na kominku ledwo się tłą, a przez okno wpada do pokoju bładniebieskie światło – lodowate, pokrywające siną poświatą pokój i Anetkę śpiącą na wersalce niby w letargu.

– Ty tutaj? – wychrypiała drżącym głosem Słaboniowa.

Odpowiedziała jej cisza nieprzerwana najmniejszym nawet powiewem wiatru, skrzypieniem gałęzi, szczekaniem psów. I w tej ciszy ozwał się nagle stu kot kopyt na betonowej wylewce przed domem. Miarowy, powolny, coraz głośniejszy. Każde stąpienie rozbrzmiewało w jej głowie niczym uderzenie młota, zdało się jej, że wojsko idzie i to kopyta setek koni stukają na betonie. Że słyszy jakieś śpiewy i krzyki w oddali. I nagle wszystko ucichło.

Słaboniową obudziło zimno. Otworzyła oczy i zauważyła, że polana na kominku ledwo się tłą, a pokój wygląda, jakby pokrył go szron. Wpatrzyła się w ciężki mrok i spostrzegła go, jak siedzi nieruchomo, na fotelu naprzeciw niej – wielki, czarny, śmierdzący brudem, ziemią i chucią. Odór wcisnął ją w fotel.

– Tak witasz swego pana i władcę? – ozwał się nieco drwiąco chrapliwy, dudniący głos, który musiał wydobywać się chyba spod ziemi, bo Kozieł gęby wcale nie otwierał, tylko siedział jak kukła.

– Już ja nie twoja – wyszeptwała Słaboniowa bez tchu.

– Tyś zawsze moja. Wy wszystkie jesteście sługi moje na wieki wieków. Nawet te niewdzięcznice, co myślą, że uda im się uciec przede mną, że ich nie znajdę na jakiejś zapadłej wsi, że nie zobaczą, jak codziennie wieczorem szykują swoje zwiędłe ciała do snu, pomarszczone, obwisłe ciała śmierdzące starością. Jak czeszą swoje siwe, rzadkie włosy, jak zakrywają nimi łysinę, jak chore i bezsilne gadają do obrazków na ścianie. Wiesz, Teofila? Za tymi obrazkami nic nie ma, tylko ściana. – Kozieł zaniósł się obraźliwym śmiechem i przewrócił

radośnie swoimi kosymi oczyskami.

– Wszystkieście tak samo prawdziwe i wszystkie przychodzicie, kiedy śpik morzy. A do kogo gadam, to nie twoja sprawa – odpowiedziała Słaboniowa i dodała z mocą: – Do ciebie już nie wrócę.

– Zamieniasz mnie na te kiczowate kolorki na ich cierpiących twarzach? Na krzyżyk emaliowany? Wart jestem mniej niż kawałek blachy i drewna? To ja jestem prawdziwy, jedyny, przecież wiesz, Teofila. A ty byłaś taka pojętna, taka chętna, moja najlepsza, najwierniejsza sługa. Odwróciłaś się ode mnie, a ja chcę ciebie z powrotem w domu moim – powiedział z wyrzutem.

– Jużem ja niczyja, ani wasza, ani ich, ani moje miejsce w piekle, ani w niebie. I domu cudzego mi nie potrzeba, chałupę swoją mam, tam na pagórku, przecieżeś był, widziałeś.

– A byłem i patrzyłem sobie, a jakże, choć nie było na co. Ech, Teofila, gdyby to mogło się wrócić... Nie chciałabyś być znowu piękna, gładka, młoda? Nie chciałabyś, żeby cię znowu ktoś dobrze wychędożył? Powiedz, Teofila, kiedy ci ostatnio ktoś między nogi włożył? Toż to musiało być wieki temu, bo nie wyglądasz teraz zbyt zachęcająco...

Słaboniowa poczuła w ustach gorzki smak.

– Już mi nie w głowie chędożenie – odparła z wysiłkiem.

– Ale ja byłem w twojej głowie, kochanieńka – zaśmiał się Kozieł lubieżnie. – I widziałem tam mnie samego, jak biorę cię od tyłu niczym knur maciorę, a ty kwiczysz ze szczęścia jak świnia. Pamiętasz? Pamiętasz?

Słaboniową obudziło zimno. Otworzyła oczy, popatrzyła w dół i zobaczyła, że jest golusienka. Ale zamiast żyłastych, stwardniałych od pracy dłoni zobaczyła białe, mięciutkie rączki, jej piersi, jeszcze przed chwilą ciężkie i obwisłe jak worki z mąką, teraz były krągłe i twarde, sterczące, brzuch gładki, uda błyszczące i różowe, a na ramionach wiły się jasne, gęste sploty długich włosów.

– Jak pół wieku wstecz, prawda? – postyszała dudniący głos z fotela naprzeciwko. Siedział tam jeszcze większy, pewniejszy swego, można by rzec, na swój sposób wesoły. Jego świecące oczy przewierały ją na wskroś. – Teofila, znaj moją słabość do ciebie. Wróc do mnie, a ja zostawię tę tutaj chudzinę w spokoju – wskazał od niechcienia skuloną na wersalce Anetkę. – Cóż za miły zbieg okoliczności, że to akurat twoja chrześniaczka. Przyszedłem tu z najczarniejszych, najgorętszych piekieł po mój mały, z dawna obiecany prezencik... Ale wyrzeknę się go i jeszcze dodatkowo zostawię ci to młode, piękne ciało, hm? Tylko wróc do mnie, Teofila, tylko mi się znowu oddaj, a dziewczynie dam spokój.

– Kręcisz, ino ci się z dupy kurzy – wykrztusiła hardo Słaboniowa dźwięcznym, młodym głosem, który ją samą zaskoczył. – Mnie zabieresz, a Anetce i tak spokoju nie dasz. Już ja znam te twoje sztuczki! – dodała z coraz mniejszym przekonaniem, a jednocześnie coraz bardziej zachwycona swoim nowym głosem i pięknym ciałem.

– No, Teofila, przecież ty z ubogiej, ale porządnej szlachetki jesteś, a dzięki mnie dawno, dawno temu i wysłowić się umiałaś, i filozofów czytałaś, i herbatę pijałaś z filiżanki elegancko, i wiedziałaś, co to dobry smak i gust. To ja wyciągnąłem cię z gnoju od kur i świń karmienia. Schamiałaś, Teofila, na tej wiosce przy tych kurach, świniach i krowach na powrót, jakbym cię niczego nie nauczył. Samaś mi się w ręce pchała, sama chciałaś, Teofila. A teraz udajesz stare wiejskie babsko, co świata za najbliższym zakrętem nie widziało, ale ja cię znam jak nikt i wiem, co potrafisz, do czego jesteś zdolna. Teofila, ty wiedz, że moja niezmierna cierpliwość kiedyś się skończy. – Kozieł zmrużył ostrzegawczo oczy. – Chcę dać ci wieczną młodość i przywrócić nieziemskie zdolności, a ty mnie obrażasz i wyzywasz od kłamczuchów. Oj, nieładnie. Nie zależy ci na naszej małej Anetce i na tym, co ma w brzuszku? A może ty mnie już nie kochasz?! – zapytał Kozieł z niedowierzaniem i wionął na nią swoim cuchnącym oddechem.

– Daruj... – wyszeptwała Słaboniowa nagle skruszona i zawstydzona jakoś swoim gruboskórnym zachowaniem. Przecież on naprawdę chciał, żeby wróciła, tęsknił za nią przez te wszystkie długie, jakże długie lata. No i Anetkę trzeba ratować, a skoro nie ma innego sposobu, tylko siebie oddać... I to ciało, w którym jest jej tak dobrze, tak lekko, że mogłaby unosić się kilka centymetrów nad ziemią, i on to ciało chce jej wrócić... A więc dba o nią, a więc nie zapomni...

– I nikt nigdy nie kochał cię tak jak ja – wymruczał Kozieł ukontentowany – No, a teraz na kolanka i chodź do tatusia. – Słaboniowa osunęła się z fotela na podłogę i na czworakach, chwiejnie zaczęła się czołgać w jego stronę. – Bardzo ładnie. Uwielbiam te skruszone duszyczki gotowe wyznać swoją winę i przyznać się do błędu. No, pięknie wyglądasz, jak suka w rui, może całusek w kolanko na przeprosiny, hm? – mruzczał Kozieł.

Słaboniowa czuła coraz mocniejszy, ostry zapach jego sierści, włoski na jej karku zjeżyły się, wietrzyła przyjemność i radość na wyciągnięcie ręki. Czuła, że zaraz wszystko znowu będzie jej, że...

– Tak, znowu będziesz wielką panią, Teofila. To ty będziesz rozdawać kary i nagrody, będziesz cieszyć się z przyjemności, jakie oferuje wielki świat, będziesz jeść ruski kawior i zapijać go francuskim szampanem, będziesz staromodnie kąpać się we krwi dziewic i mleku karmiących matek, będziesz latać nad miastami i palić będziesz żywym ogniem tych, którzy nie uznają naszej władzy, zatapiać nieposłusznych, zadawać tortury niewinnym. Będziesz szeptać do ucha tym mizernym pionkom, którzy uważają się za władców świata, i będziesz wywoływać krwawe wojny bez kresu. Ale nade wszystko znowu będziesz mieć moją nieskończoną miłość.

Dotknęła jego gęstego futra i czując zawroty głowy, zanurzyła w nim twarz, by wdychać ciężki zapach. On zaś położył szponiastą łapę na jej głowie i zaczął ją gładzić po włosach z czułością.

– Uwielbiasz to, moja śliczna. I widzisz, mówią, że nie wybaczam, a przecież ja potrafię wybaczać...

– Matko krzestna! – ozwał się nagle przeraźliwy pisk Anetki, która stała na wersalce i szeroko wytrzeszczonymi oczami patrzyła na Słaboniową, jak klęczy na swoich opuchniętych

od reumatyzmu kolanach przed wielkim, czarnym kozłem i pomarszczonymi rękami gładzi jego splecione futro. Słaboniowa zwróciła na nią z wyrzutem zamglone oczy. – Matko krzestna! On kłamie, on zabierze wszystko i nic nie da w zamian. Wcale nie jesteście młoda i piękna. Jesteście stara, taka jak zawsze by liście, to oszukaniec! – wrzeszczała Anetka na całe gardło z rękami przyciśniętymi do twarzy.

Wszystko, co zdarzyło się potem, trwało może kilka sekund i Anetka nie była pewna, czy to, co widzi, naprawdę się dzieje. Ale wszystko było rzeczywiste, bardziej prawdziwe nawet niż wygasły kominek, fotele, wersalka i cały pokój. Zobaczyła, jak Kozieł i Słaboniowa unoszą się pod sufitem naprzeciw siebie i strzelają jakimś światłem, niby laserami. Słaboniowa, wykrzykując: „Żadnego wstydu, żadnej przyzwoitości!”, wymachiwała swoją laską niczym szpadą, a z jej oczu, nosa i ust wydobywały się oślepiające strumienie białego światła. Kozieł, wielki jak góra, przeszywał zaś Słaboniową lodowatoniebieskimi strzałami wysyłanymi z wściekłych ślepi i zakrzywionych szponów. Mierzyli się tak, okrążając pokój, Słaboniowa dziwnie zwinnie, skacząc lekko w powietrzu, umykała przed Kozłem, a on, ciężko stąpając, atakował raz za razem. Nagle Słaboniowa natarła, zrobiła zdecydowany wypad i krzycząc niezrozumiały dla Anetki wyraz „Tusze!”, przebiła laską włochaty koźli brzuch, który pękł z głośnym hukiem.



– Teofila! – wrzasnął Kozieł straszliwie, aż Anetka padła na podłogę w przestraszu. – Teofila! Już ty mnie popamiętasz, stara, niewdzięczna macioro! Już ja ci pokażę, kto tutaj rządzi! Ani się spodziewasz, kiedy wrócę po ciebie i zadam ci najgorsze męki! Ani się spodziewasz, jak wrócę po to, co moje, co mi obiecane! – wrzeszczał Kozieł, robiąc się przy tym coraz mniejszy i mniejszy, jak balonik, z którego nagle ktoś wypuścił powietrze. A kiedy już był tak malutki jak opadający płatek popiołu, dodał: – Wrócę z pierwszą krwią... – i zniknął.

– No, gadane to tyś zawsze miał – prychnęła Słaboniowa, wycierając laskę o obrus leżący na ławie.

Słaboniową obudziło zimno. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że ogień na kominku niemal wygasł, a przez okno wpada do pokoju mroźne światło zimowego poranka. Anetka wciąż spała skulona, jej ciałem co i raz wstrząsały dreszcze, jakby niepokoily ją jakieś sny pełne przygód i strachów.

Słaboniowa dźwignęła się ciężko z fotela, przykryła Anetkę kocem, pomruczała jej coś do ucha i pogładziła po czole. Dołożyła drewno do ognia i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Ranne powietrze aż trzeszczało od mrozu, a słońce tak świeciło, że śnieg niemal oślepił

błyszczącą bielą. Słaboniowa wciągnęła ostre powietrze pełną piersią.

Z parującej obórki wychynęła Zośka i krzyknęła wyraźnie ubawiona:

– No i co? Wygoniła Słaboniowa te niby-diabły Anecine?

– Zośka, dyć nie myśl, że czego ty nie widzisz, to tego ni ma. Na świecie takie rzeczy sum, co doktorom się nie śniły ani, jak to gadają, filuzofom tyż ni. A tyś nie profesur ani filuzof, aa? Pilnuj ty tej swojej Anetki, bo ona dobra dziewczyna, ale na ten świat popaprzany niegotowa jeszcze. I śniadanie dobre jej nagotuj, bo głodna będzie od rana. – Słaboniowa okręciła się na pięcie i wspierając się na swojej lasce, powędrowała do domu.

Zośka postąła jeszcze chwilę na progu obórki z otwartą gębą i wróciła do roboty, myśląc, co też stara mogła mieć na myśli z tymi doktorami i filuzofami.

W porze obiadu Słaboniowa posłyszała tupanie botków na zmrożonym śniegu, trzask furki i już w progu stała Anetka, w rozpiętym kozuszk, rumiana i jakby okrągłjsza na buzi.

– Matko krzestna! – zawołała radośnie. – Matko krzestna, wszystko przeszło! Już mnie nie mgli, a apetyt mam taki, że na śniadanie jajecznicę chyba z sześciu jaj wrębałam! Matka teraz się boi, że z jedzeniem na mnie nie nastarczy, póki Stasiek nie wróci.

– Siadaj, Anetka, siadaj i wolniej gadaj, bo się zatchniesz – mruknęła Słaboniowa.

– Ale miałam sny wczoraj. Śniło mi się, żeście przegnali laską takiego czarnego, wielkiego kozła, co chciał mi jakąś krzywdę zrobić! I jeszcze jakieś świństwa inne mi się śniły, ale nie pamiętam już teraz. – Anetka roześmiała się wesoło. – A macie coś do zjedzenia? Obiad jadłam, ale od tego mrozu jeszcze bym chleba z tym twarogiem popróbowała, co taki dobry robicie... Aha, i jeszcze mi się śniło, że dziewczynka będzie. – Anetka pogładziła się zadowolona po brzuchu. – I jeszcze coś mi się śniło. Dokładnie nie powiem, jak to było, ale coś o jakiejś tajemnicy, jakieś straszne z przeszłości historie, i wy tam byliście w tych historiach, matko krzestna. – Tu Anetka zamierzała popatrzeć znacząco na Słaboniową, ale ta stała przy kredensie, odwrócona plecami i nakładała na pajądę chleba gruby plaster sera.

Wieczorem Słaboniowa poczuła się czegoś zmęczona. Wlazła pod pierzynę i zapadła w półsen wsparta wysoko na poduszkach. W tym półśnie w półmyślała o czasach przeszłych, które teraz już tylko przemykały w pojedynczych obrazach, w mglistych wspomnieniach, w jakichś głosach dalekich. Czasem jakby cień żalu gdzieś się w tych półmyślach-półsnach przewijał, ale zaraz zniknął goniony przez kolejny przepalony jasnym słońcem obraz.

I tak leżała Słaboniowa, słuchając zimowego wiatru, który pędził po równinach zasłony lekkiego śniegu, ognia palącego się pod fajerkami, chrobotu myszy, skrzypienia jabłonki pod oknem, szeptów cichutkich gdzieś po kątach.



STRASZNA PRZYGODA ŚLICZNEJ JUSTYNKI

Justynka wyszła na schodki i rozejrzała się po podwórku. Była pora szarówki, mrok zapadał powoli, zacierając kontury stodoły, obórek i znikających w ciemnościach sąsiednich domów. Justynka zauważyła, że okna w całej wsi były ciemne. Weszła do sieni, krzycząc od progu:

– Mamo, światło wszędzie wysiadło, a krowy trzeba iść doić. Dzisiaj Jadźki kolej! – Weszła do izby, ale matki nie było. Nikt też nie zapalił świeczek i nikt nie odpowiedział na jej wołanie. – Mamo?! Jadźka! – Justynka wołała gniewnie, wchodząc do pokoju, w którym mieszkała wspólnie z siostrą, ale zobaczyła tylko rozgrzebany tapczan Jadźki i kilka ciuchów porzuconych na oparciu krzesła. „Gdzie są wszyscy?” – myślała coraz bardziej zaniepokojona. Znowu wybiegła na schody, ale na dworze było wciąż szaro i cicho.

Wyszła na ulicę. Spojrzała w stronę Nowej Wsi – ciemno, w stronę domów pod lasem – też ciemno. Zaczęła iść przed siebie, rozglądając się na boki. Wydawało się, że wieś jakby wymarła, że wszyscy wyjechali nagle tak jak stali, zabierając ze sobą tylko zwierzęta. I nieoczekiwanie poczuła się w tej nowej wsi dziwnie bezpieczna i wolna. Przyszła jej do głowy śmieszna myśl, że teraz może wejść do każdej chałupy i poprzymierzać cudze ubrania, zajrzeć do szafek kuchennych, do szuflad komód, obejrzeć albumy ze zdjęciami i przeczytać listy – cała wieś należała do niej. Mile podniecona tą perspektywą, ruszyła przed siebie.

Pierwsza po drodze była chałupa Czarnego Jana. Justynka otworzyła bramkę i zajrzała przez okno, odchylając łodygi nierozkwitłych jeszcze malw. W środku niewiele było widać. Zaszała dom od podwórka i stanęła na schodach, a wtedy coś kazało jej się odwrócić w stronę pola. Zauważyła kątem oka jakiś kształt poruszający się za stodołą – drobną postać, dziecko chyba, ale jakieś straszne i pokraczne. Justynka zdjeta strachem nacisnęła klamkę i wpadła do sieni. Było tam zupełnie ciemno, dziewczyna poczuła, że ściany sionki napierają na nią ze wszystkich stron, a na głowę spadają ciężkie płachty, odbierając oddech. Zaczęła macać w panice dookoła siebie, aż wreszcie natrafiła na klamkę. Nacisnęła ją z nadzieją, że uda jej się uciec z tej duszącej ciasnoty na dwór. Otworzyła drzwi i znalazła się w kuchni Czarnego Jana. Nie było tu o wiele więcej światła niż w sieni, ale można chociaż było zobaczyć jaśniejsze prostokąty okien i łóżko stojące w kącie. W głowach łóżka leżały poduszki ułożone na starą modłę – w piramidkę. Justynka wciąż czuła jakiś ciężar na piersi, oddech był coraz krótszy, w narastającej panice pomyślała, że na dworze będzie mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Wtedy kopczyk poduszek lekko się poruszył, a najmniejsza poduszczyca, leżąca na samym szczycie, pochyliła się i popatrzyła na Justynkę spode łba. Justynce nogi wrosły w podłogę, chciała uciekać, ale nie mogła się ruszyć, chciała wybiec przez drzwi, ale gdy się odwróciła, drzwi nie było. Bez namysłu ruszyła w stronę okna, kopczyk poduszek nie poruszył się, ale gdy Justynka przebiegała koło niego i potem gdy siłowała się z oknem, zobaczyła, że to nie poduszki, tylko dziecko siedzi na tym łóżku. Bardzo chude dziecko o pomarszczonej jak starzec twarzy i wielkich okrągłych oczach, w których była tylko złość i nienawiść, i jeszcze coś tak oślizłego, że Justynka aż się zakrztusiła z obrzydzenia. Udało jej się wreszcie otworzyć okno i wyskoczyć na podmurówkę.

Dusząc się nadal, leciała Justynka przez wieś, coraz bardziej przerażona i samotna. Nagle

zauważyła, że tylko w jednej chałupie w całej wsi tli się jakieś światełko. U starej Słaboniowej. Mówiło się we wsi, że to wiedźma, że potrafi urok rzucić na panienkę, żeby powodzenia u chłopców nie miała, że lata w nocy pod postacią sowy, że do kościoła tylko od wielkiego dzwonu chodzi, że nie wiadomo, ile właściwie ona ma lat, bo jedni gadali że sześćdziesiąt, a inni, że coś koło setki i że w ogóle lichy ją tam wie. Justynka obejrzała się i tuż za sobą zobaczyła wytrzeszczone oczyska dziwnego, starego dziecka. Z wrzaskiem zaczęła biec w stronę domu Słaboniowej, ale powietrze zrobiło się nagle gęste niczym gorąca smoła i Justynka, wyciągając ręce przed siebie, brnęła w tym powietrzu z z nieopisanym trudem.

Trwało to wieki, ale wreszcie dotarła do domu Słaboniowej i zobaczyła, że stara czeka na nią przy płocie. Z otwartych drzwi wydobywało się ciepłe światło, a u nóg starej siedział czarny kot w białych skarpetkach.

– Słaboniowo, ratujcie – wycharczała Justynka ostatnim oddechem. Słaboniowa pochyliła się nad nią z poważną miną i dziewczyna zobaczyła tuż przed oczami sękatą dłoń z jakąś żółtą mazią. Ręka posmarowała maścią jej powieki i Justynka obudziła się, nie mogąc złapać tchu, z twarzą wciśniętą w poduszkę.

Uniosła się i wciągnęła haust powietrza, po czym przewróciła się na plecy spocona, zmęczona i pełna ulgi, że to już koniec. Dyszała jeszcze przez chwilę wpatrzona w sufit. Zerknęła na budzik ze świecącym na zielono cyferblatem. Była trzecia. Justynka musiała pospać jeszcze choć trochę, bo w południe miał przyjść Eugeniusz, a ona miała być dla niego wypoczęta i piękna.

Jednak Justynka nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, starając się robić jak najmniej hałasu, żeby rodziny nie pobudzić. Leżała w ciemnościach i nasłuchiwała oddechu Jadźki śpiącej na tapczaniku w drugim końcu pokoju. Tykanie budzika wydało jej się nagle bardzo głośne i stwierdziła, że to właśnie przez to tykanie nie może zasnąć. O czwartej rozszczękały się psy w całej chyba okolicy i Justynka, płacząc ze złości, przykryła sobie głowę poduszką, ale nic to nie dało. O piątej zaczęły pisać koguty i słońce wpadło do pokoju przez nieporządnie zasunięte zasłony. A o szóstej u Łobaszuków zaczęła chodzić piła tarczowa.

Jadźka – siostra Justynki – obudziła się rano wypoczęta. Przeciągnęła się i zobaczyła siostrę siedzącą przed lustrem, smutną jakąś i bladą. Włosy dotąd błyszczące i układające się w delikatne fale dzisiaj były zmierzwiłone i szare, a oczy zazwyczaj błyszczące i wesołe zapadły się gdzieś w głąb twarzy.

– Ale Justyna, ty to dzisiaj wyglądasz jak dupa z za krzaka – powiedziała Jadźka wesoło.

– A idź, Jadźka... Mówi się pół dupy! – burknęła ze złością Justyna, zawięła się i wypadła z pokoju.

– Pół dupy, cała dupa, jaka różnica? – Jadźka wzruszyła ramionami. – Co ją dzisiaj ugryzło? – zdziwiła się, bo ona sama czuła się wyśmienicie. Zerknęła do lustra i musiała przyznać, że wyglądała dzisiaj nie najgorzej. Te włosy jakieś bardziej puszyste. I sukienka stara do roboty tylko jakoś lepiej się układała na nagle pełniejszych biodrach.

Jadźka zadowolona z siebie szybko skończyła się ubierać i poleciała matce w obrządkach pomóc.

A Justynka do samego południa jakby pod ziemię się zapadła. Kiedy Eugeniusz, syn wójta z Chmielowa, zajechał na podwórko swoim nowym fiatem, nie wyszła go powitać jak zawsze. A kiedy wszedł do domu, też nie wyszła do niego. W kuchni siedzieli za to rodzice Justynki i Jadźka – starsza i brzydsza z sióstr.

– A co to, Justynka zapomniała, że dzisiaj umówieni byliśmy? – zapytał Gienek wesolo.

– A gdzie tam, panie Eugeniuszu, siedzi w pokoju i szykuje się – pospieszyła z wyjaśnieniem Latoszukowa.

– To może ja zajrzę do niej... – powiedział Gienek niepewnie.

– A proszę, proszę – powiedział Latoszuk, siorbiąc herbatę ze szklanki. – My na pole idziem, a wy tu sobie porozmawiajcie.

Jadźka zaśmiała się perliście i zupełnie bez związku. Gienek spojrzał na nią, a ta się splonila i nawet jej z tym rumieńcem było do twarzy. I włosy chyba miała upięte dzisiaj jakoś inaczej...

Nie czekając dłużej, Gienek zastukał do drzwi pokoju i wszedł. Justynka siedziała na tapczaniku w nowej spódnicy i fioletowej bluzce z dekoltem, ale kolor bluzki tylko podkreślał błądź jej cery.

– Dzień dobry, Justynko. Można się przysiąć czy zajęte? – zagaił Gienek dowcipnie.

– Ależ siadaj, Gieniu, proszę – powiedziała Justynka, spuszcżając oczy.

Gienek zauważył, że chyba Justynka nie miała czasu porządnie się uczesać. Oczywiście wciąż wyglądała ładnie jak zwykle, ale makijaż też miała jakiś za mocny.

– Tęskniłaś za mną choć troszkę?

– Byłaś u mnie ostatnio w sobotę, to jeszcze nie zdążyłam się stęsknić – odpowiedziała Justynka i chciała się zaśmiać perliście, ale jakoś jej nie wyszło.

– A może chociaż całusa dostanę? – dopytywał się Gienek i przysunął się do Justynki, obejmując ją ramieniem. Przywarła do niego całym ciałem i wpiła się w niego ustami mocno jak nigdy. Całowała jego twarz, szyję, włosy, dysząc przy tym i pojękując rozgłośnie.

– Justynka, ciszej, bo ktoś usłyszy – powiedział, gdy zdołał wreszcie złapać oddech.

– Gdzie tam, wszyscy na pole poszli – wysapała Justynka i zaczęła rozpinać mu koszulę. Usiadła mu okrakiem na kolanach, podwinęła spódnice do pasa i zaczęła się ocierać o Gienka całym ciałem. – Och, kochany – jęczała. – Wsadzisz mi swojego fiuta? Moja piczka tęskni za

twoim grubaskiem. – Justynka włożyła Gienkowi język niemal do gardła.

– Ależ, Justynko, przecież mieliśmy czekać do ślubu. Sama chciałaś... – oponował Gienek.

– Ale teraz chcę, żebyś mnie dobrze wyruchał – powiedziała Justynka z mocą i rozpięta rozporek drogich dżinsów Gienka.

– Justynka, nie tam, proszę cię. A jak ktoś przyjdzie? – skomłał Gienek, czując, że obietnica zachowania czystości aż do ślubu odpływa w siną dal.

– Nikt nie przyjdzie, nikt nie przyjdzie – zapewniła Justynka i z głośnym „aaaaach” nadzieją się na Gienka cała mokra i gorąca. Skończyli szybko, poprawili ubrania i usiedli znów obok siebie. Dalsza część wizyty trwała krótko i przebiegła w ciszy, przerywanej czasem wymianą uwag na temat pogody oraz przewidywanych tego roku zbiorów żyta.

Rodzice Justynki zaś zdziwili się niepomierzenie, gdy zobaczyli, jak fatygant ich młodszej córki wybiega z domu pół godziny od przybycia i odjeżdża swoim nowym fiatem bez pożegnania.

Od tego dnia życie obu siostr zaczęło się w niepojęty sposób odwracać. Piękna dotąd Justynka zaczęła chudnąć i czernieć, jej włosy dotąd bujne i lśniące zmatowiały i zaczęły sterczeć na wszystkie strony, cera jej nabrała woskowej bladości, a podsiniące oczy gorzały dziwną gorączką. Jadźka zaś jakby całą urodę z Justynki wyssała i obnosiła się z nią, strzelając oczami na wszystkie strony, kokietując, szczebiocząc i wybuchając co i raz perlistym śmiechem.

Nieco zdezorientowany Gienek dalej przychodził do Latoszuków, ale pod żadnym pozorem nie chciał zostawać sam na sam z Justynką, a ku rozpaczycy jej rodziców o ślubie przestał w ogóle gadać. Coraz częściej siadywał za to z Jadźką pod piecem na zydelku, zaglądając ukradkiem w wycięcia jej nowo zakupionych, wydekoltowanych bluzek. Po wsi rozeszły się słuchy, że syn wójta z Chmielowa nijak już nie jest Justynką zainteresowany i że te raz kogo innego wozi na przejażdżki swoim nowym fiatem.

– Gadajo, że Anetce Staśkowej na dzieciaka idzie... – Adelka Łobaszukowa stała przy płocie Słaboniowej i cmykając przez zęby, opowiadała, co we wsi się dzieje alibo co dzieć by się mogło, gdyby choć trochę prawdy było w tem gadaniu. – Ino, że gadajo, co ten dzieciak to Staśka być nie może, bo jak ona zaciunżyła, to un w mieście robił, Słaboniowa wiedzo. – Ostatnie zdanie wymówiła Adelka pełnym satysfakcji, poufałym szeptem.

– A wy Anetce do łóżka zaglądacie, że wiecie, czyj dzieciak być może, a nie może? – zapytała Słaboniowa, stojąca po drugiej stronie płotu.

– Mnie nie trza nigdzie zaglundać! – oburzyła się Adelka. – Wszyscy widzo, że brzucha nie miała, nie miała, a tera nagle brzuch jej wyskoczył, to zająć musiała w grudniu, jak Staśka nie było – cmyknęła Adelka. Słaboniowa westchnęła ciężko.

– Toż Anetka chuda je jak nitka, to i brzuch później wyskoczył – jąła tłumaczyć jak

krowie na rowie. – A poza tem to nie wasza sprawa.

– Nie moja? A czyja, jak amoralność po wsi się roznosi? Ja do kościoła chodzę co niedziela i ksiundz zawsze gadajo, żeby bliźniego swego pilnować od upadku, to ja pilnować ino kcę.

– A tak, kcecie... – mruknęła Słaboniowa ponuro. – Ino dla własnej uciechy.

Adelka udała, że nie słyszy przytyku, i ciągnęła dalej.

– No. A Albin to pijeeeee... – Adelka machnęła rękę, obejrzała się na ulicę i przyciszonym głosem mówiła dalej: – Mówię wam, w ciung wpadł. Dnia nie ma, żeby w rowie z rowerem nie leżał.

– Toć stary Zapasiuk pił na śmierć, nie dziw, że i Albin pije – powiedziała Słaboniowa.

– Ale żeb on pił, toż on chla! – Adelka uwiesiła się na płocie, cmykając zawzięcie. – Zapasiukowa ino płacze, że synalek nie pracuje, żony nie szuka, ino na flaszke składa.

– Żal kobity... – mruknęła Słaboniowa.

– Oj, żal, żal – przytaknęła Adelka w swojej trosce o bliźniego. – Ale widziały gały, co brały. Trza było za pijaka się nie wydawać. Ja ze swoim Józkiem trzydzieści pinć lat dobrze żyję, bo un tylko w niedzielę po mszy pije. I jak świniaka ubijem. I jak kartofle sprzedamy, i buraki, i żyto. I jak szwagier przyńdzie, a że mu co dzień po drodze z roboty...

– No, co jak co, ale mónż to wam się udał... – rzekła Słaboniowa, kryjąc uśmiech.

– Ale... – Adelka zrobiła minę, jakby właśnie po przydługim wstępie przeszła do deseru. – Tej Jadźce Latoszuków cosik się stało, mówię Słaboniowej... Dziewucha tera jak malowanie. A zawsze takie brzydactwo było, z kulasami krzywemi. A tera mówię Słaboniowej... Dziewucha jak malowanie. – Adelka cmyknęła znowu na koniec zdania.

– A dawno to ona taka jak malowanie zrobiła się? – zapytała Słaboniowa ciekawie.

– A z trzy niedziele bedzie... – cmyknęła Adelka. – Coś mi się widzi, że zaniedługo ten Gienek do Jadźki uderzy i tyle go bedzie Justynka widzieć.

– Do Jadźki, powiedacie... – mruknęła Słaboniowa. – A Justynka co?

– Eeeee... – Adelka machnęła ręką. – Całkiem zbiesiła się. W gospodarstwie nie pomaga, z nikim nie gada, siedzi w domu albo gdzieś przepada i nikt nie wi gdzie. Jakasiś to nieczysta sprawka, mówię Słaboniowej. I podobnież zbereżne piosenki wyśpiewuje. A ludzie to gadajo, że ten Gienek to już na zapowiedzi z Jadźką chce dawać... O, idzie... – szepnęła Adelka i odwróciła się gwałtownie przodem do ulicy, żeby lepiej widzieć.

Justynka już z daleka widziała te staruchy, jak stoją przy płocie i plotkują. Na pewno

o niej, bo o czymże innym? Już cała wieś gadała, jak to Jadźka wyładniała, a ona, Justynka, zbrzydła, jak Gienek o ożenku zapomniał, tylko na Jadźkę się gapi i o ślubie ani mowy. Dobrze matka mówiła: „Szanuj się, dziewczyno”. Ale łatwo matce mówić. Adelka Łobaszukowa i stara Słaboniowa gapiły się na nią jak sroka w gnat. Specjalnie na złość tej plotkarze Adelce, Justynka zaczęła śpiewać:

*Czerwone i bure, i bure,
Chodź ze mną na górę, na górę,
Dam ci klucz od bramy,
Tam się pokochamy.
Czerwone i bure...*

– O, dzień dobry.

– Dzień dobry – cmyknęła Adelka.

– Dobry czy niedobry, nigdy nie wiadomo... – rzekła Słaboniowa refleksyjnie. – A zajdź do mnie, jak bedziesz wracać, to ziółek ci dam.

– A na co mi Słaboniowej ziółka? – odburknęła Justynka i poszła w stronę lasu, podśpiewując pod nosem swoją piosenkę.

– No i widzicie? – syknęła Adelka z satysfakcją. – Zbereżne piosenki. A taka była dziewczucha, ech... A tera? Chuda i biała jak śmierć, a zapytaj o co! Ofuknie, że bez kija nie podchodź.

– Ano tak... – pokiwała głową Słaboniowa jakaś nagle nachmurzona.

Justynka weszła w zielony chłód lasu, ale nie znalazła ukojenia. Po prawdzie to nigdzie nie znajdowała ukojenia. Justynka czuła, jakby miała między nogami rozpaloną otchłań bez dna, której nikt i nic nie może zaspokoić. Godzinami przesiadywała w wychodku, a tam jedna ręka sama wsuwała się w majtki, a druga pod bluzkę. Justynka nigdy nie myślała, że jej piersi mogą być tak twarde i nabrzmiałe, a tam w dole może być tak gorąco i wilgotno.

Wracała na obiad i przy stole, zapominając o całym świecie, wyobrażała sobie jakieś beżecne obrazy pełne nagich ciał błyszczących od potu i wydzielin, skłębione ramiona, nogi, piersi ze sterzącymi sutkami, zaciskające się rytmicznie uda, rozwarte, lśniące cipki, twarde, ciemne członki. Obiad Justynki pozostawał zimny na stole, a ona kładła się na wersalce w pokoju i widziała, jak bezwstydne zakonnice ujeżdżają tłustych księży, rogate kozły biorą w posiadanie dziewice o ciałach delikatnych i słodkich jak krem waniliowy, widziała, jak Królowna Śnieżka i Kopciuszek oddają wszystko, co mają stojącym w kolejce krasnoludkom i dworzanom, wielcy, czarni murzyńscy królowie biorą swoje niewolnice na tysiąc sposobów, a one wiją się z rozkoszy i chcą więcej i więcej, i błagają o więcej. I Justynka błagała szeptem o więcej i więcej, a jej palce dawały jej więcej, ale gdy tylko kończyła, od nowa pragnęła i wkładała sobie do cipki tłuczek do kartofli. W jej myślach wszyscy gzili się ze wszystkimi i wszystkim było dobrze, a ona wkładała sobie dezodorant Jadźki i jęczała, i wyła, i szeptała do siebie brzydkie wyrazy, wyzywała się od dziwek i to ją podniecało jeszcze bardziej, aż wreszcie padała wyczerpana na pogniecioną kapę tkaną w róże i zapadała w niespokojny sen.

We śnie wędrowała po pustej, cichej wsi, gdzie za każdym rogiem czyhało na nią przerażające stare dziecko, a ona usiłowała uciec przed nim i tylko w jednej chałupie paliło się światło.

Justynka usiadła na pieńku, ukryła twarz w dłoniach i westchnęła głęboko. Potem popatrzyła w górę i zobaczyła, że niebo ciemnieje dziwnie szybko, jak przed burzą. Wstała, ale las nie był już tym lasem, co zwykle. Zdawał się nie mieć końca, a między drzewami nie prześwitywała już droga, którą tu przyszła. Zewsząd otaczał ją zwarty krąg grabów o pniach gładkich i srebrnych, jakby oświetlonych blaskiem księżyca. Ale księżyc nie było na niebie. Niebo było szare i płaskie, jakby zaraz miało spaść jej na głowę. Justynka wpatrywała się w mrok, usiłując znaleźć drogę do domu, ale zauważyła w oddali tylko jakieś dziecko, które też zmrok zaskoczył w lesie.

– Hop, hop! – zawołała. Dziecko stało cały czas w tym samym miejscu, ale nie odpowiadało. – Nie bój się! – krzyknęła Justynka. – Chodź tutaj.

Dziecko nie poruszyło się, ale znalazło się bliżej niej, jak gdyby w kilka sekund udało mu się niezauważenie przebiec kilkanaście metrów. Miało na sobie czerwony skafander.

– Skąd jesteś? Wiesz, jak dojść do wsi? – Dziecko nie odpowiedziało. „Może niemowa”, pomyślała Justynka i zniecierpliwiona znowu rozejrzała się dokoła. Gdy odwróciła się w stronę dziecka, stało już całkiem blisko, zaledwie kilka metrów od niej, i wpatrywało się w nią wielkimi, wytrzeszczonymi oczami, zachłannie, ze złością. Justynka zaczęła biec na oślep, potykając się o leżące na ziemi konary. Cienkie, grabowe gałązki smagały jej ramiona i szyję, a niewidzialne pajęczyny oblepiały twarz i włosy. Znienacka wybiegła na ulicę i usłyszała echo swoich kłapek uderzających o asfalt. Nie widziała drzew ani drogi, kierowała się tylko poszarpaną ścieżką nieba prześwitującego w górze między dwiema ścianami lasu.

Wybiegła na zakręt i pierwszą chatą, którą zobaczyła, była chałupa Słaboniowej. Ruszyła w tamtą stronę, z trudem łapiąc oddech, i było jej już wszystko jedno, czy Słaboniowa jest wiedźmą, czy nie jest, i mogłaby wypić wszystkie ziołka świata, żeby chociaż przez chwilę mieć spokój. Dopadła do drzwi domu, ale w oknach było ciemno, a drzwi były zamknięte na skobel. Justynka zaczęła łomotać w nie pięściami i krzyczeć:

– Słaboniowo, Słaboniowo! Ratujcie, Jezu, Maryjo, co ja mam zrobić?!

Wreszcie zemdlona osunęła się na ziemię.

Justynkę obudził szum. Nie chciała otwierać oczu, bo szum był jednostajny, kojący. Przypominał krople deszczu spadające drobno na liście drzew i bujną trawę. Najchętniej przewróciłaby się na drugi bok i zapadła w spokojny sen bez żadnych majak i obrazów, ale usłyszała jeszcze coś. Stuk garnków o fajerki, trzask ognia i szuranie czyichś nóg o deski skrzypiącej podłogi. Niechętnie otworzyła oczy i zobaczyła Słaboniową, jak miesza w garnuszku stojącym na piecu i mamrocze coś do siebie. Słaboniowa pomieszała i usiadła przy stole. Siedziała tak kilka minut z rękami zaplecionymi na brzuchu i z przymkniętymi oczami. W świetle lampy naftowej Justynka mogła się przyjrzeć jej pomarszczonej twarzy o ostrych

rysach, żyłastym rękąm powykręcanych przez reumatyzm, wełnianej szalonce w czerwone piwonie otulającej głowę starej, beżowemu swetrowi z wełny melanżowej, wreszcie rozdeptanym kapciom obszytym na górze baraním futerkiem.

– Nie śpisz już, Justysia? – zapytała nagle Słaboniowa swoim chropawym głosem. Justynka aż podskoczyła na łóżku.

– Nie – bąknęła spod koca.

W oddali odezwał się grzmot i po chwili izbę rozświetlił blask błyskawicy. Deszcz ze zdwojoną siłą zaczął bić o dach chałupy, uderzył w młode liście antonówki i rozplynął się wodnymi pióropuszcami na szybach okiennych.

– Burza przyszła – powiedziała Słaboniowa. – Pirsza, majowa. Dobrze, żeś przed deszczem zdążyła.

– Nie było was... – szepnęła Justynka.

– Obrządki żem robiła – wyjaśniła Słaboniowa.

Znowu uderzył grom i tuż po nim błyskawica oświetliła las widoczny w oddali za oknem. Justynka wzdrygnęła się mimo woli.

– W lesie byłeś?

– Tak.

– We wsi gadają, że na dekiel ci bije. Prawda to?

Justynka usiadła na łóżku i wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno, co ludzie gadają.

– Może i tak – powiedziała Słaboniowa, dźwignęła się z krzesła, podeszła do pieca i znowu w garnuszku pomieszała.

– Co tam gotujecie? – zapytała Justynka.

– Ziółka – odparła Słaboniowa.

– Dla mnie?

– Nie dla ciebie – Słaboniowa popatrzyła na nią poważnie.

Gromy przestały bić, teraz tylko deszcz padał gęsty, jednostajny. Za oknem zapadał zmierzch. Słaboniowa przelała przez sitko wywar z garnuszka do szklanki, usiadła przy stole i zaczęła pić małymi łykami.

– Tera kładź się dziecko i śpij.

– Ja nie chcę do lasu... – mamrotała Justynka, zasypiając na siedząco.

– A po co tobie do lasu, śpij, dziecko... – chropawy głos Słaboniowej zmieszał się z szumem deszczu i trzaskiem ognia w piecu. Justynka opadła z powrotem na poślanie i zasnęła.

Gdy się obudziła, za oknem znowu było szaro i wciąż padało. Justynka nie wiedziała, czy zmierzcha, czy dnieje. Słaboniowej nie było w chacie, ale w piecu wciąż palił się całkiem żwawy ogień, a na ławce przy ścianówce siedział czarny kot w białych skarpetkach i skrzętnie wygryzał sobie coś z ogona.

Justynka popatrzyła na kota, on nie raczył jednak podnieść łebka, wyszła więc na schodki i spojrzała w stronę lasu. Był tam – ciemny i tajemniczy, ukrywający w sobie strachy i dzikie zwierzęta, niewyjaśnione sprawy, niewygodne sekrety, mroczne tajemnice. Gdzieś między drzewami zauważyła jakąś czerwoną plamkę. Plamka schowała się i po chwili pojawiła znowu, jakby ktoś ubrany na czerwono chodził skrajem lasu. Ten ktoś wykonywał koliste ruchy ręką, wyraźnie przywołując Justynkę ku sobie.

Justynka wcale nie chciała iść, ale mimo niechęci nogi powoli oderwały się od ziemi i poniosły ją piaszczystą drogą wprost w ciemny gąszcz.

Słaboniowa siedziała na pieńku i czekała. Nic się nie działo. Drobną kapuśniaczką opadał jednostajną mgiełką na najwyższe graby, drżące osiki, krzewy czarnego bzu, spływał między korzenie i tam wsiąkał w martwe, zeszloroczne liście, krzaczki poziomek, jagód i borówek, w jaskrawozielone mchy. Gałęzie drzew gdzieś wysoko ocierały się o siebie, skrzypiąc leniwie. Liście obracały się niespiesznie, ukazując raz lśniący od deszczu, soczyście zielony wierzch, to znów srebrny, matowy spód. Od czasu do czasu po gładkim pniu przebiegała spirala wiewiórki, z gałęzi na gałąź przeskoczył ptak, dało się słyszeć tupot lekkich kopyt i rozgarniętych w popłochu jeżynowych chaszcz.

Słaboniowa siedziała na swoim pieńku i nasłuchiwała dobrze znanych dźwięków. Lubiła las, zawsze wkraczała pomiędzy drzewa z niezachwianą wiarą w to, że ją ochronią – wierni strażnicy, którzy nigdy nie opuszczają swoich pozycji, bo i jak po prawdzie.



Dobiegło ją ciche ni to brzęczenie, ni to szum, który pojawił się niepostrzeżenie. Po chwili uświadomiła sobie, że szum ten słyszy wewnątrz własnej głowy. W brzuchu uczuła gorący ucisk, jakby wywar, który wypila kilka godzin temu, zgęstniał i osiadł ciężką kulą na dnie żołądka. Czoło jej pokryły drobne kropelki potu, a oddech stał się krótki i chrapliwy. Nieznośny gorąc i duchota ogarnęły ją całą, doprowadzając do mdłości. Pomyślała, że zaraz na womity jej

przyjdzie, ale wszystko nagle odeszło, pozostawiając jedynie ciche brzęczenie w lewym uchu.

Słaboniowa rozejrzała się i zobaczyła, że las jakby zmartwił. Całkowity bezruch opanował liście, które zwisały teraz bezsilnie z gałęzi, jakaś zabłąkana wiewiórka zamarła w połowie pnia, celując pyszczkiem w ziemię, a czubkiem wyciągniętego ogona w stronę nieba. Mały czarny ptaszek z żółtym dziobkiem, przechylając łepkę, patrzył na Słaboniową szklanymi paciorkami okrągłych oczu. Krople deszczu zawisły w powietrzu nieruchomą mgłą. Słaboniowa mogła dostrzec je bardzo wyraźnie, każdą idealnie okrągłą, przejrzystą sferę, przez którą widać było odwrócony do góry nogami cały las wraz z wiewiórką, biegnącą teraz do góry, i czarnym ptaszkiem, który za to stanął na głowie. Słaboniowa wpatrzyła się jeszcze mocniej w widziany obraz i zauważyła jakieś niewyraźne kształty przesuwające się wewnątrz kropli, jakieś niby-robaczki o setkach nóżek i długich czółkach, jakieś rozplývające się przezroczyste plamy wysuwające co i raz długie macki, jakieś kolczaste kulki przelatujące przed jej oczami w tę i z powrotem.

Nagle zza jednego z drzew wyłoniła się twarz starca, który zaczął świdrować Słaboniową wielkimi, okrągłymi oczami. Słaboniowa chciała na niego zawołać, ale nie mogła wydusić słowa przez opuchnięte gardło. Starzec zniknął i po chwili wyłonił się zza innego drzewa. Był wzrostu dziecka i przekrzywiał swoją łysą, siną głowę jak dziecko na jedno ramię. Jego usta wykrzywił groteskowy w swojej figlarności uśmiech, oczy były ciemne, przepastne, szeroko otwarte i patrzyły na Słaboniową natarczywie i złowrogo, jakby chciały ją wchłonąć, pożreć, wysać z niej wszystkie soki. Stwór był odziany w czerwony dziecięcy skafanderek.

– Kauk! – chciała krzyknąć Słaboniowa, ale żaden głos nie wydobył się z jej spierzchniętych warg.

Pokurcz zaśmiał się piskliwie, zawodząco, przekrzywiając głowę jak chudy, łysy ptak i przedziwnym, zgrzytliwym głosem, jakiego Słaboniowa nigdy jeszcze nie słyszała, powiedział:

– Luliluli babuleńciu, luliluli babuleńciuleńciu. Toś ty babuleńciu słabawa Słaboniowaś.

– Wołajo na mnie Słaboniowa po mężu mojem Hendryku Słaboniu. A tyś Kauk podły, z piekieł przysłany na ludzkie zatracenie... – znów chciała powiedzieć Słaboniowa, ale z jej gardła wydobył się tylko głuchy charkot.

– Ze mnie dzieciaczeciuczek maleńciuletkietki luliluli babuleluniu luliluli, a tyś słabawa Słabuńciu, słabawiutka. Ja nie żaden podły piekielnik, ja dzieciaczeciuczek maleńciulicilutki luliluli.

Słaboniowa myślała o kubku zimnej wody ze studni, suchy język przywierał jej do podniebienia. Chciała wstać z pieńka, ale nogi gięły się pod nią jak u nowo narodzonego jagniąka.

– Piciu Słabuńcia chce? Studzienka daleko babulaluleńciu, wodiczka w niej zimna, babciusiu słabusiu. Na bagniskach zimniskach też zimna wodiczka, ciemna wodiczka, a idzie do niej młoda dziewczeczka jak cyraneczka, skryje w bagniskach liczko, ciemna wodiczka ją skryje luliluliluli pójdzie spać dziewczeczka, Senek ją zabierze, żółte ma chodaki – zaśmiał się znowu

pokurcz.

Słaboniowa z wielkim wysiłkiem podźwignęła się i postąpiła krok do przodu, aż w oczach jej się zaćmiło.

– Oj słabawaś słabuńciu, po coś na mnie czekała, po coś mnie widzieć chciała? Nożki twoje kuleją, główka twoja się chwieje, po coś na mnie czekała? Dzieweczka już na bagniska idzie, a tyś słabawutka, chodzić niezdolna, wołać niezdolna, już ty dziewczeczce nie pomożesz, babuleńciu.

Nagle Kauk zniknął, a las na powrót ożył, liście zaszeleściły, gałęzie zaskrzypiały, wiewiórka zbiegła do stóp drzewa, a czarny ptaszek podreptał w swoją stronę, szukając czegoś wśród zeszlórocznych liści.

Słaboniowa odetchnęła głęboko, z ulgą, ale zaraz w głowie jej zaświtało, że na bagna musi, i najszybciej jak mogła, poszła skrótem, przecinając szosę, a potem leśnymi, zarośniętymi drożynami, przez olszynę prosto na moczary.

Justynka, potykając się, brnęła przez jeżynowe krzewy, kalecząc łydki i uda o ostre kolce. Przed nią, w oddali dziecko w czerwonej kurtce pojawiała się, to znów znikowało między drzewami. Grunt pod jej nogami stawał się coraz bardziej podmokły, z głośnym cmoknięciem odrywała stopy od gąbczastej gliny. Justynka wiedziała, że zbliżają się do mokradeł, gdzie wiele już utonęło zabłąkanych krów, kóz urwanych z postronka i innej domowej zwierzyny, a nawet ludzi, którzy nieopatrznie zapuścili się w te okolice w poszukiwaniu grzybów i jagód.

Justynka wiedziała również, że w tej chwili powinna zawrócić do domu, ale właściwie zaczęło jej być wszystko jedno. I tak nikogo nie obchodzi, co się z nią dzieje, ani rodziców, ani Jadźki, a co najgorsze nawet Gienka pewnie jej los wcale by nie obszedł. Wprost przeciwnie – pewnie się z Jadźką ucieszą, że będą mieli wolną drogę do wspólnego szczęścia. Będą jeździć jego nowym, czerwonym fiatem, a Jadźka będzie się obnosić ze swoją nową urodą i świecić dekolantami swoich nowych bluzek. A rodzice i tak się ucieszą, że wydadzą córkę za syna wójta z Chmielowa. I bardzo dobrze, że ona, Justynka, właśnie tutaj dokończy swego marnego żywota, bo co to za życie z łatką brzydszej siostry, której absztyfikant nie chciał i o której cała wieś plotkuje. Tak rozmyślając, wypatrywała swojego przewodnika, a on świecił swoją czerwoną kurteczką w zapadającym zmierzchu. Ale pojawiał się coraz rzadziej i coraz mniej wyraźnie, aż wreszcie Justynka została zupełnie sama.

Przestało padać. Był już wieczór, ale wielki, okrągły księżyc świecił tak jasno, że Justynka widziała wyraźnie długie cienie drzew wykrojonych z rozświetlonego nieba, jakby wyciętych z czarnego papieru. Spojrzała pod nogi i krzyknęła z przerażenia, bo jej stopy gdzieś zniknęły. Dopiero po chwili zrozumiała, że zakryła je gąbczasta breja z wierzchu porośnięta rzadkimi żdźbłami jadowicie zielonej trawy. Chciała postąpić krok do przodu, ale poczuła, jakby na jej kostkach zacisnęły się czyjeś lepkie dłonie i wciągnęły ją jeszcze głębiej. Justynka tkwiła w środku bagnistej polany, którą otaczały kołem drzewa, bujające się na wietrze i skrzypiące obojętnie gałęziami. Ciemne, skłębione chmury pędziły przez widoczne nad jej głową niebo, przesłaniając i odsłaniając raz za razem chłodny, srebrzysty księżyc. Na brzegu bagna, dokładnie naprzeciw Justynki stało dziecko w czerwonej kurtce. Uśmiechało się do niej bezzębny

dziąsłami i machało przyjaźnie ręką.

Słaboniowa zadyszana i spocona szła w stronę mokradeł. Księżyc osiągnął właśnie pełnię i świecił jasno, wskazując jej drogę. Z trudem łapiąc oddech, dopadła drzew okalających bagnistą polanę – najgłębsze, najbardziej zdradliwe miejsce okolicznych moczarów, gdzie błoto udawało zwykłą podmokłą łąkę, a sięgało wysoko ponad ludzką głowę. Na środku polany, pogrążona do pasa w bagnie, Justynka patrzyła szeroko otwartymi oczami przed siebie. Po policzkach płynęły jej łzy, a ręce splecione na piersiach zaciskały się, jakby miało to wzmocnić siłę bezgłośniejszej modlitwy. Po drugiej stronie polany stał Kauk i przemawiał do Justynki skrzypliwym głosem:

– Ślicznusienieczka dziewczuszcza przysła w bagienko, w mokradełko, do zimnej wodniczki tęskniła, zimna wodniczka ją skryje, wodniczka myśli zbereżne skryje, cały wstyd skryje, dobra wodniczka, dobra, żal nikomu nie będzie ślicznej dziewczuszczy, zniknie, przepadnie, zapomną szybko, Senek szybko przyjdzie, żółte ma chodaki...

– Ratunku! – pisnęła Justynka cichutko, co doprowadziło Kauka do wybuchu obrzydliwego, kaszlącego śmiechu.

Słaboniowa zacisnęła wargi, zebrała resztki sił i wyszła pomiędzy drzew uzbrojona w długą leszczynową laskę.

– Odejdź, Kauku, zasańcu jeden! – wrzasnęła głośno.

Kauk łypnął na nią zaskoczony, ale ton jego był pełen lekceważenia i pogardy.

– Czego tu, słabiotka babinko?

– Zostaw dziewczkę i idź do diabła, skądś przylaz! – powiedziała z mocą Słaboniowa.

– A kto mi każe? – spytał Kauk zaczepnie.

– Ja ci każę, Teofila po mężu mojem Henryku Słaboniowa ze wsi Capówka pode Chmielowem. Tutaj ja żyła, tu dzieci niańczyła, tu ja męża pochowała, tu córkę pierworodną pochowała i tu żywota dokonać zamierzam. A takie ścierwa jak ty, Kauku przebrzydły, to tu rzundzić bedo po mojem trupie. Póki ja tu żyję, drynczyć nie bedziesz porzundnych ludzi, wracaj do diabła, skądś przylaz! – Tu Słaboniowa uczyniła ręką pradawny znak odpędzający uroki i mary wszelakie i splunęła siarczyście Kaukowi prosto pod nogi, zaś na jej nadgarstku błysnął czerwony sznureczek przeciw złym czarom.

– Oooo, toś ty nie taka słabusia... – powiedział pokurcz nieco mniej pogardliwie. – Toś ty widzieć chciała dzieciaczka maleńciulitkiego nie bez przyczyny – zwrócił się w stronę Słaboniowej i wpatrzył w nią swoimi oczyskami jak talerze. – Toś ty dzieciaczuczka swego widzieć chciała, małej główeczki na piersi ci brakło, rączyn maluchnych ci brakło, mowy słodkiej, a uciesznej. Chodź ku mnie Słabusiu Babciusiu, przytul dzieciaczka, pocałuj łysą główkę, będziem teraz razem na wieki...

– Słaboniowo, ratujcie! – pisnęła przerażona Justynka, której błocko zaczęło ścisnąć pierś

tak, że powietrza złapać nie mogła.

– Już ja nijakiego dzieciaczka nie chcę, zasańcu jeden, idź skądś przyszedł, odejdz maro nieczysta! – Słaboniowa znowu znaki tajemne ręką czynić zaczęła, a przyklękawszy, powoli drugą ręką swój kijaszek leszczynowy przesuwając ją ku Justynce. Ta wyciągała ku kijkowi coraz słabsze ręce, aż w końcu udało się jej chwycić drąg jedną dłonią, a Słaboniowa, sapiąc i zapierając się nogami w grząskiej ziemi, przyciągnęła dziewczynę nieco ku brzegowi. Kauk zoczył szybko, że ratunek nadciąga ku jego ofierze, więc z wrzaskiem wściekłym szybko skoczył w stronę Justynki, a ciało jego diabelskie było tak drobne i lekkie, że swobodnie przebiegł po kępach trawy na środek bagniska i chwycił biedną dziewczynę za drugą rękę.

Justynka zaczęła krzyczeć przeraźliwie – mniej ze strachu, a bardziej z obrzydzenia, gdy uczuła na ramieniu chwyt zimnych, kościstych rączek Kauka. A potem zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej, bo Słaboniowej udało się chwycić ją za rękę i teraz i Kauk, i Słaboniowa ciągnęli każde w swoją stronę, a każde z całej siły. Justynka pomyślała, że cała przygoda tak czy tak skończy się dla niej źle, bo jeśli topiel jej nie zgubi, to zginie rozerwana na dwie części przez tych dwoje.

– Justynka! – wystękała Słaboniowa. – Jak żyć kcesz, to chyc mnie mocniej, bom stara i długo cię nie utrzymie. Jeżeli prawdziwa wola w tobie je, to wspólnie siła Kauka odgonim i pójdzie precz. Ino ty po prawdzie do życia kcieć musisz na powrót.

– Słaboniowo, kiedy po co mnie starą panną zostać, co ją wszyscy palcami wytykają?

– To dla ciebie uroda i ożenek cenniejsze niżli życie?! – ryknęła Słaboniowa, czując, że dłoń Justynki wyslizguje się z jej spoconych rąk. – Cenniejsze niżli siwe włosy twojej matki? Ooo, tak próznej dziewczuchy ja ratować od hańby nie bede!

– Nie! Słaboniowo, nie puszczajcie! Już ja starą panną zostanę i brzydka być mogę. Tylko ratujcie! – I Justynka resztką sił rzuciła się w stronę Słaboniowej jak ryba uwięziona w sieci, wpijając się palcami w dłoń starej. Słaboniowa zaś pociągnęła silniej i z głośnym mlaśnięciem bagno uwolniło Justynkę ze swej paszczy.

Legły obie na brzegu, dysząc głośno. Słaboniowa uniosła głowę i zobaczyła, że Kauk zniknął. Księżyc wisiał spokojnie na bezchmurnym niebie, oprószając srebrnym pyłem las, ukryte w norach zwierzęta i pochowane w jamach sekretnych tajemnice.

– No i co? Co dalej było? – spytała Anetka, głaszcząc się z lubością po pękatym brzuchu. Siedziała właśnie u Słaboniowej w izbie i popijając herbatę, słuchała straszliwej opowieści.

– Ano nic. Że Justynka do urody dawnej wróciła, wyszła za tego Gienka i wyjechała do miasta, to sama wiesz. A że Jadzka znowu zbrzydła i starą panną w domu siedzi, to tyż wiesz. Co tu dalej gadać...

– A ten Kauk wrócił jeszcze?

– E, nie wrócił – powiedziała Słaboniowa.

– A czemu? Nie chciał Justynki dalej dręczyć?

– Z tym ścierwem piekielnym to nigdy nie wiadomo. Raz przychodzi, raz precz idzie i nie wiesz dlaczego. Ale po mojemu, jak wola życia w człowieku silna, to i taki piekielnik odpuścić musi i po prawdzie to un chyba trochu się przelunkł...

– Ale że niby czego?... – zapytała Anetka, lecz widząc minę Słaboniowej, zaraz przycichła. Wreszcie jakby smutna czegoś powiedziała: – Ale matko krzestna, to trochę niesprawiedliwe, że jednym w końcu wszystko się upiecze, a inni zawsze mają pod wiatr. Jadźka całe życie już starą panną będzie, a Justynka znowuż ładna i za mąż dobrze wyszła.

– No, ale ja ci, Anetka, nijakiego serialu z telewizora nie opowiadam, tylko o życiu prawdziwym historyję. A w prawdziwym życiu sprawiedliwości nijakiej ni ma. Kto konusem rodzi się, ten do śmierci konusem pozostanie. Kto głupi rodzi się, ten głupi zemrze. Każdemu inny los przypisany, a własnego losu trza się pilnować.

– Nawet jak zły?

– Nie kaźden moźe szczęśliwości dostać – rzekła Słaboniowa. – Zawsze gdy jeden cierpi, to inszy uciech zaznaje, tak już być musi. No, Anetka, pij herbatę, bo ostygnie, i za wiewa nie dumaj, bo jeszcze zły los skusisz.

Anetka skinęła głową i posłusznie siorbnęła ze szklanki. Nagle na drodze ozwał się dźwięk hamującego samochodu, a zaraz potem pukanie do drzwi. Słaboniowa poprosiła do środka i w drzwiach ukazała się Justynka. Pachnąca, umalowana, w szykownym sweterku przetykanym srebrną nitką i ze świeżutką trwałą na głowie.

– Ja tak na chwilę tylko, bo Gienek w samochodzie czeka, do rodziców jedziemy w odwiedziny. A ja coś tu mam dla Słaboniowej w podzięce za to, co Słaboniowa wiedzą... – Tu Justynka umilkła, zerkając zmieszana na Anetkę, która gapiła się na nią jak sroka w gnat.

– Dziecko, mnie nijakiej podzięki nie trza – obruszyła się Słaboniowa. – Ja nie dla podarków tobie pomogła, ino dla własnego spokoju.

– Ale musi Słaboniowa przyjać. Bo się obrażę... – naciskała Justynka i już reklamówkę jakąś kładła starej na kolana. – No, to ja już lecieć muszę, bo Gienek tam w aucie czeka... Do widzenia. – I Justynka cała paśowa wybiegła z izby.

– Dziewczyna ogłupiała ze szczętem – burknęła Słaboniowa, zaglądając nieufnie do reklamówki.

– No, pokaźcie, co tam macie! – dopraszała się Anetka niecierpliwie.

Słaboniowa wyjęła z torby pudełko tekturowe, a z pudełka jakąś maszynę z białego plastiku z kabelkiem do prądu, z kolorowymi guziczkami i do tego kilka pałeczek metalowych pokręconych było i miseczka biała, plastikowa. Słaboniowa ostrożnie postawiła maszynę na stole i popatrzyła na nią bezradnie.

– Powiedz ty mnie, Anecia, coż to jest?

Anetka pisnęła z zachwytu i zawołała:

– Toż to mikser! Tylko taki lepszy, coś jak robot kuchenny, co sam stoi i kręci, nawet trzymać nie trzeba. Ależ ta Justynka bogata być musi, że taki prezent kupiła...

– A na co mnie ten mikser, aaa?

– No to tak – zaczęła tłumaczyć Anetka bardzo przejęta. – Jak Słaboniowa chce śmietaną ubić, to wystarczy wrzucić do tej miski i tym można ubić szybciotko. Pianę z białek ukręcić i kogła-mogła. A jak Słaboniowa chce babkę upiec, to wystarczy wrzucić mąkę i jajka, i masło i samo pomiesza. Widziałam takie coś w jednej gazecie, bo u nas w sklepie to takich nie mają. – Anetka na próbę zaczęła naciskać guziczki jeden po drugim.

– A bo to ja trzepaczki w chałpie ni mam, żeb tym mikserem białka trzepać? – zachnęła się Słaboniowa i odsunęła maszynkę daleko od siebie. – A babki jak ręcznie nie utrzysz, to zakalec wyjdzie. Wisz ty co, Anecia? A weź se tego miksera, to ci akuratnie do twoich serwisów i salunów przypasuje.

– Ale to przecież Słaboniowej prezent... – mitygowała się nieszczerze Anetka. – No przecież nie mogę takiego cuda tak po prostu...

– Bierz, Anecia, nie gadaj, jak matka krzestna daje, a ja to już bede ciasta po swojemu kryncić, jak mnie matka uczyli i jak babka tyż.

– Oj, dziękuję! Ja nie wiem, jak ja się matce krzestnej odwdzięczę...

– Już ty się mnie lepiej nie odwdzinczaj, bo z tego waszego odwdzinczania to tylko takie o wychodzo. – Słaboniowa wskazała na maszynkę. – Powiedz ty mnie, Anecia, jeszcze o jednej sprawie.

– No?

– Ten dzieciak to Staśkowy je?

– Staśkowy. A czyj ma być? – Anetka wzruszyła ramionami. Dalej piły herbatę w ciszy. Słaboniowa gładziła obrus haftowany w ptaki i piwonie, a Anetka jedną ręką gładziła brzuch, drugą zaś swój nowy mikser.



NARODZINY

Lato przyszło tego roku bezlitośnie upalne. Słońce do spółki z suszą wypaliło pola i łąki, wróżąc nieurodzaj. Dla mieszkańców Capówki i okolic był to najgorszy rok od czasu, kiedy to tak długo lało, aż pola i łąki podeszły wodą i nic się skosić nie dało. Ale teraz każdy szukał chłodnego cienia i kropli ożywczej wody – od najmniejszej myszy i wróbla poprzez zwierzęta domowe aż do ludzi udręczonych gorącem i przecuciem marnych żniw.

Słaboniowa siedziała na ławce w cieniu antonówki, popijając zimną wodę z metalowego kubka, i patrzyła w białe od upału niebo. Takie niebo nie wróży niczego dobrego, myślała, ocierając chustką pot z czoła i policzków. Ani jednej chmurki, ani powiewu, tylko rozżarzone do białości słońce turlające się powoli ze wschodu na zachód niczym wielka cynowa misa. Coraz dłuższe cienie kładły się na wyschniętej ziemi, porośniętej żółtymi, pokurczonymi ździebełkami. Tylko świerszcze przebierały żwawo swymi suchymi nóżkami, a ich cykanie przelewało się monotonnymi falami przez nieruchome, wyschnięte trawy.

Nie podobało się Słaboniowej ani to niebo, ani słońce, ani nawet z pozoru niewinne cykanie świerszczy. Pomyślała z niepokojem o Anetce, która termin miała za niecały miesiąc i długo już leżała według lekarskich zaleceń, gdyż słabość ją jakowaś ogarnęła. Słaboniowa weszła do chałupy, gdzie trochę było chłodniej, i starym zwyczajem siadła na łóżku, złożywszy ręce na podółku.

Maryjka z świętego obrazu patrzyła – jak zawsze troskliwie – swoim migdałowym okiem, ale na co dokładnie patrzyła, tego po niej widać nie było. Tylko smutek wielki rozlewał się na jej twarzy. Jeleń porykiwał z cicha w swoich dzikich ostępach, pogryzając świeżą trawkę, bo na obrazie nijakiego upału nie było. Namalowany las pysznił się soczystą zielenią, a polanka, po której jeleń się przechadzał, pełna była ziółek przeróżnych i kwiatków barwnych, a jeszcze na dodatek strumyczek błękitny przez ową polankę przepływał. Słaboniowa zdjęła zazdrosny wzrok z nieświadomego niczego jelenia i zwróciła się do kawalera z wąsem, co dumnie obok dziewczyny w welonie się prezentował:

– Lato na nas przyszło gorunce, że aż ha. Coś mi się widzi, że kłopot nowy wyskoczy z tego gorunca. A specjalnie Anetka jako to zwykle w kłopocie od wszelkiej z piekieł napaści. Gdyby chocia kropelkę deszczu maluśką, to by człowiek odetchnął... – westchnęła Słaboniowa. – A tu gorunc i gorunc. A tobie jak, Hendryk? Pewno tam w niebiesiach chłodek miły ode chmurek bije, ruczajki żwawe tryskają, a ty się przechadzasz jak pan w najlepszej koszuli i rączek żadną pracą nie utrudzisz. Pod drzewkiem pięknym siadasz, gdzie ptaszeczki śliczne śpiwają, i do wtóru na fujareczce grasz jako to dawniej bywało, a jabłuszka czerwone same na ziemię spadają, tylko zbierać, i wcale nie obite sum... – rozmarzyła się Słaboniowa i dodała ponuro: – To i pewnie nawet tu na niziny ku mnie nie zerkniesz. A tu znowu coś idzie ku nam potworowatego, a ty nawet gemby nie odemkniesz... Ech, gadał dziad do obrazu... – Słaboniowa westchnęła ciężko i dźwignęła się z łóżka.

Mruczek leżał rozplaszczony na podłodze pod zimnym piecem i gapił się w ścianę półprzymkniętymi oczami. Muchy przysiadły to na jego nosie, to na nadgryzionym w jakiejś

bójce uchu, ale Mruczek łapą ani machnął. Ziewał tylko od czasu do czasu, rozdziawiając szeroko paszczkę, i na powrót zapadał w odrętwienie.

Słaboniowa postawiła obok niego miseczkę z wodą na wypadek, gdyby zachciało mu się pić. Krowa i świnki już napojone stały w obórkach, czekając przyjscia ożywczej nocy, tylko kury łąziły ospale po podwórku, grzebiąc w pylistej ziemi, jakby żywiły złudną nadzieję, że wydlubią z niej jakąś tłustą dżdżownicę.

Nie wiadomo było, co robić, i sił też nie było, więc Słaboniowa legła na łóżku, czekając wieczora. Jednak noc nie przyniosła spodziewanej ulgi. Słońce już nie paliło, ale duchota naszła taka, że trudno było oddech złapać. Przez otwarte na oścież okna słychać było z daleka rechotanie żab, które jeszcze gdzieś się ostały na błotnistych dnach wyschniętych stawów i brzegach rzeczulek. Wraz z żabim rechotem napływało do izby gęste powietrze cuchnące rozgrzanym bagnem. Słaboniowa leżała na wznak, patrząc w sufit, aż zapadła wreszcie ni to w sen, ni to stupor jakiś.

W środku nocy Słaboniową obudziło łomotanie do drzwi. Ogarnęła się trochę, zawołała „Niech wchodzi!” i do izby wpadł z impetem Januszek Samoszuków, młodszy brat Anetki.

– Słaboniowa ratuje, Aneta rodzi, bóle ma straszne, aż się wije, i strasznie się dzie!

– Toż jeszcze nie pora na nio – zdziwiła się Słaboniowa, wiążąc chustkę pod brodą.

– Ja tam nie wiem, pora, nie pora, ale strasznie się dzie – powiedział Januszek.

– A do szpitala nie chcecie jechać?

– Staśka nie ma, a ociec nawalony, nie ma komu jechać. Zara lecę do sołtysa po doktora z Chmielowa dzwonić, ale może wy co pomożecie.

Januszek, nie czekając, puścił się na rowerze do Nowej Wsi, a Słaboniowa podreptała w parną noc do domu pod dębami.

W dusznej chałupie u Samoszuków odbywały się żałościwe sceny. Zenek zalegał na kozetce w kuchni, cuchnąc niczym gorzelnia i całkiem bez świadomości. Zośka biegała po mieszkaniu, straszliwie lamentując, a Anetka leżała w pokoju, wśród rozkopanej pościeli i darła się wniebogłoso. Babka siedziała na stołeczku pod piecem, przyglądając się wszystkiemu łzawiącymi oczami z wielką ciekawością.

Słaboniowa podeszła do Anetki i przyłożyła dłoń do jej spoconego czoła. Dziewczyna toczyła niewidzącym wzrokiem po pokoju, jęcząc rozpaczliwie:

– Ło Jezu, toż mi umrzeć przyjdzie, toż ja umrę, rozerwie mnie, Jezu, Maryjo, ratujcie!

– Nigdzie się Anetka nie wybierasz jeszcze – powiedziała Słaboniowa. – Wcześniak będzie i tyła. Nic straszego, nic to, Anetka. Nic ci nie będzie. A wody odeszły?! – krzyknęła do Zośki.

– Odeszły – powiedziała ponuro Zośka i znów lamentować poczęła. – A ja głupiej gadała, żeby supłów nie wiązała, bo pępowiną będzie owinięte i martwe urodzi się, i żeby ubranek nie kupowała zawczasu, ale ona nie... – Tu Zośka poleciała do szafy, wyciągnęła dwa malutkie białe kubraczki i pomachała nimi Słaboniowej przed twarzą. – Nakupiła, nakupiła i o, tera kłopot. Ale nigdy toto matki nie posłucha...

– Mama przestanie... – zawyła Anetka w boleściach i opadła bezsilnie na poduszki.

Zośka siadła na wersalce i zakryła twarz dłońmi. Nagle do chałupy wpadł Januszek, trzaskając drzwiami i tupiąc niemilosiernie.

– Telefon u sołtysa zepsuty! – wrzasnął bez tchu. – Matka, co robić?!

– Bier wóz i jedź po doctora do Chmielowa – rzekła Słaboniowa po chwili namysłu.

– Ale toż Januszek dopiwo dwanaście lat ma, a ciemnica taka... – zafrasowała się Zośka.

– Ooooo, nieraz ja widziała, jak zasuwiał ze żniw po nocy, da rade – powiedziała Słaboniowa.

– Siwego zaprzęg, bo Kasztan coś chroma. A uważaj tam na zakręcie przy zagajniku, bo te z miasta to tera jeżdżo jak wariaty... – krzyknęła za nim Zośka, ale Januszek uradowany, że tak poważne zadanie zostało mu poruczone, już był za progiem i po chwili słychać było na ulicy oddalający się stukot końskich kopyt.

– No, Zośka, drzyj prześcieradła i wody gar nagotuj, bedziem rodzić – rzekła dziarsko Słaboniowa. – I śpiytusu daj trochu.

– Stary chiba ostatki przez chleb przepuścił, ale jeszcze zobaczę. Ja schowała gdzieś do smażenia pączków flaszczkę... – Zośka poszła szukać spirytusu do sionki.

Słaboniowa została z Anetką, która spocona i w majakach bredziła coś o kozłach, obietnicach i duszy nieśmiertelnej.

– Nie dam... – bełkotała Anetka. – Niedoczekanie twoje, nie dam!

– Toć nikt tobie nie kce zabrać niczego – uspokajała ją Słaboniowa i zajrzała dziewczynie pod koszulę. – Jeszcześ nie gotowa, ale to już zara... No, a tera, Anecia, trochu pochodzim, to lepi ci będzie, dzieciak długo w suchości nie wytrzymie, trza nam go trochu rozruszać, na doctora ni ma co czekać. Wstawaj, Anecia.

Anetka półprzytomna zwlekła się z łóżka i wsparta na ramieniu Słaboniowej dała się prowadzić po pokoju, ledwo powłócząc nogami. W tym czasie Zośka napaliła w piecu, choć i bez tego gorąc był już piekielny, wstawiła wodę i przygotowała szmaty, jak Słaboniowa kazała.

– A narób, Zośka, harbaty, wszystkie napijem się... – krzyknęła Słaboniowa z pokoju.

– Harbaty, harbaty... – burczała pod nosem rozeźlona Zośka. – Dziecko mi ledwo dycha, nad wnuczką krzyżyk wisi, a tej się harbaty zachciewa... – Ale chcąc nie chcąc, zalała w dzbanku garstkę fusów.

– A Martusia i Franek dzie? – zawołała Słaboniowa.

– A, młodsze do Adelki dałam, żeb się tu pod nogami nie plątały – odkrzyknęła Zośka.

– Słaboniowo, ja już nie dam rady – wydyszała Anetka uwieszona coraz ciężej na ramieniu starej.

– Dyć kucnij, jak sił nie masz.

Anetka kucnęła rozkraczona, opierając się plecami o ścianę. Słaboniowa znowu zajrzała jej pod koszulę i pokiwała głową, widać zadowolona.

– Zośka, dawaj tu! To już! – Zośka przybiegła z prześcieradłami, gorącą wodą i spirytusem. – Mydła jeszcze mnie daj, nożyce i spirytusu do jakiego garneczka nalij – zarządziła Słaboniowa.

Zośka posłusznie wykonała polecenia i wróciła ze wszystkim do pokoju.

Słaboniowa umyła ręce w gorącej wodzie z mydłem i spirytusem połała. Potem wzięła z łóżka poduszki, nakryła wyparzoną w gorącej wodzie prześcieradłem i podłożyła to wszystko pod Anetkę. Na koniec nożyce wrzuciła w pierw do wrzątku, a potem do spirytusu i tak zostawiła.

– A tera pchaj, Anecia. – Anetka wparła chude nogi w podłogę i z całych sił poczęła pchać. – A tera dychaj, głośno dychaj i znowuż pchaj – komenderowała Słaboniowa, trzymając Anetkę za kolana. Tak Anetka dychała i pchała, dychała i pchała, aż wreszcie rozległ się odgłos jakby pluśnięcia i w tejże chwili zgasło światło.

– Dziewczynka? – zapytała Anetka, dysząc z ulgą.

– Głupio się pytasz. Toć nie wim, bo ciemno – rzekła Słaboniowa. – Ale musi dziewczynka, ino coś się nie drze.

– Musi elektryczność wywaliło – wychrypiała Zośka.

Zapadła cisza przerywana tylko ciężkim oddechem Anetki. Słaboniowa po omacku szukała dziecka na poduszce, wreszcie wymacała małe, oślisze ciało. Przyłożyła ucho do nadętego brzuszka i nasłuchiwała chwilę.

– Nie dycha... – szepnęła.

Nagle w ciemnościach rozległ się piskliwy, kobiecy śmiech i gdzieś z daleka jakby turkot kołowrotka doleciał.

– Co to było? – zapytała Zośka strachliwie, ale nikt na nią uwagi nie zwrócił.

– Jakże nie dycha? – zawołała Anetka, której już się na płacz zbierało.

Słaboniowa złapała dziecko mocno za nóżki i dała mu klapsa, ledwo trafiając we właściwe miejsce w tej ciemnicy. Ale miast płaczu dziecka znowu rozległ się ten sam co wcześniej, dziwny, niepokojący śmiech.

– Słaboniowo, co z nią, co z moją Klaudusią? – dopytywała Anetka w panice.

Słaboniowa znowu nasłuchiwała przy piersi maleństwa, ale nic nie usłyszała.

– Babka! – krzyknęła Zośka. – A dajcie tu świecę!

Po chwili babka przydreptała, niosąc w drżących rękach ogarek przylepiony do zakrętki od słoika. Przybliżyła świeczkę do twarzy dziecka. Miało szeroko otwarte, ciemne jak smoła oczy i wyglądało trochę jak lalka z odpustu. Malutkie, pokrwawione rączki i nóżki zwisały bezwładnie z rąk Słaboniowej.

Słaboniowa rozchyliła sine usteczka, przyłożyła do nich pomarszczone usta i zaczęła delikatnie wtłaczać własny oddech do płuc dziecka. Ale oczy dziewczynki wciąż były nieruchome, czarne i przepastne jak dwie studnie bez dna.

– Łojezu... – zapłakała Anetka.

– Chiba Januszek nazad do Chmielowa będzie po ksindza wracać... – powiedziała grobowym głosem Zośka i rozryczała się serdecznie. W tejże chwili światło zapaliło się, a w drzwiach stanął doktor Palenica.

– I co wysło? – zawołał Januszek od progu, dłubiąc w nosie.

– Dziewczynka – westchnęła ciężko Słaboniowa. – Tylko coś nie dycha.

W tej chwili dziecko zamrugało, jakby coś odkrztusiło, wzięło oddech i ryknęło wielkim głosem, że ledwie go Słaboniowa z rąk nie wypuściła.

– Jak na wcześniaka, to płuca dobrze rozwinięte – stwierdził oszołomiony doktor.

Dziecko wrzeszczało przeraźliwie, zachłystując się, czerwone na pomarszczonej gębusi, z zaciśniętymi piąstkami, prężąc się na rękach Słaboniowej niczym piskorz w sieci.

– Dajcie ją mnie – powiedziała Anetka. Wzięła ostrożnie dziewczynkę na ręce i przyłożyła ją sobie do piersi. – Chodź do mamusi, moja malusia, moja Klaudusia... – szeptała, skrapiając suto łzami twarz i rączki córeczki.

– To ja już na nic niepotrzebny – roześmiał się doktor z ulgą. – Sprawdzę jeszcze, czy aby

wszystko w porządku. No i pępowinę trzeba by przeciąć.

Już świtało, gdy Anetka z Klaudusią przy piersi zasnęła. Wszyscy poszli do kuchni napić się nagotowanej przez Zośkę herbaty. Zenek dalej chrapał na kozetce jakby nigdy nic, a babka drzemała na stołeczku pod piecem.

– Dzieciak zdrowy, choć wcześniak – powiedział doktor Palenica. – A zajedźcie jak najszybciej do szpitala na kontroli do urzędu akt urodzenia wypisać. Ale szczęście, że pani Słaboniowa mieszka niedaleko, bo po tym ómoku zgubiliśmy się z Januszkciem na rozjeździe. Latarnie wszystkie pogasły pode Chmielowem.

– No, u nas tyż światło wywaliło – powiedziała Zośka i zwróciła się do babci Stasi, jakby sobie coś przypomniwała: – Babka! Babka, a co wam się tak na śmiechy jakieś zebrało, jak Anetka rodziła? – Starowinka odemknęła jedno oko i zerknęła na Zośkę podejrzliwie.

– No, śmialiście się i śmialiście – powiedziała Zośka. – No, toż ani ja się nie śmiała, ani Anetka, ani tyż Słaboniowa nie śmiali się, to tylko wy zostaliście. – Babka wzruszyła ramionami, zacisnęła bezzębne usta i wyraźnie urażona odwróciła się tyłem do zebranych. – A na kołowrotku czasem nie przedliście? – drążyła dalej Zośka, ale wreszcie machnęła ręką. – Ech... Pewnie nie pamięta. Babka to już całkiem w dymencję popadła. Raz się śmieje, raz płacze i nie wiadomo, dlaczego gada coś do siebie i wszystkiego zapomina... – Babka fuknęła coś gniewnie pod nosem.

– No, pani Stanisława już ma swoje lata, to i pamiętać wszystkiego nie musi, prawda? – Doktor uśmiechnął się łagodnie.

Zośka westchnęła tylko, dając jasno do zrozumienia, jakie to ciężkie życie z chłopem pijakiem, córką, której się diabły zwidują, i babką, co od rzeczy się śmieje.

– Ale kiedy leki ma łykać, to mogłaby pamiętać – burknęła Zośka znacząco do pleców babki. – Tyle piniendzy na to idzie, a ja znajduję potem proszki, a to w doniczce z geranium, a to za cukiernicą.

– Trzeba pani Stanisławie o lekach przypominać – wyjaśnił doktor łagodnie. – O, tu mam takie pudełeczko z trzema przegródkami. Do jednej pani nasypie proszki na rano, do drugiej po obiedzie, a do trzeciej na wieczór. I będzie łatwiej zapamiętać.

Zośka obróciła w rękach plastikowy pojemniczek.

– Może to i co pomoże...

– No, na mnie czas. – Słaboniowa wstała od stołu. – A dajcie znać, jak się tam dzieciak chowa.

– Dziękuję, że Słaboniowa pomogli – powiedziała Zośka. – Nie wiem, co my by zrobiły same.

– Eeee, nic takiego. A bo to pirszyzna?

– A babka gdzie z tym mlekiem idą? – krzyknęła Zośka. – Jak babka chcieli mleka napić się, to do szklanki bym wam naląa.

Babka, korzystając z chwili, że nikt na nią nie patrzył, po cichutku naląa na spodeczek mleka i gdzieś z tym spodeczkiem iść chciała.

– Bo ja mlika dla kota chciała wystawić... – powiedziała babcia Stasia drżącym głosem, patrząc błagalnie na Zośkę.

– No, widzi doktor? Toż my nijakiego kota nie mamy. No, ze szczętem dymencja... – Zośka odebrała staruszce spodeczek z mlekiem. – Babka idą się położyć. Całą noc nie spaliście, to tera o kotach bredzicie, a ja wam mleka zara przyniesę.

Babka podreptała do drugiego pokoju, wyrzekając coś pod nosem żałościwie. Zenek przebudził się z pijackiego snu, potoczył mętnym okiem po zebranych i dostał czkawki.

– Wnuczkę masz – powiedziała do niego Zośka.

– Zośka, daj mnie spirytu, napić się trza na szczęście – rzekł na to Zenek, beknął, odwrócił się do ściany i na powrót zasnął.

Słaboniowa pożegnała się i wsparta na swojej lasce wyszła na drogę. Pierwsze promienie słońca przebijały na horyzoncie, oblewając krwistą poświatą korony drzew rosnących przy drodze. Znad łąk unosiły się gęste mgły, wróżąc kolejny upalny dzień. Odchodząc, usłyszała jeszcze Słaboniowa przenikliwy krzyk małej Klaudii.

Kolejne dni płynęły powoli i ociężała jak krople smoły z dachu krytego papą. Słaboniowa wypełniała je wciąż tymi samymi powtarzalnymi czynnościami. Jadła śniadanie, robiła poranne obrządki, swoją jedyną krowę wypędzała między drzewa – do małego sadu owocowego od południowej strony, wypuszczała na podwórko świnię, które do spółki z kurami spędzały czas pod krzewami bzu i jaśminu, posiadała pod jabłonką, popijając zimną wodę, podlewała grządki w przydomowym ogródku, na których dogorywało w upale kilka młodych kapust, trochę marchewki i parę krzaczków truskawek, doglądała poletka, gdzie na zagonach rosły kartofle i buraki, robiła obiad na następny dzień, przed nocą podbierała kurom jajka. Wieczorem kładła się w dusznej izbie i czekała na sen. Nadchodził długo, opornie i był tak płytki, że budził ją najcichszy nawet szmer motyli skrzydeł czy miękkie stąpanie kocich łap.

Jednego z tych ciągnących się w nieskończoność letnich dni właśnie Słaboniowa odpoczywała pod jabłonką, gdy drogą od miasta nadjechała Adelka na czerwonym składaku, który nikał zupełnie pod jej rozłożystym zadkiem. Kosmyki czarnych włosów lepiły się jej do czoła, a pot spływał strumieniami po śniadej twarzy przyozdobionej kartoflowatym nosem. Z rączki od roweru zwisała torba wypchana bochenkami chleba.

– Pochwalony! – zawołała Adelka swym donośnym głosem, zahamowała i zląła z roweru.

– A witojcie, witojcie. Zachodźcie, Adela – zaprosiła ją Słaboniowa. Adelka weszła na podwórko, starannie zamykając za sobą furtkę, i umościła się na ławce obok Słaboniowej.

– Gorunc, ni? – zagaiła Adelka.

– Ano, gorunc – potwierdziła Słaboniowa.

– Od tego zaduchu ani spać nie można, ani jeść się nie chce, ani nic. – Adelka obtarła czoło. – A już Klaudusia Anetki to szczególnie. Była ja tam u nich z rana. Dzieciak drze się całymi dniami, jakby go ze skóry obdzierali. Niemożliwość, żeb strzymać w jednym pokoju.

– Wody kcecie? – zapytała Słaboniowa. Nabrała wody z metalowego wiadra i podała kubek Adelce.

– Bóg zapłać. Dobra ta wasza woda.

– Woda jak woda.

– Wasza specjalnie dobra. – Adelka mlasnęła ze smakiem. Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– To Klaudusia rozdartą, powiadacie?

– Oooo... – Adelka machnęła ręką. – I jak jeszcze. Bez przestanku krzyczy. Tylko cichnie, jak cycka dostanie, a jak od cycka ją Aneta odstawi, to od razu ryk. No to Aneta cały czas ją przy cycku trzymie, wszyndzie z nią dyga, do jedzenia, do spania, do mycia, ledwie, że do wychodka z dzieciakiem nie lata. Stasiak przyjechał, tydzień posiedział i pojechał nazad, bo strzymać nie mógł. – Adelka rozłożyła bezradnie ręce. – No bo jaki z baby pożytek, kiedy wszyndzie z dzieckiem chodzi i do łóżka tyż?

– Uhm – powiedziała Słaboniowa, ale jasności nie było, czy przytaknęła, czy zaprzeczyła.

– A babka Stasia to już z kretesem ogłupiała. Czerwone wstunżeczki na kołysce wiąże. No to Zośka odwiązuje. Za godzinę patrzy, a sznureczki znowuż zawiązane. I tak Zośka odwiązuje, babka zawiązuje, Zośka odwiązuje, babka zawiązuje, i tak w koło Macieju.

– A to ci dopiero – rzekła Słaboniowa powoli. Adelka zadowolona z wrażenia, jakie zrobiła, ciągnęła dalej z ochotą.

– No i jeszcze babka ciągle mleko na próg wystawia. Babka wystawia, Zośka zabiera, babka wystawia, Zośka zabiera, i tak w koło Macieju. Podobnież, że dla kota to mleko, ale u nich nijakiego kota przecie ni ma. Od wtedy jak Łatka zdechła.

– Ano ni ma – potwierdziła Słaboniowa czegoś nagle zamyślona. – A nie gadali czasem Anetka alibo Zośka, żeb ja zaszła do nich?

– A gdzie tam! – zawołała Adelka i dodała po chwili przyciszonym głosem: – Po

prawdzie to Zośka przykazała mi, cob ja nic Słaboniowej nie gadała o tych tam sznureczkach i kotach. Gadała, że już raz Anecine fanaberie z wypędzaniem dyjabłów były i wystarczy i że wstyd przed wami będzie takie głupoty gadać.

– Uhm – mruknęła Słaboniowa, tym razem wyraźnie niezadowolona. – Trza mi zejść do nich bez prośzenia, bo jeszcze bez swojej głupotę gotowe dzieciaka zepsuć albo jeszcze czego gorszego narobić.

– Gorszego? – Oczy Adelki zaiskrzyły się ciekawością. – A z tem wypędzaniem dyjabłów, co Zośka gadała, to co to były za fanaberie?

– No, trza mi kartofli na zupę obrać. – Słaboniowa wstała z ławki. – A wy z Chmielowa tera jedziecie? – Adelka wzruszyła ramionami i niechętnie ruszyła w stronę furtki.

– A coście taka ciekawa, gdzie ja jadę, aaa? – burknęła urażona.

– Ja tam ino ciekawa, czy wiaderka plajzdikowe do GS-u rzucili – zaśmiała się Słaboniowa.

– Ja tam nie wim, wiaderka ja nie szukała. Może i rzucili – powiedziała Adelka mało grzecznie, wdrapała się na swój rower i pojechała bardzo niezadowolona, że nic nowego w sprawie owych tajemniczych dyjabłów się nie wywiedziała. Słaboniowa postąpiła jeszcze chwilę z rękami wspartymi na biodrach, patrząc za Adelką, i poszła do chałupy.

Po wieczornych obrządkach Słaboniowa wzięła swoją laskę i wolnym krokiem ruszyła w drogę. Słońce miało się ku zachodowi. Powietrze jeszcze drżało nad rozgrzaną ziemią. Unosił się w nim płynący z łąk cierpki aromat ziół i traw zmieszany z zapachem wysuszonej na pył ziemi. Z daleka dało się słyszeć jakby miauczenie kota, które w miarę jak Słaboniowa zbliżała się do domu Samoszuków, okazało się przeraźliwym, dziecięcym krzykiem. Gdy Słaboniowa weszła na podwórko, świdrujący wrzask stał się nie do zniesienia.

Na ławce pod domem, oparta o nagrzaną słońcem drewnianą ścianę, siedziała babka. Minę miała nieprzeniknioną, bezzębne usta mocno zaciśnięte, a ręce buntowniczo założone na piersi.

– Witojcie! – krzyknęła Słaboniowa, wchodząc na schodki, ale babka tylko wzruszyła ramionami i odwróciła głowę, czegoś obrażona.

W izbie wypełnionej mdłym zapachem mokrego pierza siedziała Zośka i skubała kurczaka. W drugim pokoju na łóżku siedział Januszek z czteroletnią Martusią i młodszym jeszcze Frankiem i oglądali dobranockę. Dźwięk mieli nastawiony na cały regulator. Gdy Słaboniowa weszła, Zośka podniosła głowę i popatrzyła szklanymi oczami wołającymi o ratunek.

– Dzie Anetka?! – spytała Słaboniowa, usiłując przekrzyczeć płacz dziecka i ryk telewizora.

– U siebie w chałupie – odkrzyknęła Zośka. – Jakby tu cały czas z bachorem siedziała, to

by mnie do Tworek wysłali. I tak słyhać nawet z daleka, bez podwórko i jak okiennice zamknięte. Całe noce spać nie można.

– A dochtór był?

– A był. Powiedział, że może kolka, to harbatkę koperkową trza dawać. I tyła. Dzieciak podobnie zdrowy. Gadał dochtór, że musi jaki sztres. Ale czym taki dzieciak mały będzie się niby sztresował, aaa?

Zośka pokręciła głową bezradnie i popatrzyła w okno na dom swojej córki. Dochodzące z niego nieludzkie wrzaski przycichły i przez chwilę można było usłyszeć świerszcze i ptaki śpiewające w koronach drzew. Zośka odetchnęła z ulgą.

– Przestaje na trochę i znowu zaczyna za pięć minut, a czasem ciągiem się drze przez kilka godzin. A specjalnie w nocy – wywróciła oczami do nieba.

– Daj mnie, Zośka, herbaty. – Słaboniowa siadła przy stole, wspierając ręce na lasce. Zośka wytarła ręce z pierza i nastawiła wodę na butli gazowej.

– Kupilim na te upały – wyjaśniła. – W piecu tera palić to ugotować się idzie. I do opalania kurczaka nada się...

– A Zenek dzie?

– Na rybach. Tydzień już będzie. Januszka wysłałam na zbiornik, że b go tu sprowadził, ale gdzie tam. Wypchnął tylko dzieciaka po flaszkę do Chmielowa i tyła go widzielimy. Stasiak tyż pobyl trochę i pojechał nazad do miasta, że niby do roboty. Strzymać nie mógł. – Zośka postawiła przed Słaboniową szklanke żółtej herbaty. – Taki to los kobity. Chłop zawsze jakąś wymówkę znajdzie, że b spokój mieć. Tylo my się męczyć musim. – Zośka z westchnieniem wróciła do swojego kurczaka.

– A babka coś widzę nie w sosie... – Słaboniowa siorbnęła herbaty. Z domu obok znowu dał się słyszeć dziecięcy płacz.

– Babka! – wrzasnęła Zośka, starając się przekrzyzczeć wnuczkę i ze złością cisnęła kurczakiem w wiaderko pełne okrwawionych piór. – Babka całkiem już w piętke goni! Cięgiem ino te wstążeczki czerwone wiąże na kołysce. Aneta zdejmuj, tylko się odwróci i nowe już wiszą. Mleko na schodkach ino kiśnie, nie nadażam zbierać. Babka gadają, że mliczko dla kotka, mliczko dla kotka. Toż u nas ni ma kota! – ryknęła Zośka w rozpaczy i zabrała się za skubanie kurczaka ze zdwojoną siłą. – Rosołu narobię dla Anety, bo ona nic nie ji z tej zgrzyzoty. To chocia rosołku popije.

– Rosolek nie zaszkodzi – potwierdziła Słaboniowa. – A jakichsiś śmichów dziwnawych i kołowrotka nie słyhać u was czasem? – Zośka zastygła na chwilę i popatrzyła na Słaboniową zmieszana.

– Adelka już u was była, co? Już nagadała, że b jej ten jęzor usechł. – Zośka poczęła

opalać kurczaka nad gazowym płomieniem. W powietrzu rozszedł się swąd spalonych piór. – To wszystko babki sprawka – ciągnęła, nie patrząc na Słaboniową. – Śmieje się do siebie jak jaka głupia i na kołowrotku przędzie, ale tylko jak nikt nie patrzy. Słysząc, że kołowrotek się krynci, ale wejdiesz do pokoju, to babka siedzi na łóżku jakby nigdy nic i udaje, że nie ona. Tera cięgiem nafuczona, że niby ja nieprawdę gadam. Wypiera się, że ona nic nie robi i nie przędzie. Pewnikiem z tej dymencji nie pamięta. Toż ino babka umi na kołowrotku robić, nikt inny u nasz na kołowrotku nie robi. – Zośka zerknęła niechętnie na drewniany kołowrotek stojący pod oknem.

– No... – Słaboniowa wstała. – Za herbatę dziękuję. Zajdę do Anety, obaczę, jak żyje.

– Słaboniowa idzie. – Zośka wzruszyła ramionami. Słaboniowa wyszła z chałupy i przysiadła na chwilę na ławce obok babki. Słońce wielkie i czerwone powoli kryło się za stodołą.

– Gorunc, co? – zagaiła Słaboniowa.

– Ja stara, to mnie zawdy zimno – odrzekła babka i dodała: – Zara noc będzie.



– Ano tak – odpowiedziała Słaboniowa.

– I przyndzie ta...

– Kto przyndzie?

– Aaa... – Babka siadła prawie tyłem do Słaboniowej. – Nic nie rozumiecie, nic nie wicie, gadacie ino, co ja stara i rozum mi odjęło.

– Może i wincyj rozumim, niż myślicie – rzekła Słaboniowa. – Zośka gada, że śmiejecie się do siebie i że się wypieracie, że przędliście na kołowrotku.

Babka gwałtownie odwróciła się przodem do Słaboniowej, chwytając ją zaskakująco silnie za rękę.

– Zośka głupia je i na poważnych sprawach się nie rozumi – wyszeptwała, wpatrując się w Słaboniową zażawionymi oczami. – Ale ja wim. Ja długo po świecie chodziła i niejedno widziała. Jak ja była młoda, to była u nasz we wsi taka jedna, dziecko powiła i przyszła do niej ta... – tutaj babka zatchnęła się.

– Kto?

– Kikimór! – Babka wbiła palce jeszcze mocniej w rękę Słaboniowej. – Przyszła do niej Kikimór! I dzieciakowi zmarło się we dwie niedziele! Nie spał i nie jadł, bo ta go zamęczyła, szczypała, szeptała do ucha, jak przysnął, aż zapadł na płuca. Ino darł się cięgiem jak nasza Klaudusia. A jak zmarł dzieciak, to w kolejne dwie niedziele zmarła matka jego. Ze zgryzoty – zakończyła babcia Stasia i zagapiła się w zachodzące słońce. – To ja ratować chcę, śnureczki cyrwone więzę od uroków, mliko wystawiam dla tej... i dla domowego mónża jej, a głupia Zośka wszystko zabira i Anetce jeszcze kładzie do głowy, że to ino zabobony. Zabobony! – zakrzyknęła babka, gorzko załamując ręce.

– Kikimór, powiedacie... – mruknęła Słaboniowa. – No, obaczmy, co to za ścierwo. – I poszła Słaboniowa do domu Anetki, a babka podreptała za nią wielce zatroskana.

Klaudia leżała w kołysce i krzyczała zdartym, zachrypniętym głosem. Anetka siedziała na wersalce, patrząc tępo na kołyskę i płacząc bezsilnie. Świateł dziewczynie nie chciało się zapalać i w pokoju było coraz ciemniej. Meble zamieniały się w ciemne plamy o falujących krawędziach, w jakieś obłe stwory przybliżające się do Anetki, ale cały czas w miejscu stojące. Z kątów wyłaziły pełzające po podłodze cienie, ktoś się śmiał piskliwie, ktoś gadał, ktoś szeptał, a Klaudusia płakała, zachłystując się i krztusząc. Kołyska bujała się delikatnie, choć nikt jej nie trącał. Duchota pod wieczór stawiała się nie do zniesienia i Anetka czuła krople potu spływające powoli po czole, szyi, policzkach. Nagle do izby weszła Słaboniowa, stukając dziarsko swoją laską, a za nią wsunęła się niepewnym krokiem babka.



– A co wy tu? – Anetka zerwała się z wersalki.

– A ja przyszła obaczyć, jak się Klaudusia chowa. – Słaboniowa zajrzała do kołyski. Klaudusia jakby przycichła na ten moment i patrzyła tylko wytrzeszczonymi, czarnymi oczami gdzieś na bok. – No co, Klaudusia, bębnie mały, coś taka zastrachana, aaa? A oczyska jakie masz czarniawe, istna Cyganeczka. Chłopy tobie spokoju nie dadzo, jak podrośniesz. – Słaboniowa pogłaskała malutką stópkę swoją sękatą ręką. – Ja cię na ten świat sprowadziła, wrzaskunie jeden, i dali przeprowadzę, jak trza bedzie.

Klaudia spojrzała na Słaboniową bardzo poważnie i złapała za wykręcony reumatyzmem palec starej. Na małej, czerwonej od wrzasku buzi zasychały łzy zmieszane ze śliną i smarkami z nosa.

– No... – Słaboniowa odchrząknęła i wyprostowała się. – Nie zaprosiliście, ale ja przyszła. Dzieciaka ratować.

– A co tu zapraszać? – Anetka zapaliła światło. – Po prawdzie to matka takie tam gadała, co może to wy jaki urok rzuciliście czy coś... Oczywiście ja w te zabobony nie wierzę. – Anetka zaczerwieniła się stropiona.

– Uhm – Słaboniowa tylko sapnęła, stuknęła laską o podłogę ze zniecierpliwieniem i nic nie rzekła na taki afront.

– A i oglądać nie ma czego. Płacze tylko ciągiem, nie je, nie śpi, tylko krzyczy. Ja już nie wiem. Nosiłam, gadałam, bujałam, spałam z nią. Doktor mówił, że zdrowa jak rybka, tylko że kolkę ma, to parzyłam jej te herbatki koperkowe, ale nic to nie pomaga. I Stasiek pojechał, zostawił nas, że niby robotę ma, ale ja wiem, że urlop dostał na narodziny dziecka. Mógł siedzieć i miesiąc w chałupie, tylko strzymać nie mógł! – Anetka bezradnie opadła z powrotem na wersalkę, zwieszając smutnie głowę.

– No już, już, Anetka... – powiedziała babka, usiadła obok Anetki i objęła ją ramieniem. – Toż Kikimór odwiedziła cię i trza nam ją wygonić.

– Jaka znowuż Kikimór?! – zakrzyknęła Anetka i popatrzyła błagalnie na Słaboniową. – I jeszcze babcia z tymi zabobonami wyskakuje! Ja już sił nie mam!

– Babka gadają, że musi Kikimora Klaudusi spać nie daje, męczy dzieciaka i stąd cały kłopot – rzekła Słaboniowa. – Nie mnie sądzić, kto tu zabobony opowiada, a kto ni. Trza nam sprawdzić naocznie. Zagaś Anetka światła, przynieś świecę i postaw tu przy kołysce, a my sobie cichutko siądziem na wersalce i poczekamy.

– A wszystko jedno... – machnęła ręką Anetka i poczłapała do kuchni, mrużąc pod nosem. – Może być i świeca, i Kikimora, co tam sobie chcecie, mnie tam już wszystko wisi i powiewa.

Do chałupy wpadła Zośka z wielkim hukiem i garnczkiem pełnym rosółu z makaronem.

– Ja rosół przyniesła! – zawołała i stanęła jak wryta, widząc zebranie. – A coż to?! Co babka tu robią? Znowuż te wstążeczki pewnikiem! Babka migiem do dumy idą, film zara będzie! Z kombojami, jak babka lubią. I dzieciaki same w domu siedzą. – Babka odwróciła się demonstracyjnie tyłem, dając do zrozumienia, że z Zośką rozmawiać nie zamierza.

– Cichaj, Zośka, i siadaj – skarciła ją Słaboniowa. – Doświadczenie tu będziemy robić na obecność sił nieludzkich.

– Doświadczenie? – zapytała Zośka niepewnie, ale posłusznie siadła na wersalce, ciągle z garnczkiem rosółu w garści. Weszła Anetka z zapaloną świecą wsadzoną w fajansowy lichtarz ze złotym zdobieniem, bardzo według niej elegancki. Z miną męczennicy zgasiła światło, postawiła lichtarz na stoliku przy kołysce małej i usiadła między matką i babką.

Zrazu nic się nie działo. Tylko ćmy zaczęły nalatywać przez otwarte okno i kręcić się wkoło długiego, pulsującego płomienia. Cztery kobiety siedziały rzędkiem na wersalce, wstrzymując oddech.

Wtem kołyska cicho skrzypnęła i przechyliła się leciutko na jedną stronę, a Klaudusia uderzyła w lament straszliwy. Anetka chciała się zerwać z wersalki i lecieć do dzieciaka, ale Słaboniowa przytrzymała ją silnie na miejscu. Rozległ się piskliwy chichot i na brzegu kołyski ukazała się mała kobiecinka wielkości przerośniętej marchwi. Ryjek miała świński, nóżki kurze, a rączki szponiaste. Odziana była w zwykły strój wiejski, dość ubogi i pocerowany: małą chusteczkę zawiązaną miała pod brodą, serdaczek burozielony i spódnicę przepasaną podartym fartuszkiem.

– To ona... – szepnęła Zośka i zatkała szybko usta, gdy zobaczyła zwrócone ku niej groźnie oczy Słaboniowej. Anetka siedziała tylko z otwartą gębą i nie śmiała żadnego ruchu wykonać. Dziecko darło się niemiłosiernie, a Kikimora zaśmiewała się do rozpuku, zaglądając do kołyski i podszczypując Klaudusie swoimi pazurzystymi rękami.

– No, takiego dziwa to ja jeszcze nie widziała – wyszeptała Słaboniowa wielce poruszona. – Słyszałam Kikimora, Kikimora, dzieciaki na zatracenie prowadzi, mężów od żon odrywa, alem nigdy na własne oczy nie widziała.

– Bo to tylko przy świcy Kikimór widać – wyjaśniła babka przejęta. – Tera elektryczność mamy, to żadnych takich tam domowych, bożąt i inszych nie widać. A kiedyś przy świcy alibo lampie naftowej to i Domowika widać było, jak chałpę prząta, i Kikimór, jak wełnę przyndzie, dało zobaczyć się, bo ona strasznie kundziel lubi prząść na kołowrotku. No, nieczęsto to bywało, ale bywało...

– No to i za mojej czasach elektryczności nie było i przeróżne dziwadła widziało się, alem jeszcze takowej Kikimory nie uświadczyła – rzekła Słaboniowa, gapiąc się w stworka ciekawie.

– Słaboniowa co robi, zamiast mi dzieciaka męczyć! – wyszeptała rozeźlona Anetka.

– Zara, zara. Tyla się darła, to pinć minut wincyj jej nie zbawi – zachnęła się Słaboniowa.

Kikimora nie zwracała uwagi na szepty dochodzące z wersalki, tylko to śmiała się po swojemu, to szczypała Klaudusie w nos, wywołując coraz to nowe wrzaski, które bardzo ją widać radowały. Anetka, patrząc na to dręczenie, bez zastanowienia chwyciła z rąk matki garnek rosołu i rzuciła go na podłogę.

– Ceguj? – zasyczała Kikimora, zwracając ku nim swoje świńskie oczka. – Tera to tłusty rosołek poliują, a tak to ani syrka, ani mliczka, ani jajeczka nie dali.

– To ty tu na żarcie przyszła? – zapytała Słaboniowa.

– Nażreć to ja się tu nie nażarła, ale bachora małego podręczyć to zawdy wielika wesołość – zaśmiała się Kikimora. – Co babka mliczko wystawili, to zarućko ktosik zabirol, nic

ja się nie naźarła, oj, nic – poskarżyła się Kikimora i pogładziła po wklęstym brzuchu.

– A jak mlikiem będziemy wystawiać co dnia, to Klaudusię ostawisz? – zapytała drżąc babka.

– Oj, nie wiem... – droczyła się Kikimora. – Klaudusia taka dziewuszczyka milusia. My tu sobie we dwie siedzimy, gaworzymy, nikogo nam nie trza, chłopów nam nijakich nie trza, pogoniły my tych trutniów na cztery wiatry. Będziem tu sobie siedzieć same we dwie i zabawiać się będziem. – Kikimora uszczypnęła Klaudusię w brzuszeczek, powodując tym nowe wrzaski. Anetka zacisnęła pięści.

– Ty, Kikimoro – powiedziała. – Obiecuj, że jak ci będziemy wystawiać codziennie te twoje mliczko i syrek, i jajeczko, to Klaudusię zostawisz i spokój nam dasz, a chłopcy do domu wrócą.

Kikimora teatralnym gestem przyłożyła rosochatą łapkę do świńskiego ryjka i zamyśliła się głęboko.

– No – stęknęła wreszcie w wielkiej męce, a z ryjka pociekła jej cieniutka stróżka śliny. – No, jak mliczko, syrek i jajeczko razem, to dam pokój. Ale chłopów to ja wielce nie lubię, niech lepiej gdzie indziej siedzą.

– A takie to z tem tałatajstwem układanie! – sarknęła Słaboniowa, wyciągnęła z kieszonki garść soli i cisnęła w Kikimorę. W tejże chwili babka z niezwykłą dla niej szybkością doskoczyła do kołyski i drżącymi rękami zaczęła wiązać u wezłowia czerwone wstążeczki. Kikimora zamachała rękami, wrzasnęła coś bardzo nieprzystojnego i rozsypała się w pył jak garstka popiołu. Świecek zgasła zdmuchnięta nagłym powiewem wiatru, a w zapadłej ciszy pierwsze od tygodnia krople deszczu jęły kapać przez okno do pokoju.

– No, skaranie z temi duchami domowymi... – westchnęła Słaboniowa. – Targuj się o każdą mliczkę kropelkę, ani kawaleczka nie popuszczę. No ale jakżeś Anetka obiecała, to teraz trza ci chociaż ten spodeczek mlika rano wystawić dla Domowego. Kikimoro pokój da, jak się oba naźro. A bez te wstunżeczki ścierwo nie przędzie do Klaudusi.

– A kto to znowuż ten Domowy? – westchnęła Anetka.

– A to Kikimory mój. Jak on mliczka dostanie, to już jej tutaj nie puści. Domowy dobry, i posprząta, jak dobrze podję, i dzieciaka pokołysz, i do pieca dołoży...

– A ja słyszała, co ta Kikimoro to specjalnie chłopów nie znosi – zdziwiła się Zośka.

– Znosi, nie znosi, a mój i Kikimoro mieć musi. Ale Zośka, coś mi się widzi, że ty wincyj się na tych Kikimorach znasz, niż chcesz gadać – ozwała się Słaboniowa groźnie, podczas gdy Anetka próbowała wymacać włącznik od lampy.

– Jak ja była mała, to ja raz jeden widziałam tak Kikimorę przy młodszej mojej siostrze. Ale to wtenczas trojaczki Daniłowa powiła, to tam Kikimoro zara poleciała te trojaczki drynczyć

– powiedziała Zośka w ciemnościach grobowym głosem. – Ja wiedziała najspierw, że to jakaś zmora nieczysta. Słyszałam, jak kołowrotek kręci się wtenczas, co Aneta rodziła. I ja wiedziała, że te śmichy i ten kołowrotek to tego ścierwa sprawka. A jak elektryczność wysiadła, to ja ją widziała, jak świecę żeśta zapaliły...

– To czegoś nic nie gadała?! – zawrzęsła babka.

– A bo ja już tego bajania dosyć miała. We wsi ciągiem ino na językach nas majo, że zabobonne jesteśmy, a Słaboniowa ino w te i nazad lata dyjabły od nas wypędzać.

– I ty mnie o dymencję pomawiała! Własna wnuczka? Krew z krwi, kość z kości? – babka aż się zatchnęła w oburzeniu. – A ja się tyła wykosztowała na te wstunżeczki cyrwone, coś mi je zabirała. Cięgiem ino Januszka ganiałam do Chmielowa po te wstunżeczki i ganiała – lamentowała babka.

– Oj, babka da pokój, oddam babce za te wstążeczki – powiedziała pojednawczo Zośka i dodała błagalnie: – Słaboniowo, ja się bała, co nas za poganów jakichsiś wezno, a przecie my prawowite krześcijany...

– I bez te twoje krześcijańskie głupotę dziecko byś pozwoliła na tamten świat wyprawić – burknęła Słaboniowa rozeźlona. – I że niby ja uroki mam rzucać? Na własną swoją córkę krzestne? Oj, Zośka, Zośka, żeb ty chocia tyle rozumu miała, co kot napłacze...

– No, no, no! – oburzyła się Zośka. – A was to ja w kościele nie widziała chyba od Anety komunii, to z jedenaście lat bedzie albo i z dwanaście. Ludzie zawsze gadali, żeście wiedźma i tyła. A co, bo to wy nigdy uroków nie rzucały? Gadali, co krowy u Ciepeliów mleka bez rok nie dawali, bo podobnież Ciepeliowa wam afront jakiś w sklepie uczyniła. – Zośka spojrzła na Słaboniową triumfalnie.

– Co ludzie gadajo, to wisz, Zośka, wiera mnie obchodzi? – zapytała Słaboniowa. – A że z Ciepeliowej jędzą, to i prawda. A krowy to Ciepiele mieli chore na jakowąś zarazę, i tyła.

– No, wielcem ciekawa, z czego ta zaraza...

Szczęśliwie Anetce udało się zapalić światło, zanim doszło do awantury. Podbiegła zaraz do kołyski i poczęła Klaudusię całować, ścisnąć i na rękach nosić. Dziecko patrzyło po pokoju szeroko rozwartymi ślepkami i zaraz też do cycka zaczęło się pchać, jakby nic nie jadło przez całe swoje krótkie życie. Zośka patrzyła na rozlaną zupę, na której powoli zaczęła zastygać warstewka tłuszczu.

– I cały rosół na nic – westchnęła niepocieszona.

Słaboniowa położyła się wielce zadowolona, że wreszcie jest we własnym łóżku, wśród znanych od lat dźwięków i zapachów. Przez otwarte okna słyhać było usypiający szum deszczu, zmywającego kurz z traw, liści i kamieni, napełniającego stawy i rzeczki, wsiąkającego w spēkane pola. Pachniało mokrą ziemią i kwitnącym jaśminem. Słaboniowa wciągnęła z lubością świeże, wilgotne powietrze i zamknęła oczy. Gdy zasypiała, zdawało się jej, że ktoś

w oddali na fujareczce gra. Ślicznie a tęsknie.



WESELE

Żniwa tego roku trwały krótko i ledwie było co zbierać, ale mimo nieurodzaju wozy drabiniaste, ciągnięte przez ko nie i z rzadka traktory, jeździły pracowicie koło domu Słaboniowej tam i nazad. Kobity i dzieci chodziły po polach za kosiarzami, zbierając każdy kłosek, każde ździebełko zboża, a łąki były zgrabione do żywej ziemi, coby żadna trawka się nie zmarnowała. I Słaboniowa poprosiła Czarnego Jana, żeby też skosił jej łączkę za stodołą. Zgodził się za dużą gomółkę twarogu i dwie osełki masła.

Gdzieś niedługo przed dożynkami sołtys, od miasta jechawszy, zatrzymał się przy płocie Słaboniowej, która właśnie na podwórku ciągnęła wodę ze studni.

– Pochwalony! – Sołtys wygramolił się z samochodu i stanął przy furtce.

– A witajcie, sołtysie. – Słaboniowa, dzwoniąc rozgłośnie łańcuchem, przelała wodę do wiadra. – A coż to za świnto, żeście do mie zajechali?

– A córka wasza dzwoniła wczora. Kryśka. Sprawę jakąś do was ma i prosiła, cob Słaboniowa przysła dzisiaj po czwarty do telefonu, to znowuż zadzwoni.

– A poczekacie, to ja się migiem ubiere i pojedę z wami, i poczekam u was na to dzwonienie?

– A pewnie, co mam nie poczekać. Mogie poczekać – odpowiedział sołtys flegmatycznie.

Otóż i za parę minut Słaboniowa w zielonej chuście na głowie zamknęła drzwi chałupy na skobel, umościła się na przednim siedzeniu sołtysowego dużego fiata i pojechali.

– W takim aucie to jak królestwo jedzie się – powiedziała Słaboniowa, patrząc na mijane domostwa. – Mięciutko, wszystko widać, człowiek nie nachodzi się. Tera to takie wszystko wygodne, a ile człowiek się przez całe życie uchodził, unosił z ryncami do kolan, a tera ino hyc do auta i się jedzie, i się wiezie.

– Samochód, a i owszem, przydaje się.

– A sołtysowa zdrowa?

– Zdrowa, co ma nie być zdrowa.

– A dzieciaki?

– Chiba zdrowe. Wszystkie tera w mieście siedzo, a w domu ni ma komu robić – rzekł sołtys ponuro i zajechał na podwórze.

Dom miał sołtys porządny, murowany z pustaków, z czerwoną plakietką, na której

białymi literami nazwa urzędu była wypisana. Na czysto zagrabionym, żwirowanym podwórku, przed szeroko otwartą stodołą stał nowy ciągnik i kilka maszyn rolniczych. Na schodki wyszła sołtysowa, wycierając ręce w fartuch. Była małą i chudą kobitką, o wielkich, nieco przestraszonych oczach.

– Do telefonu przyjechaliście?

– Ano – potwierdziła Słaboniowa. – Podobnież moja Kryśka dzwoniła.

– Ja tam nie wim. Toż Janek z nio gadał. A zachodźcie, zachodźcie, zara wam harbaty narobie.

Usiedli w kuchni przy stole nakrytym ceratą. Sołtysowa bezszelestnie przyrządziła herbatę, postawiła szklanki na stole i wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Budzik stojący na kredensie tykał, muchy bzyczały na oknie. Sołtys siedział nieruchomo, ćmiąc extra mocnego i gapił się w ścianę. Czekali.

– A żona gdzie poleciała? – przerwała ciszę Słaboniowa.

– A ja tam wim? – sołtys machnął ręką. – Musi na ogrodzie coś tam plewi. Ona do ludzi to nie bardzo...

– A wy już po żniwach?

– Ano po żniwach – powiedział melancholijnie sołtys. – Wiele do zbierania nie było. Wszystko idzie ku upadkowi.

– He? – Słaboniowa zerknęła na niego podejrzliwie. – Jakże ku upadkowi?

– Ano ku upadkowi. Zbiory marne, co za tym idzie, ceny paszy i artykułów żywnościowych znowuż pójdą w górę, co za tym idzie, bieda będzie do następnego roku, a co za tym idzie, morale w narodzie upadnie, a jak morale upadnie, to już ino gorzej być może – wyjaśnił sołtys uczenie, zaciągając się mocno papierosem.

– Ino gorzej? – zaciekawiła się Słaboniowa.

– Ano gorzej. Bo wszystko ku upadkowi idzie. W poważnych pismach tak stoi. I w telewizji gadali, że jakieś Indiany przepowiedziały. Ino dwa lata jeszcze podług obliczeń i... - Sołtys uderzył pięścią w dłoń. – Wielgie bum!

– Wielgie bum, powiedacie – powtórzyła Słaboniowa, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Ano bum! – potwierdził sołtys, znowuż uderzając pięścią w dłoń. – A do tego ludzie na polach padają jak muchi.

– Jakże to, padają?

– Ano padajo. Słońce pali jak skurczybyk, ludzie na polach nie pilnują się, w samo południe po polach łązo i od udaru padajo.

– Od udaru, powiedacie? – zafrasowała się Słaboniowa.

– Ano od udaru. Nie to, żeby od razu padali na ament, ale co i raz ktoś zasłabnie w polu i do szpitala go wiezo, a jedna dziewczucha z Czarnocina to w szpitalu tera ponoć zmarła. U nasz jak dotąd jednemu się ino zmarło.

– A kto taki?

– A był taki muzykant, Antek Sine Oko na niego wołali, bo jak po weselach grywał, to zawdy z kimś w awanturę włoż. Na skrzypcach grał, a ślicznie... – cmoknął sołtys, przymykając oczy.

– A pamiętam. Ja była kiedyś na weselu, co on grał. I po prawdzie tyż jakaś bitka z nim wtenczas była.

– No, on już z dziesięć lat to nie grał po weselach, bo upijał się szybko i gospodarze płacić mu nie kcieli. Ale jak tak nie bardzo napił się, to ślicznie grał, oj, ślicznie...

Zadzwoił telefon. Sołtys niespiesznie podszedł do szarego aparatu stojącego na kuchennym blacie, podniósł słuchawkę, poczekał chwilę i wreszcie powiedział dostojnym tonem:

– Halo, słucham... A, tak, już proszę. Podejdźcie, Kryśka zara na linii będzie – podał słuchawkę Słaboniowej. Słaboniowa z ciężkim westchnieniem wzięła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Najpierw usłyszała jakieś trzaski i szumy wymieszane z dochodzącymi z oddalenia głosami ludzkimi, ale nic nie można było z nich wyrozumieć.

– Mówi się, mówi – powiedziała telefonistka wysokim głosem pełnym pretensji, a potem ozwał się inny jeszcze głos.

– Mama?

– A kto mówi? – zapytała Słaboniowa.

– Mówi się, mówi? – zapytała z naciskiem telefonistka.

– No mówi się, mówi! – ryknął niecierpliwie głos w słuchawce. – No, to ja, Krystyna, a kto ma do mamy niby dzwonić?

– Nie drzyj się, Kryśka, nie drzyj – powiedziała Słaboniowa. – No co tam u was?

– A u nas, jak to u nas, stara bida. Ale ja do mamy z taką sprawą. Olusię byśmy chcieli mamie na parę dni przywieźć. Dla Franka mamy obóz harcerski, dla Renatki kolonie, a dla Oli już nie nastarczyliśmy. Zresztą ona mała, nic dla niej nie ma odpowiedniego. Weźmie ją mama na dwa, trzy tygodnie? Ja się denerwować nie będę, że z obcymi siedzi, a dziecko świeżym

powietrzem pooddycha. – Zapadła cisza. Telefonistka warknęła znudzona: – Mówi się, mówi.

– Ano weznę, co mam nie wziąć? A zajedziesz ty na jeden dzień chociaż?

– W sobotę ją Zygmunt przywiezie, ja nie mam czasu, bo sobotę mam pracującą. No i Cecylia znowuż w szpitalu, ubranie jej jakie czyste muszę zawieźć. Skaranie boskie...

– To ona ciungle na te z głowo kłopoty choruje?

– A co mama myślała? – zachnęła się Kryśka. – Jak by mama chociaż raz na rok do nas przyjechała, chociaż na święta, to by mama wiedziała. Toż dwadzieścia lat już będzie, jak Ceśce na dekiel bije, a ja mam wszystko na swojej głowie. A mogła tak dobrze żyć z tym od tej fermy kurzej, z tym Lechem. To był facet! I forsy miał, i dom dobry, murowany, i samochód, i wszystko. Ale nie, ta zawsze coś wymyśli, na wieś nie chciała w kurzych gównach się babrać – sarknęła Kryśka. – Ja to bym szła za takim jak w dym, ale ona nie, dla niej ferma kurza niedobra, że on studiów nie ma i nie będą mieli o czym rozmawiać. A bo to w małżeństwie się gada? Zresztą... – Kryśka westchnęła. – Kto by tam z taką wariatką ślub brał?

– Już ty mnie o tym tyła nie gadaj – burknęła Słaboniowa.

– Mówi się... – ponagliła telefonistka z cieniem zainteresowania w głosie.

– A komu mam gadać, jak nie mamie? – zapytała Kryśka i ciągnęła dalej: – Wszystko na mojej głowie, to tyle mojego, że se pogadam. No to w sobotę przyjadą. Tylko niech jej mama tymi swoimi historiami głowy nie napycha. I niech jej mama każe spać oddzielnie. Już sześć lat ma, a ciągle nam się pcha do łóżka. I niech mleko pije codziennie prosto od krowy, bo to mówią w telewizji, że wapnia ma dużo i zdrowe na kości. I niech jej mama codziennie bieliznę zmienia. No. – Kryśka złapała oddech. – A mama zdrowa?

– No, ja to już chyba najzdrowsza z was wszystkich – powiedziała Słaboniowa.

– No to i dobrze – odetchnęła Kryśka. – No to ja kończę, bo co ten telefon piniendzy naciągnie, to jest niemożliwością. No to do widzenia, mammo.

– A zajedź kiedy... – zdążyła jeszcze powiedzieć Słaboniowa, ale w słuchawce tylko coś brzęknęło, stuknęło i znowu szumy i trzaski było słyhać, i dalekie głosy obcych ludzi.

Gdy Słaboniowa wychodziła, na schodkach podleciała do niej sołtysowa i wyszeptwała bardzo poważnie:

– Słaboniowo, a znacie jakiesiś ziółka, co by mu to wielkie bum z głowy wykurzyć? On nic ino ciągiem siedzi, te papirosy ćmi i o końcu świata duma. Ale przecie nijakiego końca świata nie będzie, nie? – Sołtysowa patrzyła z nadzieją swoimi brązowymi, sarnimi oczami.

– Po mojemu to do końca świata jeszcze trochu. Pewnikiem wincyj nad dwa lata. Pewnikiem wincyj nad nasze życie na ty ziemi – uspokoiła ją Słaboniowa, patrząc w niebo. – A mężowi dziurawiec parzcie, na nerwy dobre to je ziółko i śpik po tym lepsiejszy, i na noc

telewizji niech nie oglunda, a już specjalnie dziennika wieczorem, bo to nerwy rozmaite napędza. A wy... – Słaboniowa wzięła sołtysową pod brodę – jidzcie wincy. Masła jidzcie. Syra tłustego jidzcie. Bo ani się obejrzycie, jak z tej chudości na chorobę wam przyndzie.

– Dziękuję Słaboniowej – szepnęła sołtysowa, mrugając oczami, i uciekła zarumieniona z powrotem do roboty.

Jak Kryśka zapowiedziała, tak też się stało. W sobotę przyjechał Zygmunt z małą Olą – bardzo poważną, ciemnowłosą dziewczynką. Słaboniowa ostatnio widziała wnuczkę, kiedy ta była jeszcze bąblem ledwo od ziemi odrosłym, więc zdziwiła się niepomierne, widząc pannicę z warkoczami przewiązаныmi niebieską wstążką, pasującą kolorem do eleganckiej sukienki i buczków. Do Kryśki nie była podobna, bardziej w Zygmunta poszła z zadartym nosem i okrągłymi, brązowymi oczami.

Przywitali się. Zygmunt wniósł bagaże, usiadł na chwilę, spojrział na zegarek i stwierdził, że jechać już musi, bo czas to pieniądz. Po czym wsiadł do swojego czarnego samochodu i pojechał.

Słaboniowa popatrzyła na Olę, która stała na środku izby i spoglądała bez słowa na swoje błyszczące, niebieskie buczki.

– Ale żeś wyrosła – powiedziała Słaboniowa. – A ile ty masz lat, Olusia?

– Sześć. I w przyszłym roku pójdę do pierwszej klasy – odparła dziewczynka.

– A, no to pięknie. Zjisz co? – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Masz tu parowańca. Specjalnie na twój przyjazd nagotowałam. Na obiad jeszcze za wcześnie. – Słaboniowa podała Oli coś, co przypominało trochę dużą, okrągłą kluskę, a trochę niedopieczoną bułkę. Dziewczynka popatrzyła nieufnie. – Na, jidz. To dobre – zachęciła ją Słaboniowa.

Ola wreszcie wzięła parowańca i ugryzła kawałek. Był ciepły, lekki i w środku wypełniony słodkim twarogiem. Zjadła całego zupełnie już ze smakiem. Zapadło milczenie.

– No, trza mi iść na ogród. – Słaboniowa wytarła ręce w fartuch i wstała z krzesła.

– A co będziesz robić?

– A grzundki bede plewić. Marchewkę, buraki... Urwiem parę, to botwinka na obiad bedzie – powiedziała Słaboniowa. – Dała ci matka co do latania? Bo w ty sukience to ino siedzić można.

Ola pokazała palcem na czerwoną walizkę. Słaboniowej udało się znaleźć wśród szmatek cośkolwiek nadającego się do chodzenia po dworze, dała dziewczynce do przebrania i poszły razem do ogrodu.

Słaboniowa zgięta wpół wrywała chwasty, otrząsała je z ziemi i rzucała na kupę. Co jakiś czas ze stęknieniem prostowała się, kładła obie ręce na krzyżu i patrzyła przez chwilę

w niebo, po czym wracała do pracy. Gdzieś na niebie ukryte śpiewały skowronki, wiaterek przewijał się w gałęziach drzew, dzień był gorący, słoneczny.

Ku zadowoleniu Słaboniowej Ola nie gadała wiele. Siedziała w cieniu jabłonki i obserwowała, jak Słaboniowa miarowym krokiem przesuwając się wzdłuż grządki. Patrzyła na rozłożysty tyłek starej, na jej duże, opadające na brzuch piersi opięte kamizelką z melanzowej wełny, na opuchnięte łydki pokryte fioletowymi żyłami, wijącymi się niczym kręte strumyki znikające pod rąbkiem pasiastego fartucha, wreszcie na ręce, w które wżarła się ziemia, znacząc je czarnymi przecinkami.

– Babcia...

– No? – Słaboniowa wyprostowała się z głuchym stęknieniem.

– Ile ty masz lat?

Słaboniowa zamyśliła się.

– Z siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt... A może i z dziewięćdziesiąt będzie. A bo ja wim, dziecko? Lat już od dawna nie liczę.

– To ty jesteś stara – stwierdziła Ola z szacunkiem dla niewyobrażalnych dla niej liczb osiemdziesięciu albo nawet dziewięćdziesięciu lat życia.

– Ano jezdem – Słaboniowa roześmiała się gromko i popatrzyła w niebo.

Wieczorem Słaboniowa zaścieliła łóżko w drugim pokoju, który wysprzątała i wywietrzyła dzień wcześniej. Ale Ola czuła cały czas dziwny zapach, jaki unosi się tylko w pomieszczeniach, które od dawna stoją puste. Na ścianie wisiły rządkiem święte obrazy, ich górna krawędź była odchylna od ściany i święci pochylali się ku Oli, która nie była całkiem pewna, czy brać to za wyraz ich troski o nią. Leżała w szeleszczącej, sztywnej pościeli, pod grubą pierzyną i nasłuchiwała nocnych dźwięków. Coś skrzypiało za oknem, coś szeleściło pod podłogą i skrobało gdzieś w suficie. Daleko we wsi ujadał pies, nieustannie i piskliwie. W jasnym, zimnym świetle księżycy wpadającym przez okna wyraźnie było widać, że postacie świętych wychylają się z zaśnieżonych ram i poruszają ustami, jakby chciały coś powiedzieć. Święty Jerzy właśnie przebijał długą dzidą wijącego się na skale smoka, który wydawał się mały i całkiem niegroźny. Dziecko siedzące na ramieniu św. Krzysztofa machało ręką, jakby na pożegnanie, a św. Klara, w zamyśleniu, obracała w dłoniach pachnącą białą lilię. A wszyscy zastygli w pół gestu, jakby coś szeptał do niej, ale co, tego zrozumieć nie mogła. Jeden tylko Franciszek patrzył gdzieś w bok, rozprawiając o czymś z gołębiami siedzącymi na jego ramionach.

– Babcia...

Słaboniowa otworzyła oczy i ujrzała nad sobą Olę ściskającą w ramionach żółtego misia.

– No, a co ty nie śpisz, Olusia?

– Mogę spać z tobą?

Słaboniowa pomyślała chwilę.

– Ano, kładź się. – Ola wdrapała się na łóżko i przelazła przez Słaboniową na miejsce od ściany – A nakryj się tam dobrze – powiedziała Słaboniowa. Ola ziewnęła. Leżały tak chwilę obok siebie, Słaboniowa z rękami splecionymi na piersi, Ola ze swoim misiem przy boku.

– Babcia...

– No?

– Dziwnie pachniesz.

– To starość – odrzekła Słaboniowa. – Starość tak czuć.

Ale Ola już spała. Słaboniowa słyszała jej krótki oddech i szybkie bicie serca, o wiele szybsze niż jej własne. Oddech dziewczynki uspokoił się powoli i wydłużył. Słaboniowa leżała na wznak. Słuchała.

Ostatnie upalne dni lata leciały Słaboniowej szybko i zaczynała myśleć z pewnym niepokojem o tym, że pora wyjazdu Oli zbliża się nieuchronnie. Chodziły razem do lasu szukać jagód i malin, karmiły zwierzęta, razem jadły, odpoczywały i słuchały radia. Wieczorami Ola oglądała dobranockę, a potem Słaboniowa, podczas dziennika, przysypiała na krześle z rękami złożonymi na podolku i głową opadającą na pierś. Nawet spały razem, bo Ola do pustego pokoju ze świętymi obrazami za nic już wejść wieczorem nie chciała. Ostatniego piątku Słaboniowa zabrała Olę na polanę na skraju lasu, żeby narwać ziół.

– O, zobacz Olusia, to je rumianek. – Słaboniowa rwała koszyczki białych kwiatków i rzucała na rozłożoną na trawie chustę. – Na brzuch dobry i na rany nakładać można, jak zapalenie wchodzi.

– Aha – powiedziała Ola poważnie.

– A to, zobacz, dziurawiec. Na złe myśli, smutki, na głowy bolenie i na wszystkie ogółem trzewia, co człowiek ma w środku. – Słaboniowa zerwała gruby wiecheć sztywnych gałązek okrytych żółtymi kwiatkami.

– Aha – powiedziała Ola.

– O, a to, widzisz, pokrzywa. – Słaboniowa zaczęła rwać ostrożnie długie badyle. – Takie sobie niby tyż to zwykłe ziele, a ile dobrodziejstw niesie. Bo to i na wszelkie trzewia jak dziurawiec działa, tylko lepi, i na sraczkę pomaga, i na nadmierne krwawienie, i na liszaje, i na oparzeliny, a jak włosy w pokrzywie płuczesz, to lepi rosno i ładne so.

– Aha. Babcia, a to? – Ola klęczała przy dużej roślinie o grubej łodydze, mięsistych

liściach i białych kwiatach rozchylających się w duże kielichy. – Mogę zerwać?



– Nie ruszaj! – krzyknęła Słaboniowa. – Kiedyś, jak podrośniesz, to może i zerwiesz, ale tera to za groźne dla ciebie.

– A czemu? – Ola przyglądała się pięknym, śnieżnobiałym kwiatom z mieszaniną zachwyty i przerażenia.

– Widzisz, Olusia, sum takie rośliny na świecie, co można nimi leczyć przeróżne choróbska, ale tyż można zemrzeć od nich. Takoż to z dędero je. Gadajo na nio trąba anioła, ale i diabelskie ziele, bo kiedy wisz, jak się z nim obchodzić, to na oddychanie dobry je, na oskrzela, uważasz, i na trzęsawki różne, co na człowieka przychodzo, i jak dobrze przyrządzisz, to i mądrości cię jakiej może nauczyć, w kłopocie pomóc, ale kiedy nie znasz siły tego zielska i bezrozumnie go użyjesz, w podróż daleko cię zabierze, z której powrotu ni ma. Taka to moc. – Słaboniowa zapatrzyła się między drzewa, jakby coś rozpamiętując.

– Jak to?

– Ano tak to – powiedziała Słaboniowa. – I takoż je z lulkiem czarnym, czarcim zielem zwanym, co na skołatane nerwy dobry je i na korzonki działa, i z belladonna, co uczenie pokrzyk wilcza jagoda zwie się, a na kaszel, kolki i dychawice dobra je. Wszystkie te roślinki pomoc mogo alibo do szaleju doprowadzić. A jak je wszystkie razem zmieszasz... – tutaj Słaboniowa pochyliła się nad Olą i zniżyła głos do chrapliwego szeptu – i mandragory dodasz, co korzeń ma do małego człowieczka podobny, to maść czarodziejско możesz utrzyć. A jak głupia jezdeś i ze złymi mocami się zadasz, co zakłęcie ci podpowiedzą, i się to maścio nasmarujesz, to latać możesz i wszystko z góry widzieć, i gdzie chcesz, to się znajdziesz.

– Latać? – Ola otworzyła szerzej oczy.

Słaboniowa roześmiała się nagle i dała wnuczce lekkiego pstryczka w nos.

– Nie dawaj wiary we wszystko, co ci stara baba gada. – Na powrót pochyliła się nad jakimś ziele. – O, a tutaj, widzisz, mięta rośnie. Dobre to ziele. Na kolki działa, na wzdęcie

działa, wiatry pobudzając, i na wszelkie z brzuchem udreki, co z nadmiaru jedzenia wynikają, robactwo wszelkie odgania, jako to wszy, pchły i insze, na katar pomaga i na womity. Harbatki sobie miętowej naparzym, jak wrócim, Olusia... – Słaboniowa obejrzała się, ale dziewczynki nie było, a w miejscu, gdzie przed chwilą kucała, została tylko lekko przygnieciona trawa, której źdźbła już zaczynały się podnosić. – Ola! – zawołała, ale nikt nie odpowiedział.

Słaboniowa rozejrzała się dookoła. Czubki drzew chwiały się na tle błękitnego jak farbka nieba, pszczoły i trzmiele bzycały leniwie nad rozgrzaną polaną, błyskając w słońcu swoimi brązowo-miodowymi futerkami. Powietrze stało nieruchome, żadna trawka nawet nie drgnęła, jakby Słaboniowa była tutaj całkiem sama, jakby żadna mała dziewczynka nigdy tu z nią nie przyszła.

– Ola, Olusia! Skaranie, gdzież ten dzieciak?! – zawołała znów Słaboniowa i poszła pośpiesznie ku dróżce leśnej, którą tu przywędrowały. Spojrzała w lewo i w prawo, ale oba końce pustej drogi ginęły w cichej, zielonej gęstwinie i tu także Oli nie było. Stara wróciła na polanę, nawołując wnuczkę zdartym głosem. Może poszła gdzie w krzaki za potrzebą, a teraz drażni się z babką i siedzi cicho dla zabawy, przekomarzać się chce. A może wystraszyła się czego i uciekła do domu. Nie trzeba było gadać o tych maściach i złych mocach, ganiła się w myślach Słaboniowa. Nagle posłyszała od strony pola jakby warczenie psów, które ucichło i wybuchło znowu, przetykane pojedynczymi szczęknięciami przechodzącymi w zawodzący skowyt, to znów żałościwe skomlenie. Słaboniowa wybiegła na skraj polany, gdzie ostre słońce niemal ją oślepiło, i poprzez łzy napływające do oczu zobaczyła Olę, jak stoi całkiem sama z zadartą głową w pełnym słońcu i jakby coś gada. Żadnych psów przy niej nie było.

– Ola, chodź tutaj!

Ale Ola stała, nie słysząc, i chwiała się lekko, jakby miała zaraz upaść. Słaboniowa podbiegła do niej, chwyciła za ramiona i potrząsnęła mocno.

– Ile razy mam ci gadać, co byś w słońcu nie siedziała, bo osłabniesz?!

Dziewczynka, drgawkami wstrząsana, wywracała oczami i mamrotała coś nieprzytomnie.

– Biała pani – mówiła, pokazując ręką przed siebie. – Tam była biała pani.

– Dziecko, ty od rzeczy coś gadasz. – Słaboniowa przyłożyła rękę do czoła dziewczynki. – Toż ciebie słońce przypaliło. Do dom idziem. – Ale Ola już leciała starej przez ręce. Słaboniowa zarzuciła chustę z ziołami na plecy, wzięła wnuczkę na ręce i sapiąc ciężko, poszła do domu. Szczęśliwie niedaleko od chałupy odeszły.

W domu położyła Słaboniowa dziewczynkę na łóżku i mokrymi, zimnymi prześcieradłami ją obłożyła. Po paru minutach Ola oprzytomniała i popatrzyła na babkę, która siedziała na krześle przy łóżku ze szklanką wody w dłoni.

– Na, pij. – Słaboniowa przyłożyła szklankę do ust wnuczki. Ola napiła się i opadła na poduszkę. – Słońce cię przygrzało – wyjaśniła Słaboniowa. – Jak w słońcu długo człowiek stoi, to głowa mu się przegrzewa i w słabość popada.

– Aha. Babcia...

– No?

– To nie słońce. To była biała pani – powiedziała Ola z całkowitą pewnością.

– No i masz... – sapnęła Słaboniowa. – Biała pani, powieasz.

– No. Ale taka straszna, nie biała dama, co chodzi po zamku w bajce, tylko ta była taka bardzo wysoka, długa i biała, worek miała na plecach, pazury długachne takie, do ziemi, i kły ostre, trochę takie jak u świni. I miała siedem czarnych psów i one warczały na mnie. To była bardzo zła pani.

– Aha – powiedziała Słaboniowa. – I gadała co ta zła pani?

– Najpierw mnie pytała, do czego pokrzywa służy, ale ja zapomniałam wszystkiego, co mi mówiłaś. To ona powiedziała, że mnie tą pokrzywą po nogach będzie biła, a potem mnie zabierze i zje, że mnie do worka wrzuci, a potem zje, ale przyszedł pan z wąsami, w mundurze z medalami, i przegonił białą panią, i więcej nie pamiętam, i głowa mnie bardzo boli. – Ola się rozplakała.

– Przejdzie, to zara przejdzie, Olusia. – Słaboniowa przyłożyła Oli świeży okład z szmatki wymoczonej w zimnej wodzie. Nie wiadomo skąd w izbie pojawił się Mruczek. Usiadł koło Słaboniowej i patrzył na Olę, przekrzywiając w bok łepki. Po chwili wskoczył w nogi łóżka, umył uszy, wymościł sobie miejsce, ugniatając łapkami miękką pierzynę, i zwinięty w kłębek przyknał oczy.

– O, kotek. – Ola uśmiechnęła się przez łzy i zasnęła.

Słaboniowa posiedziała jeszcze, myśląc o czymś zawzięcie. Wreszcie wyciągnęła z szuflady w kredensie zdjęcie sepiove z karbowanym brzegiem, na którym młody mężczyzna w galowym mundurze żołnierskim stał z dumnie wypiętą piersią i namarszczonym czołem. Słaboniowa delikatnie przyglądała jego nastroszone groźnie wąsy.

– Toś ty Hendryk myślał, że jak po wojskowemu staniesz, z medalami za męstwo, to Przypołudnica bardziej się przerazi i Olusie puści... – Słaboniowa westchnęła rozgłośnie i schowała zdjęcie na powrót do szuflady, pomiędzy dwa żółtkę ze starości listy zaadresowane kwadratowym, przysadzistym pismem do Teofili Maciorkowskiej.

Następnego dnia przed wieczorem do Słaboniowej przysłała Anetka z Klaudią w wielkim, czerwonym wózku. Siadły na ławce pod jabłonką. Klaudia uśmiechała się do wszystkich i wszystkiego, poczynając od Oli, która zaglądała do wózka z najwyższym zainteresowaniem, a kończąc na dużym palcu własnej stopy. Jej czarne oczy świeciły w puciołowatej buzi niczym dwa wilgotne kamyczki, a nad czołem sterczał zawadiacko długi, jasny lok. Czasem gadała coś do siebie, puszczać przy tym z ust małe bąbelki śliny.

Anetka również była zadowolona. Stasiak przyjechał z miasta i siedział w domu bite dwa tygodnie. Klaudia nie płakała wcale, w nocy spała bez przestanku, a rano budziła się i cicho czekała na pierwsze karmienie.

– Ja to aż nawet czasem boję się, bo ona tak cicho leży, że nawet oddechu nie słychać. – Anetka spojrzała z troską na wózek, przy którym siedziała Ola i machała przyjaźnie grzechotką. – Tak cicho siedzi.

– Wykrzyczała się już ona za wszystkie czasy – powiedziała Słaboniowa. – Wiesz ty co, Anetka, że Przypołudnica Olusie mi przysmałiła?

– Znaczy się udaru dostała?

– Udaru, nie udaru – burknęła Słaboniowa. – Widziała biało panio z czarnymi psami w liczbie siedmiu. Jej słowa powtarzam. No, to znaczy się Rżano Babę widziała, Biało Panio, z wielgimi zębami, Przypołudnicę chyba, nie?

Anetka przewróciła oczami ze zniecierpliwieniem.

– Na udar to faktycznie co i raz ktoś zapada. Dzieci strach na dwór puszczać, bo zaraz się na nogach słaniają. Już u nas Antek Sine Oko zmarł, bo pijany na słońcu siedział i ktoś podobnie w Czarnocinie.

– A słyszałem, sołtys gadał.

– No, a teraz podobnie ta babka Dominikowa też zmarła na udar.

– Wściekła się ta Przypołudnica czy co? – zapytała Słaboniowa. – Zara pół wsi do grobu pójdzie, jak taka zaciekła zrobiła się.

– Słaboniowo, to nie jest żadna Przypołudnica, tylko udar słoneczny. Od słońca to się robi, a nie od żadnych bab.

– Ale mundra to żeś się zrobiła, Anetka – burknęła Słaboniowa urażona. – Pomnisz, jak ty w ciunży z Klaudusio była, to żeś tak się nie mundrowała. Pomnisz? Słaboniowa taka mundra, gadałaś, Słaboniowa co poradzi, gadałaś. Żeb ty tylko w Zośkę nie wrodziła się, bo ja się bojam, że rozum to ty po niej masz. Ale ja wim, pamięć krótka, a już specjalnie, gdy życie wygodne i w garku do zjedzenia co je. Ale do czasu, Anetka, do czasu. – Słaboniowa pokiwała głową i popatrzyła na zachodzące nad lasem słońce. Anetka wzruszyła ramionami, ale zerknęła na Słaboniową spode łba, a niepewnie.

– No, matko krzestna, nie ma co się tak gorączkować. Dla was Przypołudnica, a dla mnie udar, i tyle – powiedziała pojednawczo.

Słaboniowa machnęła ręką.

– Napijesz się co, Anetka? Ja mięty rano naparzyła, to tera dobrze zimna będzie.

W piwniczce żem trzymała.

– A pewnie, że się napiję – powiedziała Anetka, zadowolona, że temat sił nadprzyrodzonych się skończył.

Gdy Słaboniowa wracała z dzbankiem chłodnego naparu i trzema kubkami, przy furtce z piskiem hamulców zatrzymał swój motocykl sierżant Garsija – pękaty i nieduży milicjant z Chmielowa. Na czubku jego jajowatej głowy chwiały się niezapięty biały kask, a pod nosem pysznił się wielki czarny wąs, dzięki któremu milicjant zyskał swoje przezwisko. Sierżant Garsija wtoczył się na podwórko, chwytając powietrze jak ryba wyjęta z wody, i zapytał:

– Dzień dobry, dacie się coś napić, bo gorunc taki, że szkoda gadać?

– A pewnie, siadej, Mietek, zara mięty dam zimnej.

– A byle woda może być – sierżant klapnął z ulgą obok Anetki. – No, takiego lata to dawno nie mieliśmy, co nie?

– Ano, dawno – potwierdziła Słaboniowa, siadając na ławce.

– A co was do Capówki sprowadza? – zapytała Anetka żądna ciekawostek.

– Aaa... – sierżant machnął ręką, wyjął tytoń i skręcił sobie wprawnym ruchem papierosa. – Sołtys dzwonił, że awantura u Antoszczuków jest. Andrzej się ze szwagrem pobił. Na siekiery, rozdzielić ich nie było można. No to przyjechałem, polałem ich wodą ze szlauchu i pouczenie dałem.

– Aha – powiedziała Anetka. Z sieni wyszedł Mruczek, usiadł na schodkach, udając, że nie widzi zebranych, umył dokładnie prawą przednią łapę i odszedł dostojnym krokiem za swoimi sprawami.

– No. A jakie trzy tygodnie temu to mnie wzywali do Antka Sine Oko, bo przyczyna śmierci była niepewna. – Sierżant Garsija zaciągnął się z lubością, a wokół niego rozszedł się gryzący dym z ledwo co wysuszonego tytoniu.

– Toż na udar podobnie zmarł po pijaku – zdziwiła się Anetka.

– Niby na udar. Ale dziwny to był udar. I właśnie, że nie po pijaku, bo najdziwniejsze, że Antek jak świnia był trzeźwy, i to nas najwięcej zastanowiło, bo Antek przecie zawsze był wypity.

– Trzeźwy był? – zapytała Słaboniowa wyraźnie zaciekawiona.

– No, toż mówię, że trzeźwy jak świnia, ani pół promila we krwi nie było. Siedział na ławce pod studnią, a tam ani drzewka, ani krzaczka nie ma, żeby od słońca się schronić. Siedział tak z oczami otwartymi szeroko, a z miną rozmaśloną, jakby anioła zobaczył przed śmiercią. Obok niego kubek stał z wodą nieruszony. Ale to jednak udar był, patolog stwierdził z całą

pewnością. Szkoda chłopaka. Muzykant z niego był pierwsza klasa, tylko gorzałka mu szkodziła.

– No, pięknie grał, pięknie – potwierdziła Słaboniowa. – Ja była kiedyś na takim weselu, co on grał, to ludzie ledwo nogów nie gubili przy oberkach. Kiedyż to było? – Słaboniowa zamyśliła się. – To było już po komunii twojej, Anetka. Gdzieś z rok, no to będzie z dwanaście lat. To było weselisko, cało wieś sprosili, do rana się bawili i jeszcze dnia następnego. Ja to ni, ja to za stara na takie zabawy, ja to ino siedziała, a i to nie do rana, a potem jeszcze w workach ciasta roznosili po wszystkich, bo tyla dobrego zostało...

– A, pamiętam! – zawołał sierżant. – Mnie też prosili. To się wtedy żenił Albin Zapasiuk, a to mój daleki kuzyn po kądzieli, z taką dziewczuchą nie od nas. Jak jej było? – Garsija zaczął szukać w pamięci. – Kurna, nie pamiętam, bo ona zara po tym weselu uciekła, i tyla ją Albin widział.

– Aniela – powiedziała Anetka, jak gdyby nigdy nic. Sierżant i Słaboniowa popatrzyli na nią zaskoczeni.

– Ano właśnie, że Aniela Podolak jej było – przypomniał sobie sierżant Garsija, uderzając ręką w czoło. – A skąd ty to niby wiesz, toż ty wtedy ledwo od ziemi odstawała? – popatrzył na Anetkę podejrzliwie.

– No co? Bo ja też byłam na tym weselu z rodzicami przecież. Osiem lat już miałam i wszystko pamiętam, jakby to dziś było. Nigdy na takim weselisku już potem nie byłam. A panna młoda, ta Aniela, to tak ładnie tańczyła, ze wszystkimi tańczyła, że ten Albin to tylko czerwony chodził ze złości przez całe wesele.

– Bo to podobnie latawica była, jakich mało – rzekł milicjant, wypuszczając siwy kłęb dymu. – A Zapasiuki naonczas to byli bogate, tyle co oni mieli łąk i pola, to nikt we wsi nie miał. A jeszcze stary Zapasiuk to młyn przecież miał, po tym dopiro przechlał te łąki, a młyn na marnację poszedł i nieczynny stoi... Dla takiej przybłedy Albin to była partia, że lepszej by nie znalazła. U nasz w rodzinie to wszyscy gadali, że se dziwkę bierze za żonę i to jeszcze podrzutka z domu dziecka, co ani piniendzy ni ma, ani nic. Ale Albin uparty był jak wszystkie Zapasiuki. Powiedział, że tylko tę jedną chce i żadnej innej i że takie weselisko wyprawi, że cała wieś będzie latami pamiętać. I jeszcze gadał, że jak dziewczyna zabawę lubi, to żaden grzech. I tera ma chłop zabawę. Dziewka go puściła w trąbę w samą noc poślubną, a on dwanaście lat siedzi w domu sam z matką i chla.

– W noc poślubno, powieasz? – spytała Słaboniowa. – I co, nie szukali jej?

– W noc poślubną, przecie mówię. Jak kamień w wodę. Albin gadał, że jakaś awantura między nimi wynikła i ona spakowała manatki, i poszła tak jak stała, i gadała, żeby jej nie szukać. Dla porządku Zapasiuki zaginięcie zgłosili, bo cała wieś gadać zaczęła, że panna z miasta Albina w trąbę zrobiła. Ale żadnych poszlak nie było, żadnego powodu, żeby się zaczepić. Zresztą nacisku takiego nie było, żeby szukać, to i nikt nie szukał.

– I Albin tyż jej nie szukał? – zapytała Słaboniowa. Sierżant wzruszył ramionami.

– A kto by tam szukał takiej latawicy? A stary Zapasiuk to jeszcze mu nawet zabronił.

– Jakby kochał, to by szukał – stwierdziła Anetka.

– No ale nie szukał! – powiedziała milicjant ze zniecierpliwieniem. – A że ona była sierota, ta Aniela, to i nawet żadnej rodziny nie było, żeby zawiadomić czy kogo zapytać. Musi do miasta pojechała i tam do tej pory się kręci i zabawia.

– No i na weselu tyż rodziny ona nijakiej nie miała – przytaknęła Słaboniowa. – Ino była jakaś dziewczucha, podobnież kuleżanka z tego sierocińca. A tak to wszyscy od nas byli.

– A ta koleżanka to całkiem do rzeczy była – uśmiechnął się nagle sierżant Garsija. – Taka w sobie, duża, czarniawa, bo ta Aniela to ryża była, od razu widać, że fałszywa i diabła ma pod spódnicą. No a tej czarnej Hanka było. A tańcowałem z nią trochu na tym weselu, a co...

– I co? – zapytała Anetka.

– No co?! Nic. Potańcowałimy i tyle. Ona to takie miastowe miała trochu maniery, gadała tak ładnie i na ten teges to się znała.

– Jakim ten teges? – Słaboniowa podniosła brwi.

– No, wiecie, przy dzieciach nie będę gadał. No, inna ona była całkiem niż nasze wiejskie dziewczuchy. Nieskromna.

– Nieskromna? – zapytała tym razem Anetka.

– No co wy tak męczycie? Nieskromna, mówię przecie. Nasze to pod ścianami stały i czekały, aż je który chłop poprosi, a ta od razu do tego czy tamtego, że tańcować chce. Nasze to płonity się, chichrały, po kątach szeptały, a ta Hanka, jakżem ją poprosił, to od razu w przytulango poszlimy. Obie takie były z tą Anielą, zabawowe. I wypić lubiały.

– A tej Hanki wy nie pytali, czy co wie? – dociekała Słaboniowa.

– A dzwoniłimy, żeby sprawdzić, czy co słyszała, ale mówiła, że nic nie wie i gdzie ta Aniela pojechać mogła, pojęcia nie ma, bo nic o żadnej rodzinie ani znajomych ona osobiście nie słyszała, ani Aniela się do niej osobiście nie odzywała.

– Narobić to wy się nie narobili w ty sprawie tego zaginięcia – stwierdziła Słaboniowa. – I do ty Hanki wy nie pojechali zobaczyć, czy ta Aniela je u niej w chałupie, bo ukryć się chce czy cós? Bez telefun to mogła nagadać, co chciała.

– A to wy mi tu wypominacie niedopełnienie czynności służbowych?! – zaperzył się sierżant. – Milicja Obywatelska w każdej sprawie robi, co może i co do niej należy. I w ogóle nie ja to sprawę prowadziłem, tylko byłem posterunkowym i najwięcej to protokoły pisałem. Nie było żadnych podstaw, żeby sprawę ciągnąć.

– No tak – powiedziała Anetka. – Stary Zapasiuk był bogaty, a ona sierota i latawica, jak to mówicie. Nie było powodu się przejmać, nie?

– Powodu to nie ma, żeby na Milicję Obywatelską jakieś takie podejrzenia rzucać – zaperzył się sierżant. – Że co, że może jeszcze łapówki niby jakieś braliśmy, tak? Że nam los zaginionej człowieka na sercu nie leży, tak? Nawet los takiej jak ta, tak? Ty się, Anetka, licz ze słowami, bo ja spokojny jestem, ale jak co do czego przyjdzie... Ale znaj moje dobre serce. To stara sprawa jest. Obrażać się nie będę ani do odpowiedzialności za obrazę nie pociągnę.

Anetka wzruszyła ramionami i powiedziała gorzko:

– Jak ojciec matkę prał, że ledwie nie zabił, to jakoś nie było komu przyjechać. A dzwoniłszy od sołtysa i to nieraz.

Sierżant tylko sapnął i jakby spał, ale nic nie powiedział. Zapadła cisza. Zza lasu było widać już tylko rozjarzony czubek chowającego się za drzewami słońca. Klaudusia spała słodko w czerwonym wózku, a obok na kocu siedziała Ola, bawiac się lalkami i przysłuchując w milczeniu rozmowie dorosłych.

– A ja gadała wtenczas z to czarniawo Hanko, co powiedałeś, na tem weselu... – Słaboniowa namarszczyła brwi w zamyśleniu. – Siedziałam z babami przy końcu stołu i to już po drugim ciepłym było. A jedzenia tam było... – Słaboniowa wzniosła oczy do nieba w rozmarzeniu. – Wpierw był rosół z kluskami, żeb chłopcy mieli pod wódkie, i był kotlet schabowy z pieczarkami, one go jakoś tak nazywały dewulaj czy coś, ale to schabowy był zwykły z ziemniakami i kapusto, tyż pod wódkie. Potem zimne, znaczy się mięsa zimne, a schabów tam było, a szynków, a kiełbasów... To już trochu byli wszyscy wypici i dali wtenczas drugie ciepłe: barszcz z jajkiem i kiełbaso i bigos, a w tem bigosie to wincyj było mięsa jak kapusty. I po tem drugim ciepłym una dosiadła się do mnie, ta Hanka. Gadała, a już trochu wypita była, że une z Anielom koleżanki sum z sierocińca i że przyjechała przyjaciółce powinszować zamęścia. I że une u sióstr wychowane, do takiego zbiegowiska niezwyczajne i całkiem do normalnego życia nienawykłe. Dużo gadała, że od sióstr uciekały do chłopców na miasto i na zabawy razem chodzili i że na takiej zabawie Aniela tego Albina poznała. Dobrze im było razem tańcować, od razu polubili się i szybko bardzo Albin jo o rękę poprosił. To una zgodziła się, a tem bardziej że Albin był z dumy bogaty, a dla takich dziewczuch jak une od sióstr to przyszłości żadnej nie było i takiego męża złapać to wielkie szczęście było. I że ta Aniela to miała więcej szczęścia niż rozumu i że jedne, co umi, to uśmiechać się i tańcować ładnie, ale tak, żeby w dumy co zrobić, ugotować czy coś, to nie bardzo. Ich tam w sierocińcu takich rzeczy nie uczyli i gadała ta Hanka, że una nie wi, jak ta Aniela sobie poradzi w takim wiejskim życiu. Trochu mnie się zdaje, że ta Hanka bez zazdrość tak gadała, bo jej się taki bogaty nie trafił. A potem dali zimne nóżki z octem. – Słaboniowa pociągnęła nosem. – A tyn skrzypista Antek to bez cały wieczór grał takie smyntne oberki, takie do słuchania, że szło ino siedzieć i płakać, i jakiesiś takie miastowe melodyje, co ja nie znam. Ładne to były melodyje, ale całkiem nie do tańców, no to tak kole północy weselnicy zbuntowali się i jakaś tam była bitka z panem młodym, z Albinem znaczy się. No i po ty bójce Antek jak zaczął przycinać, to jakby mu dyjabeł nuty podrzucał, a z takim zacięciem, że struna mu zara poszła i grał bez jednej do końca. Piknie grał, ludzie to prawie, że nogów nie pogubili, ale to jakby wszyscy szaleju najedli się i od tego czasu ja panny młodej już wincyj nie widziała. – Słaboniowa zamyśliła się. – A i jeszcze gadała ta

Hanka, że taki mały z wąsem się do niej podwalał i omal za obórkę nie zaciągnął, ale mu w łeb butem dała.

– Że to niby o mnie?! – spienił się sierżant. – Może i za obórkę szliśmy, nie przeczę, ale sama chciała.

– Mietek, jakby sama chciała, to by cię bez łeb obczasem nie waliła – powiedziała Słaboniowa, a Anetka prychnęła śmiechem.

– Młody byłem. I pijany – rzekł sierżant tonem usprawiedliwienia. – A zresztą wpierw chciała, a potem jej się odwidziało. I w końcu nic się takiego nie stało przecież.

– Chłopy to by wszystko tylko pijaństwem tłumaczyły, sami niewinni – powiedziała Anetka, zakładając ręce na piersi.

– No, no, no, ty sobie, Anetka, nie pozwalaj, bo ja jestem przedstawiciel władzy, a władzy ubliżać nie wolno ani wyśmiewać. Ty sobie, Anetka, uważaj – sierżant groźnie pokijał na Anetkę palcem.

Anetka w odpowiedzi wzruszyła ramionami i fuknęła pod nosem coś o władzy i jej przedstawicielach.

- Ale Słaboniowo, wy to pamięć macie dobrą – stwierdził sierżant.

– Ano mam – powiedziała Słaboniowa. – Nigdy człowiek nie wi, kiedy mu się przydać może jakie przypomnienie.

– Ja też co nieco pamiętam – powiedział sierżant Garsija z dumą. – Bo ja przy tej bójce udział swój czynny miał. Tak jak mówicie, weselnikom nie widziały się te Antkowe melodie rozlaźle i wcale nie wiejskie, tradycyjne, tylko miastowe takie z radia to było, że ostatnia niedziela i że jutro się rozstaniemy, i jeszcze coś o wczasach i góralskich lasach. A jakie u nas góralskie lasy, skoro u nas równo jak po stole? Ale tej Anieli to się strasznie podobało, jak ten Antek grał. Coś mi się widzi, że o to najwięcej Albin był zazdrosny i że wstyd mu było, bo ta Aniela sama tańcowała do tych góralskich lasów bez nijakiego chłopca. Wszyscy siedzieli i gapili się, a ona na środku z taką wielką chustą czerwoną, co miała, tańczyła i śmiała się jak wariatka, już dobrze w czubie miała wtenczas.

– A ładnie tańczyła – powiedziała Anetka. – Jakby tylko ona była na świecie i nikogo więcej.

– No, może i ładnie tańczyła, ale Albinowi to się nie bardzo widziało, takie nie wiadomo co. W ogóle nie po naszymu i ta muzyka, i to tańczenie. To Albin się wkurzył, wziął kilku chłopca i do Antka, że ma grać po naszymu, bo nikt przecie nie tańczy i że wesele do niczego. A Antek na to, że takiego wała i że będzie grał, co mu się żywnie podoba, i jak dla niego, to tylko panna młoda może tańczyć i jego reszta nic nie obchodzi. No to Albin wkurzył się do reszty, zgarnął pannę młodą z parkietu i dawaj się bić. Antek nie bronił się bardzo i po tej bitce zaczął grać normalnie nasze oberki. A potem Aniela gdziesiś zapodziała się, a muzykanci poszli papierosy

palić i wtenczas dali flaki.

– Dzie, toż wpierw dali flaki, a po tym bitka była – powiedziała Słaboniowa.

– Gdzież?! – zaperzył się sierżant Garsija. – Wpierw było pierwsze ciepłe, potem drugie ciepłe, potem bitka, a na końcu flaki.

– Jak ta bitka była, to potem były flaki – wtrąciła Anetka, niechętnie przyznając rację milicjantowi. – To jakoś już pierwsza musiała być, bo matka kazała mi do domu iść spać. Wszyscy bardzo byli popici, bo ja z Anką wódkę nosiłyśmy...

– Wódkie wy nosili? – zdziwiła się Słaboniowa.

– No, to Anka wymyśliła, ona już miała z dwanaście lat. Tak dla zabawy wpierw polewałyśmy weselnikom prawdziwą wódkę, a potem to wodę z osmalonym korkiem i nikt się nie skapnął – roześmiała się Anetka. – No i wreszcie matka mi kazała iść do domu, ja nie chciałam, ale ojciec już był strasznie wypity i matka się wściekła, to poszłam i jak szłam tak od tyłu za stodołą, bo tamtędy bliżej miałam do domu, to widziałam tego Antka, jak papierosa pali, a potem... – Anetka złapała oddech i zamilkła.

– No co? – dopytywał sierżant.

– A nie pamiętam. Do domu poszłam – ucięła Anetka.

– Ty to, Anecia, nigdy nic nie pamiętasz, ja stara i wszystko pamiętam, a ty nic – powiedziała Słaboniowa podejrzliwie.

– A bo mi go żal.

– Kogo ci żal?

– No tego Antka – chlipnęła Anetka. – Bo on tak ładnie grał, a ta Aniela tak ładnie tańczyła, a teraz on umarł na ten udar...

– I co, że umarł? – zdziwił się sierżant. – No umarł, zdarza się. Co ci go tak nagle żal? Mów, Anetka, co widziałaś, bo to decydujące może mieć znaczenie dla sprawy. – W sierżancie wyraźnie odezwał się detektyw.

– No... – Anetce szło niesporo. – Tylko niech nie wyjdzie, że to tego Antka wina. No więc on tam ćmił tego papierosa za stodołą i mnie zobaczył, i zapytał, czy się sama nie boję iść do domu. Ja na to, że troszkę, a on powiedział, że będzie za mną patrzył, aż nie dojdę do domu, a księżyc świecił jasno i drogę do naszej chałupy było dobrze widać. No to chyba nie mógł być zły człowiek, nie? – zapytała z nadzieją Anetka. – Ale wtedy przysłała ona.

– Kto? – zapytali jednocześnie Słaboniowa i milicjant.

– Ta Aniela. I zaczęli rozmawiać, i zupełnie nie widzieli, że ja tam jestem, i ona płakała.

A ja się ukryłam za winklem i wszystko widziałam. To on tak ją chwycił za ramiona i coś jej tłumaczył, że jakoś ją z tego wydobędzie, że jej pomoże, żeby się nie martwiła. I nagle popatrzył na mnie, że ja tam jestem, i przyłożył palec do ust, żebym była cicho, i pokazał ręką, żebym szła. I ja poszłam, ale wtedy on już nie patrzył za mną chyba.

– I jeszcze co widziałas? – zapytała Słaboniowa.

– Nic, bo w cieniu stali i ja poszłam. Ale powiedzcie, że to nie mógł być zły człowiek, że nie mógł jej nic zrobić złego.

– Hm – powiedziała Słaboniowa. – Tak od razu to nie idzie rozstrzygnąć, czy człowiek zrobił co złego. Wincyj nam wiedzieć trza.

– No, coś mi się tu widzi grubszejsza sprawa – powiedział Garsija. – Może źle my wtenczas zrobili, żeśmy umorzyli to poszukiwanie. Toż tu może o morderstwo iść. Może ten Antek ją zaciukał tam za tą stodołą... – zastanawiał się sierżant coraz bardziej podekscytowany. – Może ona tam do tej pory gdzie zagrzebana leży...

– Wiedziałam, że wszystko na niego będzie – chlipnęła Anetka.

– No, to ja już lecieć muszę, bo noc – stwierdził nagle milicjant. Pożegnał się szybko, jakby myśląc o czymś zawzięcie. Wsiadł na swój motocykl i szybko pojechał w stronę miasta. Kobiety zostały same z dziećmi. Ciemno już było, widać było tylko zarysy postaci i rzeczy. Pachniało jaśminem.

– No i widzicie? – powiedziała Anetka grobowym tonem. – Już od razu wszystko przekręcił na odwrót.

– E – stwierdziła Słaboniowa. – Tak szybko to on nic nie udowodni. Ale coś mi się widzi, że ja wim, skund u nasz ta Południca wzina się.

– Jak to? – Anetka aż podskoczyła z ciekawości. – Wiedzie, co to za jedna?

– A co ty, Anecia, nagle w Południce uwierzyłaś? – zapytała Słaboniowa z krzywym uśmiechem.

– Nie wiem – Anetka speszona wzruszyła ramionami i spuściła głowę. – Wy to, Słaboniowo, zawsze tak zakręcicie, że człowiek sam nie wie, w co wierzyć, i widzi rzeczy, których nie ma.

– To Kikimory ty tyż nie widziała?

Anetka znowu wzruszyła ramionami.

– Ja nic o żadnych południcach nie potrzebuję wiedzieć. Będę już szła. Matka na pewno zła, że jeszcze mnie w domu nie ma. No, idziemy, Klaudusia, pożegnaj się z Olą, tak ładnie się z tobą bawiła. – I Anetka poszła, pchając przed sobą czerwony wózek i paplając coś do córki.

– No, Olusia, my też spać idziem.

– Idziem – powiedziała Ola poważnie, zbierając swoje lalki. – Babcia.

– No?

– Bo ta biała pani, co ja ją widziałam, to była Południca, tak?

– No, niech będzie, że Południca.

– To ona była cała biała, ale włosy miała czerwone.

– Ryże znaczy się – powiedziała Słaboniowa powoli i weszła do chałupy.

Dwa dni potem przyjechała Kryśka z Zygmuntem swoim czarnym samochodem zabrać Olę na powrót do miasta. Posiedzieli nie za długo, choć obiad zjedli nawet, co Słaboniowa nagotowała, i po herbacie stwierdzili, że jechać już muszą. Gdy się pakowali do samochodu, Kryśka wzięła Słaboniową na stronę i wznosząc ręce do nieba, zaczęła wyrzekać.

– Mówiłam mamie, żeby jej mama tych głupot nie opowiadała. To ona mi tu gada, że jakieś południce widziała. Toż mama jakąś głupią z niej robi. – Kryśka opuściła ręce i wsparła je na biodrach. – Mówiłam, prosiłam, ale mamie co mówić, to jak grochem o ścianę. Prosiłam, żeby majtki zmieniać codziennie, to pół bielizny nieruszone...

– Toż ja jej prała, to czyste ma... – broniła się Słaboniowa.

– Prała mama, prała. Nie musiała mama prać, majtek dałam tyle, żeby na dwa tygodnie starczyło. A tych kołtunów to jej chyba nigdy nie rozczeszę. Czy mama ją w ogóle czesała?

– No, trochę ją czesałam z rana, ale warkoczów to ja jej nie plotła, bo rynce nie nadają się, paluchi pokrycone.

Kryśka wzniosła oczy do nieba i sapnęła przez nos niczym rozjuszony byk.

– Mówiłam mamie, żeby z nami przyjechała mieszkać, to nie. Do szpitala by się mamę zabrało, badania zrobiło i coś na ten reumatyzm lekarz by dał.

– O, do żadnego szpitala wy mnie nie dacie! – Słaboniowa cofnęła się krok do tyłu. – W szpitalu ludzie umirają. Ja swoją maść z borsuczego sadła mam i mnie starczy.

– Borsucze sadło! – Kryśka wywróciła oczami do nieba. – No, dobrze. Ma tu mama za tyle, co na Olę wydała... – Kryśka wygrzebała z torebki kilka banknotów i wcisnęła Słaboniowej do ręki. Stara spojrzała na córkę spode łba.

– Ja twoich piniendzy nie chcę. Toż to wnuczka, nie trzeba mi nijakiej odpłaty.

– Z mamą to jak z dzieckiem – westchnęła Kryśka i ucałowała matkę w oba pomarszczone policzki. – No, niech się mama zdrowo trzyma, będę dzwonić jakby co.

Długo jeszcze Słaboniowa stała przy furtce i patrzyła za czarnym samochodem. Olę, która machała do babki z tylnego siedzenia, ledwo co było widać we wznoszących się nad drogą tumanach kurzu.

Słaboniowa weszła do chałupy i schowała pieniądze od Kryśki do szafy, gdzie miała uzbierane w kopercie na pogrzeb. Koperta leżała na czarnej sukience ze stylonu, obok na półce stały lakierowane buty na niskim obcasie, które dawno już Słaboniowa kupiła. Mierzyła je ostatnio i okazało się, że ledwo może je wcisnąć na stopy, które opuchły i rozgłapiły się przez kilka ostatnich lat. Po chwili namysłu stwierdziła, że nie będzie kupować nowych. Po śmierci i tak wszystko jedno, a jak jej będzie ciasno, to pójdzie boso.

– Całe życie człowiek boso chodził i dobrze było, to i po śmierci może – tak mrucząc pod nosem, pozbierała ze stołu, umyła naczynia i siadła na łóżku. Zegar tykał, słoneczne plamy przesuwaly się powoli po podłodze, drobinki kurzu unosiły się nad stołem niczym złoty pył i opadały na cukiernicę, obrus haftowany w ptaki i kwiaty, geranium stojące na parapecie i na zapomnianą łyżeczkę do herbaty. Było cicho i spokojnie.

– No i sami zostalim – powiedziała Słaboniowa do Mruczka, który począł przewijać się koło jej nóg, kręcąc ogonem i mrucząc przy tym rozgłośnie.

Jakoś to już koniec sierpnia był, gdy po wsi gruchnęła wieść, że za stodołą u Zapasiuków trupa znaleźli. Z doniesień Adelki i Anetki Słaboniowa wywiedziała się, że kawałek ziemi za stodołą był ogrodzony żółtą taśmą, kręcili się tam różni w rękawiczkach z małymi łopatkami, a w jednym miejscu z ziemi nawet wystawały kości, które widział na własne oczy młodszy brat Anetki – Januszek. Bo też od okolicznej dzieciarni milicyjni technicy opędzić się nie mogli i wszelkie czynności wykonywali pod bacznym spojrzeniem przewieszonych przez plastikową taśmę podnieconych dzieci.

Zaś sierżant Garsija jeździł na swoim motorze od Chmielowa do wsi i nazad z bardzo zaaferowaną miną i czegoś strasznie z siebie zadowolony. Za którymś razem Słaboniowej udało się go zawołać i nakłonić do rozmowy obietnicą podania kawy po turecku. Sierżant wzbraniał się wpierw, ale wreszcie nie mogąc się powstrzymać, usiadł przy stole i siorbnął łyk kawy tak mocnej, że łyżeczka stała w niej na sztorc.

– Ja słyszała, że wy trupa znaleźli – zagaiła Słaboniowa.

– Ano znaleźlimy – powiedział tajemniczo sierżant Garsija.

– A jakże to tera tak nagle znaleźliście?

– Pies wygrzebał – powiedział sierżant, patrząc po kątach.

– To głęboko musi ten pies grzebał. I że też akuratnie tera tak tyn pies wygrzebał... – Słaboniowa pokręciła głową, patrząc w okno. Sierżant Garsija pochylił się ku niej nad stołem

i wyszeptał:

– Powiem wam, ale to w wielkim sekrecie, że tym psem to ja byłem.

– Takżem i przewidziała – powiedziała z uśmiechem Słaboniowa.

– Wiecie, ta cała historia z tym zaginięciem tej Anieli spokoju mi nie dawała. Myślałem i myślał, ażem tu przyjechał w nocy i zacząłem kopać. Powiedziałem, że dotąd będę kopać, aż Zapasiukom całego pola nie przeoram, a ciało znajdę. I znalazłem. – Sierżant opadł na krzesło i rozłożył ręce. – No, musiałem podstawy mieć do śledztwa. A tak poszlaki mocne, przedawnienia jeszcze nie ma, a co najważniejsze ciało jest. I wznowiłem sprawę – oświadczył z dumą na koniec.

– I co? To Anieli trup je? – zapytała Słaboniowa.

– No, tak bardzo dokładnie to jeszcze nie wiadomo... – zasepił się sierżant. – Bo żadnych papierów przy trupie nie było. Że narzędziem z krawędzią ostrą zatłuczona, to tylko jest pewne. Ale na razie wszystko pasuje z tego, co lekarz sądowy z miasta mówił, po kościach, bo tylko kości się ostały i trochu włosów. Lekarz mówi, że denatka płci żeńskiej, w chwili śmierci między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. To by się zgadzało, nie?

– Niby tak – powiedziała Słaboniowa.

– No, zobaczymy, zobaczymy – wiercił się radośnie sierżant. – Może mi się i jakaś kariera w tym grajdole pokaże? Może mnie awansują i do miasta wydelegują? – Rozmarzył się na koniec. – No, może to i nie świeża sprawa, złapania żadnego na gorącym uczynku nie ma, ale co trup, to trup...

– A te włosy, co znaleźliście, to jakiego koloru sum?

– A takie ciemne, ryże jakby... – powiedział sierżant. – No, niby ta Aniela ryża była, to musi ona. Chyba, znaczy się. – Sierżant posmutniał nagle. – Nie ma z czym porównać. Że też żadnego zdjęcia nie ma, żadnego dowodu, jak ona wyglądała... Tam jeszcze reklamówka przy niej była ze szmatami w środku, ale ani portfela, ani dowodu, ani nic nie było. Dziwne tak niby wyjeżdżać, a dokumentów nie wziąć ze sobą.

– Ano dziwne – Słaboniowa pokiwała głową. – A tam, u tych sióstr żadnych zdjęć ni ma? Alibo ta Hanka. Może una coś ma? – zastanawiała się Słaboniowa, stukając palcami w stół.

– No, na mnie czas – powiedział nagle sierżant, wypił resztkę kawy i szczerząc zęby oblepione czarnymi fusami, wyleciał z chałupy, jakby go kto gonił.

– A tego gdzie poniosło? – mruknęła do siebie Słaboniowa i jęła dziergać na drutach przybiecaną Anetce kamizelkę.

W sobotę wyjechali milicyjni technicy wraz z rękawiczkami, łopatkami i niezidentyfikowanym ciałem płci żeńskiej. We wsi powoli robiło się coraz ciszej i spokojniej,

tylko dzieci przez wiele jeszcze dni grzebały w ziemi za stodołą Zapasiuków w poszukiwaniu jakiegokolwiek bądź pamiątki po tych ekscytujących wydarzeniach. Przodował w tych poszukiwaniach Januszek, który dzięki swemu uporowi i spostrzegawczości w niedługim czasie stał się dumnym posiadaczem gumowej rękawiczki z oderwanym kciukiem.

– Śpi z tą rękawiczką, mówię Słaboniowej – westchnęła Anetka z obrzydzeniem, przymierzając nową kamizelkę z wełny melanżowej w kolorze brązu zmieszanego ze zgniłą zielenią. – Ale dobrze mi w tym kolorze? – zmartwiła się nagle.

– Co ma nie być dobrze... – wzruszyła ramionami Słaboniowa. – Kolor jak kolor.

– Ale moglibyście raz zrobić coś w jakimś takim niebieskim czy czerwonym. Zawsze was proszę...

– Zawsze ja w takich kolorach robiła i dobrze było, to i teraz dobrze będzie.

– Dziękuję – powiedziała Anetka z cichym westchnięciem i pocałowała Słaboniową w oba policzki. – Ale jaka ciepła, na zimę będzie w sam raz.

– No – uśmiechnęła się Słaboniowa. – A Miecio gdzie po okolicy nie krynci się ostatnio?

– Sierżant Garsija? A nie widziałam – powiedziała Anetka. – Odkąd ciało wywieźli, to tutaj go nie było.

– A o Zapasiukach ty co słyszała?

– A co miałam słyszeć? – Anetka wzruszyła ramionami. – Albina przesłuchiwali, niby w sprawie tego trupa, co u nich za stodołą znaleźli, i Zapasiukową też brali na milicję.

– I co?

– A skąd ja mam niby wiedzieć?! – wybuchła Anetka. – Zapasiuki siedzą w domu jakby nigdy nic, wody w usta nabrali i nawet ciotka Adelka nic z nich nie wyciągnęła, a siedziała im na głowie we środe chyba z dwie godziny. Albin zechlany jeszcze bardziej niż zwykle, a stara Zapasiukowa tylko się z różańcem modli i nic gadać nie chce, tylko że niezbadane są wyroki boskie i tyle. – Anetka założyła ręce na piersi i odwróciła głowę. – Mnie też wezwali. I musiałam powiedzieć, jak było, że ostatnio to widziałam Anielę z tym Antkiem za stodołą. I teraz już na pewno wyjdzie, że to on. A ja nie wierzę, że to on zrobił!

– No, Anecia, nie ma się co tak ciskać. Jeszcze nic powiedziane nie je – powiedziała Słaboniowa i zwróciła się do Anetki bardzo poważnie: – Słuchaj no, dziecko. Trza, żeb ty dla mnie jedno sprawę załatwiła.

– Jaką?

– Pójdiesz do sołtysa i do Mietka zadzwonisz telefonem, że przyjść do mnie musi i to jeszcze przed niedzielo.

– A nasz ukochany sierżant Garsija niby dlaczego ma posłuchać i tu w dyrdy do was przyjeżdżać? Bo ja mu powiem? – zdziwiła się Anetka.

– Już ty się o to nie kłopotz. Przyjedzie, przyjedzie... – Słaboniowa pokiwała głową i przyjrzała się Anetce bacznie. – A do ty kamizelki to by się jeszcze kieszonki przydało naszyć, co, Anecia?

– Mogą być i kieszonki – powiedziała Anetka, przyglądając się uważnie kamizelce. – Ale pewne jesteście, że ten kolor to dla mnie twarzowy?

Jakoż i już następnego dnia sierżant Garsija zajechał swoim motorem pod dom Słaboniowej i z nieco kwaśną miną usiadł przy stole nad szklanką kawy, którą mu Słaboniowa podała.

– No, Mieciu, masz mi co do powiedzenia?

– A co mam mieć? – zapytał sierżant, gapiąc się w cukiernicę.

– No, gdybyż tu twoja matka była, to by kazała, żeb ty mi wszystko wyśpiewał jak na spowiedzi.

– Ale jej tu nie ma – burknął sierżant.

– O, to, to – powiedziała Słaboniowa. – Ni ma jej tu z nami, ino tam w niebiesiech siedzi i z góry na ciebie spogląda. I myśli sobie, że starej ciotce ty wszystko winienesz opowiedzieć.

– A co wy mi tu o niebiesiech i takich tam! – obruszył się Mietek. – Ustrój takiego gadania nie pochwała, bo religia to opium dla ludu. Nie wiecie o tym?

– Dobra była kobicina z ty Eulalii, ino nerwy miała słabe i serce za miętke – zaczęła nagle Słaboniowa z innej beczki. – Jak ją Józek, twój ojciec, zostawił, to niemal z tego świata zesła ze zgryzoty. Bez miesiąc cały z nio siedziałam i doglądałam w chorobie. A nie była to choroba ciała. Była to choroba ducha, co śmiertelną być może, bo człowiek z niej usycha na wiór, zapada się, marnieje. Przykazała mnie wtedy na łożu śmierci, żeb ja cię wzięła pod swój dach na wypadek, jakby jej się zmarło.

– Ale się jej wtenczas nie zmarło – powiedział sierżant.

– Bo oparcie we mnie miała i ziółka, któremi ją poiłazem – odparła Słaboniowa. – Ale ja obietnicę dała i gdyby taka okoliczność przyszła, ja by cię chowała, Mietek, jak własnego syna. A pomnisz wiela razy ty u nas siedział, kiej Lilka gorszy czas miała?

– Ciotka to mi zawsze wjedzie na uczuciowość – sierżant machnął rękę. – Zresztą ja tajemnicy służbowej ujawnić i tak nie mogę, nawet gdybym chciał.

– Toż ty wiesz, Mietek, co u mnie tajemnica świnta. I komuż ja by mogła powiedzieć, aaa?

– A po co to wam w ogóle wiedzieć, aaa? – zapytał milicjant podejrzliwie.

– Stare ludzie zawsze ciekawe. Dla własnej ciekawości ja ino wiedzieć kcę, Mieciu, jak tam śledztwo idzie, co Zapasiuki gadali na milicji, czy to Anieli ciało było tam za stodoło...
Fotografie jakie znajdziście ty Anieli?

Sierżant Garsija spojrział koso na ciotkę.

– No, ja to widzę, że ciekawość wasza wielka jest – powiedział wreszcie z przekąsem. – Ale przez pamięć o mojej matce powiem wam, a wy nikomu tego nie mówcie. Zresztą komu mielibyście o tym gadać...

– No? – ponagliła go Słaboniowa. – Gadaliście z to Hanko, czy co wi?

– Chcieliby ją wezwać na przesłuchanie, ale jak dotąd znaleźć jej nie możemy, bo miejsce zameldowania zmieniała, a tam, gdzie niby tera jest zameldowana, to mówio, że gdzieś ją poniosło i oni nie wiedzą gdzie. Albo tylko tak gadają. Grunt, że zapadła się pod ziemię, ale ja ją znajde, już moja w tym głowa – przyobiecał sierżant, patrząc w przestrzeń.

– A fotografie?

– Że niby zdjęcia? Nic nie znaleźlimy. Nic konkretnego znaczy się. W tym sierocińcu siostry miały jedno zdjęcie zbiorowe ze szkoły, ale rozpoznać na nim kogo to ciężko. Raz, że niewyraźne jest, dwa, dziewczyna, co mi siostry pokazały na tym zdjęciu, że to Aniela, ma twarz bokiem odwróconą, a na głowie chustkę zawiązaną, bo wtenczas jak to zdjęcie było robione, wszów plaga była i ostrzygli tę Anielę na krótko. Żadnych innych zdjęć znaleźć nie możemy. Ale... – Sierżant uniósł palec do góry. – Przyglądnąłem się dobrze i kogoś znajomego na tym zdjęciu jeszcze znalazłem.

– Kogo? – zapytała Słaboniowa w napięciu.

– Antka Sine Oko – powiedział triumfalnie sierżant. – No to w te pędy do szkoły i o akta uczniów proszę, no i jest, jest, Antoni Gruszka, nasz Antek muzykant. Okazało się, że do jednej szkoły z Anielą chodził, bo sierociniec był tylko dla dziewczuch, ale do szkoły wychowanki chodziły koedukacyjnej. On też był w domu dziecka, ale w innym, przez cztery lata do pełnoletności, a potem tu do nas się wyprowadził do domu, co po jego dziadkach pusty stał.

Słaboniowa pokiwała głową i westchnęła ciężko.

– No – powiedział sierżant. – I wywiedziałem się jeszcze, że ta Aniela z tym naszym Antkiem podobnie się prowadziła. Znaczy się, czy się prowadzali, to pewne nie jest, ale pewnikiem on za nią łąził. Po mojemu to ona tego Antka dla Albina puściła, a jak się Antek wywiedział, to ją zabił. Na ten moment wszystko na niego wskazuje. No i jest świadek w osobie naszej Anetki, że Antek sam był z Anielą za stodołą, i po tamtym czasie więcej jej nie widziano. – Sierżant nachylił się ku Słaboniowej konfidencjonalnie. – Widzicie, ja wiem, że to Aniela tam za stodołą leżała, ale nijak zidentyfikować jej nie możemy, i wiem, że Antek ją zaciukał, ale co

z tego, jak on i tak już w ziemi. To tak jakby ani ofiary nie było, ani winnego. – Wsparł ręce na kolanach wyraźnie przejęty.

– Ja to ino wim, że pewnym to niczego być człowiek nie może – powiedziała Słaboniowa.
– A Albin co gadał?

– O, wpierv to my go musieli otrzeźwić trochu. Dwadzieścia cztery godziny na dołku posiedział, zimną wodą go polalimy i trzęsawki dostał, ale nic nowego nie powiedział. Tylko tyle, co za pierwszym razem, że uciekła i że kazała, żeby jej Albin nie szukał.

– A Zapasiukowa?

– O, stara to dużo miała do powiedzenia. Że oni porządni ludzie, tylko przez los doświadczeni, że oni nic nie winni, tylko ta ruda wywłoka winna, a to ich tera ciągną po milicjach. Że stary Zapasiuk przez to wszystko do grobu poszedł, a Albin chleje. I tak dalej, wiecie, jak to stare baby gadają.

– Ano wim – rzekła Słaboniowa i zamyśliła się nad swoją herbatą. – Ja tak ino dumiała, że jak Anetka widziała Anielę z tym Antkiem za stodołą, to o żadnej reklamówce nic nie gadała.

Sierżant Garsija wbił w ciotkę ciężkie spojrzenie.

– Może gdzie ta reklamówka leżała w cieniu i Anetka nie widziała albo nie pamięta, że reklamówka była? A przecie była, bo wykopana została razem z ciałem. – Milicjant zamyślił się, marszcząc czoło i gryząc wąsa. – Po prawdzie to my Anetki nie pytali, czy ta Aniela miała jaką reklamówkę czy nie miała, ale przecież miała, bo jak inaczej?

– No, jak inaczy? – spytała Słaboniowa, przyglądając mu się uważnie.

W sobotę po obiedzie siadła Słaboniowa na ławce pod oknem, oparła się plecami o wygrzaną w słońcu ścianę i przymknęła oczy. Pod powiekami przemykały jej czerwone, fioletowe i pomarańczowe plamy rozpadające się na mniejsze, wielokątne kształty i na jeszcze mniejsze, rozbiegane kolorowe ziarenka, uciekające gdzieś na skraj widzenia. Słyszała sapanie Mruczka, który leżał obok niej zwinięty w kłębek, z pyszczkiem opartym na łapie. Muchy bzycały sennie i przysiadały bezkarnie na dłoniach i twarzy Słaboniowej, wędrowały po jej czole, schodziły w doliny policzków, zaglądały do dziurek od nosa. Z izby przez otwarte okno dolatywał dźwięk radia, które Słaboniowa zostawiła włączone przy łóżku.

Upał stawał się nie do zniesienia i Słaboniowa pomyślała, że trza by wejść do chałupy, żeby przed gorącym się schronić, ale jakoś nie dała rady nawet ręką ruszyć, tak ją słońce rozleniwiło. Chciała otworzyć oczy, ale nie mogła rozkleić ciężkich powiek, pod którymi zaczęły się przesuwac zielone cienie, coraz ciemniejsze, coraz głębsze, aż zostały tylko czarne pulsujące koła. Nagle postyszała chrapliwe warczenie psów, coraz głośniejsze, przerywane pożądlivymi szczęknięciami, jakby wiedziały, że zaraz dostaną ochłap mięsa. W przerażeniu usiłowała unieść ręce do twarzy, ale nie mogła uczynić żadnego ruchu. Słyszała, jak Mruczek zerwał się z ławki, zasyczał, miauknął przeraźliwie, a potem tupocząc sztywnymi ze strachu łapkami, wbiegł do chałupy. Słyszała, że psy są już tuż przy niej, czuła na sobie ich gorące oddechy. Straszliwym

wysiłkiem podniosła powieki i przeraźliwa jasność wbiła się dwoma igłami w jej źrenice, wybuchając bólem gdzieś w środku głowy.

Po chwili Słaboniowa zobaczyła, że pochyla się nad nią biała postać, a powietrze, które ją otaczało, drżało od żaru, bijąc falami gorąca w twarz starej. Była to kobieta o splątanych w kołtuny, miedzianych włosach i białej jak mąka twarzy, w której lśniły oczy o powiekach opuchłych i zaczerwienionych, przezroczyste niczym woda, a tchnące zapiekłą wściekłością. Z ust kobiety, skrzywionych w szyderczym uśmiechu, szerokich i szkarłatnych niczym świeża rana, wystawały dwa zakrzywione, świńskie kły, a palce jej zakończone były długimi do samej ziemi pazurami, ostrymi niczym szable. Otaczało ją siedem chudych, czarnych psów o sierści wyleniałej i zmierzwionej. Toczyły pianę z pyska i wraz ze swoją panią wlepiły w Słaboniową swe kaprawe ślepia.

– Toś ty Antka zabiła? – zapytała Słaboniowa z wysiłkiem, choć sama nie była pewna, czy to jej własny głos, bo gardło miała opuchnięte, a wargi spękane i szorstkie. Południca odpowiedziała głosem przedziwnym, przypominającym wycie psa, to znów wrzask straszliwy.

– Głupi był. Myślał, że mnie odmieni, miłością swoją obłaskawi, że z nim zostanę. – Z głębi jej zapadniętej piersi wydobył się świszczący, zawodzący śmiech bez radości. – Ale ja już nie człowiek. Jam Południca wysłana na pohybel wam, marnym ludziom. Nie znam, co to żal, nie lituję się nad dziećmi ni starcami, kto mi na drodze stanie, tego ja zabieram.

Włosy Południcy poruszały się niby na wietrze, ale gdy Słaboniowa wpatrzyła się mocniej, zobaczyła, że to robactwo przelewa się drgającymi falami w rudych kołtunach. Niekiedy pojedyncze pluskwy przelatowały pośpiesznie przez białą twarz, przez otwarte oczy i znikwały na powrót w gęstwie włosów. Słaboniowa przełknęła ślinę.

– Czego chcesz?

Południca jakby zastanawiała się przez chwilę, a psy zamarły w oczekiwaniu.

– Wiesz, że jak żyć chcesz, to na moje zagadki musisz odpowiedzieć – zawyla wreszcie. – O ziół znaczenie pytać cię nie będę, boś zielarka. Ale inną mam dla ciebie zagadkę, stara wiedzmo. Powiedz, kto zabił rudą Anielę, tam za stodołą u Zapasiuków?

– Tego ja nie wim – odparła Słaboniowa.

– Na pewno nie wiesz?

– Nie wim.

– Jak nie wiesz, to kara być musi. Co wolisz: czerwoną wstążeczkę czy pieniędzy beczkę? – zapytała Południca i zaniósła się śmiechem, a psy zawtórowały jej krótkimi szczeknięciami.

– Po prawdzie to ani mnie wstążeczek nijakich nie trza, ani piniendzy.

– Gadaj, stara, bo od razu życia cię pozbawię, a żyć chcesz, prawda?

– Po prawdzie do życia to ja już takiej wielkiej ochoty ni mam, ale coś tu na tym padole jeszcze mam do roboty – rzekła Słaboniowa spokojnie.

– Gadaj! – wrzasnęła Południca przeraźliwie.

– A niech będzie, że czerwono wstążeczkę – westchnęła wreszcie Słaboniowa.

W tejże chwili Południca błyskawicznie uniosła szponiastą rękę i pazurami przeorała twarz Słaboniowej od skroni do kącika ust. Słaboniowa jęknęła z bólu i poczuła ciepłe strumyczki krwi spływające po brodzie i szyi.

– Masz swoją czerwoną wstążeczkę – wyszczała Południca, pochylając się nad Słaboniową. – Odechce ci się żartów z Południcy. A teraz słuchaj, życie ci daruję, ale pójdziesz do Zapasiuków w jakiej bądź sprawie i tam do chałupy wejdiesz, a w chałupie wejdiesz do tajemnego pokoju, którego nie widać.

– Jakże ja tam wejść, skoro go nie widać?

– Dobrze popatrzysz, to znajdziesz. Słyszałam, żeś stara, ale oczy masz bystre. W pokoju tym będzie kufer, a w nim welon leży i sukienka ślubna, biała. Wyjmiesz to, co pod sukienką jest ukryte.

– I co potem?

– Już ty będziesz wiedzieć, co potem. A jak mnie nie posłuchasz i nie pójdziesz, wrócę tu i dostaniesz ty ode mnie pieniędzy pełniuską beczkę – powiedziała Południca złośliwie, odwróciła się i zaczęła iść w stronę łąk, ciągnąc po ziemi swoje żelazne pazury.

– Aniela! – zawołała za nią Słaboniowa. Południca zatrzymała się, nie odwracając głowy.

– Głupia starucho, jużem mówiła, że ja nie człowiek. Żadna ze mnie Aniela. A jeśli chcesz życzyć pokoju dla mej duszy, to wiedz, że moja dusza jest spokojna. Bardzo spokojna.

Ocuciło ją pierwsze tchnienie wieczornego chłodu. Wciąż siedziała na ławce pod oknem, z rękami rozrzuconymi na boki. Czuła, jakby całe jej ciało nakłuwano rozpalonymi igłami, a głowa dudniła ogłuszającym, pulsującym bólem. Chciała wstać, ale osunęła się tylko na kolana i tak na czworakach przepęzła do schodków, potem czepiając się ścian i sprzętów, wczołgała się do izby i wreszcie sił ostatkiem, dysząc i pojękując z bólu i wyczerpania, wdrapała się na łóżko, gdzie znów świadomość straciła.

Następny dzień to była niedziela. Słaboniowa zwlekła się przed południem obolała i uwalana zaschlą krwią. Myśli jej rwały się i plątały, a opuchnięte nogi odmawiały posłuszeństwa, ale napiwszy się wody i obmywszy, doszła nieco do przytomności. Nakarmiła całą swą wygłodniałą od poprzedniego dnia żywiznę, wypuściła krowę na pastwisko, zajrzała do ogródka, urwała marchwi, przyniosła z piwniczki trochę kartofli na obiad i wróciła do chałupy. Piekące, krwawe rysy na policzku przypominały jej dosadnie o spotkaniu z Południcą i zadaniu,

które miała wypełnić. Niesporo jej było iść do Zapasiuków i weszyc po cudzym obejściu, ale wyboru nie było, a i po prawdzie ciekawość ją wielka paliła, co też w tym kufrze pod sukienką ślubną leżeć może. Wreszcie wieczorem zebrała siły, uzbroiła się w swoją laskę, chustkę nasunęła na poorany policzek, pod brodą mocno zawiązała i poszła do Zapasiuków. Z szarzejącego nieba zaczęły kapać pierwsze krople deszczu.

Domostwo ich leżało trochę na uboczu, otoczone gęstym sadem jabłkowym, którego już widać od lat nikt nie doglądał. Drzewa dawno niecięte zamiatały długimi, pokrzywionymi gałęziami po wyburnej trawie, a na nich wisały całe grona skartowaciących jabłek, które tak jak przez ostatnie lata na jesieni miały opaść i zmarnieć niezbrane.

Gdy Słaboniowa weszła na podwórko, siedzący w budzie czarno-biały, kudłaty pies, popatrzył na nią obojętnie i opuścił łeb z powrotem na łapy. Woda z rynny kapała z cichym chłupotem do beczki stojącej pod ścianą chałupy, a na wół oberwane, niedomknięte wrota do stodoły skrzypiały smętnie, poruszane słabymi powiewami wiatru. Poza smutnym psem nie było widać żadnych innych zwierząt ani ludzi, a gospodarstwo zdawało się wymarłe i zastygłe w bezruchu.

Słaboniowa postąa jeszcze w jednostajnym kapuśniaczk, który chłodził jej rozognioną twarz, aż wreszcie skierowała się w stronę drzwi do chałupy i stanęła na schodkach. Tu też nie było nic słycać, w oknach czaił się tylko nieprzenikniony mrok, którego nie rozświetlała żadna lampa. Nacisnęła pordzewiałą klamkę, przeszła przez ciemną sień woniejącą stęchlizną i gotowaną kapustą i zastukała do drzwi izby, ale nikt nie odpowiedział. Przez jakiś czas stała, nasłuchując. Skądś doszło ją ciche mamrotanie, jakby ktoś do siebie gadał monotonnym potokiem słów zmieszonym z szumem deszczu, wznosząc głos, to znów szepcząc pośpiesznie i połykając wyrazy. Słaboniowa pchnęła drzwi i powoli weszła do środka. Przez chwilę myślała, że w izbie nikogo nie ma, ale gdy wzrok przyzwyczaił się do zalegającej izby szarości, zauważyła klęczącą w zapadającym mroku postać. Była to stara Zapasiukowa modląca się w zapamiętaniu przed świętym obrazem, z palcami zaplecionymi kurczowo na drewnianym różańcu.

Gdy stare deski w podłodze zaskrzypiały głośniejsz pod stopami Słaboniowej, Zapasiukowa gwałtownie przerwała modlitwę, ze stęknięciem wstała z kolan i spojrzła na niespodziewanego gościa pytając a ponuro.

– A co to, światła nie macie? – spytała Słaboniowa, wciąż stojąc w progu.

– A po co mnie światło? Prundu nie płacimy, to i światła ni ma. Dawniej prundu nie było i tyż my żyli – powiedziała Zapasiukowa. – Grzechy nasze także samo po ćmoku widać jak i w dzień. I po co mnie światło? – Zapasiukowa zapaliła lampę naftową i postawiła na stole. – A wy tu w jakiej sprawie? – zapytała wreszcie.

– A tak po sąsiedzku... – odparła Słaboniowa. – Nie poprosicie dali?

– A wchodźcie – burknęła Zapasiukowa. – Wiela się nie wywiecie. Już tu Adelka była cudzą krzywdą się sycić i tyż się nic nie wywiedziała. A niczego się nie wywiedziała, bo u nasz nic grzesznego nie dzieje się. My proste ludzie, przez los doświadczone, mój stary dawno w grobie, a Albin tylko patrzeć, jak się zawinie z tego nieszczęścia, z tego po milicjach ciągnięcia,

z tej sromoty – uniosła się Zapasiukowa, chlipiąc w mankiet i popatrując chytrze na Słaboniową.

Słaboniowa siadła na taborecie, wsparła dłonie na lasce i rzekła:

– Ja tu nie po plotki przyszła, a na krzywdę ludzką jużem się dosyć napatrzyła.

– No to czego chcecie?

– Ja przyszła cukru pożyczyć.

– Cukru? – zdziwiła się Zapasiukowa. – W dzień święty chodzicie po wsi za cukrem?

– Ano wicie, jak to herbata niepocukrzona smakuje, a specjalnie w niedzielę...

– Człek cnotliwy uciechom ciała nie folguje, a tylko wiarę swoją wyrzeczeniami winien umacniać – powiedziała Zapasiukowa, patrząc ciężkim wzrokiem na Słaboniową. – A w kościele to ja was dzisiaj nie widziałam. Takeście blisko z Panem Bogiem, że do kościoła nie trza wam chodzić?

– Już wy do kościoła latacie tyła, że mnie tam nie trza.

Zapasiukowa wzruszyła ramionami.

– Wielam tego cukru chcecie?

Słaboniowa pokazała na musztardówkę, którą wyciągnęła zza pazuchy.

– My cukru w chałpie nie trzymiemy. – Zapasiukowa wzięła szklanę ze stołu. – Ja herbatę gorzkę piję, a Albin ino gorzałkę żłopie. Ale w komórce może się co z świąt zostało. – Wysła z izby, popatrując na Słaboniową spode łba.

Gdy za Zapasiukową zamknęły się drzwi do sieni, Słaboniowa chwyciła lampę naftową w garść i podeszła do lekko uchylonych drzwi prowadzących do pokoju. Weszła ostrożnie, wstrzymując oddech. W pokoju stała wersalka i telewizor przyozdobiony szydełkową serwetką, z metalowego stojaka na kwiaty zwisał asparagus, zakurzony i widać dawno już bez wody. Na ścianie wisiała duża, wzorzysta kapa pięknie haftowana. Słaboniowa podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się misternej robocie. Nici były widać drogie, jedwabne, a kolory lśniły i migotały niczym żywa materia. Wzór przedstawiał wielobarwne, nieledwie rajske kwiaty o długich łodygach. Płatki ich były pyszne, bujne, mieniące się purpurą, czerwienią i fioletem, a spomiędzy nich sterczały sztywne złote pręciki, oprószone delikatnym pyłkiem. Nad kwiatami unosiły się motyle, konkurujące kształtami i barwami z rozciągającym się pod nimi ogrodem. W migotliwym świetle lampy kwiaty zdawały się falować w lekkich podmuchach wiatru, a motyle poruszały skrzydłami, jakby szykując się do odlotu. Słaboniowa wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jedwabistych nici, ale kwiat, ku któremu przysunęła dłoń, odwrócił się ku niej i wyszczerzył zęby ostre jak szpilki, a wraz z nim wyszczerzyły się i inne kwiaty. I Słaboniowa zobaczyła, że rośliny wiją się, ocierają o siebie i spomiędzy zębów wysuwają języki poczerwieniałe nagle i ociekające lepkiemi sokami, a czarowne wzory na motylich skrzydłach

zamieniły się wnet w ciemne, błyszczące oczy, które wpatrywały się w Słaboniową uparcie a podejrzliwie.

Słaboniowa cofnęła się gwałtownie i w tej chwili posłyszała kroki Zapasiukowej dochodzące z sieni. Podreptała więc śpiesznie na powrót do izby, gdzie ledwie zdążyła usiąść przy stole, a już w progu stała Zapasiukowa z grudą zlepionego cukru w szklance.

– Długo mi zeszło, ale żem znaleźć nie mogła. Trochu od wilgoci naciągnął, łupać musiałam.

Słaboniowa podziękowała grzecznie, postawiła szklankę przed sobą na stole, ale pomna gróźb Południcy nie zbierała się do wyjścia.

– Jeszcze co chcecie? – spytała Zapasiukowa. – Nie to, żem niegościnna, ale noc idzie, kłaść się trza. My tu żyjem zgodnie z Pana Boga pouczeniem, wstajem z kurami i z nocą spać idziem.

– Ja z boskim zarządzeniem spierać się nie kczę, ale dalibyście mnie herbaty? – poprosiła Słaboniowa. – Jak ja tu do was szła, to taka mnie słabość chyciła, że tera powstać nie mogię.

Zapasiukowa pochyliła nad Słaboniową swoją woskowo połyskującą, żółtawą twarz o ciężkich powiekach nakrywających głęboko schowane, ciemne oczy i przypatrzyła się uważnie.

– Prawda, że blade jesteście, zdyszane jakies i pot na was wystąpił – rzekła. – A kto was tak udrapał po gymbie?

– A kot.

– Toż chyba kot wielgi jak świnia to musiał być.

– Bydlę z niego niemałe – przytaknęła Słaboniowa. – Toż nie widzieliście mojego Mruczka?

– Widziałam, ale taki wielgi to un chyba nie był – powiedziała z powątpiewaniem Zapasiukowa.

– Dobrze żry to i rośnie szybko.

– Już tam on musi dobrze żreć, jak taką wielgą łapę ma – powiedziała Zapasiukowa, ale podłożyła do ognia i nastawiła czajnik. – No, koty to złośliwe bestyje, to i nie dziwne, że bez złość udrapał. My kota nie trzymiemy, bo to fałszywe i w nocy to nawet niemowlaka zadusić może.

– Dziecków to u was już dawno chyba nie było... – rzekła Słaboniowa.

Zapasiukowa odwróciła się znad kuchni i popatrzyła na Słaboniową bez słowa, jakby coś ważąc w sobie. Wreszcie wruszyła tylko ramionami i postawiła na stole szklankę w metalowym

koszyczku.

– Ja na noc herbaty nie piję, bo spać po tym nie mogę – powiedziała i siadła przy stole.

Tak czekały, aż woda na herbatę się zagotuje. Nagle zza okna dało się słyszeć ujadanie, coraz bliższe i bardziej zajadłe, aż zdało się, jakby na podwórko Zapasiuków wtoczył się kłęb rozsierdzonych, charczących i gryzących się na śmierć psów. Zapasiukowa zerwała się z miejsca i podleciała do okna.

– Nic w ty ciemnicy dojrzeć nie można – mruknęła do siebie. – Toż u nas suki nijakiej ni ma, żeby do niej psy latały. – Rozejrzała się po izbie, wzięła w garść miotłę i wybiegła do sionki.

Słaboniowa w tejże samej chwili poderwała się od stołu, złapała lampę naftową i poszła do pokoju, gdzie kapa wzorzysta wisiała. Obeszła pokój, opukała ściany, zajrzała nawet pod łóżko, ale drzwi żadnych nie znalazła. Wzrok jej padł znowu na tkaninę połyskującą w mroku, podeszła bliżej, a haftowane kwiaty i motyle zwróciły na nią swe czujne spojrzenia. Słaboniowa, niewiele myśląc, chwyciła ostrożnie za brzeg tkaniny i szarpnęła. Jej oczom ukazały się drzwi. Drewniane, zwyczajne drzwi pomalowane na zielono olejną farbą. Nacisnęła porzewiałą klamkę i weszła do środka.

Od progu uderzył ją zapach czystości i świeżo wykrochmalonej pościeli. Podłoga w pokoju lśniła bielą wyszorowanych desek, w oknach jaśniały zasłonki obszyte klockową koronką. Na wprost drzwi stało małżeńskie łóże, gładziutko zasłane pościelą haftowaną we wzór riszeliowski. W głowach leżały dwa wysokie, pieczołowicie ułożone kopczyki z poduszek, zaś po obu stronach łóżka stały zapalone gromnice. Pod oknem był kufer drewniany, malowany w kwiaty. Słaboniowa klękła przy nim, odstawiła lampę i ostrożnie podniosła wieko. W kufrze leżała sukienka ślubna, żółkła już nieco, ale wciąż lśniąca adamaszkiem, a na sukience tiulowy welon przystrojony zasuszonymi różyczkami, które niegdyś czerwone, teraz szerniały i pokurczyły się w twarde, pomarszczone pączki.

Słaboniowa zanurzyła rękę pomiędzy tiule i adamaszki, zaczęła macać po dnie kufra i wreszcie poczuła pod dłonią jakiś niewielki, kanciasty kształt, coś jakby książeczkę. Słaboniowa wyjęła znalezisko, przysunęła do lampy i obejrzała ciekawie. Był to dowód osobisty w granatowej, płóciennej okładce ze srebrnym orłem na wierzchu. Słaboniowa otworzyła i zobaczyła czarno-białe zdjęcie przedstawiające młodą dziewczynę o figlarnym wyrazie oczu i gęstych włosach układających się nad uszami w miękkie fale. Dziewczyna miała na sobie czarną bluzkę zapiętą pod szyję, spod której wystawał prosty biały kołnierzyk. Na następnej stronie widniała data urodzenia oraz nazwisko Anieli Podolak, wykaligrafowane niebieskim atramentem na żółtawym papierze.

Gdy tak Słaboniowa oglądała zawartość kufra, na podwórzu niepostrzeżenie zapadła cisza. Żadnego szczerkania ani awantur już słyszeć nie było, tylko gdzieś zza jej pleców doszedł ją czyjś ciężki oddech. Odwróciła się powoli, ściskając cały czas w dłoni małą granatową książeczkę. W drzwiach stała Zapasiukowa z widłami w ręce, jej postać rzucała długi cień na drewnianą podłogę, z siwych kosmyków wyzierających spod czarnej, żałobnej chusty powoli spływały krople deszczu.

– Siedem czarnych psów na podwórku było – rzekła powoli niskim, nabrzmiałym furją głosem. – Co dziwnem je, bo też nijakiej suki u nasz ni ma, co by się mogli o nią żryć. – Zrobiła krok w stronę Słaboniowej. – Już żadnej suki u nasz ni ma, co by się mogli o nią żryć – powtórzyła i znowuż postąpiła krok do przodu. – Po coś tu przylazła, wiedźmo? Węszyć ty tu przyszła, na przeszpiegi, a potem łązić po wsi alibo i po milicji i porządnych ludzi oczerniać?

– Nikogo ja oczerniać nie bede – powiedziała Słaboniowa, czujnie śledząc ruchy wideł Zapasiukowej. – Ino prawdę samo powim, że macie tu papiery tej Anieli, co dwanaście lat temu bedzie, jak zaginęła zara po weselu z Albinem.

– Niby cukru przyszła pożyczyć, o herbatę się napraszała, że niby słaba, że jej duszno, człowiek grzeczny chce być, usłużny, a tylko nogę za próg wystawi, a ta już węszy po kątach, grzbie w cudzym, kłamliwe nasienie! – Zapasiukowa splunęła siarczyście pod nogi. – I po co? Dla tej dziwki, co mi syna przyszła zabrać? Co na nasze piniondze i łąki pole ciała? Co mu rogi przyszła przyprowiać i szydzić z nas za plecami? Po to żeś przyszła?

– Ja tu przyszła po sprawiedliwość – powiedziała Słaboniowa.

– Sprawiedliwość? – Zapasiukowa prychnęła pogardliwie. – Sprawiedliwości nijakiej ni ma na tem świecie. To je sprawiedliwość, że mój stary w grobie bez to wszystko leży, a mój Albin ino chła?

– A to je sprawiedliwość, że Anielę ktosiś za waszą stodołą zaciukał, a wyście jej nie szukali i papiery jej ukryli? – Zapasiukowa skrzywiła usta w cierpkim grymasie.

– A po co takiej szukać, takiej... przybłędy? A poza wszystkim znalazła się tera, z ziemi jom wygrzebali, ni?

– Ano znalazła się. Ale na co jej papiery tyle lat trzymacie, aaa? Na co te łóżko, te świce, na co to? – Słaboniowa potoczyła ręką po pokoju.

Zapasiukowa nagle jakby z sił opadła, wsparła się ciężko na swoich widłach i utoczyła ciężką łzę.

– My ino dla jego dobra chcieli, dla Albina naszego, żeb on życia w więźniu nie przetracił bez taką wywłokę – chlipnęła. – Toż ja matka, pojmujecie? Jakże ja własnego syna miała nie bronić? Nie mówcie nikomu, na rany Krysta! – Słaboniowa nic na to nie odrzekła. – Oddejcicie papiery – powiedziała Zapasiukowa twardo. – Oddejcicie papiery po grzecznej prośbie, wyjdziem stąd, herbaty się napijem i zapomnim o sprawie. Na co się w starych brudach babrać, po milicjach ciągać, nowe śledztwa wszczynać, aaa?

– Śledztwo już wszczęte, ino dowodu ni ma. – Słaboniowa pomachała książeczką. – I przyznania się do winy.

– Ja cię...! – wrzasnęła Zapasiukowa i ruszyła na Słaboniową, celując widłami prosto w jej pierś.

W tejże chwili Albin ubłocony i w sztok pijany wtoczył się do pokoju i zatoczywszy się w przód, całym swoim ciężkim ciałem padł matce na plecy, przewracając ją i siebie. Czyściutka dotąd podłoga pokryła się plamami błocka, które Zapasiukowa z wielką energią poczęła zbierać chustką zerwaną z głowy.

– Mamusia darują – wybełkotał Albin. – Ja się przewróciłem na rowerze, jak żem z Chmielowa jechał. Mamusia darują... – mamrotał, usiłując stanąć na rozjeżdżających się pod nim nogach. Chwiejąc się tak, potoczył dokoła bezrozumnym wzrokiem i począł wędrować po pokoju, znacząc drogę lepкими grudkami błota opadającymi z jego szarego, roboczego drelichu. Jego ręce zostawiały rudawe ślady, podobne zaschłej krwi, na ścianach, na śnieżnobiałych zasłonkach, na gładziutkiej pościeli.

– A co to tu, mamusia? – zapytał wreszcie.

– Ja chronić cię musiała, ale żyć tak ciężko z tem grzechem na sumieniu, z tą krwią na rynkach. Przed Bogiem nic się nie ukryje i co my tera pocniem, co pocniem...

Matka jego szła za nim na kolanach, lamentując łzawo i rozmazując błoto swoją żalobną chustą.

Nagle Albin stanął, biorąc się wysoko pod boki jak sześciolatnie dziecko, i z promiennym uśmiechem oznajmił:

– Toż pamiętam. W tem pokoju, na tem łóżku my noc poślubną mieli. Tutaj my przyszli po weselu, jak już świtało. Ja do łóżka chciałem ją brać, żeb my mieli noc poślubną jak się patrzy, ale ona już pakowała te parę szmatek, co miała, i gada, że ona tak żyć nie może, że wyjechać musi i żeb jej nie szukać. To ja ją proszę, żeb ona została, żeb poczekała do dnia następnego, do rozumu doszła. Ale ona nie i nie. To ja jej powiedziałem, że dobrze, skoro taka jej wola, ale że musi iść ze mną w jedno miejsce, a wolno ją wtenczas puszczyć. I poszliśmy za stodołę i ja ją zapytałem, czy ona mnie już nie miłuje. A ona na to, że może i miłowała, ale jej przeszło i tera wie, że to pomyłka. Tak powiedziała, że pomyłka. To ja wziął szpadel... – Albin padł z powrotem na kolana i zaniósł się rzewnym, pijackim płaczem.

Dzień był ciepły, choć lato miało się już ku końcowi. Ostatnie promienie słońca wpadały przez okno i przesiane przez liście antonówki rzucały zielonawe refleksy na obrus haftowany w ptaki i kwiaty. Przy stole siedziała Anetka, bujając czerwonym wózkiem, w którym Klaudusia coś gadała do siebie po swojemu.

– Ja babkie ukryciła. Na, jidz. – Słaboniowa postawiła przed Anetką talerzyk z kawałkiem żółtego ciasta i sama siadła po przeciwnej stronie stołu ze szklanką herbaty.

– I to niby ta Południca wam powiedziała o tym dowodzie, co pod tą sukienką ślubną był ukryty?

– A kto inny? – Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– No nie wiem. Ja tam nigdy żadnej Południcy nie widziałam...

– Boś ty jeszcze mało widziała – rzekła Słaboniowa, ciamkając swój kawałek ciasta i patrząc w okno.

– No to sierżant Garsija pewnie zadowolony, że sprawa rozwiązana.

– A pewnie, pewnie. Ino z jednej śmierci cztery zrobiły się... – westchnęła Słaboniowa.

– No jak cztery? – zdziwiła się Anetka. – Wpierw Anielę Albin zabił przez zazdrość i zakopał za stodołą, to raz, a teraz Albin sam się rzucił ze starego młyna i na miejscu umarł. To jak cztery?

– A Antek Sine Oko, aaa? – Słaboniowa uniosła brwi. – Ty, Anetka, myślisz, co on umarł, ot tak sobie, bez udar? To Południca była. I o jednym jeszcze nie wiesz, Anecia. Ta Hanka, co tu była na tem weselu, to jej szukali ostatnio, bo chcieli ją wypytać na okoliczność tej całej sprawy Anieli zabicia. No i znaleźli tę Hankę niedaleko od domu, gdzie mieszkała. Siedziała pode drzewem. Gadał Mietek, że na udar zesła. List przy niej znaleźli, gdzie stało, że ona widziała, jak Albin idzie z Anielą za tę stodołę i że Anieli torbę plastikowo wypchano przy sobie miała. I widziała, jak Albin Anielę to łopato zabił. To ta Hanka od razu poszła na pierwszy poranny autobus do miasta i wyjechała tak, że nikt nie widział. Stało w tym liście, że bała się i dlatego uciekła, ale sumienie ją gryzło od tego wesela cały czas. No i taka to historia. Ino Zapasiukowa się ostała sama jak palec w ty swojej chałupie i żyje. Ale co to za życie... – Słaboniowa machnęła ręką.

– Ale jednak na moje wyszło, że to nie Antek. Wiedziałam od samego początku, że to dobry człowiek był – Anetka uśmiechnęła się zadowolona.

– To się ciesz, durna – burknęła Słaboniowa.

– No co? To chyba dobrze, że chociaż jeden człowiek w tej całej historii dobry był.

– Dobry, dobry. Co z tego, że dobry, jak głupi. Nie musiał on wcale umierać. Ale Południca przysła do niego, a un poszedł za nią jak za jako kochanicą.

– Słaboniowo...

– No?

– Myślicie, że ta Południca to była Anieli?

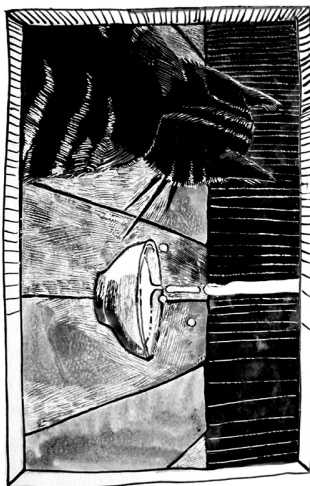
– A kto ją tam wi. Może i była. A może nie była. Gadają, że jak panna młoda zemrze w wesele albo zara po weselu, to w Południcę przemienia się. Tako gadają.

– A powiedzcie Słaboniowo, co to za taka straszna kara od tej Południcy, ta pieniądze bezcka?

– Ta piniendzy bezcka... – Słaboniowa popiła herbaty. – Te piniondze, Anecia, to te całe

robactwo co Południca we włosach trzymie: wszy, pluskwy i insze paskudztwo. I ona za karę, jak ty jej na zagadkie nie odpowisz, żreć ci to każe garściami. Te robactwo.

– Aha – powiedziała Anetka i poblądziły nieco, odsunęła talerzyk z babką daleko na kraj stołu.



SOWA

Nadeszła jesień. Nie była to jednak ta jesień, która miała nastąpić po pamiętnym, wyjątkowo upalnym lecie, kiedy to plony były tak małe, że ludzie we wsi do tej pory wspominają ową katastrofę z grozą i respektem należnymi bezrozumnym żywiołom.

Bo oto minęło okrągłych trzynaście lat, odkąd Klaudusia urodziła się i odkąd Południca nawiedziła wieś i okoliczne przysiółki. W tym czasie nie zmieniło się wiele. Sołtysowe „wielkie bum” jakoś ominęło nie tylko Capówkę, ale i resztę świata. Sierżant Garsija z milicjanta niepostrzeżenie stał się policjantem, a nie doczekawszy się wyśnionej, miejskiej kariery, nadal jeździł po okolicy swoim motocyklem, jeszcze bardziej pękaty, z siwiejącym już nieco, choć wciąż bujnym wąsem.

Anetka zaś z zastrachanej dziewczyny, która dawniej widywała diabły pod chałupą, nareszcie stała się kobietą. Nadal była po swojemu chuda, a w oczach jej zostało coś z dawnej naiwności nieśmiałego podlotka, ale teraz była już panią na zagrodzie wraz ze wszystkimi troskami dorosłego życia. No i to się jeszcze zmieniło, że Stasiek miast do miasta jeździć do roboty, teraz jeździł za granicę na saksy. Dzieci więcej nie mieli, ale czy nie chcieli czy mieć nie mogli, tego nikt we wsi nie wiedział.

I obejścia Słaboniowej czas nie ominął. Krówka nowa stała w obórce, bo stara już mleka nie dawała. Świnki dawno zdechły ze starości, bo jakoś wpiers serca nie było zarznąć, a potem żyłaste się zrobiły i niezdatne do jedzenia. Tylko Mruczek się ostał. Z posiwiąłym pyszczkiem przechadzał się po obejściu, ślepy na jedno oko i pokiereszowany w licznych walkach, ale wciąż jeszcze żwawy. A i Słaboniowa posunęła się przez te trzynaście lat. Zgarbiła się jeszcze bardziej i patrzyła teraz na świat nieco z dołu, wyciągając szyję do przodu jak stary pies. Utykać też zaczęła na lewą nogę, skutkiem czego nigdzie nie ruszała się bez swojej sękatej laski.

Jak co wieczór, tak i teraz wyszła, kuśtykając, na podwórko i stanęła przy płocie, by rozejrzeć się po wsi. Jesienny wieczór zapadał szybko, rozjaśniony tylko światłami okolicznych chałup i jednej, samotnej latarni, do której ostatnio prąd podciągnęli z Chmielowa. W domu za łączką Czarny Jan najwyraźniej oglądał właśnie telewizję, rzucającą na okienne szyby błękitną poświatę, która królowała również i w innych obejściach niczym jakiś hipnotyczny, czarodziejski opar. W domu po drugiej stronie ulicy Maryśka Baraniuków szykowała kolację dla męża i swojego najmłodszego Kanciaka, który żony jakoś jeszcze nie znalazł i dalej w domu siedział. Maryśka przygotowywała kanapki i herbatę dla swoich mężczyzn, którzy właśnie kłócili się w pokoju o pilota, zastanawiając się, jakie też nowe perypetie czekają bohaterów serialu *Nic, tylko miłość*, i – jak zawsze – modląc się w duchu, żeby na innym kanale przypadkiem nie było meczu.

W głębi, za gospodarstwem Suchego Józka stała chałupa Zapasiukowej z czarnymi już od lat oknami. Stara Zapasiukowa jak co dzień w ciemnościach i z różańcem w starczych rękach zanosila modły do Boga o zbawienie dla duszy swojego syna, męża oraz dla swojej – umęczonej długim, pełnym nieszczęść życiem.

Dalej Latoszuki z córką Jadźką, co o niej we wsi gadali, że od tego staropanieństwa już w piętkę goni. Siedziała biedna Jadźka w domu, pomagała coraz starszym rodzicom na gospodarstwie, oglądała brazylijskie seriale i czytała romanse, w których bohaterki zawsze, ale to zawsze spotykały tego jedyne księcia z bajki i po wielu perypetiach oraz pokonaniu wszystkich przeszkód łączyły się z ukochanym w niekończącym się pocałunku. Jadźka kropała łzami strony tych tanich, kieszonkowych książeczek, a potem marzyła, patrząc niewidzącym wzrokiem w okno.

Matka Anetki mieszkała nadal w domku pod dębami z wiecznie nachlanym Zenkiem i najmłodszą swoją Martusią, co teraz do liceum już chodziła. Babka zmarła ze starości pewnego zimowego popołudnia, cicho, siedząc na taboreciku pod piecem, gdzie miała w zwyczaju drzemać po obiedzie. A Januszek, widocznie przejęty tajemniczą historią zaginięcia rudej Anieli, poszedł się uczyć na policjanta. Po szkole zaczął pracę w rodzinnych stronach, mieszkanie służbowe dostał w jedynym w Chmielowie bloku i wpatrzony jak w obrazek w zgorzkniałego sierżanta Garsiję, pisał protokoły z przesłuchań pijanych kierowców i młodocianych złoczyńców okradających kioski Ruchu.

A na koniec spojrzała Słaboniowa w stronę chat na Sinokrejach, gdzie, jak mawiał Stasiek Butrym, same tylko płaczki mieszkają.

Wieczór był spokojny, cichy, pachnący żywicznym dymem unoszącym się z kominów. Słaboniowa wsłuchiwała się w znajome, wiejskie dźwięki, szczekanie psów, metaliczny świst piły tarczowej, która jeszcze chodziła u Łobaszuków, w poszum wiatru strącający z jabłonek pierwsze liście. W zapadających ciemnościach doleciał uszu Słaboniowej miękki szelest, poruszający się miarowymi falami. Wytężyła wzrok, ale zobaczyła tylko dwa fosforyzujące zielono punkty zbliżające się ku niej z niezwykłą szybkością, aż nagle jej twarz musnęło coś miękkiego i delikatnego jak aksamit. Było to skrzydło olbrzymiej sowy, która przelatując tuż przed Słaboniową, popatrzyła jej prosto w oczy swoimi ślepiami świecącymi niczym dwie, zielono fosforyzujące latarki. Sowa poleciała dalej ku Sinokrejom, a Słaboniowa, oniemiała i zaskoczona tym nagłym spotkaniem, jakiś jeszcze czas nasłuchiwała oddalającego się łopotu miękkich skrzydeł. Oplotkami zaczął zbliżać się ku niej drobnym galopkiem Mruczek. Jakby czegoś wystraszony, popatrzył na Słaboniową z wyrzutem i popędził do chałupy.

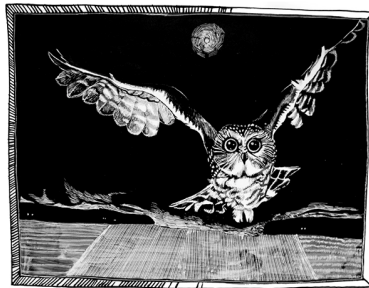
Słaboniowa podreptała za nim, siadła na łóżku i bez słowa popatrzyła w oczy kawalerowi z wąsem, co obok jasnowłosej dziewczyny w welonie godnie się prezentował, a potem na Matkę Boską z Dzieciątkiem. Obraz ściemniał z latami jeszcze bardziej, tak że ledwo już można było odróżnić zarysy postaci, tylko białka migdałowych oczu lśnęły jeszcze w ich czarnych, smutnych twarzach.

Potem włączyła Słaboniowa stary telewizor marki Rubin, który niegdyś od Kryški i Zygmunta dostała. Telewizor śnieżył trochę, bo anteny nijak ustawić nie można było, i odbierał tylko jeden program, ale i to Słaboniowej wystarczało z nadatkiem. Politycy pomrukiwali coś, śliniąc się i obrażając nawzajem, a prezenterzy z poważnymi minami omawiali kwestie kolejnych podwyżek, powodzi w jakiejś dalekiej krainie i wyników ostatnich sondaży, posiłkując się opiniami zaproszonych ekspertów. Słaboniową to wszystko niewiele obchodziło, ale lubiła być na bieżąco z wieściami ze świata. Wszystko zaś, co do niej docierało, kwitowała zwykle, kręcąc głową, najczęściej z politowaniem lub niekiedy z niedowierzaniem, lub bardzo rzadko –

z podziwem.

Siedziała tak, przysypiając, z rękami splecionymi na podołku i głową opadającą na piersi. Pod kuchnią tliło się kilka drzew, telewizor gadał z cicha, Mruczek spał zwinięty w kłębek na ławce pod ścianówką, posapując, z pyszczkiem opartym na łapie. O szyby okienne zaczęły stukać pierwsze krople jednostajnego, jesiennego deszczu.

Gdzieś daleko nad lasem leciała sowa, bijąc skrzydłami na przekór zimnym strumieniom wody i szukając schronienia. Gdy dotarła w bezpieczne miejsce, przysiadła i długo w noc patrzyła w stronę ukrytej za drzewami wsi, gdzie ludzie spali, siedzieli przy ciepłych ścianówkach, rozmawiali, pili wódkę, oglądali telewizję. Sowa była sama.



Jakoś dnia następnego w porze obiadowej, gdy Słaboniowa właśnie kapustę wstawiała do kiszenia, cicho skrzypnęła furtka, a potem ozwało się nieśmiałe pukanie do drzwi. Gdy Słaboniowa zawołała po swoim „Wchodzi!”, minęła wpierw dłuższa chwila, aż wreszcie w progu stanął, przestępując z nogi na nogę i patrząc po kątach, Dziejek Ciołków.

– Zachodź, Dziejek, zachodź – powiedziała Słaboniowa, prostując się znad beczki z kapustą. – Matka wysłała pożyczyć czego?

Chłopiec pokręcił głową, nie podnosząc oczu, ale wszedł do izby i stanął niezdecydowanie, wciśnięty gdzieś między kredens i wiadro z pomyjami.

– Głodny jesteś?

Chłopiec pokiwał głową.

– Siadaj, dam ci zara kartofli ze skwarkami. – Słaboniowa wytarła ręce, nabrała z patelki kopę kartofli na duży talerz i postawiła na stole. – Na, jidz – zachęciła Dziejka, który stał wciąż pod ścianą i popatrywał w jej stronę. Podeszedł do stołu powoli, usiadł na krześle, dyndając nad podłogą nogami obutymi w za duże, znoszone pantofle, i rzucił się na jedzenie.

Słaboniowa siadła po drugiej stronie stołu i patrzyła z zadowoleniem, jak Dziejek zaspokaja głód. Był to chłopiec lat około dwunastu, ale przez swoją chudość wyglądał najwyżej na dziesięć. Sweter granatowy w czerwone wzory, mimo jesiennego chłodu, włożony miał na gołe ciało, a z jego postrzępionych, przykrótkich mankietów wystawały kościste dłonie o paznokciach ogryzionych do samego mięsa. Jego lniane włosy, teraz zmierzwione i posklejane, opadały szarymi strąkami na twarz pokrytą brudnymi zaciekami. W twarzy tej bladej i smutnej

tkwiły niebieskie oczy, z których jedno wyraźnie leciało w stronę okna, drugie zaś w stronę pieca i kota siedzącego przy piecu. Kot przyglądał się Dziejkowi nieco podejrzliwie, szeroko otwartymi oczami barwy brzoźowych listków. Słaboniowa westchnęła.

– Jak tam, matka zdrowa? Gadajo we wsi, że znowuż zaciunżyła.

Chłopiec wzruszył ramionami i jadł dalej.

– A ty do szkoły chodzisz?

Pokręcił głową.

– Za głupi jestem – wybełkotał z buzią pełną kartofli.

– Jeszcze głupszy bedziesz, jak do szkoły nie pójdziesz.

– Do specjalnej mnie chcą dać, w Kozicach.

– Cieszysz się?

Dziejek wzruszył ramionami.

– Tam, w skole będę mieszkał, a nie w domu.

– W bursie znaczy się.

– Moze i w bursie – rzekł Dziejek bez większego zainteresowania.

– A, przepomniałam! – Słaboniowa klepnęła ręką w stół i poderwała się z krzesła. – Toż mlika zsiadłego ci przyniese z piwniczki, czekaj. I ciasta nakroję, dzisiaj ja napiekła...

Ale gdy po kilku minutach Słaboniowa weszła do izby z dzbankiem zsiadłego mleka, okazało się, że Dziejek zniknął jak kamfora. Talerz po kartoflach wylizany był do czysta, a na stole brakowało posrebrzanej cukiernicy, co się Słaboniowej po matce w spadku została. Stara z ciężkim westchnieniem postawiła dzbanek na stole, zakasała rękawy i wróciła do swojej beczki z kapustą, wyrzekając pod nosem na ludzką niedolę.

Gdzieś pod wieczór, gdy Słaboniowa odpoczywała po robocie ze szklanką herbaty i włączonym radiem, przyszedł Marianek. Jak Marianek otworzył furtkę, wszedł na podwórko, a potem do sieni, tego słyhać nie było i dopiero pukanie do drzwi ostrzegło Słaboniową, że ktoś się po obejściu kręci. Nic nie rzekła na to pukanie, ale Marianek, nie doczekawszy się odpowiedzi, wśliznął się do izby i nieproszony zajął miejsce przy stole.

– Dzień dobry pani – powiedział grzecznie Marianek, strzelając kosymi oczami na wszystkie strony. Słaboniowa popatrzyła na niego ponuro, a Mruczek bardziej jeszcze niezadowolony, odwrócił się pyszczkiem do ściany, jakby już niczego oglądać nie chciał.

– Dzień dobry – odparła wreszcie. – A ty tu za czem przyszed?

– A tak przyszedłem – powiedział Marianek rezolutnie. – Herbatki napić się, porozmawiać, co we wsi się dzieje. Z chałupy pani nie wychodzi, to i żadnych nowości nie zna.

– Już ja wim, co mnie trza wiedzić – odparła Słaboniowa, ale wstała z głuchym stęknieniem, naląła esencji do szklanki, zalała wrzątkiem i z głośnym stukiem postawiła szklankę przed Mariankiem.

– A cukru pani nie ma? – Marianek omiół stół szybkim spojrzeniem, niechybnie rejestrując brak posrebrzanej cukiernicy.

– Ni mam. Wyszed – ucięła Słaboniowa i siadła bokiem do niego, splatając ręce na brzuchu.

Marianek, krzywiąc się niemiłosiernie, siorbał gorzką herbatę i gadał przy tym niestrudzenie, rozciągając wąskie usteczka w przymilnych uśmiechach i popatrując na Słaboniową chytrymi oczkami.

– A wie pani, że we wsi złodziej jest? Chodzi po wsi i kradnie, co mu się pod rękę nawinie. Dominikowi to podobnież kury dwie wziął z kurnika, a Czarny Jan zostawił zegarek na parapecie, to przez okno ten złodziej zwinął, a u Łobaszuków szmaty ze sznurka ściągnął, co poprane mieli, i to najlepsze Łobaszukowej ubranie, co w nim do kościoła chodziła, no a mnie, a mnie to prawdziwie cenną rzecz ukradł, radiomagnetofon marki Wilga! Ale ja wiem, co to za złodziej! – Marianek zadowolony z siebie założył nogę na nogę. Słaboniowa łypnęła na niego niechętnie. – Już ja wiem, kto u nas we wsi kradnie, i dopilnuję, żeby go kara spotkała – Marianek zapał triumfalnie. – To Dziejek Ciołków! Toż co tam się u nich dzieje, mówię pani. – Marianek począł po kolei odginać palce i wyliczać: – Smród, brud, do podłogi to się przylepić można, dzieciaki wszystkie nienormalne co do jednego i w szkole specjalnej powinny siedzieć, a z Ciołka to taki gospodarz, że tylko płakać. Cały zasitek, co na dzieci dostają, to przepija, że nawet na chleb nie zostaje. A ta Mańka Ciołkowa też nienormalna i znowuż w ciąży, jakby tych przychlastów już mało mieli. Gadają, że jak w szpitalu z ostatnim była, to se nóg nie dała umyć, myślała, że jej krzywdę chcą zrobić. – Marianek zaśmiał się i zerknął na Słaboniową, ale ta siedziała nieruchomo z nieprzeniknioną twarzą. – A wam co nie zginęło? Widziałem taką tu cukiernicę posrebrzaną mieliście... – Marianek zawiesił głos wyczekująco.

Słaboniowa tylko wzruszyła ramionami.

– No bo ja przyszedłem, bo dla złodzieja kara musi być, nie? I jakby pani też coś Dziejek ukradł i pani by poświadczyła, to już by on karę musiał dostać. Ja widział, że on był dzisiaj u pani...

Słaboniowa przyjrzała mu się uważnie.

– A ty, Marianek, coś taki do karania skory, aaa?

– No bo dla złodziejów litości nie mam, jak kradnie to... to kara musi być! – wyjaśnił

Marianek.

– A po czym ty taki pewny, że to Dziejek te kury pokradł?

– A bo ja dochodzenie własne prowadzę – powiedział z dumą Marianek. – Tu zajrzę, tam zajrzę, tu popytam, tam popytam i ludzie mi wszystko mówią. Policji to tak wszystkiego nie powiedzą... A nie ma pani jakiego ciasta poczęstować? Czuć, że dzisiaj pieczone było... – Marianek pociągnął nosem z lubością.

– Ja nic dzisiaj nie piekła – powiedziała Słaboniowa. – A z Dziejka dobry dzieciak. Był dzisiaj, poszedł i nic mnie nie zginęło. Że ludzie biedne, to taki już los, ale źle tak gadać na kogoś, że cudze bierze, tak całkiem bez dowodów. – Słaboniowa wstała i otrzepała fartuch.

– A pani co tak broni tej hołoty? – spytał Marianek pogardliwie. – Ja był tam u nich, o, wczoraj i co Mańka gadała na panią? Że pani jest czarownica, że uroki rzuca, że pani na nią uroki rzucała za każdym razem, jak z brzuchem chodziła, i dlatego wszystkie dzieciaki teraz u nich nienormalne. I to nie jedna Mańka na panią gada we wsi. Dominiki gadają, że mleko im kwaśniej, jak pani przejdzie koło płota, a Jadźka podobnież starą panną została, bo pani źle na nią spojrziała.

Słaboniowa podeszła do Marianka, pochyliła się nad nim i powiedziała bardzo cicho a powoli:

– Wiesz ty co, Marianek? Idź ty już lepi tam, skądś przylaz, i na oczy nie pokazuj mi się wincyj.

– Ale po co się tak gorączkować? – spytał niewinnie Marianek i ześlizgnął się z krzesła. – Ja tylko powtarzam, co ludzie gadają. Przecież ja na panią złego słowa nie dam powiedzieć... – ale nie skończył, widząc wzrok Słaboniowej, i już go nie było.

Słaboniowa stała jeszcze chwilę na środku izby z rękami wpartymi w boki. Potem usiadła bezsilnie na łóżku i popatrzyła na swego ślubnego.

– Aaaa... – machnęła wreszcie ręką. – Co ci, Hendryk, bede gadała. Niektóre ludzie zawsze długie jęzory mieli i nic nie poradzisz. Oj, Hendryk, ja tak co i raz dumam, co by mi najłepi było gdzie w lesie samej żyć, daleko od ludzi. Kiedy ciebie ni ma, to i może najłepi by dla mnie było. Co by tego gadania ludzkiego nie słuchać, tego mielenia jęzorem, tego judzenia wiecznego. Co by ino ptaszków słuchać, ino z sarenkami gwarzyć, ino nad strumyczkiem siedzić z dala od tego tumultu ludzkiego i tak w spokoju śmierci doczekać...

Zdało się Słaboniowej, że Henryk spojrzenie jej posłał współczujące, ale pewną tego być nie mogła. W tejże chwili Mruczek, który podeszedł do niej niepostrzeżenie, wskoczył starej miękko na kolana i nastawił się do głaskania, jakby chcąc przypomnieć o swoim istnieniu.

– Nie, Mruczek, ja ciebie nie ostawię, nie ostawię, nie bój się... – Słaboniowa gładziła zmierzwiłone futerko, patrząc w okno. – Ja tu potrzebna, dla tych ludzi, ja tu jeszcze sprawy mam, ja ciebie nie ostawię. – Mruczek uspokojony nieco, zwinął się w kłębek na jej kolanach i zasnął.

Dnia następnego Słaboniowa wybrała się do lasu na grzyby. W kieszonce wełnianej kamizelki schowany miała kozik, a w ręku niosła koszyk wiklinowy. Niebo było zaciągnięte ciężkimi, stalowymi chmurami, z których padał drobny, uporczywy deszcz. Gdy Słaboniowa weszła między pierwsze drzewa, las wciągnął ją w swoją miękką szarość, przetykaną rudziejącymi mchami i skrawkami nieba prześwitującego między łysiejącymi grabowymi i dębowymi gałęziami. Na drobnych gałązkach leszczyn i czarnego bzu wisały wodne kropelki i skapywały na ziemię, robiąc miejsce następnym. Leśną ciszę przerywały tylko dźwięki gałązek łamanych przez czyjeś drobne stopy. Jakaś sójka zapłakała w oddali niczym dziecko, a potem zaskowyczała tęsknie, kończąc wreszcie kilkoma łobuzerskimi gwizdami.

Słaboniowa szła w stronę małego, ukrytego między drzewami jeziorka, gdzie dużo rośło podgrzybków, a i prawdziwek się zdarzył. Po drodze zebrała trochę maślaków, koźlaków i surojadek łyskających spomiędzy mokrych liści różowymi i zielonawymi kapeluszami, które nieznanymi leśnymi porządków łatwo może pomylić ze sromotnikiem. Dalej jeszcze natrafiła na wronie uszka. Dziwaczne te grzybki przypominające kształtem pomarszczone trąbki, rosną stadkami, tworząc wśród dębów i buków popielatoczarne placki. Zebrała też Słaboniowa odpowiednią ilość tych kruchych grzybów o przyjemnie chłodnej, aksamitnej powierzchni i powędrowała dalej.

Gdy zaczęła się zbliżać do leśnego jeziorka, poczuła dziwny, słodkawy zapach, który z dalszymi krokami począł przybierać na sile, aż wreszcie Słaboniowa rozpoznała mdlący smród padliny. Jakieś zwierzę musiało paść w okolicy lub któryś drapieżnik przyciągnął tutaj ofiarę i zostawił truchło na pastwę robactwa i zgnilizny. Słaboniowa podeszła bliżej, powstrzymując mdłości. Jeziorko łyskało spokojnie pomiędzy drzewami, a krople deszczu tworzyły na jego powierzchni przenikające się, drżące kręgi. W okolicy nie było widać żadnej padłej zwierzyny, choć smród był nie do zniesienia. Posłyszała też Słaboniowa głośne owadzie bzyczenie i podążyła w jego kierunku. I oto tuż nad brzegiem wody zobaczyła sterczące z ziemi sromotniki bezwstydne, nad którymi unosił się kłęb wielkich, połyskujących zielono much. Grzyby rosły w zwartym kręgu, a każdy z nich prężył się niczym męska pałka o pomarszczonej główce pokrytej lepkiem, śmierdzącym śluzem. Muchy obsiadały obmierzłe kapelusze i zlizywały żarłocznie ciemną substancję, to znów podrywały się do lotu i niczym pijane krażyły w zatęchłym powietrzu. U stóp każdego obelżywie postawionego na sztorc grzyba tkwiły w ziemi dwa kuliste twory zwane czarcimi jajami. Od czasu do czasu któreś z nich pękało z hałasem, wywołując nową falę smrodu, a muchy rzucały się chmarami w jego stronę.

Słaboniowa wolno okrążyła jeziorko, ale żadnych więcej dziwnych znaków nie napotkała. Zbierała się już do odejścia, gdy posłyszała jakiś szelest po drugiej stronie jeziorka. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie ukrytych głęboko pod krzaczastymi brwiami oczu. Dokładnie naprzeciw Słaboniowej, oddzielona od niej tylko spokojną taflą wody, znaczoną kroplami deszczu, schylała się garbata, pokurczona starowinka. Gmerając ręką przy ziemi, przyglądała się czujnie intruzowi. Staruszka ubrana była w bezkształtną masę ubrań o niemożliwych do określenia kolorach, a to w ponakładane na siebie serdaczki, bluzki i sweterki, a to w mnogość spódnic i fartuchów czyniących z niej coś przypominającego kupkę rzuconych niedbale szmatek. Na głowie staruszki piętrzył się stosik wełnianych czapek nakrytych zawiązanymi jedna na drugą chustkami. Otoczona rojem much wybierała z ziemi czarcie jaja i wkładała je do równie jak ona bezkształtnego, szarego węzełka. Słaboniowa przestąpiła z nogi na nogę, łamiąc jakąś gałązkę

i w tejże chwili starucha syknęła w jej stronę ostrzegawczo, po czym wykonała ręką nieznaczny ruch. Na powierzchni wody pojawiła się delikatna fala, która poczęła przesuwać się w stronę Słaboniowej, a gdy dotarła do brzegu, Słaboniowa poczuła silne uderzenie w sam środek piersi, które powaliło ją na ziemię. Gdy po dłuższej chwili udało się jej podnieść i otrząść spódnicę z mokrych liści, po drugiej stronie jeziora nikogo już nie było i nawet muchy gdzieś zniknęły. Tylko na gałęzi pobliskiego klonu siedziała sowa i przyglądała się Słaboniowej swoimi zielono fosforyzującymi, okrągłymi oczami. Sowa rzuciła Słaboniowej ostatnie spojrzenie i odfrunęła.

Pod wieczór Słaboniowa usmażyła maślaki i wronie uszy, dodając jajko i odrobinę śmietany, i zjadła posiłek, zagryzając go pajdą chleba z masłem. Potem siadła przy stole i zaczęła przygotowywać resztę grzybów do suszenia. Gdy przyjdzie zimowy czas – myślała – nie zrobisz bigosu albo prawdziwego żuru bez dodatku suszonych grzybów przez siebie zebranych. A potem myślała o starej kobiecie napotkanej w lesie, która moc musiała mieć niemałą, że rzuciła Słaboniową na ziemię bez jednego dotknięcia. I tak rozmyślając, nadziewała na nitkę jędrne plasterki podgrzybków i prawdziwków, pachnące cierpko niejasną mieszaniną leśnych aromatów igliwia, wilgotnych liści i grzybni ścielącej się pod warstwą ściółki.

W miłej, znajomej ciszy, która otaczała Słaboniową, przerywanej tylko tykaniem zegara i cichym trzaskiem szczap drewna pod fajerkami, na ulicy przed domem ozwał się nagle pisk hamulców, a po chwili rozległo się stanowcze pukanie do drzwi. Słaboniowa rzekła po swojemu „Wchodzi!” i w izbie pojawił się sierżant Garsija, sapiący głośno, a za nim wszedł nieśmiało Januszek z wielkim notesem i plikiem jakichś papierów pod pachą.

– Dzień dobry! – wysapał sierżant Garsija, przyłożył kurtuazyjnie czubki palców do policyjnej czapki i padł na krzesło przy stole.

– A dzień dobry, dzień dobry – odparła Słaboniowa. – A to widzę, że Januszek już się do zawodu przyucza.

– Praktyki nabiera – zawołał tubalnie sierżant Garsija i huknął na nieco zalęknionego Januszka: – No, weź tam krzesło spod ściany, co tak stoisz jak słup.

– Tak jest, panie sierżancie – powiedział służbiście Januszek i czerwony jak piwonia przysiadł na brzeżku niebieskiego taboretu.

– To widzę, Mieciu, że ty w służbowej sprawie zajechał – powiedziała Słaboniowa.

– Ano tak. – Garsija splótł ręce i oparł je na stole, odgarniając rozsypane grzyby. – Widzicie, podobnież złodziej we wsi grasuje. Z całej wsi mamy zgłoszenia o zabraniu mienia, a to kury, a to ubrania, a to...

– U nas to nawet ojcu flaszkę podpierdolił... – wtrącił Januszek.

– Januszek! – ryknął Garsija. – Posterunkowy Samoszuk znaczy się, liczcie się ze słowami. Na służbie jesteście. – I zwrócił się na powrót do Słaboniowej: – I flaszka Samoszukowi zginęła, prawda. No i tera mnie ciągną po wsi do tych brudnych łąchów, zaginionych kur i starych zegarków, jakby to ważniejszych spraw na świecie nie było –

westchnął zniecierpliwiony. – A już najbardziej to Marianek się kokosi, że niby mu radiomagnetofon marki Wilga skradziono.

– Aaa, Marianek... – mruknęła Słaboniowa. – Ja tam nie wim, ale mnie się widzi, że ten niby radiomagnetofon to Marianek se wydumał.

– No, nie ma powodu nie wierzyć i spisać każde zgłoszenie trzeba – westchnął sierżant. – No, Januszek, wyciągaj protokoły.

– Kiedy u mnie nic nie zginęło – powiedziała Słaboniowa, podnosząc brwi.

– Jak to? – zdziwił się Garsija.

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– Toż ci gadam, że u mnie wszystko je, jak było.

– A jak Dziejek Ciołków u was był, to cukiernica posrebrzana wam nie zginęła?

– Toż mówię, że ni. A kto tak gadał, że mnie co ukradli?

– Marianek gadał.

Słaboniowa machnęła ręką.

– Słuchaj, Mieciu, Marianka to w zimie na boso bedziesz ganiał. Jęzor on ma dłuższy od kociego ogona i gada, co mu ślina na niego przyniesie.

Januszek prychnął śmiechem, ale zgromiony spojrzeniem swojego mentora zaraz przycichł.

– No ale podejrzanego mamy, Dziejka Ciołkowego jak nic – powiedział Garsija.

– A ty taki pewien? Marianek nagadał?

– No, wszędzie, gdzie kradzieże były, Dziejek kręcił się, a jak się nie kręcił, to mógł.

– Mógł, mógł – sapnęła Słaboniowa. – A jak to naprawdę Dziejek, to co takiemu bidakowi zrobicie?

– Nieletni jest, to prawda, i z rodziny patologicznej. Ale albo mienie skradzione zwróci, albo kara go nie minie: może poprawczak, a może bezkarnie ujdzie, bo on przecie upośledzony, znaczy się umysłowo. Nie wiem, to się jeszcze zobaczy, ja nie sąd, żeby dzieci karać, ja tylko mam złodzieja znaleźć.

– Uhm – powiedziała Słaboniowa.

– Ale cukiernicy waszej nie widzę. – Garsija potoczył podejrzliwym wzrokiem po izbie. – A to pamiętam, posrebrzaną mieliście po matce. Ładna rzecz.

– A ja schowała, żeb nie poniszczyć przy robocie – powiedziała Słaboniowa, pokazując rękę na rozsypane po stole grzyby.

– No jak tam sobie chcecie – wzruszył ramionami sierżant. – Ale jak złodzieja złapiemy, to cukiernicy nie bedziem szukać, bo protokołu nie ma, że zaginęła. – Rozłożył ręce i wstał. – Jakby się okazało, że jednak wam coś brakuje na gospodarstwie, to dajcie znać przez Januszka. No nic, posterunkowy Samoszuk, idziem.

Januszek pozbierał szybko swoje notesy i papiery, z nieśmiałym uśmiechem powiedział Słaboniowej „Do widzenia” i poszli. A Słaboniowa została przy stole ze swoimi grzybami i zasepioną miną w szybko zapadającym, jesiennym zmroku.

Jakoś znowuż z trzy dni minęło albo i z cztery. Siedziała Słaboniowa przy oknie wczesnym popołudniem i robiąc na szydełku serwetkę dla Anetki na telewizor, popatrywała co i raz na drogę. Radio grało cichutko, czas szedł niespiesznie wystukiwany mechanizmem starego zegara. Mruczek spał rozciągnięty przy piecu, strzygąc przez sen uszami i machając czasem łapkami, jakby chciał gdzieś biec, ale zaraz nieruchomiał znowu.

Spojrzała Słaboniowa przez okno kolejny raz i nagle patrzy, a drogą idzie Dziejek z wypchaną reklamówką w ręce. Idzie, ale bardziej jakby się skrada zgarbiony, rozgląda niepewnie, podbiega co chwila, byle szybciej z widoku zejść.

Słaboniowa odłożyła robótkę, wyszła na podwórze, stanęła przy furtce i popatrzyła za Dziejkiem, który wyraźnie kierował się w stronę lasu. Nie myśląc wiele, wygoniła Mruczka na schodki, zamknęła drzwi na skobel, wzięła w garść swoją nieodłączną laskę i ruszyła za Dziejkiem. Mruczek zaś obrażony nieco, przyglądał nastroszone od snu futerko i udał się w poszukiwaniu jakiegoś ciepłego miejsca, gdzie można by się jeszcze zdrzemnąć.

Słaboniowa szła za oddalającym się spiesznie Dziejkiem, który zniknął już między pierwszymi drzewami. Zaraz i Słaboniowa weszła do lasu, szukając wzrokiem jasnej czupryny. Dziejek lazył na przełaj, nie pilnując drogi, smagany sprężystymi gałązkami krzaków, nieświadom zupełnie, że ktoś go śledzi. Minęli już jeziorko, przy którym Słaboniowa spotkała niedawno złośliwą staruszkę, ale Dziejek szedł dalej, jakby zmierzał do wyraźnie wytyczonego celu. Jednak miejsce, którego szukał, nie znajdowało się w pocziwym, liściastym lesie, tak dobrze znanym Słaboniowej. Bo oto wkroczyli do Borku, zarośniętego wielkimi sosnami i świerkami o ciężkich od gęstych igieł gałęziach. Las ten był ciemny, a nieba nad nim nie było widać, zdawało się, jakby nad głowami wędrowców rozciągał się czarno-zielony dach.

Nagle Słaboniowa straciła Dziejka z oczu. Jakby zapadł się pod ziemię. Przed chwilą widziała go dokładnie, jak drepcze z ciężką reklamówką włokąc się po ziemi, i w jednej sekundzie rozplynął się, w mroku.

Słaboniowa rozejrzała się dokoła. Nigdy nie była w tej części lasu i z tej gęstwiny nie znała drogi do domu. Drzewa otaczały ją ciasno, chciała postąpić kilka kroków w przód, ale one

jakby zastępowały jej drogę, falując ostrzegawczo ciężkimi gałęziami. Gdzieś w oddali zahukała sowa. Słaboniowa bezradnie przestąpiła z nogi na nogę i zaczęła zastanawiać się, jak tu wrócić do chałupy, gdy wyczuła w powietrzu delikatny zapach dymu. Węszyła chwilę i kierując się cienką żywiczną strużką, zaczęła iść w stronę ogniska, z którego niezawodnie dym ten musiał się unosić. Przeszła kilka kroków i omal nie przewróciła się, napotykając na sporej wielkości wzgórek usypany z świerkowych gałęzi. Co dziwne, z czubka tego kopca unosił się dym, za którym tu przywędrowała. Musiał to być jakiegoś rodzaju szałas, choć zdało się Słaboniowej, że był on zbyt niski, aby mógł się tu zmieścić ktoś normalnego wzrostu. Obeszła ten dziwny szałas dookoła i zobaczyła, że pomiędzy gałęzi tuż przy ziemi przeziera migotliwe, ciepłe światło. Rozgarnęła gałęzie, wsadziła między nie głowę, potem ramiona, aż wreszcie cała znalazła się w sporej wielkości, wykopanym w ziemi pomieszczeniu. Bowiem gałęzie tworzące kopiec na powierzchni ziemi były jedynie dachem głębokiej ziemianki. Pomieszczenie było dość ciemne, zadymione i upchane dziesiątkami przedmiotów, piętujących się pod niskimi ścianami. Zwinięte w kłębach kolorowe szmaty, wszelkiego rodzaju sprzęty domowe, naczynia, narzędzia gospodarskie, święte obrazki, ślubne zdjęcia – wszystko to leżało posortowane w nieporządnym kopach. Gorące powietrze było ciężkie od potu, stęchlizny i znanego Słaboniowej smrodu gnijącego ścierwa. Na środku ziemianki paliło się ognisko, a pomiędzy płomieni wpatrywały się w Słaboniową dwie pary wytrzeszczonych oczu. Na ognisku stał czarny od sadzy garnek, którego pokrywka podskakiwała, brzęcząc cicho nad pyrkoczącą w środku strawą. Po drugiej stronie ogniska, na uklepanej ziemi siedział Dziejek, a powyżej niego starucha, którą Słaboniowa spotkała w lesie przy jezioru.

– Czego jo tu przyciągnął?! – wrzasnęła starucha i wymierzyła Dziejkowi siarczysty policzek.

– Ale ja nie wiedział... – zapłakał Dziejek, osłaniając głowę rękami.

– Nie wiedział, nie wiedział... – zaburczała starucha i dała Dziejkowi na pociechę zajęczką łapkę do zabawy. – Tera spokoju nie bedzie. Ludzie żyć nie dadzo. Jak się ścierwa wywiedzo, że w lasu czarownica żyje, to żyć nie dadzo. Z psami przyjdo, zaszczujo, wygnajo i znowuż trza bedzie się tułać, domu szukać... Żyć nie dadzo – ostatnie słowa wypowiedziane w bezsilnej złości zwróciła wprost do Słaboniowej.

– A czego majo się dowiedzić? – spytała Słaboniowa powoli.

– A una nie powi? – Starucha błysnęła okiem z nadzieją i zapytała nieco podejrzliwie: – A czego tu przyszła?

– A za tym tu bębem ja przyszła, żeb se jakiej bidy nie napytał.

– Jakiej bidy? – zachnęła się starucha. – A bo to un źle tutaj ma u mnie? No, powi, źle ma? – popatrzyła na Dziejka.

– Niii... – powiedział Dziejek. – Lepiej jak w domu. Ciepło, jedzenie dostajem i nie bijom prawie wcale.

Słaboniowa rozejrzała się dokoła.

– A to dobro całe to skund?

Starucha i Dziejek popatrzyli po sobie, a potem na Słaboniową, ale nic nie powiedzieli. Starucha podniosła tylko pokrywkę z garnka, z którego rozszedł się obrzydliwy smród padliny, zanurzyła w nim łyżkę i wyjęła na obtłuczony talerzyk trzy czarcie jaja. Jedno jajo dała Dziejkowi, drugie wzięła sobie, a trzecie po chwili wahania podsunęła Słaboniowej. Ta jednak krótkim mruknięciem odmówiła poczęstunku. Starucha wzruszyła ramionami i wraz z Dziejkiem zaczęli obierać jaja z grubej, zewnętrznej skóry i wyjadać ze środka szarawy, galaretowaty miąższ.

– No, skund, pytam się? – ciągnęła Słaboniowa. – Skund ta Łobaszukowej kościelna chusta, o tu leży? Skund zegarek, co Czarnemu Janu zginał, a o tu, moja cukiernica? – Słaboniowa wskazała na powałę, gdzie wisiała jako ozdoba jej posrebrzana cukiernica.

– Kazali, to ja nosił... – wzruszył ramionami Dziejek, zerkając na staruchę.

– A żeb cię! – warknęła na niego starucha i westchnęła ciężko. – Toż i mnie się co od świata należy za moje krzywdy, ni? Nic mnie nigdy nie dali, z dumy wygnali, z każdej wsi gnali, co schronienia prosiłam, to tera chocia tym się nacieszę. Nigdy ja tyła nie miała, a tera wszystko mam. – Zaczęła pokazywać z dumą: – O, tu szmatki przeróżne, kolorowe, a tu garnki do gotowania i skorupy do jedzenia, a tu do roboty takie różne narzyndzia, jak to Dziejek gada. Wszystko jak trza, jak w prawdziwym domie.

– Toż une na elektryczność te narzyndzia, nie nadadzo się – powiedziała Słaboniowa.

– Aaa, elektryczność. Dziejek mnie gadał, co wy tam macie takie coś, że różne sprzęty grajo muzykie i obrazki pokazujo. Gadał mnie o tem radiej i telewizoru i że światło macie nie z ognia. O, a ja tu mam i te radio – starucha wyciągnęła zza pleców radiomagnetofon marki Wilga, pomachała wtyczką i wetknęła ją w ścianę ziemianki. – Dziejek gadał, że to w ścianę trza wsadzić i bedzie grało. No, ja wsadzała, ale nie gra.

– Bo tu elektryczności ni ma – powiedziała Słaboniowa.

Starucha popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem i schowała radio na powrót.

– Dziejek, toż ty nie wiesz, że policja po wsi lata, wypytuje i złodzieja szuka? – spytała Słaboniowa.

Dziejek wzruszył ramionami i jadł dalej swoje czarcie jajo.

– Gadajo, że karę masz dostać. Nie wim jako, ale bo to kcesz za złodzieja we wsi być, żeb cię ludzie palcami wytykali?

– A mnie to sysko jedno – powiedział Dziejek. – Ja tam zyc nie chcę, do skoły specjalnej chcą mnie dać, z dumy wygnać, to niech i myślo, ze ja złodziej.

– Kcesz czy nie, oddać trza – powiedziała krótko Słaboniowa.

– Ni! – zawrzęsnęła gniewnie starucha. – Nie dam!

– Nie oddasz, to powim, że w lesie czarownica siedzi. Sami przyjdo, zabioro i obijo na koniec kijami. A jak z dobrej woli oddasz, co w naszej wsi Dziejek nakrad, to ja nie powim o tobie. A reszta dobytku, co w innych stronach nakradłaś, tobie zostanie się.

Starucha wbiła w Słaboniową nienawistne spojrzenie i machnęła ręką, jakby odganiając muchę. Jednak w pół jej ruchu Słaboniowa błyskawicznie uniosła swoją laskę i uderzyła czarownicę w ramię. Starucha pociągnięta silnym uderzeniem padła na plecy, a gdy usiłowała podnieść się z ziemi, Słaboniowa już stała nad nią, ostrym końcem laski przygważdżając do ziemi dłoń czarownicy.

– Już ty mnie tych swoich sztuczek nie pokazuj, bo ja nie z takimi miała do czynienia – warknęła Słaboniowa. – Po dobroci oddasz, co żeś nakradła, i pokój bedziesz miała. Ale jak Dziejkowi krzywda się stanie bez twoję zachłanność, to mnie popamiętasz. – Starucha zaczęła się miotać jak piskorz, ale laska Słaboniowej wbijała się w jej rękę coraz mocniej.

– Oddam – wysapała wreszcie czarownica. – Ino mnie to lago nie żga. – Słaboniowa odstąpiła i siadła na swoim miejscu. Starucha siadła na powrót po drugiej stronie ogniska, roztarła dłoń i powiedziała do Dziejka: – Zbiro, co wziun, do tobołka. Pójdzie i odda.

– I co dalej? – zapytał Dziejek.

– Nic. Pójdem gdzie w inne strony.

– Ale zabezpiecz mnie? – Dziejkowi zaczęła się trząść broda. – Czarownica wzruszyła ramionami.

– Zbiro, zbiro, nie gada.

Dziejek, rozmazując po twarzy łzy i smarki, posłusznie zaczął kłaść skradzione przedmioty na dużą chustę. Słaboniowa obejrzała dokładnie zawartość tobołka.

– A gdzie flaszka, co ty Samoszukowi zabrał?

– A wypilim – zaśmiała się starucha. – Dobra była wódeczka, co nie, Dziejek? – Dziejek stał ze spuszczoną głową, pociągając nosem. – No, co jemu? Toż lepi mu bedzie ze swojemi. Gdzie ja jego bede za sobo ciungała po szerokiem świecie? No, nie ryczy, weźmie na szczęście – pokazała na zajęczą łapkę.

Dziejek nic nie powiedział i łapki zajęczej nie wziął, tylko chwycił tobolek i wygrzebał się z ziemianki, zostawiając staruchę ze Słaboniową.

– To i kury pewnikiem wy zżarli? – spytała Słaboniowa.

– A pewnie – odparła starucha bez skruchy i wyciągnęła w stronę Słaboniowej radiomagnetofon. – Pewnikiem i to chce zabrać? A bierze, mnie i tak na nic.

Słaboniowa zdjęła z powały swoją cukiernicę, popatrzyła na radio, zważyła coś w myślach i powiedziała:

– Tak ja sobie dumam, że to nie od nasz ze wsi to radio. Musi gdzie indziej kradzione.

Czarownica wzruszyła ramionami i położyła radio na ziemi.

Gdy Słaboniowa wyszła na powierzchnię, ciemno już było. Dziejek stał z tobołkiem niedaleko ziemianki i wpatrywał się w ciemność.

– No, idziem, Dziejek – rzekła do niego Słaboniowa.

Dziejek bez słowa zarzucił tobołek na plecy i uginając się pod jego ciężarem, ruszył smutnie przed siebie, a Słaboniowa w zamyśleniu dreptała za nim. Szli tak długo, nie rozmawiając, aż ukazały się pierwsze zabudowania wiejskie, świecące żółtymi kwadracikami okien. Przeszli przez wieś i Dziejek, zakradając się do obejść ludzkich, tak jak po cichu i niepostrzeżenie pozabierał, tak teraz wszystko na miejsce odłożył. Słaboniowa dała mu też ze swego kurnika dwie dropiate kury dla Dominików i flaszkę dla Samoszuka, co od święta miała schowaną. Gdy tobołek był już pusty, Dziejek pociągnął jeszcze raz nosem.

– To ja juz pójde, nie?

– Pójde z tobą, pod chałupę podprowadzę – powiedziała Słaboniowa. Dziejek wzruszył ramionami i poszli.

Droga na Sinokreje nieoświetlona była, ciemno choć oko wykol. Ani latarni, ani domu po drodze, gdzie by się okna świeciły. Szli prawie po omacku, kierując się coraz dalszymi, przesuwającymi się w tył światełkami Capówki i coraz bliżej majączącymi światłami chat na Sinokrejach. Z pamięci wiedziała Słaboniowa, że powinni się teraz zbliżyć do rozstajów, na których krzyż stoi i krzak bżowy rośnie, i tam jak w lewo skrócić, to Sinokreje będą. I otóż światła Sinokrejów już całkiem blisko były, ale droga zniknęła. Gdzie nie stąpnęła noga, tam zapadała się w zaorane pole, gdzie się nie obróciła, tam jedna tylko ciemność panowała. Ani krzyż nie rysował się na tle nieba, a przecież wielki był, ani krzaka bżowego nie było widać.

– Drogi ni ma – powiedział Dziejek zadziwiony.

– Ano ni ma.

– Ale jakże to? – spytał Dziejek i przestraszony chwycił Słaboniową za rękę.

– Musi czarownica zabrała.

– Droge zabrała?

– O, czarownica to i drogę może zabrać, i dom, i człowieka nawet – wyjaśniła Słaboniowa. Dziejek coś chciał jeszcze powiedzieć, ale Słaboniowa nie dosłyszała, bo w ciemnościach ozwał się miękki trzepot skrzydeł, który zbliżył się ku nim, i poczuła, że zimna, drobna ręka Dziejka wysuwa się z jej dłoni. Łopot skrzydeł oddalił się gdzieś w stronę Borku, a Słaboniowa, machając rękami dookoła, krzyknęła: – Dziejek! Dziejek!

Nikt nie odpowiedział. Zaczęła macać wokół siebie z nadzieją, że odnajdzie rozczochraną czuprynę, tkaninę swetra, chude ramię, ale nikogo przy niej nie było. Światła we wsi pogasły, a Słaboniowa została w zimnym polu, w całkowitych ciemnościach, z jedną tylko laską i cukiernicą wciśniętą za pazuchę. Usiadła na ziemi i tak postanowiła doczekać rana.

Obudził ją wciskający się pod ubranie wilgotny chłód poranka. Szare światło przebijające się spomiędzy gęstych chmur wyluskiwało z zimnej mgły drzewa rosnące na miedzach, najbliższe zabudowania i majaczącą w oddali ciemną linię lasu. Słaboniowa poczuła, że w jej plecy wbija się coś twardego i szorstkiego. Okazało się, że całą noc spała pod krzakiem bzu, oparta o drewniany krzyż stojący na rozstajach, a wszystkie cztery drogi rozchodzące się od krzyża w cztery strony świata były znowu na swoim miejscu. Słaboniowa roztarła ścierpnięte członki i poszła do Capówki skrótem, przez łąkę siną od porannej rosy.

Jakież było zdziwienie Czarnego Jana, gdy tego samego ranka znalazł na parapecie okiennym swój stary zegarek marki Czajka. Nie mniej zdziwiona była Łobaszukowa, gdy na sznurkach przy domu zobaczyła powieszzone swoje ubranie do kościoła, co już nie wierzyła, że kiedyś je odnajdzie. U Dominików w kurniku pojawiły się dwie nowe kury, a szczęście Zenka Samoszuka nie znało granic, gdy po przebudzeniu pod ręką znalazł nowiutką flaszkę wyborowej.

– Uchłał się od razu jak świnia – opowiadała Anetka, popijając gorącą herbatę ze szklanki rżniętej w jodełkę. – No i wszyscy we wsi, co im pokradziono, to znowuż mają, jakby cud jakiś. Tylko Dominikowa mówi, że jakieś te nowe kury inne od tych, co miała, bo u niej dropiatych nie było. Ale co dwie kury to dwie kury, jajka znoszą tak samo jak te stare, a podobnie i lepsze, większe, w środku bardziej żółte.

– Uhm – powiedziała Słaboniowa. – A policja co?

– No co? Januszek gadał, że Garsija gadał, że jak nie ma szkody, to i śledztwa nie będzie. Tylko Mariankowi się ten radiomagnetofon nie wrócił. – Anetka westchnęła i założyła nogę na nogę.

– A gadał co?

– Kto, Marianek? On to już najpierwszy do gadania. Gadał, że policja nieudolna, że to wszystko to jakieś oszustwo jest i że to niesprawiedliwe, bo kara musi być i że jak to tak, że przecież wiadomo, że to Dziejek Ciołkowy pokradł, a kary nie dostał. A i jeszcze gadał, że z was więdźma i że jak drogą przechodziecie, to u krów mleko kwaśniej w wymionach. – Anetka machnęła ręką, a Słaboniowa zaśmiała się krótko. – Kara musi być... – powtórzyła Anetka. – Tyle że do tego karania Mariankowi nikt nie został, bo Dziejek zniknął. Mówię wam, kamień w wodę.

– Ja słyszała, słyszała – powiedziała Słaboniowa, gładząc w zamyśleniu lniany obrus haftowany w kwiaty i ptaki.

– Wyszedł jednego dnia z domu, to zaraz było jak Garsija z Januszkiem po wsi chodzić zaczęli i zeznania spisywać na okoliczność tych kradzieży. No to następnego dnia Dziejka już nie było. Pewnie się przestraszył oskarżeń i zwał gdzie pieprz rośnie.

– Musi tak – rzekła Słaboniowa, wstała z krzesła i wyciągnęła z kredensu jakieś zawiniątko. – Patrzaj, Anecia, ja zrobiła dla ciebie na szydełku serwetkę na telewizur, żeb ładniej było.

Anetka przyjęła prezent, podziękowała, ucałowała Słaboniową w oba policzki, a jak tylko zaszła do domu, schowała pakuneczek do szuflady z szyciem i pomyślała, że będzie kłaść serwetkę na telewizor tylko w czasie wizyty matki chrzestnej.

Po obiedzie Słaboniowa wyszła na podwórze i wciągnęła pełną piersią chłodne, jesienne powie trze. Podniosła głowę, popatrzyła na zachmurzone, ciężkie niebo i zobaczyła, że od strony lasu nadlatuje ku niej para ptaków. Były to dwie sowy, jakby matka z dzieckiem – jedna wielka, o szerokich skrzydłach i dużej głowie, druga mniejsza i nie do końca jeszcze opierzona – widać żółtodziób.

Zdziwiło Słaboniową, że sowy, nocne przecie zwierzęta, w dzień po wsi latają. Zadzierając głowę, śledziła je uważnie jeszcze przez chwilę. Ptaki zniżyły lot i kilkakrotnie zakołowały nad Słaboniową, świecąc swoimi zielonymi, okrągłymi oczami. Potem poleciały dalej, w stronę Chmielowa i dalej jeszcze ku szerokiemu światu, pohukując do siebie radośnie i kręcąc piruety w otulającym je, mroczniejącym powietrzu.



KRZYWDA LUDZKA

Późną nocą Halina Daniłowa leżała w łóżku i nie mogła zasnąć. Obok niej chrapał rozgłośnie mąż jej Władysław, leżąc na wznak z szeroko otwartymi ustami. Dobry z niego chłop – myślała Halina – ale nerwus jakich mało. A już przy siedmiu córkach, co to każda coś chce, a to kup, a to na fatałaszkę daj, a to z chłopakami się co niektóra prowadzi, a to wesele wypraw, a to to, a to tamto, to Władzio z nerw często wychodzi. A jak już z nerw wyjdzie, to lepiej z drogi zejść, bo i przez łeb potrafi dać i z domu na noc wyrzucić, a już za to za chłopakami latanie to najbardziej.

Halina przewróciła się na lewy bok.

Ale najmocniej to Władzio ma nerwa na najmłodszą Agatkę, co urodziła się zamiast wymodlonego synka, dziedzica wymarzonego, co po Władziu miał gospodarkę objąć i ojcowiznę zachować. Dziewczynie nie idzie ziemi zostawić – mawiał – to chłop musi obejścia doglądać, rządzić. A tu jak na złość dziewczucha za dziewczuchą, już Halina i modliła się do św. Onufrego, i świętą wodę ze studzienki w Gorodku piła, i nawet w tajemnicy u lekarza w Chmielowie była, ale nic nie pomogło. No a jak Agatka się urodziła, to już Władkowi przebrała się miarka i całkiem się obraził, powiedział, że to nie jego córka, że on jej za swoją nie uzna i że ona, Halina, to chyba popsuta jakaś, że mu syna nie może urodzić, i że najlepiej, żeby utopiła bachora w stawie jak kociaka. Jakoś go Halina ubłagała, żeby zdanie zmienił i dziecko w spokoju zostawił, ale już inaczej niż „bękart” na dziewczynkę nie wołał. A Agatka starała się zawsze najbardziej ze wszystkich córek, i stopnie w szkole zawsze najlepsze, i w chórze śpiewała, i ubrana zawsze skromnie w bluzeczki białe, poprasowane, i do kościoła co niedzielę chodziła, i w domu pomagała, jak tylko mogła, i za chłopakami się nie oglądała wcale, a już siedemnaście lat ma przecież – myślała Halina – to już musowo męża trza szukać, to już musowo trza się prowadzić z jakim kawalerem albo i jakiego gospodarza złapać, co już się dorobił, to by dopiero dobrze było.

No i dzisiaj – wspominała Halina przeszły dzień – stała się straszna awantura, bo umyślił Władzio, że znalazł Agatce kandydata na męża. Wdowca jednego z Kwasówki z trójką dzieci, co gospodarkę miał i mu Agatka w kościele w oko wpadła. Przy wódce Władek ubił interes z tym wdowcem, na łąki kawał pod lasem się umówili i sprawa załatwiona. Ale w Agatkę nagle jakby diabeł wstąpił i się postawiła, że ona za mąż nie pójdzie. No to się wtedy zaczęło istne piekło, co Władek w rękę złapał, to przez okno leciało, i krzyczał, i krzyczał, że chociaż tyle z niej będzie pożytku, że mu z oczu zejdzie i rodzinie pomoże, że cieszyć się powinna, że w ogóle ktoś na nią poleciał i to jeszcze bogaty gospodarz, to jakby Pana Boga za nogi złapała.

A Agatka tylko stała w kącie w tej swojej białej bluzeczce i tylko powtarzała, że nie, że za mąż nie pójdzie i że ona chce na zakonnice iść. No, we Władka jakby piorun strzelił. Jakby Halina ze starszymi córkami go nie odciągnęły, to by z Agatki mokra plama nawet nie została. Jakoś się wreszcie Władzio uspokoił i spać poszedł. A ona – Halina – poszła do Agatki i tłumaczyć jej zaczęła, żeby spokój dała, żeby z ojcem się nie kłóciła, że jak go posłucha i on zobaczy, że stara się, że posłuszna jest, to może się do niej – Agatki – w końcu przekona, że jeszcze przecie trzy starsze w domu siedzą i że też je trzeba wydać, a bez dobrej wyprawy to

nijak przecie. I że co to za pomysły z tym klasztorem, gdzie taka ładna dziewczyna na zakonnice ma się marnować. I wreszcie Agatka powiedziała, że dobrze, że zrobi po ich woli, a blada taka była, bez jednej łezki, i ona – Halina – powiedziała jej, jak nigdy, bo do wylewności wielkiej nie nawykła, że dumna jest, że taką córkę mądrą urodziła.

Halina przewróciła się na prawy bok. Gdzieś w domu jakiś ni to szloch, ni to śmiech się odezwał, a potem trzaśnięcie drzwi. Pewnie która do wychodka poszła – pomyślała Halina. Noc już była głęboka, gdzieś zaszczekał pies, gałęzie jabłunki rosnącej na podwórku zaskrzypiały przeciągle na wietrze, a potem wszystko ucichło. Halina zasnęła.

Słaboniowa wstała rano, zrobiła obrządki i już miała szykować śniadanie, gdy okazało się, że w kredensie wala się tylko sucha piętka od chleba, a z wczorajszego obiadu nic nie zostało. Zjadła więc twarogu ze śmietaną i popiła herbatą. Ku wielkiemu niezadowoleniu Słaboniowej herbata była gorzka, bo cukier również wyszedł – na babkę, co ją w ostatnią niedzielę napiekła.

Rada nie rada musiała Słaboniowa wybrać się do sklepu, który niedawno w Capówce otwarto. Wzięła swoją laskę i powędrowała w stronę Nowej Wsi. Minęła stary krzyż, transformator, dom Anetki i Samoszuków, a dalej po lewej jeszcze dwa krzyże ogrodzone płotkiem. Krzyże były okazałe, metalowe i pomalowane na szaro, a to Romaniuk je ufundował, jak mu najmłodszego synka w szpitalu od śmierci uratowano. Dalej jeszcze, po prawej znowuż krzyż drewniany stał przy lasku brzoźowym. Za laskiem droga zakręcała w lewo, a za zakrętem stała kapliczka drewniana, gdzie baby i dzieciaki chodziły modlić się i pieśni święte śpiewać, wpieryw na majowe, a potem na czerwcowe. Kapliczka owa była na skobel tylko zamknięta, tak aby każdy spragniony modlitwy mógł wejść do środka. Tak i Słaboniowa zaszła do kapliczki na chwilę.

Usiadła na ławce pod ścianą i z lubością wdychała powietrze, przesiąknięte zapachem drewna, kurzu, spalonych świec i słodkawym aromatem kwiatów, które od wiosny do późnego lata baby zawsze znosiły tu naręczami. Z małego ołtarzyka umieszczonego naprzeciw wejścia spoglądała na Słaboniową swoim migdałowym okiem Matka Boska z Dzieciątkiem na ręku. Oboje mieli czarne twarze, okolone kutymi w metalu aureolami, a na głowy nasadzone mieli korony, podtrzymywane przez aniołki. Na białej serwetce leżał śpiewnik w czarnej okładce, o brzegach kartek czerwonych jak roztrarte płatki malwy.

Po obu stronach obrazu stały inne, mniejsze, przed stawiające Jezusa w białej szacie z świetlistymi promieniami wychodzącymi z gorejącego serca opasanego cierniowym wieńcem lub Jana Chrzciciela odzianego w skórę dzikiego zwierza, a okrytego długą siwą brodą i włosami, wspartego na wysokim, smukłym krzyżu. Za ramy obrazków powtykane były kartki z wizerunkami św. Jana Kolbego, św. Weroniki i innych jeszcze pomniejszych świętych. Była też gipsowa figurka Maryjki okrytej niebieskim płaszczem, rozkładającej ręce w opiekuńczym i zapraszającym geście, a na jej piersi również gorzało umęczone cierniem serce.

Po całej kapliczce porozstawiane były bukiety sztucznych kwiatów, powtykanych w wazonny gliniane, fajansowe i kryształowe, co która kobita z domu przy nosiła. A kwiaty były rozmaite. A to plastikowe goździki o płatkach zębatych niczym piłka do metalu, a to róże żółte, czerwone, brudnobiałe i niebieskie, a to pomarańczowe gerbery na grubych, kosmatych nóżkach

i moc innych jeszcze kwiatków – sztywnych, postawionych na baczność w swoich wazonach.

Siedziała tak Słaboniowa długą chwilę, patrząc na drobinki kurzu wirujące w smudze światła padającej z małego okienka. Wreszcie niechętnie opuściła to ciche, zastygłe w czasie miejsce i poszła dalej, minęła dom sołtysa i dotarła do sklepu.

Sklep w Capówce wyglądał jak i inne wiejskie sklepiki. Nieduży, nakryty skośnym dachem z blachy falistej, z okratowanymi dla bezpieczeństwa, dużymi oknami na froncie. Przed sklepem stała grupka mężczyzn popijających piwo z brązowych butelek. Widząc Słaboniową, jeden uchylił czapki, inny rzucił w jej stronę „Pochwalony”. Słaboniowa skinęła głową w ich stronę i weszła do sklepu. W środku stał Romaniuk i popijając piwo, gadał coś z cicha do nachylonego ku niemu Dominikowi, który słuchał go w wielkim skupieniu. Baby zaś, zebrane przy ladzie, plotkowały ze sklepową, kręcąc przy tym głowami lub potakując, zależnie od poruszanego tematu. Rej wiodła wśród nich oczywiście Adelka, która widząc Słaboniową, powiedziała z dumą:

– Widzieliście, jaki to sklep tera we wsi mamy? – potoczyła ręką dokoła. – Wszystko je. I chleb je, i dżem, i cukier, i mąka, i ocet...

– I musztarda – wyrwało się cichej i niepozornej sołtysowej, która z czasem zrobiła się jeszcze mniejsza, za to jej wielkie oczy zrobiły się jeszcze okrągłejsze i bardziej wilgotne niż kiedyś. – Mój to tak lubi musztardę do kiełbasy.

– I musztarda tyż je – przytaknęła łaskawie Adelka.

– I do Chmielowa nie trza jeździć po byle gównu – dorzuciła któraś z kobiet.

– No, no, no... – zmytygowała ją sklepowa. Odpowiedzialną tę funkcję pełniła Jaśka Romaniukowa, bardzo z siebie zadowolona, bo do sklepu miała od chałupy blisko i była na państwowej posadzie, co sprawiało, że wobec innych bab wiejskich czuła pewnego rodzaju wyższość. – My tu gówna nie sprzedajem, jak gównu chcesz kupić, to se idź na własne pole. Tam gówien pod dostatkiem! – I zaśmiała się, a kobiety kiwając głowami, chóralnie jej zawtórowały.

Słaboniowa stanęła przy ladzie i przyjrzała się asortymentowi. Na półkach wyłożonych ceratą w biało-czerwoną kratkę stały pieczolowicie poukładane w piramidki dżemy truskawkowe i z czarnej porzeczki, obok cukier i ocet, zapałki zawinięte w szary papier, piwo w brązowych i zielonych butelkach, tanie wina i kilka buteleczek spirytusu. Na podłodze, w plastikowych skrzynkach leżały świeże, błyszczące chleby o popękanej skórce.

– No to czego sobie życzycie? – zapytała Jaśka ze wszelkimi rewerencjami.

– Ja to kciała dwa chleby i dwa kila cukru.

Jaśka zapisała ceny na wytłuszczonym skrawku pakowego papieru i z namaszczeniem dokonała obliczeń:

– To będzie cztery złote trzydzieści groszy.

– Wielą? – spytała Słaboniowa, wysoko unosząc brwi.

– Cztery trzydzieści – powtórzyła cierpliwie Jaśka.

– To na stare to wielą będzie? – spytała Słaboniowa bezradnie.

– Czterdzieści trzy tysiące – westchnęła sklepowa i przeliczyła kilka zgniecionych banknotów, które Słaboniowa wygrzebała z portmonetki. – Taki tera bałagan z tymi nowymi i starymi piniendzmi, a stare ludzie to nauczyć się nie mogą..

– No, stary człowiek przyzwyczają się, tyła czasu tysiące byli, to trudno tak tera spamiętać – odparła Słaboniowa, chowając do siatki chleb i cukier.

– To i młodemu czasem trudno – powiedziała cicho sołtysowa, a kobiety pokiwały głowami.

– A słyszeliście ostatnie nowości? – zapytała Adelka.

– Że niby co?

– Aaaa! – Adelka machnęła ręką, dając jednocześnie do zrozumienia, że wieść nie będzie wesola. – Najmłodsza Daniłówna się obwiesiła.

– Jakże to? – spytała Słaboniowa.

– A tak, obwiesiła się. Na jabłonce przed własną chałupą. Cała rodzina spała, a ta wyszła w nocy i obwiesiła się. Nie tylko na swoje nieszczęście, ale na całe rodzinę pohańbienie ściągnęła, bo samemu zabić się to przecie grzech śmiertelny! – Adelka uniosła w górę swój gruby palec, a kobiety pokiwały głowami. – Tak w kościele ksiundz gadają. Daniłowa to chodzi jak cień. Podobnież ona słyszała w nocy, że któraś z domu wychodzi i że gałęzie na jabłonce skrzypią, to myślała, że do wychodka która idzie, ale przecie nie myślała, że ktuś się wieszać może.

Kobiety otaczające Adelkę pokręciły głowami.

– A dawno to? – spytała Słaboniowa.

– Dawno, nie dawno – stwierdziła Adelka. – A z tydzień będzie.

– Toż już pogrzeb był – dodała sklepowa, opierając swój dorodny biust na ladzie. – My też byli z Ziotkiem. – Machnęła ręką w stronę Romaniuka rozprawiającego o czymś z Dominikiem. – Jezuniu, jak ta Daniłowa lamentowała. Toż ja myślała, że się na trumnę rzuci i razem z dzieckiem do ziemi pójdzie. A Daniło nic, stał tylko jak jaki słup, ani łezki nie upuścił.

– Toż un nawet nie pije – dorzucił Dominik z bezgranicznym zdziwieniem. – Każden chłop to by chlał na takie nieszczęście, a ten nic, ani kropelki. Toż ja pamiętam, jak nieraz przy

stole szklanę stawiał na stole do góry dnem, taki abstynent. Ja to bych pił na takie okoliczność...

– No pewnie, że ty byś pił, bo ci tylko chłanie w głowie – rzuciła któraś z kobiet.

– No – ucieła Adelka rozlegające się tu i ówdzie śmieszki. – A podobnież to ta Agatka Daniłówna obwiesiła się, bo ją kcieli za rozwodnika z Kwasówki wydać, a ona nie kciała. Dziewuchy to tera takie głupie, bogaty gospodarz dla takiej niedobry, coś im się w tych głowach roi... Podobnież na zakonnicę kciała iść, ale kto to widział, żeb taka ładna dziewczucha na zakonnicę szła, jak może rodzinie i domowi pomóc.

– Do klasztoru iść to nie grzech – powiedziała sołtysowa nieśmiało.

– Nie grzech, nie grzech. Że wasz najstarszy na ksindza poszedł, to zara kaźden we wsi musi do klasztoru albo...

W tejże chwili drzwi sklepu otworzyły się i oczom zebranych ukazała się Halina Daniłowa, Adelka zaś przerwała w pół zdania i ciemny rumieniec pokrył jej śniade policzki. Wszystkie rozmowy ucichły, a wszystkie oczy wgapiały się zachłannie, choć z lękiem w tak niespodzianie zmaterializowany przedmiot niedawnej rozmowy. Bo Halina jakby znikąd przyszła, jak duch jaki i jak duch sunęła przez sklep ku ladzie i stojącej za nią Romaniukowej, która mimowolnie cofnęła się pod same półki, omal nie strącając piramidki ułożonej z dżemów truskawkowych. Daniłowa zatrzymała się, ogarniając półki szklanym, niewidzącym spojrzeniem. Kobiety tłoczyły się w kącie z szeroko otwartymi oczami, wyglądając jedne zza drugich, a mężczyźni zamarli, nie donosząc butelek z piwem do ust. Było przeraźliwie cicho, a cisza była tym bardziej dojmująca, że z ust Haliny nie dobyło się żadne pytanie o chleb, cukier czy dżem z wiśni. Stała tak tylko, chwiejąc się lekko w prawo i w lewo, i patrzyła przed siebie. Nagle Romaniukowa, widocznie nie mogąc znieść tego napięcia, wydała z siebie krótki szloch, zakryła twarz dłońmi i ucieła na zaplecze. Daniłowa zaś równie niespodziewanie jak przyszła, tak odwróciła się i godnie popłynęła na powrót w stronę drzwi. Gdy wyszła, wszyscy zebrani wypuścili z płuc długo wstrzymywane powietrze, a Adelka zapytała, spoglądając pod nogi:

– Może nie słyszała, ni? – Kilka kobiet pokiwało głowami, a reszta pokręciła na boki. Tylko sołtysowa wyrwała się swoim cichym głosem:

– Nie dziwne, że dziewczyna w desperację popadła, skoro bez miłości za mąż wyjść miała...

– Oooo... – zachnęła się Adelka. – A bo to miłość zawsze najważniejsza? Trza coś dla rodziny zrobić, rodziców wspomóc, a szanować rodziców i wolę ich rzecz święta.

Sołtysowa poczerwieniała i ściskając w rękach siatkę wypchaną chlebem, z błyszczącymi oczami, powiedziała:

– Ja tam za mojego wyszła z miłości.

– Z miłości, z miłości... – powiedziała Adelka i na tym zakończyła, nie wiedząc, co dalej

powiedzieć.

Znowu zapadła cisza. Słaboniowa pociągnęła nosem i już miała się zbierać do wyjścia, gdy odezwał się nagle, z wielkim westchnięciem i całkiem bez związku, Ziutek Romaniuk:

– Cóż mie dusi w nocy.

– Musi krzywda ludzka! – zawołała Adelka i zaśmiała się gromko, a kobiety zawtórowały jej piskliwymi głosami.

Słaboniowa podeszła bliżej do Romaniuka.

– A jakże to dusi?

– Ano tak leżę w nocy. – Romaniuk podekscytowany począł wymachiwać butelką z piwem. – Śpię, a tu nagle jakby mnie coś na piersi siadło i dusi, i dusi. Budzić się chcę, ale tu dusi i dusi, i wstać nie mogię, i coraz żem słabszy, i siły mniej, a tu dusi i dusi. Toż mnie Jaśka budzić musi z tego duszenia. A jak się przebudzę, to ruszyć się nie mogię bez pół godziny.

– Aaaa, chrapie jak stary cap! – zawołała Jaśka, wyłaniając się z zaplecza całkiem żwawa, jakby już całkiem zapomniała o Halinie Daniłowej, która nie prosiła ani o chleb, ani o dżem truskawkowy. – To i się dusi.

Słaboniowa podeszła do Romaniuka całkiem blisko i zaczęła go oglądać uważnie. Wreszcie przyłożyła szorstki palec do jego skroni i powiedziała:

– A o tu takie dziurkie macie.

– Dziurkie? – Romaniuk odsunął się trochę zaniepokojony.

– Ano dziurkie, a o tu, gdzie żyła leci.

– A, pewnie się drapie w nocy, to i se rozkrwawi nieraz – stwierdziła Jaśka i dodała: – A ty, Józek, to w chałupie do roboty nic nie masz, że tu wystajesz i piwsko żłopiesz?

Ziutek wzruszył ramionami, odstawił pustą butelkę po piwie do skrzynki i poszedł.

– Dusi go... – sarknęła Jaśka, opierając się na powrót o ladę. – Piwsko codziennie żłopie, to go i dusi z tego pijaństwa. – Kobiety ze zrozumieniem pokiwały głowami.

Gdy Słaboniowa otwierała już furtkę na podwórko, posłyszała za sobą tupot czyichś stóp na asfalcie. Była to sołtysowa, zdyszana i zarumieniona, o oczach zaszklonych, jakby miała się zaraz rozplakać.

– Słaboniowo, Słaboniowo!

– A zachodźcie, zachodźcie – powiedziała Słaboniowa przyjaźnie i zaprowadziła

sołtysową do chałupy. Tam posadziła ją przy stole nad szklanką herbaty, a sama zasiadła naprzeciw i popatrzyła na gościa pytająco. Sołtysowa, mnąc rąbek flanelowej bluzki drukowanej w niezapominajki, siedziała, wciąż się czerwieniąc i wachlując gorejące policzki długimi rzęsami.

– Słaboniowo, bo dziwne rzeczy się dzieją – wyjąkała wreszcie ledwo słyszalnym, mysim głosem.

– Jakież to rzeczy? – Słaboniowa pociągnęła nosem i popiła herbaty.

– Ano dziwne. – Sołtysowa potrząsnęła gwałtownie głową, aż kosmyk siwiejących włosów upiętych w kok opadł jej na czoło. – Ja nie wiem, jak u innych, ale u nasz to dziwne rzeczy się dzieją. – Sołtysowa popatrzyła błagalnie na Słaboniową.

Słaboniowa westchnęła i zapytała:

– Jakiesiś zabobonne rzeczy, co ksiundz z ambony tego nie pochwała?

– Ooo, o takich rzeczach to ksiundz by słowa na kazaniu nie powiedział. To diabelskie jakieś sprawki. – Sołtysowa przeżegnała się szybko kilka razy.

– Toż mnie możecie powiedzieć – powiedziała zachęcająco Słaboniowa. – Do kościoła mnie daleko chodzić, a i ksiundza ino od świnta widzę.

– No toż dlatego lecę za wami, że mało żem nogów nie połamała. Komu innemu to ja by takich rzeczy nie gadała. – Sołtysowa sapnęła głośno i jakby nabrała większej trochę śmiałości. – No bo widzicie, ktosiś naszym koniom warkoczyki na grzywach płąta. – Słaboniowa podniosła brwi.

– I tyła?

– Nii! – rzekła sołtysowa. – Żeb tylko to, to ja bych wam głowy nie zawracała, ale bo to nasza kobyłka, ta czarna, jak rano do niej zajdę obrządki zrobić, to taka zziajana, taką ma pianę na pysku i na bokach, taka zestrachana, jakby ją kto całą noc po polu ganiał. A toż ona w stajni nocą stoi, to i jak latać może? – spytała sołtysowa bezradnie.

Słaboniowa pokiwała głową ze zrozumieniem.

– A śpicie dobrze?

Sołtysowa zasępiła się nieco.

– No nie za dobrze. Dusznica mnie jakowaś chyta tak kole północy. Dusi mnie i dusi, jako to Romaniuk dzisiaj w sklepie gadał. To u mnie tak samo. Niby śpię, a jakby mi co na piersi siedziało i ostatni dech ukraść chciało, i tak mi słabo, coraz słabiej, aże jak się przebudzę, to ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogię, ani słowa wydusić.

Słaboniowa wstała, podeszła do sołtysowej, ujęła jej głowę w sękaty dłonie i obejrzała uważnie. Sołtysowa zaś patrzyła na nią swoimi sarnimi oczami pełnymi niepokoju.

– Gadaliście o tem komu? – Słaboniowa skończyła oględziny i siadła na powrót za stołem.

– Gdzie tam, nawet mojemu nie gadałam, boby mnie jeszcze nawyzywał, że mam nienaukowe rozumienie świata i takie tam... Ale jak Romaniuk dzisiaj gadał o tem, że jego tyż dusi, to ja pomyślała, że coś w tem być musi. No i kobyłki naszej mi szkoda, takie biedactwo umęczone.

– Hm – powiedziała Słaboniowa. – Mam dla was jedne rade. Jak kunia kcecie od nocnych breweryj uchronić, wiążcie czerwone wstunżeczki na grzywie jego, a żaden czart przystępu do niego mieć nie będzie. A jak kcecie duszności się ustrzec, to kładźcie się spać nogami tam, gdzie zwykle głowę kładziecie.

Sołtysowa wytrzeszczyła oczy na pół głowy.

– Toż to zakazane praktyki – wykrztusiła z oburzeniem.

– Ano zakazane. Bez Kościół zakazane – przytaknęła Słaboniowa.

– A co ja mojemu powim, jak mu w nocy bede nogami kole głowy machać?

– Że myszy w ścianie chroboco i spać nie możecie.

– No, myszy to po prawdzie u nas w ścianach siedzą, nawet ich nasza Puśka nie daje rady przegonić. Ale spać mi to nie przeszkadza.

– To zacznie – stwierdziła Słaboniowa krótko.

– Ale to tak kłamać mężowi nie uchodzi – zmartwiła się znowuż sołtysowa.

– No to nie kłamcie – powiedziała Słaboniowa nieco już zniecierpliwiona. – Tyle wam ino powim, że jak moich rad nie posłuchacie, to koń wam z umęczenia zdechnie, a wy słabości wielkiej dostaniecie i na chorobie się skończy.

– Ale jak to?

– Ano, Zmora was w nocy nachodzi, na piersi siada, oddech zabiera, a jeszcze krew wam z żył ssie. – Sołtysowa oniemiała, przyłożyła ręce do rozczzerwienionych na powrót policzków i tylko pisnęła w wielkim przerażeniu. – A o tu macie Zmory ugryzienie, o tu. – Słaboniowa pokazała palcem na skroń. – Jak się położycie na odwyrtkę, to ścierwo się nie kapnie, bo głupie jezd z natury i ugryźć was nie zdoła.

– Oj! – pisnęła znowuż sołtysowa, podbiegła do kredensu i jęła przeglądać się w szybcie. – Łojezuniu przenajsłodszy, jest, jest ugryzienie! – zawołała wreszcie i załamała ręce. – Powim mu

o tych myszach, powim mu o tych myszach, bo o zmorach ja mu powiedzić przecie nie mogię. Jezuniu przenajświętszy, toż on mnie za głupią jaką weźnie, powi, że mi na dekiel bije, jak mu się z nogami na poduszki zaczę łądować.

– Lepi, żeb was za głupio miał, jak lekarza ma do was wołać – powiedziała rozsądnie Słaboniowa.

– A pewnie, pewnie – zawołała sołtysowa i złapała się za głowę. – Jezuniu, toż ja do chałupy muszę lecieć, obiadu ni ma, robotę zostawiłam rozbabraną. Dziękuję wam za radę, zrobię jako mówicie i modlić się bede do najświętszej Paniarki.

– No, jak wam od tego lepi bedzie... – Słaboniowa wzruszyła ramionami i dodała uspokajająco: – Wszystko dobrze bedzie, nie nerwujcie się, ino słowa moje pamiętajcie.

Sołtysowa pożegnała się i poszła.

Słaboniowa została sama przy stole, siorbiąc zimną już herbatę, a ponura jej mina nie wróżyła niczego dobrego.

Z wieczora, gdy Słaboniowa ostatnie wiadro wody niosła od studni, na drodze pojawił się doktor Palenica. Jechał na zielonej, wysłużonej ukrainie, skrzypiącej wniebogłosy i podskakującej na dziurawym asfalcie. Do bagażnika przypięty miał swój kuferek lekarski, w którym kryły się różne zastrzyki, opatrunki i inne tajemnicze przedmioty. Doktor jechał powolutku, pogwizdując pod siwym wąsem i rozglądając się dookoła. Tak też wzrok jego padł na Słaboniową, która kuśtykając z wiadrem wody, szła w stronę chałupy.

– Dzień dobry! – zawołał doktor i zsiadł z roweru.

– A, dzień dobry – odpowiedziała Słaboniowa. – A na śkankę harbaty zajdziecie?

– Może być i herbata, ale z waszej mięty – odpowiedział wesoło doktor, wtaczając swoją ukrainę na podwórko. – Cały dzień dzisiaj po wsiach jeżdżę i wszędzie mnie kawą po turecku poili, to teraz ziółka będą jak znalazł.

Weszli do chałupy, Słaboniowa urwała z powały pęk suchej mięty, zalała wrzątkiem i postawiła dzbanek na stole.

– Pięknie pachnie – powiedział doktor z lubością. Słaboniowa uśmiechnęła się zadowolona, zapaliła światło, bo w izbie już ciemnica zapadała, i siadła po drugiej stronie stołu.

– A co was tutaj, do Capówki przywiało? – zapytała.

– U Dominików byłem – westchnął doktor, smutniejąc nieco. – Zaniedbana tam ta dzieciarnia, co i raz które choruje, a teraz szkarlatyna na najmłodsze bliźniaki przyszła. Dominikowa przez tydzień do lekarza nie jechała, bo myślała, że samo przejdzie. I tak przeszło, że dzieci rozgorączkowane ledwo dyszały, już się bałem, że komplikacje będą, ale dzieciaki na wsi chowane twarde są.

– Ano prawda – przytaknęła Słaboniowa, nalewając miętę do szklanek. – Chocia moja pierworodna Marcysia dwudziestki nie dożyła. Ale bo to słaba była od dziecka. Żadne doktory i likarstwa jej nie pomagali. Dobra z niej była dziewczucha, ino siły miała mało, co i raz a to na płuca, a to na niemoc jakowás zapadała. A Cecylia, moja najmłodsza, także samo po niej słaba, ino na umyśle. Jedna Kryśka mocna urodziła się jak wół i do roboty nawykła, i dzieci trójkę chowa, ino miasto jo pociągnęło, pewnikiem tam łatwiej młodym żyć...

– A to różnie bywa – powiedział doktor. – Mnie tam tu lepiej jak w mieście, ale to już, co kto lubi.

– I mnie tyż tutaj dobrze. Była ja raz kiedy u ty mojej Kryśki w mieście. W takim wielgiem domie żyje, tamuj u nich wieżowiec na to gadajo. Wysoko, że jak z okna w dół popatrzeć, to w głowie kołuje się. Wszyndzie chodniki ino sum i beton, i asfalt, trawki żadny ani ździebełka, na podwórze nie idzie wyjść. A jak już kawałek trawy gdzie je, to obesrany do imentu. Bo tamuj każden jeden ma pieska. A różne majo te pieski różniste. I takie wielgie jak cielak, to une sum całe czarne alibo łaciate, no i te to srajo najgorzy, a niektóre to takie małe, maluśkie jak wyrośnięte myszy. Tylko myrdajo tymi ogonkami i srajo, ale te takie małe to mało srajo. – Słaboniowa upiła miętę. – To ja Kryśce powiedziała, żeb mnie wincyj do miasta nie ciungać, a prosi mnie na kaźde świnta, ale ja powiedziała: kcesz, to do mnie na świnta zajeżdżaj, ale mnie do miast nie ciungaj, bo to nie dla ludzi życie. Ano tak. Ja tam nie wim, u nasz tak psy nie srajo...

– Dziwne rzeczy mi ludzie gadają, jak tak po wsi jeżdżę – powiedział doktor, jakby czegoś zamyślony.

– A co gadajo?

– Do sklepu zajechałem bułkę kupić, a tam Romaniuk wszystkim opowiada, że go w nocy coś dusi. Pomyślałem, bezdech senny, a bo to jeden Romaniuk na to cierpi, więc powiedziałem, żeby na boku spał i piwa nie pił na noc. To się obraził, że mu piwo bronie pić i tylko się Romaniukowa ucieszy z jego nieszczęścia. No... – Doktor rozłożył ręce. – Ale jadę ze sklepu, a tu sołtysowa mnie goni i mówi, że ją coś w nocy dusi i to noc w noc bez przestanku. No to to samo jej powiedziałem, żeby na boku spała, bo lekarstw na to nie ma. Ale jadę dalej i tak myślę, że sołtysowa przecież nie pije, chuda jest jak szczapa, to i skąd bezdech? – Doktor zamyślił się i upił łyk miętę, patrząc gdzieś w sufit, po czym dodał: – Aha, i jeszcze mówiła, że weterynarza musi zawezwać bo jej kobyłka choruje i już ledwo chodzi.

Słaboniowa zmarszczyła brwi.

– A ja jej gadała, żeb wiązała koniowi wstunżeczki przeciw urokom...

– Słucham?

– A nic, tak gadam do siebie – powiedziała Słaboniowa.

Doktor przygryzł wąsa i zapytał:

– A jak tam wasza noga?

– No, co noga? – Słaboniowa nagle coś bardzo ważnego przez okno zobaczyła. – A coż to tam w obejściu za jakiś pies obcy się przypalał? – I chciała wstać, ale widać jakoś źle stanęła, bo siadła na powrót i złapała się za kolano.

– Kulejcie, widzę, noga sina. Tu zamawianie i ziółka nie pomogą. Trzeba by do szpitala na obserwację, badania porobić. Nie chcę wam wieku wypominać, jak na swoje lata to trzymacie się nadspodziewanie zdrowo, ale już taki czas, że można by posprawdzać to i owo. A już zwłaszcza tę nogę. – Doktor popatrzył na Słaboniową znad okularów.

– Do nijakiego szpitala mnie nie wsadzicie! – powiedziała Słaboniowa stanowczo. – Mój Hendryk w szpitalu zmarł i starczy. Nawet mnie przy tem nie było. Co inszego, gdyby w domu leżał, odszedłby w zaświaty jak trza, z gromnicami, z żoną przy boku. A tak... – Słaboniowa machnęła ręką. – Już mnie takiej okoliczności nie trza. Jak mam zemrzeć na nogie, to trudno.

Doktor westchnął.

– No, po prawdzie nie spodziewałem się, że was przekonam, ale próbować musiałem. Teraz nałożymy opatrunek, a tu wam przepiszę maść na tę nogę. Smarować codziennie wieczorem i bandażem zawijać na noc.

Gdy doktor nogę Słaboniowej zawijał świeżym bandażem, ta zapytała:

– Gadajo we wsi, że najmłodsza Daniłów obwiesiła się.

Doktor przypiął bandaż klamerką i zaczął składać swoje narzędzia do kuferka.

– Tak, szkoda dziewczyny. – Doktor popatrzył na kiwające się na wietrze gałęzie jabłunki rosnącej za oknem. – Zawezwał mnie sierżant Garsija, żeby zgon stwierdzić. Jak przyjechałem o piątej rano, to już ją odcięli. Leżała pod drzewem. Daniłowa blada jak ściana, Daniły nie widziałem. Podobnie chcieli ją wydać za jakiegoś wdowca z Kwasówki i dziewczyna powiesiła się z rozpacz. A ja Daniła znam, wszystkie siedem jego córek leczyłem i wiem, że srogi dla nich jest, tradycyjnie je chowa i nieposłuszeństwa nie dopuszcza. Niby taki nowoczesny mamy świat, a jeszcze i teraz małżeństwa za hektary się zdarzają. No ale jak kto ma siedem córek, to i pewnie praktycznie myśleć musi... – Doktor westchnął znowu ciężko.

– To una, ta Agata, siódma była w kolejności?

– Ano siódma, najmłodsza. Sam poród odbierałem, a teraz zgon musiałem ustalać.

Słaboniowa wcisnęła doktorowi na obchodne woreczek płócienny pełny orzechów włoskich, choć wzbraniał się bardzo, i odprowadziła do furtki. Gdy ten siadał na rower, powiedziała:

– Ja nie słyszała, żeb jaki inny dochtór tak jeździł do ludzi po wsiach jak wy...

Doktor uśmiechnął się.

– Żony nie mam, dzieci nie mam, praca tylko zostaje i ci ludzie, co im pomóc mogę. To jeżdżę, co mam nie jeździć. A już takiej krzywdy nie mam – zagrzechotał doktor woreczkiem orzechów. – Zawsze coś mi ludziska podrzuca za fatygę, a choćby dzisiaj od Dominikowej pięć jajek dostałem za wizytę i już jajecznicą będzie na kolację, a orzechy na deser. – I doktor pojechał na swym skrzypiącym rowerze w stronę Chmielowa, pogwizdując pod wąsem jakąś melancholijną melodię.

Słaboniowa stała przy płocie jeszcze czas jakiś, wspierając się na sztachetach, które – od lat niełatane – już w jedną stronę kłaść się zaczynały, i patrzyła na swoją wieś. Po niebie przewalały się ciemne, gęste chmury, a pomiędzy nich wyłaniał się, to znów nikał w czerni wschodzący księżyc. Tej nocy miała być pełnia.

Słaboniowa doiła Łaciatą, opierając głowę o napięty, krągły brzuch krowy. Ciepłe strumienie mleka sikały do wiadra, tworząc na powierzchni puszystą pianę. Dziwnym trafem Mruczka jakoś nie było widać w pobliżu, choć zawsze kręcił się po oborze w czasie porannego dojenia. Przychodził niby niechcący, zerkał z ukosa, przetwierał się pod ścianami, wreszcie podchodził bliżej, zaczynał się przymilać, do nóg łąsić i zaglądać do wiaderka z mlekiem.

– Kici, kici – zawołała go Słaboniowa, ale Mruczek nie raczył się pokazać. Słaboniowa poklepała Łaciatą po zadzie, dźwignęła się z małego zydelka, na którym siedziała, i wyszła na podwórko. Choć było rano, zdawało się Słaboniowej, jakby wieczór zapadał. Skłębione chmury przewalały się po niebie, które stawało się coraz ciemniejsze. I parno się zrobiło, jakby był letni wieczór, a nie wrześniowy, chłodny świt. Słaboniowa ruszyła w stronę chałupy, ale droga do schodków stała się nagle niemożliwie długa, a podwórko rozrosło się do rozmiarów wielkiego dziedzińca, na którego krańcach widać było w oddali dom, szopę i obórki. Słaboniowa zaczęła iść w tamtą stronę z wielkim mozołem, ale jakowaś duszność ją ogarnęła, jakiś ucisk straszny na piersi, ucisk tak silny, że oddech jej stał się świszczący i krótki, a w uszach postyszała dudnienie, które miażdżyło jej głowę. Słaboniowa, nie mogąc złapać tchu, upuściła wiadro na trawę i pochyliła się do przodu, żeby wciągnąć w płuca chociaż jeden haust parnego powietrza. Z jej nosa poczęło wypływać coś ciepłego i gęstego. Oblizła wargi i poznała słodkawy smak krwi.

Słaboniowa otworzyła oczy. Otaczała ją ciemność rozświetlana jedynie wpadającymi przez okno promieniami księżycy, które przeświecały przez zachmurzone niebo. Leżała we własnym łóżku, pod własną pierzyną, a srebrzyste światło padające z okna wyłaniało z mroku kształty dobrze znanych sprzętów, starego kredensu, stołu, pieca kaflowego. A więc to był tylko sen, chciała westchnąć z ulgą Słaboniowa, ale westchnąć nie mogła ani oddechu złapać, bo wciąż coś jej pierś cisnęło, jakby kto położył na niej worek mąki. Leżała na plecach z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała i ruszyć się nie mogła ani krzyku błagalnego z siebie wydać. Wpatrywała się w ciemność nad sobą, ale niczego też nie mogła dojrzeć. Poczuła, jak po policzku cieknie na poduszkę ciepła kropla krwi, i postyszała przy twarzy jakiś świst, jakby ktoś westchnął głośno, przeciągle tuż przy niej. A po westchnięciu postyszała Słaboniowa szept podobny szelestowi zeschniętych liści lub szumowi wiatru.

– Kreeeeefff, kreeeeefff... – szeptał ktoś wprost do ucha Słaboniowej. – Kref leci, tsza

pićć kref, kref dobra, słotka, krfi mi tszszaaa... – I znowu ozwało się długie, przepelnione głodem westchnięcie. A potem poczuła Słaboniowa zimne dotknięcie na policzku. Było to coś wilgotnego i oślizgłego, jakby pies jaki lizał ją po twarzy, ale pies martwy, pies trupi, śmierdzący grobem.

Chmury na niebie widać przerzedziły się i jasne, księżycowe światło rozjaśniło izbę. I w tym świetle, tuż nad sobą ujrzała Słaboniowa twarz pociągłą, półprzezroczystą, przez którą srebrne promienie jakby przechodziły na wylot, a zarazem nadawały kształt kościstej głowie o zapadniętych policzkach i wypukłym czole. Spomiędzy wąskich, szeroko rozwartych warg wysuwał się długi, spiczasty język, a okrągłe oczy wpatrywały się w Słaboniową z zimną ciekawością. Twarz tę okalały długie włosy, spływające na pierś Słaboniowej, utkane z tej samej materii co reszta przedziwnego, szklanego ciała. Nagle zjawa szarpnęła gwałtownie głową, spojrzała w stronę okna i pociągnięta jakimś nieznanym pragnieniem wypadła na podwórze, przenikając przez zamknięte szyby. W tym krótkim mgnieniu Słaboniowa mogła zobaczyć nagie, zgarbione ciało o małych, spiczastych piersiach i nadnaturalnie długich nogach, które sprawiały, że istota niemal sięgała głową powały.

Słaboniowa odetchnęła głęboko i poczuła, jak krew zaczyna na powrót krążyć w jej żyłach. Gdy tylko siły jej wróciły, wstała z łóżka, otuliła się wełnianą chustą, wyszła na podwórze i stanęła przy płocie. Jasny, idealnie okrągły księżyc tkwił na środku nieba, wielki i nieruchomy, i oprószał wieś białym szronem. Każde ździebełko trawy jaśniało tym srebrnym światłem, każda gałązka, każdy listek na drzewie, każda grudka ziemi. Linie wysokiego napięcia cięły niebo niczym metalowe struny, a droga biegnąca przez wieś miast z asfaltu usypana była z lekkiego, księżycowego pyłu. W nocnej ciszy ozwał się tętent końskich kopyt, coraz bliższy i szybszy. I na pole wgalopowała nagle kobyłka sołtysów, niosąc na swoim grzbiecie Zmorę, która upojona pędem odchyłała głowę do tyłu i śmiała się bezgłośnie. Chude palce wrzepiała w grzywę zwierzęcia, a ostrymi piętami żgała biedną kobyłkę w zapadnięte boki, pokryte pianą i poznaczone wystającymi żebrami. Szeroko otwarte, oszalałe oczy konia błagały o ratunek, a rozdęte chrapy drgały konwulsyjnie. Zmora zaś przeginała się kokieteryjnie, jakby ciesząc się, że sama występuje na tej srebrnej scenie i że to jej ciało tak jaśnieje w blasku księżyca. Krygowała się, przeżyła chude członki, przechylała fikuśnie głowę dla samej tej uciechy, że promienie księżycowe przenikają przez jej ciało i wydobywają je z mroku.

Słaboniowa syknęła coś pod nosem, rzuciła za płot garstkę ziemi i splunęła za nią siarczyście. Zmora, nagle jakaś wystraszona, rozejrzała się wokół nieprzytomnym wzrokiem, zawróciła kobyłkę, pogoniła umęczone zwierzę pędem przez płot Zapasiuków i pognąła dalej w stronę wsi. Słaboniowa wróciła do chałupy i położyła się, ale sen długo jeszcze nie przychodził.

Przebudziła się Słaboniowa z uczuciem ogromnego zmęczenia, które paraliżowało wszystkie jej członki i przez dłuższą chwilę nie pozwalało odemknąć jej powiek. Leżała na plecach, a ku swemu wielkiemu przerażeniu wciąż czuła na piersi ciężar, który nie pozwalał jej głębiej odetchnąć. Z wysiłkiem otworzyła oczy i tuż przed sobą zobaczyła szeroko otwarte, zielone ślepia Mruczka, który leżał na jej piersi i pomrukiwał z zadowoleniem. Przez okno wkradał się szary, jesienny świt, ogarniający chłodem wnętrze izby. Słaboniowa gwałtownym ruchem zrzuciła kota na podłogę, siadła na brzegu łóżka i odetchnęła głęboko kilka razy, Mruczek zaś nieco obrażony usiadł koło nogi od stołu i zaczął okrężnym ruchem myć lewe ucho.

– Omal żeś mie nie zadusił, cholerniku przebrzydły – wysapała w jego stronę Słaboniowa.

Mruczek mył dalej ucho, popatrując na starą z wyrazem całkowitej obojętności. Słaboniowa siedziała jeszcze czas jakiś na brzegu łóżka, próbując oprzytomnieć i przemyśliwując też zdarzenia ostatniej nocy, które snem wydawać by się mogły, choć snem nie były. Wstała wreszcie, napaliła w piecu i poszła zwierzęta obrządzić, a Mruczek swoim zwyczajem powędrował za nią do obórki.

Gdy wracała z wiadrem mleka, zobaczyła, jak drogą w kierunku wsi mknie czerwony fiat weterynarza. Słaboniowa pokręciła tylko głową i weszła do chałupy.

Jakoś za godzinę, a może i krócej przez skrzypiącą furtkę weszła na podwórko sołtysowa, chlipiąc w niebieską chusteczkę i jękając się ze zdenerwowania.

– Kobyłka... – płakała sołtysowa.

– Ale co kobyłka? – dopytywała Słaboniowa. – A siadnijcie sobie i ło tu wody macie, popijcie, to wam lepi zrobi się.

Słaboniowa podstawiła sołtysowej szklanekę wody. Sołtysowa siadła na krześle, upiła łyczek wody i powiedziała:

– Nasza kobyłka, kobyłka... – tu zatchnęła się znowuż. – Weteryniarz był u nasz z rana do kobyłki naszej, co ja wam gadała, że tak marnuje się.

Słaboniowa popatrzyła na nią spod oka.

– I co weteryniarz gadał?

– No, że takiej choroby ni ma, żeby zwierzę jadło i w stajni spało, a zagłodzone było i na śmierć prawie zajeżdzone. Toż my już do żadnej roboty jej nie dajemy, bo ledwie dycha. I coż mnie robić? – Sołtysowa spojrzała na Słaboniową błagalnie.

– A wstunżeczki czerwone na grzywie wiązaliście, jak ja gadała?

– No... – Sołtysowa spuściła oczy. – No, to nie po chrześcijańsku zabobony takie czynić, to zem nie wiązała. A bo to zresztą prawda z tymi zabobonami? Widział kto kiedy zmorę, żeb na koniu jeździła? – I z nadzieją popatrzyła na Słaboniową. Ta wzruszyła ramionami.

– A jak śpicie?

Sołtysowa machnęła ręką.

– Ja to już wcale nie śpię z tego zmartwienia, a ino się przyśpi trochę, to mnie dusi i dusi, i tak w koło. Raz ja się chciała tak położyć, jak kazaliście, z nogami na poduszce, to Stasiek jak na mnie najechał, że brewerie wyprawiam i że jak nie chcę z nim spać jak żona z mężem, to

może i rozwodu chcę. No to ja się kładła po bożemu... – Sołtysowa miała rąbek spód nicy i popatrywała na Słaboniową zawstydzona. – A jak się Stasiek dowiedział, że ja u was była, to mi zabronił do was chodzić i tych, za przeproszeniem, pierdół słuchać.

– Kcecie Zmore z chałupy wygnąć, a i ze wsi cały? – spytała Słaboniowa.

– No, chcę... – powiedziała sołtysowa niepewnie. – Ino żeby Stasiek o tym nie wiedział, bo mnie już całkiem wyklnie.

– Ostawcie z wieczora drzwi do chałupy roztwarte, zajdę do was kole północy i Zmore wygnam.

– Ale jak się Stasiek obudzi?

Słaboniowa podeszła do kredensu, wyciągnęła jakiś woreczek, zawartość wysypała na papierek, zawinęła i podała sołtysowej.

– A co to jest?

– Ziółka na sen. Zadajcie to mężowi przy kolacji do herbaty i spać będzie całe noc jak dziecko.

– A nic mu nie będzie od tego?

– Nii, ino spać będzie do rana bez przebudzenia.

Sołtysowa pomedytowała chwilę, popatrzyła na ziółka z niepokojem, ale wreszcie wzięła zawiniątko.

– No to ja lecę. Powiedziałam w chałupie, że do kapliczki idę, pomodlić się do Najświętszej Panienki o to kobyłkę naszą, no to jeszcze do kapliczki zajść muszę. Jezusie, żeb mnie język nie skołowaciał od tego kłamania... – powiedziała sołtysowa i wzniosła oczy do nieba.

– A, i butelkie kole łóżka postawcie, zanim się położycie – dodała Słaboniowa, żegnając sołtysową przy drzwiach.

– Butelkie? A taka po occie może być?

– Po occie dobra będzie.

I sołtysowa poszła w stronę kapliczki z ciężkim sercem i głową pełną czarnych myśli.

Wieczorem Słaboniowa siadła na łóżku i popatrzyła na obrazy naprzeciw siebie. Westchnęła sobie z głębi serca i poczęła gadać nie bardzo wiadomo, czy do Maryjki z Jezuskiem, czy do Hendryka, co na monidle godnie się prezentował, czy wreszcie do jelenia na rykowisku.

– Ja już za stara na to po nocy latanie. Ciężko mnie chodzić bez te nogie pieruńskie, a i już się nie kce, jak to dawniej bywało. Dość mnie już tych spiekładuchów, tych popaprańców, co z ludzkiej głupoty i złości na nasz padół przychodzo i niecnotę czynio. Ale bo to już ni ma komu złego odganiać, ludzie tera uczone, w zabobony, jak to gadajo, nie wierzo. Już ino ja jedna została, co się zna na piekielnych sztuczkach. Trza robić, póki sił starczy. Mus je, ino ochoty ni ma. – Słaboniowa znowuz westchnęła.

Za oknem gałęzie antonówki tańczyły na wietrze i przygrywały sobie do tańca, poskrzypując z cicha. Noc była ciemna, księżyc ukrył się gdzieś za chmurami, a Słaboniową czekała długa droga do domu sołtysów. Dźwignęła się z łóżka, owinęła się mocniej wełnianą chustą i wsparta na swojej sękatej lasce powędrowała, kuśtykając, przez cichą, śpiącą wieś.

Domostwo sołtysów stało spokojne, jakby żadna Zmora się w nim nie panoszyła. Słaboniowa pchnęła furtkę i weszła na podwórko. Pies oderwał się od budy i półspiący zaszczeakał niemrawo.

– Cichaj, cichaj, piesku – mruknęła Słaboniowa, rzuciła mu skórkę od słoniny, którą za pazuchą przyniosła, i ruszyła w stronę domu.

Tak jak sołtysowa obiecała, drzwi były otwarte. Słaboniowa zapaliła latarkę, przeszła przez sień, weszła do kuchni i tam zobaczyła półotwarte drzwi do pokoju. Podeszła do nich, starając się nie stąpić na jaką skrzypiącą deskę, i stanęła w progu. Sołtysowie spali na małżeńskim łożu, oboje na wznak, sołtys pochrapywał, a sołtysowa sapała miarowo przez nos, wzdragając się co i raz przez sen. Przy łóżku stała butelka po occie, tak jak Słaboniowa kazała.

Słaboniowa przysiadła na krześle stojącym przy meblościance, zgasiła latarkę i wpatrzyła się w ciemność, nasłuchując oddechów śpiących. Siedziała tak czas jakiś, próbując wyłowić z czerni kształty mebli, ale widziała tylko nieco jaśniejszy prostokąt okna. Czuła, jakby owijał ją gruby, puszysty koc, który wtulał się między jej ręce, wciskał swoje miękkie włókienka w uszy i oczy, osiadał na niej aksamitną warstwą. Już głowa zaczynała jej opadać, już laska wysuwała się z rąk, gdy przecknęła się ogarnięta dziwnym niepokojem. Nadal dało się słyszeć chrapanie sołtysa, ale zniknęło gdzieś równe posapywanie sołtysowej. Słaboniowa wyostrzyła zmysły, ale nic dojrzeć nie mogła. Wtem przez okno wdarł się do pokoju promień księżycowego światła i wyłonił przejrzystą postać siedzącą na piersi sołtysowej. Promień zniknął i po chwili zaświecił znowu, ukazując postać Zmory skuloną, z twarzą tuż przy głowie ofiary. Zmora węszyła, wysuwała długi jęzor i omiatała nim twarz kobiety, jej włosy zwisały w strąkach, opadając na ramiona sołtysowej.

Słaboniowa wstała z krzesła i z wolna zaczęła podchodzić do łóżka. Zmora pochyliła się jeszcze bardziej, przytknęła wargi do skroni sołtysowej i poczęła ssać. Na twarzy sołtysowej pojawił się cienki strumyczek krwi i powoli spłynął na poduszkę.

Słaboniowa, niezauważona przez nieświadomą niczego Zmorę, podniosła z podłogi butelkę po occie, zdjęła zakrętkę i mrużąc coś pod nosem, przesunęła ręką od stóp sołtysowej ku jej głowie. Zmora obróciła się ku niej, okrągłe oczy, pełne wyrzutu, utkwiała w twarzy Słaboniowej i z cichym, świszczącym jękiem poczęła wsączać się wirującym ruchem do butelki. Gdy ostatnia srebrzysta smuga zniknęła w butelce, sołtysowa głęboko odetchnęła, prężąc ciało

głodne powietrza. Słaboniowa szybko nakryła butelkę i potrząsnęła ramieniem sołtysowej.

– Zbudźcie się – szepnęła.

– Co się stało? Kto to? – zapytała sołtysowa. Ciężko dysząc, podniosła głowę i potoczyła po izbie nieprzytomnym wzrokiem. Chmury znowuż przesłoniły księżyc i oczy sołtysowej błądziły w ciemnościach, usiłując znaleźć źródło obcego głosu.

– Toż to ja, Słaboniowa. Ja przyszła Zmorę wygnąć, jakeście prosili.

– O Jezusie, przecie prawda... – Sołtysowa opadła na poduszki z westchnieniem ulgi. – I co, wygnaliście? – Słaboniowa zapaliła latarkę i pokazała jej butelkę po occie. – Toż tu nic nie ma – powiedziała sołtysowa.

– Je, ino jak księżyc nie świeci, to nie widać. Trza wyjść przed chałupę i poczekać, jak księżyc zaświeci, to się pokaże. No, chodźcie! – ponaglała Słaboniowa.

– Ale jak tam żadnej Zmory nie będzie, to rozpowiem we wsi, żeście stara wariatka i żeby w żadne wasze słowo nie wierzyli. Jużem ja się przed Staśkiem wstydu przez was najadła – powiedziała sołtysowa gderliwie i wygrzebała się spod kołdry.

– Dobrze, dobrze, rozpowiecie – odparła Słaboniowa, nic sobie nie robiąc z jej zrzędzenia.

Sołtysowa zarzuciła sweter wełniany na koszulę nocną, na boscie nogi nałożyła gumki i wyszły na podwórko. Księżyc wciąż tkwił za kłębami czarnych, gęstych chmur, które nie przepuszczały ani odrobiny światła.

– Ale zimnica... – Sołtysowa przestępowała z nogi na nogę, coraz bardziej zniecierpliwiona. – Bo do domu pójde.

– Poczekajcie, zara się księżyc pokaże i Zmorę obaczycie – powiedziała Słaboniowa i wyciągnęła rękę z butelką ku niebu. W tejże chwili chmury rozstały się i w szklanym wnętrzu ukazała się mała postać Zmory, biednej teraz i wijącej się w bezsile. Światło księżycowe przenikało przez jej ciało i zdawało się, że w butelce zamknięto ruchliwy, srebrny pył uformowany w człekopodobną postać.

– Przenajświętsza Panienko! – wykrzyknęła sołtysowa i przeżegnała się, wgapiając się w butelkę. – To ona taka mała, ta Zmora!

– Niiii, toż większa była, większa od was, alem ją w butelce zamkła i taka mała zrobiła się.

– I co tera? – zapytała sołtysowa, mocniej otulając się swetrem. – Toż w butelce jej chyba nie będziecie trzymać...

– No, tera to trza ją ponieść nad jako wodę i utopić.

– Utopić? – wzdrygnęła się sołtysowa. – Tu u nas na łąkach jest taki staw, na Daniłów ziemi. Ale bo to wypada tera chodzić kole cudzego obejścia? A jeszcze jak tam takie nieszczęście... – Sołtysowa stropiła się nieco.

– Jak trza, to trza – rzekła Słaboniowa. – Jak się Zmorę ułapi, to trza ją zara do wody wrzucić.

– A do wiaderka nie wystarczy?

– Niiii. Musi być woda prawdziwa, żeb na dno głyboko poszła. A wy mnie nad to wodę poprowadzicie.

– Ja? Ale toż, jak się Stasiek przebudzi i zobaczy, że mnie nie ma?

– Nie zobaczy, nie zobaczy, jak ziółek moich dostał.

Sołtysowa pokręciła głową i bardzo nieszczęśliwa powlokła się w stronę furtki.

– No to chodźcie – pokiwała ręką na Słaboniową.

Kawałek szły asfaltem, a potem koło krzyża skrzyły w łąkową drogę, wyjeżdżoną kołami wozów i traktorów i wydeptaną przez pokolenia okolicznych mieszkańców drepcących z sianokosów do domu, z domu na wykopki, dzieciaków biegnących za wozami z sianem, kobiet niosących mężom obiad na pole. Teraz łąki niknęły w nocy, oświetlane niekiedy światłem księżycy wyglądającego czasem spoza chmur. Znad traw zaczynała się podnosić mgła, zamazując i tak niewyraźny krajobraz.

– To tera musim iść przez łąki na skuśkę – powiedziała sołtysowa, biorąc się pod boki i patrząc z niezadowolaniem w ciemności. – Krowy tam nie pijo. Gadajo, że woda w tym stawie niedobra do picia, to i ścieżki nijakiej ni ma.

Zaczęły więc brnąć przez wilgotne trawy, a po niedługim czasie koszula nocna oblepiała nogi sołtysowej mokrym zawojem krępującym ruchy. Sołtysowa zakasała koszulę i szła dalej, świecąc gołymi łydkami, a za nią kuśtykała Słaboniowa, coraz ciężiej wspierając się na swojej lasce i oddychając płytko ze zmęczenia. Łąki wokół Capówki pocięte były gęstą siecią rowów nawadniających ziemię i pełniących rolę granic między ziemiami należącymi do kolejnych gospodarzy.

– Tera przez Dominikowe idziem – mruzczała pod nosem sołtysowa. – A tera przez rów musim przejść i wejdziem na nasze.

Na szczęście deszczów ostatnio nie było wiele i woda w rowach stała płytko, więc z pomocą sołtysowej i długiego kija leszczynowego jakoś się Słaboniowa na drugi brzeg przepawiła.

– A tera musim, o, tutaj, podejść, jeszcze jeden rów przekroczyć i bedziem na Daniłowym

– wyjaśniała sołtysowa, przez to mówienie dodając sobie samej otuchy.

Przeprawiły się przez drugi rów, Słaboniowa odpoczęła chwilę i poszły po równiutko wykoszonej łące Daniłów w stronę stawu. Staw był wykopany w kształcie kwadratu, a tafla jego była gładka, bez jednej falki, i księżyc, co właśnie wyłonił się spomiędzy chmur, odbijał się w wodzie jak w lustrze kryształowym. Kobiety stanęły nad stawem i patrzyły.

– Głęboko tu? – spytała Słaboniowa.

– No, tak dobrze to nie wiem, ale jak Daniło co robi, to od serca zawsze, to pewnikiem głęboko. Może i z pinę metry będzie... – oszacowała sołtysowa.

– To głęboko, dobrze głęboko – rzekła Słaboniowa. – Bo jak za płytka woda, to Zmora wysupłać się może i dali ludzi dusić. – Wyjęła butelkę po occie zza pazuchy i spojrzała ostatni raz na uwięzioną Zmorę.

– Ładna nawet... – szepnęła sołtysowa z lekkim przestraszonym. – Szkoda trochę. Taka ona mała i boi się chyba. – Zmora głowę ukrytą miała w ramionach i kuliła się na dnie butelki. Nie patrząc na świat zewnętrzny, trzęsła się, jakby od płaczu czy ze strachu.

– Boi się, boi, a tylko na wolność wypuścisz, zara do gardła się rzuci – powiedziała Słaboniowa szorstko, potrząsając lekko butelką. Potem wyciągnęła rękę i rzuciła butelkę w ciemną toń. Krągły księżyc zafalował i rozbił się na setki obłych, jasnych błysków, kołyszących się lekko i drżących migotliwie na powierzchni wody. W ślad za butelką kilka bąbli powietrza uniosło się ku górze, a wraz z nimi lament żałośliwy, jakby dziecko małe płakało smutno i bez nadziei.

– O Jezusie Nazareński... – szepnęła sołtysowa zbielełymi wargami i przeżegnała się szybko. – Toż ona płacze, jakby się małe dziecko topiło, tak żałośnie płacze.

Słaboniowa schyliła głowę.

– Tera płacze, a jeszcze niedawno krew wasze piła, a kobyłkie wasze omal na śmierć nie zajeżdżała.

Księżyc znowu tkwił srebrnie na środku stawu bez jednej nawet zmarszczki. Poszły z powrotem do wsi, a w ślad za nimi biegło ponad rudziejącymi trawami zawodzenie dziecka zostawionego na samotność i zatracenie.

Następny dzień otulony był mlecznymi pasmami mgły unoszącej się nad polami, wypływającej spomiędzy drzew na skraju lasu, wyciekającej z ździebeł trawy i gałązek przekwitłego jaśminu. Słaboniowa szła właśnie do piwniczki z koszem świeżo wykopanych kartofli, gdy z mgły wyłoniła się jakaś postać i stanęła przy furtce. Stała tak, nie wchodząc na podwórze ani nie wydając z siebie głosu, tylko chwiała się delikatnie na boki płynnym ruchem, jakby owiewana podmuchami wiatru. Słaboniowa, stojąc na środku podwórka, dostrzec nie mogła, któż to ją odwiedził, a raczej czekał na nią przy płocie. Odstawiła więc kosz na ziemię, obtarła ręce w fartuch i podeszła do furtki. Stała tam Halina Daniłowa, odziana tylko w czarną,

lekką sukienkę, choć ziąb był niemały. Ręce jej, o dużych, niegdyś silnych, nawykłych do roboty dłoniach, teraz zwisały bezsilnie wzdłuż boków. Na głowie miała zawiązaną czarną chustę, która okalała bladą, chudą twarz z płonącymi gorączką oczami. Oczy te wpatrywały się w przestrzeń, bez jednego mrugnięcia, przenikając postać Słaboniowej na wylot i biegnąc gdzieś w dal.

– Zajdziecie na herbatę? – zapytała Słaboniowa.

Daniłowa nic na to nie odrzekła, tylko stała nadal po swojej stronie płotu, nieruchoma i skupiona. Wreszcie powiedziała tępym głosem, pozbawionym echa:

– Słyszałam wczora w nocy płacz dziecka maluskiego. Lament żalony, przeciągły, długo w noc trwający. Tak samiuśko moja Agatka płakała, gdy dzieciątkiem była w kołysce. Tak samiuśko długo zawodziła, gdy sama leżała i nikogo przy niej nie było.

Słaboniowa nic na to nie powiedziała.

– A w sklepie we wsi – ciągnęła dalej Daniłowa – sołtysowa przysięgała, w piersi się bijąc, że Zmora ją męczyła i wyście to Zmorę złapali w butelkie i zatopili. Prawda to?

– A bo to ja wim, co w sklepie gadają? – spytała Słaboniowa, wzruszając ramionami.

– Ludzie to się śmieli w sklepie z naszej sołtysowej, że we wszystko wierzy, ale ja pomyślała, że przyjdę do was i zapytam, a przecie wy mnie nie skłamiecie, prawda?

– A co ja mam wam skłamać czy nie skłamać?

– Gdzieście ją zatopili? – wyszeptała Daniłowa, przewiercając Słaboniową swoimi gorejącymi oczami. Słaboniowa westchnęła ciężko, wsparła ręce na sztachetach i rzekła ponuro:

– W tem stawie na waszej łunce, co krowy z niego nie pijo.

Daniłowa zachwiała się lekko, jakby upaść miała, ale ustała i wzrok swój wbiła w Słaboniową, mówiąc dobitnie:

– Moja Agatka siódma w kolejności była, a gadają, że siódma córka w kolejności w Zmorę przemienić się może. Nie tak gadają?

– Może i gadają.

– Ta Zmora, co żeście ją zatopili, to mogła być moja Agatka?

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– Ja tam nie wim. Trza było zatopić, to zem zatopiła, bo ino tak Zmorę ubić można, co ludziom krew pije i zwierzęta na śmierć męczy.

– Jażem też była siódma w kolejności. Siedem nas było w chałupie, a ja najmłodsza

i siódma z kolei. Może to tak i po rodzinie syna Władkowi nie urodziłam, ino same córki. Gdybyż siódmy chłopak urodził się, nie cierpiałaby moja Agatka takiego bólu, takiej hańby i poniewierki. – Z oka Daniłowej wyciekła ciężka łza, spłynęła na policzek, potem na brode, poturlała się szybko po krzywiznie szyi i wsiąkała w kołnierzyk sukienki.

– Zajdźcie do mnie, herbaty nagotuję, posiedzim... – powiedziała Słaboniowa bezradnie.

Ale Daniłowa tylko popatrzyła na Słaboniową ostatni raz, odwróciła się i popłynęła we mgle w stronę wsi, jak duch jakiś bardziej niż żywy człowiek. Słaboniowa patrzyła długo za jej coraz bledszą postacią, zaciskając na sztachetach pokręcone reumatyzmem palce. Potem podreptała w głąb podwórza, podniosła koszyk z kartoflami i zaniósła go do piwniczki.

Wieczorem kładła się Słaboniowa targana strasznym niepokojem, który obejmował jej serce zimnymi, kościstymi palcami. Leżała z rękami splecionymi na piersi, wpatrując się w noc oczami, których powieki wciąż nie chciały litościwie nakryć. Usta jej po raz pierwszy od długich lat szeptały słowa prośby o ratunek i wybaczenie.

Władek Daniło leżał na plecach z zamkniętymi oczami, ale spać nie mógł. Odkąd Agata, jego najmłodsza na jabłonce się obwiesiła, żona jego – Halina – całkiem zbiesiła się. Wpierw zastawał ją jak stoi nad garnkiem z przypaloną zupą i gapi się w ścianę. Potem, gdy konie miała rano napoić, brała wiadro z wodą i zamiast do stajni, szła z nim za stodołę i dalej na łąki, aż ją która z córek nie złapała i do domu nie zawróciła. Potem z łóżka jej nie było można wyciągnąć, leżała tylko odwrócona do ściany, skulona i obca i żadne Władka krzyki, groźby ani nawet szturchańce nie pomagały. Wreszcie przestała Halina cokolwiek w domu robić. Wstawała koło południa, ubierała się w te czarne szmaty żałobne i szła na wieś. Gadali mu potem ludzie, że a to w sklepie stała godzinami i klientów Romaniukowej straszyla, a to snuła się po ulicy tam i nazad, jakby czegoś szukała, a to przed kapliczką kłęczała dzień cały.

Ale najgorsze, co mogło być, to te jej oczy wpatrzone gdzieś poza niego. Mógł do niej gadać, rękami machać, ale ona go nie widziała, jakby przestał dla niej istnieć. Spała z nim nadal w jednym łóżku, ale obowiązku małżeńskiego nie spełniała. Jakby chciał, to i pewnie siłą mógłby ją wziąć, ale jak tak leżała z nieobecną, obojętną twarzą, to i jemu ochota całkiem odchodziła. A dzisiaj jak Halina po obiedzie wyszła, tak na noc nie wróciła i jej strona łóżka, ta od ściany, zimna była i pusta. Jedyne, co czasem mówiła do niego – a miała teraz zwyczaj siadywania przy piecu na małym stołeczku z rękami splecionymi na kolanach i z tymi swoimi nieprzytomnymi oczami – jedyne, co mówiła, to: „Bo ty Agatki nie żałujesz...”. Wymawiała to zdanie raz po razie, głosem monotonnym i pełnym bezbrzeżnego smutku. Bo ty Agatki nie żałujesz, bo ty Agatki nie żałujesz, bo ty Agatki nie żałujesz, i tak w kółko. Wpierw zatykał uszy, ale jej cichy głos niepojętym sposobem przenikał przez jego dłonie. Wychodził na podwórze, ale i tam gonił go ten smutny głos, uciekał na pole, a głos Haliny szedł za nim i szeleścił w głowie: bo ty Agatki nie żałujesz, bo ty Agatki nie żałujesz... A to nieprawda była, bo żałował córki, zawsze to życia młodego szkoda. Dobra była z Agaty dziewczyna, starała się, żeby rodzicom dogodzić, uczyła się dobrze, śpiewała ładnie, do roboty zawsze chętna, ale co robić, kiedy serca do niej nie miał od maleńkości. Przecie dziewczynie gospodarki nie przepisze, ziemi nie odda, toż dziewczucha na gospodarowaniu się nie zna. Zawsze gospodarka przechodziła u Daniłów z ojca na syna i tak Władek myślał, że zawsze będzie. A tu córka za córką, córka za córką, jak na złość. Jak Halina siódmy raz zaciążyła, to już myślał, że na pewno musi być syn, bo brzuch miała spiczasty jak

nigdy i specjalnie ładnie prezentowała się, a jak gadają – przy dziewczynie kobieta brzydnie, bo urodę córce oddaje. No to musiał być chłopiec. Ale urodziła się Agata.

Wtem Władysław usłyszał szelest pościeli i poczuł ciężar czyjegoś ciała kładący się na jego piersi. A więc Halina wróciła i teraz już wszystko jak dawniej będzie, i przytulą się, i dalej razem koło gospodarstwa będą chodzić, i tak do śmierci, jak sobie w kościele przysięgali.

– Halina? – zapytał i otworzył oczy. Ale nie zobaczył przy sobie żony. Zamiast niej zwieszała się nad nim twarz zupełnie inna, a straszna w swej dziwności. Była to twarz utkana z księżycowych promieni, połyskująca i mieniąca się, jakby obsypana srebrnym pyłem. Włosy jej zwisające po obu stronach głowy spływały wodą, kapiąc zimnymi kroplami na twarz i szyję Władysława. Zjawa przytuliła się do niego mocniej, naciskając całą siłą na jego pierś, aż całe powietrze z płuc uszło, a czarne mroczki zaczęły mu latać przed oczami. Chciał się spod niej wydostać, złapać za te mokre kudły, zmieść z siebie ten obrzydły ciężar, ale ciało jego ogarnęła dziwna niemoc, a ciało istoty, mimo iż zdawało się lekkie jak zrobione z cieniutkiego szkła, ważyło niby wielkie kowadło. Oczy jej, szeroko otwarte, z źrenicami czarnymi, a przepastnymi jak dwie studnie bez dna, wpatrywały się w niego chciwie, a z ust wydobyło się długie westchnienie.

– Krffffiii mi tsza, krfiiii – wyszeptala świszczącym głosem Zmora i długim językiem poczęła zlizywać krew płynącą z nosa, ust i oczu Władka Daniły.



PIERWSZA KREW

Pewnego dnia siedziała Słaboniowa wraz z Mruczkiem na ławce przed domem, ciesząc się ostatnimi promieniami wrześniego słońca, gdy ujrzała Klaudusię, jak idzie ulicą od strony przystanku PKS, pewnikiem ze szkoły wracając. Zdawało się, że szła niby całkiem normalnie, ale jakoś też inaczej niż zwykle. Coś było w jej ruchach dziwnie dorosłego jak na trzynastoletnią dziewczynkę, coś zdaniem Słaboniowej zdecydowanie nieprzystojnego. W przeciwności zaś do kocich ruchów dziewczyny, wyraz jej twarzy całkiem był nieobecny i rozanielony, nawet – jak pomyślała Słaboniowa – trochę głupkowaty. Zdawało się też, że dziewczynka mruczy coś sama do siebie, tocząc przy tym z ust stróżkę śliny i wywracając swoimi czarnymi oczami. Zdziwiło to Słaboniową niepomniernie, bo znała Klaudię jako poważną dziewczuszkę, bardzo grzeczną i ułożoną, a wynikami w nauce córki Anetka przychodziła się chwalić matce chrzestnej co roku. Klaudia, kręcąc jedną ręką blond loka, gapiała się w niebo i nagle ku najwyższej konfuzji Słaboniowej, drugą ręką zadarła sobie spódniczkę do pasa, objawiając światu bawełniane majtki z różowym napisem „środa”. W ten sposób Klaudusia przeparadowała, dziwnie drobiąc kroki, obok płotu, nie zwracając przy tym żadnej uwagi na starą, i poszła dalej przez wieś.

Słaboniowa pozostała zaś na swojej ławce z otwartą ze zdziwienia gębą i Mruczkiem, który patrzył na starą pytając swoimi zielonymi oczami. Słaboniowa w odpowiedzi tylko pokręciła głową i postępując z cicha, bo w krzyż jej coś weszło przy kopaniu kartofli, weszła do chałupy, a Mruczek dostojnym krokiem poszedł za nią.

– Coż dziewczynie odbiło, żeb takie rzeczy...? – Słaboniowa siadła na krześle i położyła ręce na kolanach. – Toż niepodobieństwo, żeb taka pannica, co do kościoła w każde niedziele lata, bez żadnej przyczyny takie brewerie wyczyniała i to na ludzkich oczach. Coś mnie się widzi, że to nie ludzka ani boska sprawka. Ino siarki smród czuć i ognie piekielne, a dyjabły ino ogonami z uciechy mieszają w kadziach smoły pełnych...

Gdy tak Słaboniowa siedziała, gadając do siebie pod nosem, rozległo się pukanie do drzwi i do izby wtoczyła się Adelka, ciągnąc za sobą ciężki zapach sadła i wędzonki.

– A coż to za zapachi? – spytała Słaboniowa.

– Aaa, skwarki ja topiła, świniaka żeśmy bili – wy sapała Adelka, opadając na krzesło i kładąc na stole zawiniątko w zatłuszczonej gazecie. – Pęto kiełbasy wam przyniesła, żeb ta mieli tyż trochu zadowolenia na stare lata.

– A dziękuję, dziękuję. – Słaboniowa przysunęła kiełbasę ku sobie i powąchała z lubością. – To od świniaka bicia aż tu was przygnało?

– Aaa... – Adelka machnęła ręką. – Ja była u Zośki tera, kiełbasy trochu tyż jej zaniosta i wiary nie dacie, co wam powim.

– Dam alibo nie dam...

– Klaudusia jak raz ze szkoły wracała i ja tak siedzę z Zośką i z Anetką przed domem, i tak patrzam, patrzam, a Klaudusia spódnice do pasa samego zadziera i tak przez wieś idzie. I jak raz szedł ze wsi Adam Dominikowy, a Klaudusia do niego jak nie zacznie mrugać i coś tam gada do niego i się wije, i się wije jak suka w rui. Jak to Zośka zobaczyła... – Tu Adelka złapała się za głowę z przejęcia. – Jak to Zośka zobaczyła, to jak pasa Zenkowego z sieni złapała i do Klaudusi wyleciała, i ją tym pasem do domu przygnała, to ledwo Anetka dziecko uratowała, taka Zośka wpieniona była. Ale bo to racji nie miała, żeb taka młoda dziewczucha tak wstydu nie miała? I gada jeszcze cały czas, że na ojca czeka, a potem ryczy wniebogłose, jakby jej się jaka krzywda działa. No, prawda, że Stasiak w ty Irlandii siedzi, ale bo to pierwszozna? I po pół roku go nie było i nigdy Klaudusia taka za ojcem nie była, to tera jej się zebrało. I co to znaczyć może? – Adelka popatrzała na starą wyczekująco. Ale Słaboniowa tylko wzruszyła ramionami i pociągnęła nosem.

– To wiela tera lat ma?

– Klaudusia? – Adelka zamyśliła się, licząc coś na palcach. – Z trzynaście będzie, duża już dziewczucha. Ale ja wam coś powim... – Adelka nachyliła się ku Słaboniowej. – Po mojemu to Klaudusi na dekiel bije także samo jak Anetce, co to pamiętacie, jak zaciunżyła, to jakie farmazony gadała o tych tam dyjabłach i ryczała bez przestanku. No to tak samo tera i Klaudusia... – Adelka zakręciła ręką przy czole.

– A po mojemu to wy za dużo gadacie – rzekła Słaboniowa i wstała od stołu. Adelka podniosła się z krzesła nieco urażona.

– Jeszcze mi będziecie dziękować, że wam gadam, co we wsi się dzieje. Nosa z chałupy nie wytykacie, to i nic nie wiecie. – Adelka popatrzała znacząco na zawiniątko z kielbasą, dając do zrozumienia, że serce ma za dobre.

– Ano, starość nie radość, jako to gadają. Sił nie ma po wsi latać, to i dobrze, jak ktoś zajrzy i opowi. Dziękuję, żeście do mnie zaszli i tej kielbasy przynieśli – powiedziała Słaboniowa pojednawczo. – A jak będziecie kole Samoszuków wracać, to powiedzcie Anetce, żeb do mnie zaszła. Serwietę żem jej na stół udziergała na szydełku, to se weźnie.

– Mogie powiedzieć – Adelka wzruszyła ramionami i poszła, kolebiąc na boki swoim wielkim zadem.

– No, nie było ci do mnie śpieszno, Anecia – powiedziała surowo Słaboniowa, patrząc na szczupłą kobietę siedzącą po drugiej stronie stołu. – Dwa dni będzie, jak Adelce gadałam, żeb ty zaszła do mnie.

Anetka jak za dziecka chuda była i blada i ani trwała nałożona na włosy mysiego koloru, ani twarz poważna, ani ciuchy markowe, co jej Stasiak z saksów przywoził, nie przesłoniły Słaboniowej tej nieśmiałej, naiwnej dziewczynki, którą od maleńkości znała. Anetka przygryzła wargi i powiedziała głosem zmęczonym i nieszczęśliwym:

– A coś tam ciotka gadała, że serwetkę jakąś dla mnie macie.

– Ano tak – Słaboniowa podeszła do kredensu i zaczęła grzebać w szufladzie. – Ino gdziesiś zapodziała się. Starość nie radość, Anecia.

– To po to żeście mnie wzywali, żeby mi dać serwetę, co jej nie możecie znaleźć? – zdenerwowała się Anetka.

– Cichaj, Anecia, cichaj – powiedziała Słaboniowa. – Czekaj, herbaty ci dam. Dawno żeś do mnie nie zachodziła.

– Czasu nie było – rzekła krótko Anetka, nie patrząc na chrzestną matkę. – Wykopki byli i matce musiałam pomóc, a przecie Stasiak w Irlandii siedzi i sama jeszcze całą chałupę mam na głowie. No i jeszcze Klaudusia... – tu Anetka urwała nagle.

– Co Klaudusia?

– A nic, jak to dziewczucha. Jak to gadają, małe dziecko, mały kłopot, duże dziecko, duży kłopot. – Anetka zaśmiała się nieszczerze.

– Ano tak gadajo – rzekła Słaboniowa poważnie, stawiając przed Anetką szklanę z herbatą. – Gadała Adelka, że Klaudusia za chłopami zaczyna się oglądać.

Anetka popatrzała na Słaboniową uważnie.

– I co wam jeszcze ciotka gadała?

– Gadać wiele nie musiała. Sama, zem widziała, jak Klaudusia bez wieś z zadarto kiecko szła.

– Skaranie boskie! – krzyknęła Anetka i ukryła twarz w dłoniach. – Mało kłopotu miałam, to tera jeszcze to na mnie przyszło. Mało się wstydu najadłam przez te Słaboniowej diabły i Kikimory, to jeszcze nie wystarczy? To jeszcze mi tera Klaudusia kociokwiku dostała i to tak, że gorzej już nie można – lamentowała.

– To ty, dziecko myślisz, że to je najgorsze, co się zdarzyć może?

Anetka popatrzyła na Słaboniową przestraszonymi oczami.

– A nie? Toż na każdego chłopca leci, co go przez okno zobaczy, a w chałupie utrzymać jej nie idzie. Zawsze coś wymyśli, ledwie się obróć, a tej już nie ma. I paraduje po ulicy i łasi się do wszystkich jak suka, za przeproszeniem. W dodatku gadają mi dzieciaki, że jak moja Klaudia powiedziała jakiejś koleżance, co się na nią o coś rozeźliła, żeby nogi obie połamała, to następnego dnia w domu spadła ze schodów i obie nogi w gipsie. Ta koleżanka znaczy się. To Klaudii do szkoły nie puszczam, bo tylko gadanie z tego będzie, nie tylko we wsi, ale i wszędzie w okolicy, a ja już mam dość tego ludzkiego gadania. No a czasem to taka jest obolała i brzuch ma opuchnięty – ciągnęła dalej Anetka. – I głowa ją boli, ale to tak, że cała się wije i nawet trzy pyralginy nie pomagają. Tyle dobrego, że jak ma te boleści, to w łóżku leży i chociaż po ulicy nie lata z majtkami na wierzchu – westchnęła na koniec.

– A podobnież coś gada, że na ojca czeka.

– A tego to ja już nie wiem, co jej na mózg padło. Kocha Staśka, pewnie, jak to ojca, ale więcej go w domu nie ma, niż jest, i nigdy tak jej tęskno do niego nie było. Jak przyjeżdża, to pierwsze, co Klaudia go pyta, to jakie prezenty przywiózł, i tyle. – Anetka zamyśliła się. – Może jak go tak mało ma, to się jej i zatęskniło, nie wiem.

– A ty za Staśkiem tęsknisz? – Anetka wzruszyła ramionami.

– Jak to w małżeństwie. Pewnie, że się cknę, jak go po parę miesięcy nie ma, ale tak już być musi i nic na to nie poradzisz. Zresztą mam do kogo gębę otworzyć i matka jest, i dzieciaki, i roboty też nigdy koło domu nie brakuje, to tak się nie myśli za wiele... A jak Stasiak przyjedzie, to i tak na krótko i zanim całą rodzinę obleci i ze wszystkimi się napije, to już nazad wracać musi. – Anetka opuściła głowę. – Nie można narzekać. Dobrze nam się wiedzie, pieniądze zawsze są, ciuchów takich jak Klaudusia to nikt w szkole nie ma, niczego nam nie brakuje.

Słaboniowa pokiwała głową.

– Pewnie, pewnie, najważniejsze, żeb było co do garka włożyć i na grzbiet wrzucić.

– Właśnie – powiedziała Anetka. – O, jaką mi bluzeczkę ostatnio przywiózł, pierwsza klasa, Słaboniowa zobaczy. – Anetka wyciągnęła rękę do Słaboniowej, a ta pogładziła rękaw zielonego sweterka z mięciutkiej bawełny.

– No i co, czuć, że zagraniczna robota, nie? – uśmiechnęła się Anetka.

– Czuć, czuć – mruknęła Słaboniowa i westchnęła. – Wiesz, Anetka? Jak ja była młoda, to w jednej koszuli żem latała i w jednych butach, co żem od święta miała, ale my z mojem Hendrykiem zawsze razem żyli i dobrze było. To źle, jak mąż z żoną w chałpie nie siedzi, ino po świecie jeździ i nie wiadomo czego szuka.

– Taki mus – powiedziała Anetka. – Trzeba pieniądze zarabiać, żeby na szkołę Klaudusi było i na ubrania, i na wszystko, co potrzebne. Wam kiedyś może jedna koszula starczała, ale teraz są inne czasy, więcej rzeczy można mieć, a jak można mieć, to czemu nie mieć?

– Niby tak.

– No to ja już będę leciała – powiedziała Anetka, wstając z krzesła.

– A czekaj, Anecia! – zawołała nagle Słaboniowa, podeszła do szafy i zaczęła grzebać na półkach. – Ja wim, gdzie ta serwietka. Człowiekowi to na starość tak głowa szwankuje. O, masz. – Słaboniowa podała Anetce sporą serwetkę w kolorze jaskrawego różu. – O, jaki kordonek ja dostała w Chmielowie i tak ja sobie wydumała, że jak ty lubisz, Anecia, takie kolorowe, to ci wydziergam takie różowe serwietki. – Słaboniowa z dumą patrzyła na swoje dzieło.

Anetka spoglądała na serwetkę ze zgoła innym uczuciem, ale podziękowała grzecznie,

ucałowała starą w oba policzki, a w domu położyła prezent do szuflady na kupce innych serwetek od matki chrzestnej, co je trzymała w szufladzie z szyciem.

Klaudusia szła przez pole, nie zważając na tłustą, czarną ziemię walającą jej nowe buciki. Szła tak, patrzyła w niebo i czekała. Codziennie tak chodziła, a to po ulicy, a to za stodołę do sadu, a to przycupnęła na miedzy pod drzewkiem wiśniowym, i czekała. Wpierw to sama nie wiedziała na co, ale zdało jej się po jakimś czasie, że wszystko do niej gadać zaczyna. Że jabłunki w sadzie szumią: „On przyjdzie po ciebie, czekaj cierpliwie szczęśliwa istoto, czekaj cierpliwie”. Klaudusia pytała: „Ale kto, kto po mnie przyjdzie?”. Lecz jabłunki milkły nagle, jak gdyby nigdy nic. Klaudusia szła na podwórko, a tam kura, dziobiąc jakieś ziarenko, patrzyła na Klaudusię okrągłym okiem i zdawało się, że gada: „On przyjdzie, twój pan przyjdzie i cię zabierze”. Klaudusia dopytywała: „A dokąd mnie zabierze ten pan?”. Ale kura dziobała dalej swoje ziarenko i nic już więcej nie mówiła. Klaudusia szła na łąki, a tam każde zrudziałe źdźbło trawy, każdy ptaszek na niebie, każdy listek opadający z drzewa, wszystko do niej gadało, szemrało i szumiało: „Czekaj, o słodka panno. Przyjdzie pan twój, król twój i zabierze cię tam, gdzie trosk nijakich nie ma ni ludzkich udręczeń. Czekaj i bądź posłuszna, o słodka panno”.

Klaudusi dziwnym to się wydawało, że tak wszystko do niej gada, a ona to rozumie, ale czuła też, że jakaś jest w tym wyjątkowość. Czuła, że do jakich lepszych, wyższych rzeczy ją przeznaczono, skoro rozumie szum wiatru w gałęziach topoli i śpiew skowronka, i nawet rehot żab ze stawu koło Daniłów.

W domu próbowała się modlić przed świętymi obrazkami, tak jak miała to zwyczaj czynić codziennie. Ale gdy klękała i składała ręce do modlitwy, obrazki zaczynały się kiwać na boki, jakby zaraz miały spaść z gwoździ, na których je przywieszono, a twarze świętych poczynały się wykrzywiać do niej w przedziwnych grymasach. Mrugali do niej, uśmiechali się półgębkiem, nieznacznie kiwali na nią palcem, wreszcie trzęśli się, jakby z utajonego śmiechu, jakby z jakiejś tajemniczej radości.

Aż któregoś dnia przy wieczornej modlitwie Klaudusię naszła wielka jasność, która oślepiła ją i kazała paść na podłogę. A gdy tak leżała, tę jasność przesłonił cień wielki, czarny i przemówił do niej w te słowa:

– Jam twój pan i władca, jam twój zbawca i odkupiciel, jam twój ojciec i oblubieniec. To ja wyprowadzę cię z domu niewoli i powiodę cię do mego domu, gdzie będziesz panią i gdzie rządzić będziesz niepodzielnie. Jedyne, czego od ciebie żądać będę, to niezłomna wiara, nieustająca nadzieja i miłość czysta i nieskalana jak tve dziewicze łono. Czekaj na mnie, słodka panno, a ja przyjdę z pierwszą krwią i zabiorę cię do domu mego, gdzie zaznasz największych rozkoszy, a każde tve pragnienie będzie spełnione.

Jasność rozplynęła się i Klaudusia została sama, czując ból, który omal jej głowy nie rozsadził. I odtąd już wiedziała, na kogo czeka, i z niezachwianą wiarą w jego przyjście przechadzała się po wsi dumna i szczęśliwa, wyglądając swego pana i oblubieńca.

I gdy tak chodziła ulicą w dziwnym zaćmieniu, to każda postać, która zamajaczyła w oddali, zdawała się Klaudusi owym Panem, który kazał jej czekać na siebie. I ku każdemu też szła w oczekiwaniu na te obiecane, nieziemskie rozkosze i już niemal pewna, że to On, a przy

tym rozogniona była nieznana gorączką, która paliła ją w brzuchu, parzyła uda, pulsowała w głowie i wypełniała ją żarem nie do ugaszenia. I dopiero z bliska dostrzegła, że to tylko Adam Dominikowy albo Stasiak Butrym, albo też Adam Kubaszuków, co po pijaku z Chmielowa nierzadko wracał.

Któregoś to dnia, jakoś po obiedzie zobaczyła Słaboniowa księdza z Chmielowa jadącego przez wieś na komarze w rozwianej sutannie i z nogawkami spodni spiętymi spinaczami do bielizny. Po chwili usłyszała zaś wizg obcasa drącego asfalt, co oznaczało, że niechybnie ksiądz zahamował przy obejściu Samoszuków.

– A po coż tam ksiundz? – powiedziała do siebie Słaboniowa. Kroiła właśnie jabłka na cienkie plasterki i nadziewała je na nitkę, a potem wieszała przy piecu do wysuszenia. Mruczek przypatrywał się jej uważnie, od czasu do czasu myjąc to przednią łapę, to znów koniec ogona. Co roku widział, jak Słaboniowa przygotowuje owoce do suszenia, i co roku przyglądał się jej z tym samym skupieniem i wyrazem pewnego zdziwienia na swym okrągłym pyszczku. Słaboniowa zastygła z kozikiem w jednej i kawałkiem jabłka w drugiej ręce i popatrzyła w okno.

– Musi jakasiś grubszejsza sprawa tam u Samoszuków, musi to o Klaudusie idzie. – Słaboniowa włożyła do ust plasterki jabłka. – Ale żeb aż ksindza wzywać? Zmarło się komu czy co?

Po chwili wróciła do swego zajęcia, częściej niż dotąd wyglądając przez okno. Tak i zoczyła Adelkę, która zaaferowana jechała na rowerze z torbą wypchaną zakupami. Słaboniowa otworzyła okno i zawołała ile sił:

– Adelka, a zajdźcie no do mnie!

Adelka stanęła na środku drogi i odkrzyknęła:

– Czasu ni mam!

– Toż wam po drodze! Wody dam alibo herbaty, takieście zziajana.

Adelka stała jeszcze czas jakiś w rozterce, aż wreszcie podprowadziła rower na podwórko.

– No, coście chcieli? – zapytała, stając w progu.

– Siadajcie, siadajcie, zara herbaty dam – powiedziała Słaboniowa, zalewając wrzątkiem fusy w szklance.

– Toż gadam, że ni mam czasu... – westchnęła Adelka i siadła na krześle.

– Coż wam tak śpieszno? – zdziwiła się Słaboniowa, podając Adelce herbatę. – Patrzała ja przez okno i widziała, że ksiundz do Samoszuków w wielkim pędzie jechał.

– Mnie kazali nic nie gadać. – Adelka zacisnęła usta, jakby się bała, że jej co z nich

wyleci.

– Pijcie herbatę, pijcie – ponagliła łagodnie Słaboniowa. – Kto nie kazał?

Adelka popiła ze szklanki.

– Zośka nie kazała. Gadała, że we wsi palcami ich bedo wytykać i żeby nic nie gadać.

– A czego zara wytykać? Tak ksindzu było śpieszno, że ja myślała, że może komu się zmarło...

– A gdzie?... – Adelka przeżegnała się. – Wszyscy zdrowi, ino Klaudusia... – tu Adelka urwała i zatkała sobie usta ręką.

Słaboniowa siedziała i patrzyła na Adelkę uważnie swoimi szarymi oczami. A Adelka aż się wiała, bo powiedziec bardzo chciała, ale przecie jak się Zośka dowie, to ją wyklnie. Kazała Adelce na święty krzyż przysięgać, że nikomu ani słoweczka nie piśnie. I Adelka przysięgła na ten święty krzyż i nikomu nie gadała: ani sąsiadkom, ani córce, ani nawet mężowi. A tajemnica ciążyła jej straszliwie niczym młyńskie koło wiszące u szyi, więc Adelka boć do człowieka nie mogła świętą przysięgą związana, do krów gadała w obórcce, do bańki z mlekiem i do samej siebie, aż ją mąż jednego razu zaskoczył i od wariatek nawzywał. Żeby komu choć jedno słowo móc szepnąć, choć pół słowa, żeby ten ciężar zrzucić z siebie. Ale jak stara wygada, to Adelka będzie zgubiona, ale może stara nie wygada, to człowiekowi lżej będzie, a straty nijakiej... I Adelka, sama nie wiedząc kiedy, wypaliła:

– Naszą Klaudusię dyjabeł opętał!

– Dyjabeł? – Słaboniowa wyglądała, jakby miała za chwilę wybuchnąć śmiechem.

– Powiadam wam, to opętanie je! – zapewniła ją Adelka.

– Eeeee... – Słaboniowa machnęła ręką lekceważąco. – Dziewczynka młoda, to i w głowie się miesza, ale żeb zara opętanie?

– Głucheście? O-pę-ta-nie! Przecie gadam! – wykrzyknęła Adelka, bijąc się w obfite piersi. – Jak Boga kocham i Przenajświętsze Panienkę! Wpierw to pamiętacie, co po wsi chodziła, kieckę zadzierała i wdzięczyła się do wszystkich chłopów. To w szkole także samo do wszystkich się mizdrzyła, aż ją placami poczęli wytykać, a jak przyszło do tej dziewczynki, co obie nogi połamała, co to jej Klaudusia życzyła nogów połamania, to ją Anetka do szkoły przestała puszczać. A tu jak raz Klaudusia pierwszego krwawienia miesięcznego dostała. I się zaczęło. Leciało tak z niej dzień, drugi, trzeci, aż jej tera trzeci tydzień tak leci i przestać nie kce.

– A u doctora Anetka z nio była?

Adelka machnęła ręką.

– Słaboniowo, gdzie Anetka z nio nie była? Wpierw pojechała z Klaudusią do naszego doctora Palenicy, a ten gada, że przy pierwszym krwawieniu tak czasem je, że leci i leci, bo jak to doctór gadał, organizm niezwyčajny. Ale dał proszki na krwi ustanie i coś, żeb una spokojniejsza była, bo Anetka się skarżyła, że dziewczyna jakby się szaleju najadła. A, i dał jeszcze skierowanie do innego lekarza, takiego od wariatów, i Anetka poszła w tajemnicy przed Zoską, bo jak się Zośka dowiedziała, że to lekarz od wariatów, to zakazała chodzić, bo to wstyd. A tyn lekarz gada, że dziewczynka dojrzewa i że tak się zdarzyć może, że przy pierwszym krwawieniu może się jej w głowie pomieszać, ale że to przejdzie. I tyż proszki dał.

– I pomogli co te proszki? – spytała Słaboniowa.

– Eeeee tam, pomogli. Krew cieknie jak i przedtem, a spokoju jak nie było, tak nie ma. Jak doctory nie pomogli, tak my uradzili z Zoską, że starym sposobem trza. To my jej brzuch, a taki ma tyn brzuch nadęty, jakby w ciunży była, to my jej tyn brzuch liściami bobkowymi okładali. A żeb spokojniejsza była, to Zośka przed Anetką w tajemnicy naparem z makówek Klaudusię poiła.

– I pomogło co?

– Eeeee tam, pomogło... Wpierw to tako łyżeczkę do harbaty jej dawała na noc. Nic. No to takie od zupy jej dała. Tyż nic. No to cało szklanekę jej dała na kolejne noc. I dacie wiarę? Nic nie pomogło. Klaudusia, jak szalała, tak szaleje, a i jeszcze gorzej, bo gada, że jakiesiś zwidy ma, że święci do niej z obrazów schodzo, że wszystko ona widzi takie kolorowe i wszystko jej się rusza i tańczy przed oczami. – Adelka obrazowo zakrećiła ręką koło głowy. Słaboniowa podniosła brwi, ale nic nie powiedziała, a Adelka, uwolniona od strasznego ciężaru świętej tajemnicy, gadała, jakby ją kto nakrecił.

– Ale... Do szkoły Klaudusia nie chodzi, prawda, ale do kościoła chyba pójść może, nie? No to idziem ci w niedzielę na sumę, a Klaudusia coś się tak boczy, krzywi, ale nic, idziem, msza cała przeszła spokojnie, aż przyszło do komunii przyjmowania. Powiadam wam, Klaudusia komunii przyjąć nie kciała! – Adelka przeżegnała się zamaszycie. – Ale nie wydadcie mnie, że ja wam wygadała?

– A gdzież bym miała was komu wydać?

– To dobrze, to dobrze – Adelka odetchnęła i ciągnęła dalej: – No. A takie to przecie było dobre, pobożne dziecko. Toż ona w chórze kościelnym śpiewała, a tera do ty komunii wołami by jej nie zaciągnęli. Nic. Następnej niedzieli idziem do kościoła, to jak ksiundz błogostawił i wodo święcono kropił, Klaudusia z kościoła uciekła, dopiero żeśmy jo w połowie drogi dognali. No a kolejnej niedzieli to już progu świętego przestąpić nie kciała, ryncami i nogami się zapierała, a do środka nie weszła. – Adelka sapnęła z przejęcia. – No toż widome znaki so, że to opętanie być musi. Komunii nie kce, wody święconej się boi i domu bożego progu przestąpić nie może. No to gadam do Anetki, że jest u nasz jeden ksiundz egzorcysta i to na naszej parafii. Ksiundz Baryton na niego wołajo.

– Gadajo, że un w mieście w teatrze śpiwał, jak jeszcze ksindzem nie był – powiedziała Słaboniowa, podnosząc wysoko brwi. – Gadajo, że w kościele to jemu bardziej o to śpiwanie

idzie jak o kazanie...

– Ja tam nie wim, śpiewał, nie śpiewał. – Adelka wzruszyła ramionami. – Po prawdzie to w kościele ładnie bardzo śpiewa te pieśni kościelne, że tak ładnie to nigdzie ja nie słyszała, to i na niego Baryton wołajo od tego śpiewania. – Adelka zastanowiła się chwilę. – A że se pośpiewać lubi, to grzech? Toż jeszcze lepi, jak ksiundz ładnie śpiewa na mszy. A tam, śpiewał, nie śpiewał, ale do egzorcyzmów odczyniania wyświęcony je i tyła. No to ja tak gadam do Anetki o tych egzorcyzmach, a tu Klaudusia zaczęła te swoje... – Tu Adelka niespodziewanie zamilkła i przeżegnała się znowuż z namaszczeniem.

– Jakie swoje? – zapytała Słaboniowa w napięciu.

– No, powiadam wam, ona takie rzeczy wygaduje, że wstyd słuchać. Tylko mnie nie wydajcie, powiadam wam, bo mnie Zośka nogi z dupy powyrywa.

– Gdzieżbym miała was wydać? – uspokoiła ją po raz kolejny Słaboniowa. – I coż ta Klaudusia robi takiego?

– Ano lata po domu w samej ino koszuli, po nogach jej krew cieknie, a ta się drze wniebogłoty i włosy rwie z głowy, i twarz drapie do krwi, i pięściami po głowie się bije. A to niby klęka, że się modlić chce przed obrazem Najświętszej Panienki, i modlić się zaczyna, ale takie zbereziństwa gada, takie grzeszne słowa, takie bezecne historie, a to wszystko z modlitwo pomieszane, a potem koszulę ze siebie zdziera i przed świętem obrazem tak się wić zaczyna, a po ziemi się czołgać jak suka w rui. Toż to obraza boska! – Adelka, nie mogąc złapać tchu, poczerwieniała na twarzy i przeżegnała się kilkukrotnie. – No to gadam Anetce, trza ksindza Barytona zawezwać. Poszli my do ksindza, a un gada, że to nie tak łatwo egzorcyzmy zarzundzić, bo to pismo trza do kurii napisać, jak sprawy stojo, i musi dochtór z kurii przyjechać i na egzorcyzmy zezwolić. No to my napisali pismo, a ksiundz nam pomogli, bo my przecie nie wiedzieli, jak takie pismo wystosować, że b godnie było. Musi długo to pismo w ty kurii czytali, a i stali pewnikiem gdzie wyżej, może i do samego Ojca Świntego. – Adelka przeżegnała się pełna nadziei. – I nareście przyjechał tyn kościelny dochtór. Opukał, obejrzał, z Klaudusią za zamkniętymi drzwiami gadał, wychodzi i rzecze, że opętanie. Toż gadam Słaboniowej: o-pę-tanie! No to ksiundz Baryton na noc tera przyjeżdża, a dziś już trzecia noc będzie, bo Klaudusia specjalnie po nocy te swoje brewerie wyprawia.

– A w dzień co robi?

– A śpi. Ale to tak, że nie idzie obudzić, jak zabita, jak kamień, tak mocno śpi.

– A we wsi nie gadajo, że tak ksiundz do was jeździ?

– A co tam majo gadać? Po ómoku jeździ, to i nikt nie widzi. A jakby kto pytał, to gospodarstwo Anetki trza poświncić od wszelkiego złego, bo Stasiek nowych maszyn do gospodarstwa nakupił i jeszcze świncone nie były. A i Zośka byki rozplodowe z Zenkiem kupili, to tyż świncić trza, a i całe gospodarstwo przy tem poświncić można od wszelkiego zła. Toż w jeden dzień nie idzie poświncić wszystkiego. I Anetki chałupy, i przy okazji Zośki chałupy, i żywizny całej, i sprzętów, i narzędzi.

– A na co Staškowi tyle maszyn nowych, jak un ziemi nie obrabia? – zdziwiła się Słaboniowa.

– A gada, że podobnie będzie ludziom wypożyczać, jak swoich maszyn nie majo. Tyn Stasiak to taki łeb do piniendzy ma, że głowa mała. – Adelka wstała i dodała na koniec: – No, ja już lecieć muszę. Kawy ja musiała nakupić, bo ksiundz to dużo kawy wypijo bez takie całe noc egzorcyzmowania. I ciasta Zośka napięła, i wędlin zawsze nakroi, bo ksiundz to zjeść lubio, oj, lubio...

– A wyszło co z tego egzorcyzmowania?

Adelka zamyśliła się na chwilę.

– No, jak do dzisiaj, to nic takiego jeszcze nie wyszło. Ale ksiundz wpierw powiedzieli, że opętanie musi je, bo Klaudusię wodą świnioną pokropili i darła się jak opętana. Po tym modlitwy my odprawiali i świnte pieśni śpiewali i ksiundz pytał, co za demon Klaudusię opętał. To Klaudusia takim straszmem głosem gadać zaczęła i że to sam największy dyjabeł, król piekieł, tak powiedziała. Ksiundz to gadajo, że jak sam Lucyper, to nie idzie tak wygonić w jeden dzień i trza do skutku egzorcyzmy czynić. Byle tylko Zośka na jedzenie i kawę nastarczyła, bo ksiundz to spust majo, oj, majo... – zafrasowała się Adelka. – Ale nie wydacie mnie, że ja wam powiedziała? Bo Zośka to mnie zabije, jak się dowie, że ja komu wygadała. – Popatrzała na Słaboniową błagalnie.

– A gdzie mnie komu o tem gadać, a już specjalnie Zośce... – machnęła ręką Słaboniowa.

Adelka uspokojona nieco wsiadła na rower i pojechała. Słaboniowa, pozostawszy sama, siedziała nieruchomo, aż noc zapadła, a przez okno do izby zaczęły zaglądać pierwsze gwiazdy. Wtedy narzuciła na ramiona wełnianą chustę, laskę swoją leszczynową do ręki wzięła i powędrowała przez wieś do Samoszków.

Kiedy tak szła w noc rozjaśnioną blaskiem nielicznych gwiazd, jakaś postać zamajaczyła na drodze naprzeciw niej. Gdy się zbliżyła, zobaczyła, że to stara Zapasiukowa kroczy powoli, zgarbiona, w czarnej chuście na głowie i z obliczem posepnym. Gdy zobaczyła Słaboniową, przystanąła i powiedziała z wolna, ważąc każde słowo:

– Coś często ksiundz Baryton do Samoszków ostatnio z wieczora zajeżdża. A świtem nazad do Chmielowa pędzi, kiejby go dyjabeł sam gonił.

– Ja tam nie wim, kogo jaki dyjabeł goni, kaźden ma swego za skóro – powiedziała Słaboniowa. – Adelka mnie gadała, że gospodarstwo Anecine ksiundz świnci ode złego ducha, bo maszyn nowych nakupili i żywizny u Zośki jest trochu nowej i w jeden dzień nie idzie wszystkiego poświncić, to trza mu kilka razy zajechać.

– A na co jem tyła nowych maszyn, jak oni w polu nie robio? – zdziwiła się Zapasiukowa.

– Podobnie Stasiak gadał, że będzie pożyczac ludziom we wsi za piniondze, jak swoich

maszyn nie majo.

Zapasiukowa popatrzała na Słaboniową podejrzliwie i powiedziała:

– Musi u nich jaka straszna grzeszność panuje, że to trzy noce świnić trza. Ja to myślała, że starczy wodą świniconą podwyrko pokropić i już poświncone.

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– Ja się na ksindzowskiej robocie nie znam, ale jak tyła tutaj jeździ, to widać mus je taki. A jak o grzechy idzie, to wam już własnych chiba starczy, aaa?

– Ja zgubiona na wieki, już mnie i modły, już i ofiary na kościół dawanie, już mnie żadne odpusty od piekła nie wyratują – powiedziała Zapasiukowa głucho i popatrzała na przydrożny krzyż mający w ciemnościach. – Ale gadają we wsi, że córkę Anetki dyjabeł opętał, że podobnie sam Lucyfer ją nawiedził.

– A gdzieście to słyszeli?

– A tu i owdzie gadają. Wieść każda we wsi to jak kamień rzucony na wodę, raz rzucisz, a kręgi coraz szersze zatacza i zara wszystkie wiedzą – odpowiedziała Zapasiukowa i zbliżyła się do Słaboniowej, nieledwie dotykając jej nosa własnym. – Słaboniowo, ja już stara i ratować mnie nie trza, ale Klaudusia to dziecko przecie nic niewinne, przez grzechy przodków swoich na zło drogę ściungnięte. Macie tu różaniec, co w świntych miejscach bywał, a starszy on ode mnie. Babka moja świntej pamięci gadali, że sam nasz świnty Onufry w rękach go trzymał i niejednego od zguby ten różaniec uratował. – Słaboniowa poczuła w dłoni sznur drewnianych, dużych korali i krzyż zimny, metalowy. – Mnie on już na nic, bom na wieki stracona, mnie ino na śmierć czekać zostało.

Zapasiukowa poszła dalej, wtapiając się w czerń nocy, aby wrócić do pustego, ciemnego domu, gdzie nijakiego już dla niej nie było pocieszenia.

Światła u Zośki były zagaszone, tylko w jednym oknie u Anetki tliło się mizerne światełko, wyzierające spoza szczelnie zasuniętych zasłon. Doszły też Słaboniową wściekle, nieludzkie wrzaski przechodzące to w wycie, to w skomlenie obmierzłe i pełne udreki. Słaboniowa weszła do sionki i bez pukania postąpiła dalej, ściskając w rękę różaniec od Zapasiukowej. Znalazła się w pokoju rozjarzonym światłem gromnic, a dusznym niby piekielne czeluści. Na wersalce pod ścianą rozczochrana i uwalana krwią siedziała Klaudusia – źródło owych potwornych krzyków, z których nic wyrozumieć nie było można, tylko przerażenie wielkie i złość nieprzejednaną. Przed nią stał ksiądz Baryton z krzyżem w jednej ręce, drugą zaś czyniąc w powietrzu znaki krzyża. Na podłodze klęczały Zośka, Adelka i Anetka z książeczkami do nabożeństwa w dłoniach i drżącymi głosami odmawiały litanię:

– Serce Jezusa, przybytku Najwyższego, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, domie Boży i bramo niebios, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, gorejące ognisko miłości, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, sprawiedliwości i miłości skarbnico, zmiłuj się nad nami.

Ksiądz modlił się wraz z nimi, a co pewien czas, wymachując krzyżem, wołał do Klaudusi straszonym głosem:

– W imię Jezusa Chrystusa rozkazuję ci Szatanie, opuść ciało tej grzesznicy!

Kobiety zaś odpowiadały w przejęciu:

– Serce Jezusa, w którym mieszka cała pełnia Bóstwa, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, w którym sobie Ojciec bardzo upodobał, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, z którego pełni wszyscyśmy otrzymali, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, odwieczne upragnienie świata, zmiłuj się nad nami.

– W imię Trójcy Świętej i Przenajświętszej Panienci, Szatanie, rozkazuję Ci, odejść! – krzyczał ksiądz, a kobiety zawodziły monotonicznie:

– Serce Jezusa, przebłaganie za grzechy nasze, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, zelżywością napełnione, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, dla nieprawości naszych starte, zmiłuj się nad nami. Serce Jezusa, aż do śmierci posłuszne, zmiłuj się nad nami.

– W imię Boga jedynego wszechmogącego, Szatanie, rozkazuję ci, odejść w piekielne czeluści! – ryknął ksiądz i pomachał krzyżem tuż przed nosem dziewczyny.

Klaudusia jednak jakby jeszcze bardziej podniecona tymi praktykami, rzuciła się na łóżku i rozdarła na piersiach koszulę nocną, ukazując drobne, niedojrzałe jeszcze piersi. Rozdziawiła też usta i wysunęła język długi i siny jak u jaszczurki i poczęła nim obelżywie wywijać z zawrotną szybkością. Wydobył się z niej przy tym śmiech tubalny a obraźliwy, jakiego nigdy nie wydałaby z siebie nastoletnia dziewczynka. Zaśmiewała się tak, aż ją skręcało, aż tchu złapać nie mogła, aż poczerwieniała, nieledwie się dusząc z tej obrzydłej uciechy.

Wtem w jednej chwili śmiech się urwał. Klaudusia padła na poduszki, jakby uszło z niej życie, i legła w pościeli z półprzymkniętymi oczami. Twarz jej była teraz spokojna, choć blada i umęczona ostatnimi przejęciami. Ksiądz spocony i czerwony na twarzy opuścił ręce i padł na krzesło, sapiąc rozgłośnie.

– Długo teraz demon trzymał, oj, długo. Myślałem, że rady nie dam, ale pomógł święty krzyż i modlitwa ze szczerego serca.

Kobiety wstały z klęczek i wtedy wszyscy spojrzeli na Słaboniową stojącą cicho w progu. Adelka tylko przewróciła oczami i łapiąc się za głowę, próbowała się skryć w najciemniejszym kącie. Zośka zaś, łypiąc wściekle to na Adelkę, to na Słaboniową, zapytała gniewnym głosem:

– A wy co tu robicie?

– Ja przyszła, bo gadają we wsi, że Klaudusia opętana przez dyjabła. No to ja pomyślała, że przyjdę i co pomogę. – Słaboniowa wyciągnęła w stronę Zośki drewniany różaniec Zapasiukowej.

– Kto gada? – wyszczała Zośka.

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– Tu i owdzie gadają. A choćby i stara Zapasiukowa tak gadała.

Dało się słyszeć długie, pełne ulgi westchnienie Adelki, która odjęła ręce od głowy i zaczęła kroić ciasto, podtykając je księdzu pod nos.

– Ja tę starą wywłokę to weznę i... – Zośka nie skończyła myśli, tylko popatrzała groźnie na siostrę. – A z tobą, Adelka, to się policzę, jak się te Klaudusi brewerie skończą, ty niewyparzona gębo, ty.

– No, ja przyszała, pomodlić się tu z wami za Klaudusi duszę, toż to córki krzestnej dziecko, jak ja miała nie przyjść – powiedziała znowuż Słaboniowa.

– A odkąd to wyście takie pobożne? – prychnęła Zośka. – W kościele was ruski rok nie widzieli, a tera nagle modlić się chcecie?

– Oj, mama da spokój! – zawołała Anetka zdjęta litością dla starowiny. – Toż to moja matka krzestna, nie godzi się wypędzać staruszki, kiedy sama przyszała z pomocą.

– A coż tu ona może pomóc? – westchnęła Zośka i machnęła ręką. – A, siadajcie, i tak już gorszej sromoty tutaj być nie może. Ciasta se zjedzcie, napiekłyśmy z Anetą.

Anetka poprowadziła Słaboniową, posadziła ją na zydelku i pogłaskała ją po ramieniu.

– Dziękuję, żeście przyszli, z wami jakoś raźniej będzie – szepnęła Słaboniowej do ucha i zaraz się odsunęła pod ciężkim wzrokiem Zośki, która podstawiała księdzu już to mięsa różne, już to wędliny, już to różne inne smakołyki.

– A kawki mnie nalejecie? – spytał ksiądz Baryton. – Bo z tego gorąca czuję, jak mnie śpik morzy.

– Już się robi, proszę ksindza, już podaję – podskoczyła w dyrdy Zośka i już nalewała do szklanki gęstą, mocną kawę.

– Dobra kawusia. A mocna, że i umarłego by mogła na nogi postawić – pochwalił ksiądz. – Moja gospodyni takiej dobrej nie robi, może ją do pani na nauki przyśle, pani Zosiu?

Zośka pokraśniała z zadowolenia i usiadła na krześle, nie wiedząc, co powiedzieć. Łaskawe księżowskie oko padło teraz na przycupniętą w kącie Słaboniową, która ściskając w garści kawałek biszkoptu, obserwowała wszystko z wielką ciekawością.

– A wy, Słaboniowo, jak tam życie? Trudnicie się jeszcze zakazanymi przez Kościół praktykami?

– Eee... – rzekła Słaboniowa. – Już dawno nie. Tera ludzie nie przychodzo, już ja niepotrzebna.

– To i dobrze, to i dobrze – powiedział ksiądz, unosząc do góry gruby palec, świecący od tłustych kasek. – Bowiem nie znajdzie się pośród ciebie nikt, kto by przeprowadzał przez ogień swego syna lub córkę, uprawiał wróżby, gusła, przepowiednie i czary; nikt, kto by uprawiał zaklęcia, pytał duchów i widma, zwracał się do umarłych. Obrzydliwy jest bowiem dla Pana każdy, kto to czyni. Z powodu tych obrzydliwości wypędza ich Pan, Bóg twój, sprzed twego oblicza.

Słaboniowa sapnęła pod nosem, ale nic na to nie odrzekła. Powiedziała tylko po krótkiej chwili:

– Słyszałam, że demon odpuścić nie kce i trzecia noc już będzie, jak tu egzorcyzmy odprawiacie.

– Sam Lucyfer Klaudusię nawiedził – powiedział ksiądz, chrupiąc ogórka. – Potężny to demon i nie tak łatwo go odgonić, a jak odgonisz, to zawsze wrócić może. Trzy noce przy takim demonie to i tak mało. Nieraz i po miesiąc, dwa się egzorcyzmowało przy pomniejszych piekielnych wysłannikach.

Zośka westchnęła ciężko i popatrzała ze strachem na topniejące kopczyki wędlin i ubywające co i raz ka wałki ciasta. W tym czasie Anetka krzątała się koło Klaudusi, zakrywając jej nagie ciało, poprawiając poduszki i szepcząc córce do ucha jakieś uspokajające słowa.

– Może jej koszulę zmienić, toż to nieprzystojnie, że tak golizną świeci – powiedziała Zośka.

– Eee, trzy już podarła, szkoda zachodu, a na goliznę tu przecie nikt nie patrzy – odparła Anetka i pocałowała Klaudusię w spocone czoło. Klaudusia pojękiwała z cicha, aż wreszcie zaczęła mówić cicho:

– Mamo, mamó, ja bym się chciała pomodlić.

– A to i bardzo chwalebnie, że się Klaudusia chce pomodlić i za swoje grzechy Pana Boga przeprosić i poprosić o zlitowanie dla swej biednej, udręczonej przez złe moce duszy – rzekł ksiądz bardzo zadowolony, przyklęknął na jedno kolano przed świętym obrazem i złożył ręce do modlitwy. – Módlmy się. Ojcie nasz, któryś jest w niebie...

Kobiety klęknęły przy księdzu, biorąc w dłonie różańce i w dusznym powietrzu popłynęła modlitwa. Wpierw *Ojcie nasz*, potem *Wierzę w Boga Ojca* i dalej kilkakrotnie *Zdrowaś Mario*. Przy trzecim koraliku różańca rumieniec krwawy wypłynął na blade dotąd policzki Klaudusi, a oczy jej zaczęły błyszczeć jak w gorączce. Dziewczyna uniosła się nieco i w ekstatycznym uniesieniu zaintonowała:

– Witaj, Królowo, Matko Miłosierdzia, życie słodczy i nadziejo nasza, witaj. Do Ciebie wołamy wygnańcy, synowie Ewy; do Ciebie wdychamy, jęcząc i płacząc na tym łez padole. –

Głos dziewczyny zniżył się, zachrypnął i począł się przemieniać w złowrogi lament: – Przeto, Orędowniczko nasza, one miłosierne oczy na nas zwróć, a Jezusa, błogosławiony owoc żywota Twojego, po tym wygnaniu nam okaż. O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryjo. – I tu nastąpić miała pierwsza tajemnica różańcowa, ale Klaudusia, nic sobie z tego nie robiąc, ciągnęła dalej: – O łaskawa, o słodka Panno Maryjo, pełna niezmierzonej słodyczy, tyś taka słodka jak rachafłukum i wszelkie tureckie łakocie, tyś tak słodka jak radosne westchnienie dziewicy, gdy pierwszej rozkoszy zaznaje. Tyś zawsze dziewica i po stokroć rozkosz będzie tobie dana, bo tyś owoc żywota Twojego na ten świat przywiodła, a żywot twój piękny i rozcierwieniony, krwią nabrzmiały, a życ twoja wielka, niezmierzona i na moje przyjście gotowa, bo owoc żywota twojego z mego nasienia zrodzon będzie i na moją chwałę zrodzon będzie.

Klaudusia zaczęła się rzucać na boki i krzyzczeć owym strasznym, szatańskim głosem, chrypliwym i niskim, jakby spod ziemi się dobywał. Po zapadłych policzkach Anetki potoczyły się wielkie łzy, a Zośka powiedziała z cicha:

– Toż ona znowuż bluźni na obrazę boską i ludzkie pohańbienie, księżo Barytonie, ksiundz co zrobi...

– Nic to, modlitwą Szatana pokonamy – rzekł ksiądz i wygłosił pierwszą tajemnicę radosną. Kobiety odpowiedziały: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”, a następnie zaczęły odmawiać dziesięć *Zdrowaś Mario*, gorączkowo przekładając koraliki różańców, choć coraz częściej odwracały głowy w stronę Klaudusi, która rzucała się w pościeli, drapiąc twarz i wrywając z głowy garście jasnych włosów. Nagle jakby znudzona, Klaudusia uspokoiła się, pogładziła się po sterczących piersiach, błyszczącym od potu brzuchu, a na koniec jej dłonie zniknęły pomiędzy szczupłymi udami. Westchnęła przeciągle, a potem zaniósła się kpiącym śmiechem nastolatki i klękła na łóżku, zwracając się do zebranych jasnym dziecięcym głosem:

– Módlcie się, módlcie, prostaczkowie mili, wiedzcie jednak, że wasze ckliwe skamlanie mnie nie przejedna. Wasze mdłe zanoszenia do kolorowych obrazków mnie nie przejednávają. Oto czekam na mojego Ojca i Oblubieńca, na mojego Króla, któremu jestem zaślubiona, który obiecał mi, że przyjdzie i powiezie mnie do krain dalekich, gdzie trosk żadnych nie uświadczysz ni udręk doczesnego życia. Mój prawy Ojciec przybędzie w chwale na wasze wiekuieste potępienie i sromotę waszą, bo mnie sobie umiłował, bo mnie sobie stworzył, abym mu była po wsze czasy wierną towarzyszką. I ja czekam nie Niego, na mojego Księcia Ciemności i czekać będę, dopokąd mi sił i oddechu starczy, bo jego jeden pocałunek więcej wart niżli tysiąc modlitw, jego jedno słowo piękniejsze niżli najśodsze pieśni, jego myśl lotna niczym zefir w słoneczne południe...

Słaboniowa siedziała cicho w kącie, obserwując te dantejskie sceny przez nikogo niezauważona. Na twarzy jej wykwitał złowrogi uśmiech, zaś starcze dłonie zaciskały się coraz mocniej na koralach drewnianego różańca. Bo miast cienia Klaudusi ujrzała na ścianie nad wersalką cień wielkiej koziej mordy, wystającego pod nią obmierzłego brzuszyska i poniżej sterczącego w wiecznej chuci, nabrzmiałego kindybała. Zdało się Słaboniowej, że nikt prócz niej tego diabelskiego cienia nie widzi i że kozia gęba, jakby w odpowiedzi, też uśmiecha się do niej szeroko. Klaudusia popatrzała na Anetkę i ze słodkim uśmiechem rozlanym na twarzy zaczęła mówić do matki:

– Pamiętasz, jak w obórce między owcami On wziął cię i ujeździł, i zasiał w tobie to święte ziarno? Jak na parującej od zwierzęcych odchodów słomie oddałaś Mu się i przyjął w siebie Jego życiodajne nasienie?

Anetka zbielełymi wargami odmawiała raz za razem *Zdrowaś Mario*, patrząc na córkę zesklonionymi oczami pełnymi przerażenia. Klaudusia zaś ciągnęła dalej:

– Ale nie dla przyjemności cię wziął, nie dla rozkoszy wystąpił na ziemię ze swoich włości. On wiedział, że owoc żywota twojego będzie mu słodką nagrodą, będzie jego prezentem, jego radością na wieki wieków, amen.

Ksiądz Baryton powstał z kolan, przeżegnał Klaudusie drżącą nagle ręką i powiedział błagalnie i z lękiem:

– Na rany Chrystusowe, Szatanie opuść ciało tej biednej dziewczyny.

Na tę pokorną prośbę Klaudusia padła na łóżko bez przytomności, niczym szmaciana lalka. Ksiądz Baryton stał przez chwilę zdyszany, po czym usiadł w milczeniu na krześle, ocierając zroszone potem czoło. Zośka z Adelką zerkały koso na Anetkę, ale żadna nic nie powiedziała, tylko zajęły się nalewaniem kawy do szklanek. Ponurą ciszę przerwała Adelka:

– Księżu Barytonie, a u nasz to wiewa bywało takich opętanych?

– U nasz to nie... – odrzekł ksiądz i zamyslił się na chwilę. – Ale była u nasz kiedyś czarownica.

– U nasz we wsi? – Zośka aż się zachłysnęła.

– Eee, no, w Capówce to nie, ale w parafii tu niedaleko ostatni w naszym kraju, a może i na świecie całym, niechlubny proces o czary się odbył. A dawno to było, podobnie przed pierwszą wojną jeszcze. Tak opowiadał stary ksiądz Jan, po którym tu miejsce przejmowałem. A dobry to był ksiądz, co do ludzkich serc tak trafiał, że i najgorszy bandyta i rozpustnik nieraz na kazaniu płakał, za grzechy swe żałując. Inna sprawa, że w kościele skruszeni za swe grzechy żalowali, a potem szli i tak samo czynili, choć w bojaźni bożej. – Ksiądz Baryton upił kawy i wpatrzył się w zamierzchłe czasy. – I ksiądz Jan tak mówił do mnie: „Józefku”. Józefku do mnie mówił, bo od maleńkości mnie znał, wpierw byłem ministrantem w kościele i w chórze kościelnym śpiewałem, a po seminarium tu wróciłem, miejsce wikarego obejmując. No to mówił tak: „Józefku, ja wiem, że ty w świecie bywały, ale młody jeszcze jesteś i wszystkich pokus tego świata w pełni nie zaznałeś, a muszę cię przestrzec, że szatańska brać czeka na ciebie i nawet się nie obejrzyysz, jak złapią cię w swoje szpony i puścić nie będą chcieli. I wtenczas ty całą swoją wiarą i serca mocą będziesz musiał dać tej diabelskiej sile odpór. Albowiem nigdy nie przewidzisz, kiedy pętla na twoją szyję kręcona będzie. To ja tobie, Józefku, ku przestrodze taką historię opowiem, a jest to historia prawdziwa, która miała swoje miejsce i czas, a ja byłem naocznym świadkiem tych zająć przeszłych. A było to jeszcze przed pierwszą wojną światową. Żyliśmy tu na wsi spokojnie, stosując się do boskich nakazów i zgodnie z prawami natury postępując. Ludek tu był pobożny i dobry, każdy każdemu pomocny w potrzebie, choć jak

w każdym stadzie zdarzy się czarna owca, tak i w naszym stadku zdarzali się tacy, co boskiego głosu nie usłuchali. Byłem wtenczas wikarym pod księdzem Zawadą. Święty to był człowiek, zaciekły w wierze, przed życiem doczesnym zawsze świętość i życie wieczne stawiając. Post nie tylko w piątki utrzymywał, ale i przez wszystkie dni tygodnia, aby doczesnym przyjemnościom nie ulegać, a w Wielkim Poście brał do ust tylko wodę. Gospodyni jego wiecznie lamentowała, że nic ona nie ma do roboty u księdza w kuchni, jeno sprzątać i sprzątać, bo ksiądz Zawada niemożebnie czystość miłował, a wszelkie od parafianek dobra na zmarnowanie szły i tylko ja z nich użytek czyniłem, choć w ukryciu, bo kiedy ksiądz znajdował mnie nad talerzem jajecznicy z najzłociejszych, największych jaj, spoglądał na mnie wzrokiem pełnym takiej świętej boleści, że jeść się odechciewało. Ale taki to był człowiek, co drugich mierzył swoją miarą i wymagał tyleż samo, co od siebie, a trudno mu było dorównać w wierze i poświęceniu. Na kazania jego ludzie z sąsiednich parafii zajeżdżali, tak potrafił do umysłów ludzkich trafić, tak umiał każdego do świętych myśli przyprowadzić, taki lęk wzbudzić przed piekielnymi mękami, że po takim kazaniu do następnej niedzieli ludzie bali się zło czynić.

Przychodziła też na te kazania dziewczuszka jedna z pobliskiej wsi, której na mapie już nie znajdziesz, bo wiatr wojennych zawieruch stał ją z powierzchni ziemi. Dziewczyna owa, a wołali na nią Teosia, pochodziła z szlachetki porządnej, choć zubożałej, co to ziemi mając niewiele, rękami własnymi ją obrabiała. Wtenczas Teosia mogła mieć latek z czternaście albo i piętnaście, a pobożna była jak mało kto z wiejskiej młodzieży, co do kościoła przychodzi, ino żeby oczami na boki strzelać i amatorów szukać. Na mszę Teosia przychodziła nie tylko każdej niedzieli, ale i w dzień powszedni, a w słowa kazania wsłuchana, a po twarzy jej takie dla Boga uwielbienie się rozlewało, gdy święte pieśni śpiewała, że ludzie gadać poczęli, że może i na zakonnice iść będzie chciała. Była to dziewczuszka ani ładna, ani brzydka, z włosami jako len białymi i oczami jasnymi, ale u chłopców miała powodzenie, nie powiem, a to przez wielką swoją wesołość i do śpiewania zamiłowanie. A latali za nią nie tylko chłopcy wioskowi, ale i sołtys nieraz się obejrzał i niejeden poważny gospodarz, a chodziły nawet i plotki, że jak w kościele stała, to i naszemu księdzu Zawadzie zdarzyło się wzrok od rzeczy świętych odwrócić.

Aż tu nagle wieść gruchnęła, że naszą Teosię pobożną o czary ludzie zaczęli podejrzewać. Że komuś krowa zdechła, bo spojrzenia złego dostała, że to któraś dziecko straciła przez urok rzucony, że w końcu chłopcy tak za nią latają, że musi im jakieś czary zadawać, żeby takie powodzenie mieć. Kto te plotki rozsiewał, tego nikt nie wie, dość powiedzieć, że wpiersz sołtysowa poczęła coś często na plebańię zachodzić i z księdzem Zawadą o czymś długo rozprawać, a po tych naradach ksiądz na kazaniach dużo zaczął mówić o pokusach piekielnych, jakie pobożnemu człowiekowi kobiecy urok przynieść może, i że biada temu, kto na kobietę łaskawym okiem spojrzę, bo odtąd czeka go tylko srom i boskie potępienie. A jak tak ksiądz kazał, to wszyscy jak stali w kościele, tak na tę jasnowłosą Teosię patrzyli, od czego wielce zawstydzona przestała na msze chodzić. Jak przestała na msze chodzić, to tumult się we wsi podniósł, że jak do kościoła nie chodzi, to pewnikiem z niej czarownica, co progę świętego przekroczyć nie może ze strachu przed boską siłą.

We wsi jak słowo jedno rzucisz, to zaraz się w dziesięć przemienia, a ledwo się obejrzyysz, to w pięćdziesiąt, a każde obelżywe i pełne nienawiści i tak z ludku pobożnego i pomocnego kaźden kaźdemu wataha się uczyniła żądna krwi i zemsty. I tak pewnej zimowej nocy chłopcy pod dowództwem sołtysa przyszli po Teosię, z łózka ją wyciągnęli i pomimo rodzicielskich płaczów

i błagań, tak jak stała w samej koszulinie i boso, poprowadzili ją przez śniegi przed oblicze trybunału. A w trybunale zasiadał ksiądz Zawada, sołtys i sołtysowa oraz paru jeszcze starszych mieszkańców wsi, i ja w obradach trybunału również uczestniczyłem jako sekretarz i kronikarz całego procesu. Oskarżono Teosię o konszachty z diabłem, bo też kilka osób się znalazło, co ją podobnie widzieli, jak po nocy do lasu idzie, o uroków rzucanie, bo jedna gospodyni zeznała, że jak Teosia przeszła koło pastwiska, to krowa jej najlepsza, najbardziej mleczna padła, wreszcie o sianie nieobyczajności i magiczne praktyki doprowadzające mężczyzn do nieprzystojnych myśli. Teosia nie przyznała się do zarzucanych jej czynów i trybunał postanowił ją do przyznania się zmusić na przesłuchaniu. Przykro opowiadać, co się też na tych przesłuchaniach wyprawiało, dość powiedzieć, że Teosię i rozpalonym żelazem przypalano, i paznokcie jej wrywano, żeby się przyznała do magicznych praktyk, i trzymano o głodzie w ciemnej piwnicy, i bito, i poniewierano.

Ale największym dla Teosi poniżeniem było, że włosy jej obcięli, te długie, białe włoski, co je w warkocz grubo plotła, obcięli do samej skóry prawie, a to za sprawą sołtysowej. Bo też ona to była najbardziej zaciekła w czarów śledzeniu i jak ksiądz Zawada z sołtysem już mieli tortur zaprzestać, bo Teosia do niczego przyznać się nie chciała, to sołtysowa kolejną próbę wymyślała, przy której, jak twierdziła, żadna wiedźma się swoich procedurów nie zaprze. A ksiądz Zawada zwracał świątobliwe swoje oblicze ku niebu i mówił, że skoro taka wola boża, to sprzeciwiać się jej nie można.

I tak doszło do ostatecznej próby, przy której ustalaniu byłem i wszystko skrzętnie zapisywałem. Otóż miano Teosię wrzucić do lodowatej rzeki, bo jak się nie utopi, to znaczy, że wiedźma, a jak się utopi to znaczy, że prawdę gadała i mimo że martwa, to chociaż pamięć dobrą zachowa u mieszkańców okolicznych. Jak uradzili, tak zrobili. Poprowadzono Teosię wśród gawiedzi na mostek, ręce jej powrozem związane i już ją miano w odmęty rzucać, gdy Teosia zawołała:

– A cóż to ja uczyniła, że mię tak gnębicie?

– Przeciw obyczajności wystąpiłaś, moje dziecko – odrzekł ksiądz Zawada z twarzą bladą i wychudłą od ciągłych postów. – Kłamstwa się dopuściłaś przed obliczem bożym i ludzkim, nie przyznając się do przewin swoich.

– Ale ja niczemu nie winna! – zapłakała Teosia, wrywając się trzymającym ją chłopom. Ksiądz podszedł do niej, kładąc rękę na jej głowie, pobłogosławił i powiedział:

– Proś Pana Boga o przebaczenie, a wysłucha cię, bo On każdego wysłucha i każdemu przebaczy. I nie bój się, dziecko moje, bo jeśliś prawa, to nic złego spotkać cię nie może i łaski boskiej dostąpisz, i wśród aniołów na nieboskłonie zasiądziesz. Ale jeśli wina twoja prawdziwa i stosując czarodziejskie moce nie utoniesz, to jutro czekać cię będzie stos i wieczne pohańbienie dla ciebie i całej twej rodziny.

Teosia nic już nie powiedziała na te słowa, tylko opuściła głowę i dała się poprowadzić ku wodzie, gdzie ze związanymi rękami w odmęty ją rzucili i patrzyli, wypłynie czy nie wypłynie. Rzeka jednak rwący miała nurt, bo to już na roztopy szło, i poniosło Teosię w dół rzeki aż do lasku leszczynowego. A tam ja czekałem, wyciągnąłem z wody ledwo żywą i zmarznąłą

na kość dziewczynę, dałem jej co bądź do przyodziewku i puściłem wolno, bo bardziej jej pomóc nie mogłem. Teosia podziękowała, wzięła na drogę kij leszczynowy i powlokła się przez pola w nieznane. Zaraz też wieśniacy przylecieli, ale im powiedział, że musi dziewczyna zatonąła i poniosło ją z nurtem. Szukali ciała jeszcze czas jakiś, ale niczego nie znaleźli, tylko powróż, którym była związana. I od tamtej pory słuch o Teosi zaginął.

Minęły jakoś z dwa lata i pogłoski się po okolicy rozniosły, że w noc księżycowe co poniektórzy widzieli, jak czarownica nago, z rozwianym włosom lata nad lasami i uroki miota na mieszkańców okolicznych wsi. I tak we dwie niedziele wybuchł wielki pożar. Spalił się kościół i plebania, a pożar był taki, że zdawało się, iż jeden wielki słup ognia nad kościołem się unosi, jakby ognista wichura nad miasteczkiem przeszła i zmiotła wszystko, co kościelne i co do kościoła należało, bo okolicznych domostw, mimo że drewniane, ogień nawet nie liznął. A wraz z zabudowaniami i ksiądz Zawada spalił się, we własnym łóżku leżąc, a wraz z nim cała z procesu o czary dokumentacja, co na plebanii leżała, tak że żadnego dowodu na całe zajście nie uświadczysz.

Na rodzinę sołtysa zaś dziwny pomór spadł. Wpierw straszliwe guzy i cieknące ropą bąble pokryły ciała jego dzieci, a potem sołtysową, przy czym cuchnąca, czarna ciecz poczęła łać się z wszystkich otworów jej ciała. Ludzie omijali domostwo sołtysa w strachu, że to dżuma alibo inna cholera, ale dziwnym zrzędzeniem zaraza nikogo innego nie dotknęła. W trzy dni zmarły tak dzieci, jak i sołtysowa, strasznymi mękami śmierć swą przypłacając. Na koniec sołtys, wiedziony rozpaczą, zginał z własnej ręki, popełniając grzech ciężki przeciw Bogu i ludziom.

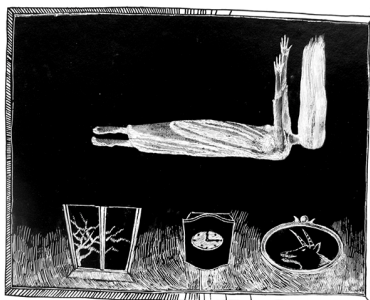
Ani ksiądz jednak, ani sołtys z sołtysową nie doczekali się chrześcijańskiego pochówku, bo w ostatnią noc przed pogrzebem wszystkie trzy ciała zniknęły z mar bez wieści. A ja po księdzu Zawadzie stanowisko proboszcza objąłem i kościół oraz plebanię wraz z okoliczną ludnością odbudowałem. I taka to opowieść, Józefku, ku przestrodze, bo nigdy nie wiesz, z której strony pokusa spadnie na człowieka najbardziej nawet świątobliwego” – ksiądz Baryton zakończył i zamyślił się głęboko. – Tak opowiadał ów stary ksiądz Jan, po którym parafię tutejszą objąłem.

Kobiety westchnęły z przejęcia i zgrozy, a Anetka zapytała:

– Ciekawe, co się z tą Teosią potem stało, gdzie potem żyła i jak się jej życie potoczyło?

Ksiądz Baryton już gębę otwierał, żeby coś powiedzieć, gdy Klaudusia, która dotąd jak zabita spała snem kamiennym, przebudzać się zaczęła. Wpierw niewyraźne jakieś charkoty dobyły się z jej ust, coraz głośniejsze i bardziej wściekle. Dziewczyna uniosła głowę i piersi z pościeli i krzyczeć zaczęła rytmicznie i przeraźliwie.

Wszyscy padli na kolana i zanieśli modlitwę różańcową. Słaboniowa również uklękła w swoim kącie i różaniec swój ścisnęła, ale słowa modlitwy nie dobyły się z jej zaciśniętych ust. Klaudusia wyprężyła ciało w strasznym spazmie, tak że dotykała łóżka tylko głową i czubkami palców u stóp, a potem wyprężone ciało poderwało się z pogniecionych prześcieradeł i powoli uniosło się w powietrze.



Ksiądz Baryton zaintonował pierwszą tajemnicę różańcową donośniejszym nieco głosem, powstał i wziął do jednej ręki krzyż, a do drugiej kropidło umaczone w wodzie święconej. Klaudusia zawisła w powietrzu wysoko nad łóżkiem i obracać się poczęła, wpierw wokół własnej osi niczym wrzeciono, a to coraz szybciej i szybciej, jakby szatański kołowrotek, nie bacząc na przęde, wpadł w szaleńcze wirowanie. Wirowała tak Klaudusia, że już nie można było rozpoznać, gdzie głowa owinięta przez jasny kłęb włosów, gdzie ręce i nogi. Nagle, w jednej chwili Klaudusia zatrzymała się i powoli obracać się zaczęła niczym wskazówki zegara, celując głową w każdą po kolei stronę świata i z tego obrotu uniosła się w wielkim pędzie i moc nieludzka uderzyła jej ciałem w sufit, a potem z wysokości upuściła Klaudusią z całym impetem na drewnianą podłogę. Już zaraz poderwało się ciało biednej dziewczyny i uderzyło w ścianę, jedną, drugą, w rząd świętych obrazów, zrzucając co poniektóre z łoskotem.

Miotano tak Klaudusią po całym pokoju, raniąc jej delikatne ciało, ale z ust jej nie wydobyło się ani słowo skargi, ani jęk, ani jeden krzyk cierpienia. W tej przerażającej ciszy, przerywanej tylko głuchymi odgłosami ciała uderzającego o ściany, ksiądz Baryton zakrzyknął:

– W imię Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci, Szatanie, odejść!

W odpowiedzi rozległ się jedynie łomot ciała uderzającego w ścienny zegar, który z jękiem sprężyn zapadł się w sobie, omal nie spadając z gwoźdźca.

– W imię Jezusa Chrystusa, rozkazuję ci, Szatanie, odejść! – zakrzyknął znowuż ksiądz Baryton.

Ciało Klaudusi znieruchomiało nagle i łagodnym łukiem opadło na łóżko. Ksiądz wygłosił formułę po raz ostatni i pokropił Klaudusią wodą święconą. Krople z sykiem wyzały dziury w resztkach koszuli, w którą odziana była dziewczyna, i wypaliły w jej ciele dymiące, czarne rany. Zapadła cisza. Ksiądz Baryton usiadł, odkładając na bok swój święty oręż, i upił łyk zimnej kawy. Za nim usiadły i kobiety, poblądłe i nieme, tylko Anetka kulila się na swoim taborecie, trzęsąc od płaczu chudymi ramionami. Gromnice dopalały się powoli, skwiercząc i migocząc, wydobywając z ciemności zmęczone twarze, przymykające się powieki, półotwarte usta. Wszyscy zasnęli mocnym, czarodziejskim snem i nawet Anetka, zmęczona wreszcie rozpaczliwym płaczem, także zapadła w sen.

Słaboniowa odemknęła oczy. Od siedzenia na twardym krześle bolały ją wszystkie kości, a pokręcone reumatyzmem palce nie chciały puścić drewnianego różańca. Popatrzyła po pokoju i zobaczyła, że i Zośka wraz z Adelką śpią – Zośka z otwartą gębą, a Adelka z głową przechyloną niebezpiecznie na lewe ramię, i ksiądz Baryton spał, chrapiąc i mlaszcząc od czasu do czasu,

jakby śniąc o wymarzonych łakociach, i spała Anetka, skulona, z głową niemal opartą na kolanach i rękami zwisającymi ku podłodze.

– Teofila – Słaboniowa postyszała niski, chrapliwy głos dobiegający od strony łóżka. Spojrzała tam i zobaczyła Klaudusię, która siedziała wyprostowana, z rękami ułożonymi schludnie na podolku. Pod jej prawym okiem czerniał wielki siniec, z nosa i rozciętej wargi ciekła krew, a całe ciało pokryte było większymi i mniej poważnymi ranami. Splątane włosy, posklejane krwią, opadały na obnażone ramiona i piersi. Tylko oczy Klaudusi lśniły zimnym blaskiem i to z jej ust wydobywał się głuchy, jakby spod ziemi dochodzący głos: – I co, Teofila? Kiedyś cię tu szanowali, o radę pytali, co lepsze kąski w podzięce nosili, nawet na krzestną matkę cię prosili. A teraz? Stara jesteś i u nikogo poważania nie masz. Wszyscy zapomnieli, co to zamawianie, uroków rzucanie, a ziółek twoich nikt już nie pije. Tak, jakże krótka jest ludzka pamięć.

– To ty, Szatanie? – wyszeptała Słaboniowa.

– Och, szatanie, nie szatanie, dawniej mówiłaś mi po imieniu – rozległ się diabelski śmiech. – Ale do rzeczy. Przecie obiecałem, że wrócę wraz z pierwszą krwią, i oto jestem. Nasze dziewczątko zaczęło plamić krwią pierwszą, dziewiczą, a ja na ten znak stawiałem się niezawodnie, by zabrać tę słodką, zbłąkaną duszyczkę do mojego królestwa. – Rozległo się kpiarskie westchnięcie, ale tym razem wydobyło się ono z ust Anetki, która przemawiała głucho, jakby do swych kolan:

– Tak, pamięć ludzka jest przecie tak krótka. Choć wiem, że wy, ludzie, ażeby zachować o sobie dobre mniemanie, ażeby nie zapuścić się zbyt głęboko w swoje jestestwo, ażeby nie odkryć, kim naprawdę jesteście, jakie pokłady zepsucia i ciemnych mocy w sobie nosicie, ażeby nie widzieć swojej prawdziwej twarzy pokrytej wrzodami zakazanych żądz i ropiejącymi ranami zawiści, wykorzystujecie ten cudowny dar skrojony na waszą miarę przez wielkiego mistrza krawca, dar zapominania. I ot, nasza mała Anetka nigdy nie przypomni sobie, jak to leżąc szeroko rozkraczona na słomie parującej od zwierzęcych odchodów, pozwoliła mi dotrzeć się i ujeździć, a dodam, że nie tylko mi dostarczyło to wielkiej radości. – Tu rozległ się sprośny śmiech. – Nie to, żebym lubił chude, przeciwnie, gustuję w kobietach o kształtach, jakie ukochał mistrz Rubens, jeśli rozumiesz, o co mi idzie. Ale to wiejskie powietrze doprawdy tak mię omamia, że i owcę bym wychędożył, gdyby się napatoczyła. Poza tym, jak to w ludzkim świecie, gdzie chędożenie, tam i dzieci, a ja nie mogłem sobie darować tej małej zabawy z żądaniem niespodzianki, o której nasza mała śmiertelnica jeszcze nie wiedziała, ale obiecała i tak dalej, i tak dalej...

– A niespodzianka to niewyczejnie udana. – Młasnął diabeł lubieżnie ustami Zośki. – Ładniutkie maleństwo z tej naszej Klaudusi i oddane, i wierne, godne, by ciebie zastąpić przy moim boku. Ani bym się spodziewał, że z łona tej chudziny taki anioł, taki motyl wyfrunie.

– Prawda, że z naszej Klaudusi ładna i dobra dziewczyna – powiedziała Słaboniowa.

– Dobra... – zachnął się diabeł ustami Adelki. – Cóż znaczy: dobra? Toć wiesz, że tu nie o dobro idzie, ale o drugą stronę medalu. A Klaudusia ma duszę czarną jak sadza, sama przecie wiesz, i nic tej czarnej duszy nie zasłoni, ani włoski białe, ani oczka błyszczące, ani ciało

różowe, delikatne. Takie to właśnie naczynie najlepsze dla duszy złej i niecnej, takiego naczynia pulchniutkiego, ciepłego i sam mistrz Rubens by się nie powstydził. Ach, gdzie te dawne mistrze, gdzież Rembrandcie, gdzie twoja Saskia o kształtach pełnych, falistych, z kwieciami we włosach i wzrokiem zamglonym od słodkiego wina i łakoci, które tak kochała. Gdzieżeś, Piotrze Pawle, gdzie twoje gracje, nimfy i nereidy o marcepanowych piersiach, lukrowanych pośladek i brzuchach niczym misy pełne migdałowego kremu? Obaj żeście teraz w mej mocy, jako też organista Johann Sebastian i głuchy Ludwig pospołu z Johannem Wolfgangiem, który tak pięknie mnie sławił w swoim *Fauście*, jak również ten furiant i kpiarz Amadeo! – zakrzyknął diabeł rozdziawionymi ustami księdza Barytona. – Bo trzeba ci wiedzieć, Teofila, że geniusz to nie dar boży, jak naiwnie wierzą maluczcy, ale mój dar, dar szatański i każdy podły malarzyna, muzyk czy mierny literat, by zaznać wielkości, musi się ze mną zadać i mnie służyć wiernie, a pokolenia pamiętać o nim będą. Ale zostawmy tych biednych, zachłannych na uznanie i sławę grzeszników. Potargujmy się, Teofila, jak za dawnych dobrych czasów bywało.

Tu usta księdza Barytona rozwarły się jeszcze szerzej, tak szeroko, że jego głowa niemal na pół się rozdarła, i spomiędzy nienaturalnie wywichniętych szczęk wychynął wielki, rogaty łeb Kozła. Za nim ręce o palcach zakończonych długimi szponami, brzuch wydęty, a wreszcie kosmate nogi o wielkich kopytach. I przed Słaboniową stanął wyprężony, w całej swej okazałości, sięgający niemal sufitu Kozieł, wionąc z pyska śmierdzącym oparem i wwiercając w Słaboniową spojrzenie swych lodowato świecących oczu.

– No właśnie, Teofila, potargujmy się troszeczkę. Co mi dasz za duszyczkę tej tu jasnowłosej Klaudusi? – Kozieł wskazał szponiastą ręką na dziewczynkę, która cały czas siedziała sztywno na wersalce, jakby kij połknęła.

– Nic ja tobie nie mam do dania – rzekła Słaboniowa cicho i wstała z krzesła, zadzierając hardo głowę.

– O, masz mi do dania coś bardzo cennego, za co wyrzeknę się nawet tej tu ślicznej dziewczynki. Masz swą czarną duszę, czarniejszą niżli najczarniejsza, najpodlejsza noc pełna strachów i demonów. Masz duszę, która pamięta czasy wiedźm i czarnej magii, duszę, która pamięta grzechy najświętobliwszych mężów i niewiast o językach długich i oślizłych niczym ogon węża. Pamięta czasy, kiedy czarownice palono na stosie, a one odpłacały się żywym ogniem swoim prześladowcom i zsyłały na nich zarazę i rozpacz. A za czyją to sprawą? To dzięki mnie była w tobie taka siła, która unosiła cię nad światem i krzywdę twoją pozwoliła pomścić. Coś mi jesteś winna... – Kozieł zawiesił głos.

– Dawne to były czasy – rzekła Słaboniowa. – I nicem ci niewinna, ino widły w zadek.

– Teofila! – ryknął Kozieł rozsierdzony i ruszył w jej stronę, wyciągając przed siebie łapska. – Właśnie dlatego nigdy lekko w życiu nie miałaś, bo masz niewyparzoną gębę i ręki w twoją stronę wyciągniętej nie doceniasz! – wrzeszczał Kozieł i zbliżał się ku niej. Już był blisko, już się szykował, żeby rozorać pazurami jej twarz, gdy Słaboniowa z całej siły rzuciła w niego różańcem od starej Zapasiukowej, aż drewniane korale rozsypały się z głośnym hurgotem po podłodze. Kozieł wpierw jakby nie dowierzał i z rozdziawioną gębą patrzył, jak ciężki metalowy krzyż wbija się w jego wydęty brzuch i rozdziera go na pół, a korale przebijają na wylot jego ręce, nogi i głowę i rozbijają kosmate ciało na drobne kawałki. Zdażył jeszcze

zakrzyknąć: – Co to?

– Podobnie wielko moc ma ten różaniec i w wielu świntych miejscach bywał, a i sam świnty Onufry miał go w ryncach swoich – wyjaśniła Słaboniowa i dodała, przyglądając się topniejącej u jej stóp kupce sierści pomieszanej z kośćmi. – Trwaj chwilo, jakżeś piękna, jako gadał mistrz Giete.

Pierwsza przecknęła się Anetka, słysząc płaczliwe wołanie Klaudusi:

– Mama, mama!

Dziewczynka siedziała w pościeli z nieprzytomnym wzrokiem, a na jej do tej pory nienaturalnie białych policzkach wykwitł pierwszy od dawna rumieniec. Anetka podbiegła do wersalki i przytuliła córkę mocno, czując matczynym sercem, że oto skończył się koszmar, a jej dziecko wróciło do świata żywych.

– Uzdrawiona moja Klaudusia! Mamo, księżu Barytonie, zbudźcie się! – krzyczała Anetka przez łyzy, ściskając dziewczynkę, która rozglądała się w przerażeniu po pokoju, gdzie po podłodze walały się święte obrazy, poprzewracane sprzęty, a zgruchotany zegar ścienny wisiał smętnie na jednym rogu.

Ksiądz Baryton wstał, masując obolałą czegoś szczękę, i podszedł do Klaudusi. Wpierw dał jej krzyż do pocałowania, a potem wodą święconą ją pokropił, co żadnych brewerii u Klaudusi nie wywołało.

– Dzięki ci, Panie Boże wszechmogący i Tobie, Jezu Chryste za ratunek przed demonem, który naszą Klaudusią nawiedził i w swoich szponach trzymał – powiedział ksiądz. – A teraz uklęknijmy i pomódlmy się razem, dziękując Panu Bogu za zmiłowanie.

Adelka i Zośka, ledwo przebudzone, uklękły przy księdzu, tak i Anetka z Klaudusią, i poczęli wszyscy modły dziękczynne zanosić, na co Słaboniowa patrzyła ze swego kąta.

A potem kobiety jeły księdzu Barytonowi dziękować potrójnie, poczwórną i popiątną, całując jego ręce i obiecując ofiarę hojną na kościół, mszy zamówienie za duszę Klaudusi i całego świniaka księdzu w podarunku. Ksiądz Baryton łaskawie przyjął te wyrazy wdzięczności i zaczął się zbierać do wyjścia, unosząc jeszcze w torbie ciasta i wędliny, które mu Zośka w ręce wciskała. I Słaboniowa szła już ku drzwiom, wspierając się na swojej leszczynowej lasce. W progu ksiądz Baryton zatrzymał się i powiedział:

– Słaboniowo, tak sobie przypomniałem, że ta Teosia, co ją o czary oskarżyli, to z domu była zdaje się Maciorkowska.

Słaboniowa popatrzyła na księdza spode łba, wzruszyła ramionami i poszła do domu, rzucając na odchodnym:

– Do widzenia, księżu Barytonie.

– Z Bogiem, z Bogiem – zawołał za nią ksiądz, wsiadł na swojego komara i pojechał z wizgiem opon.

Kilka dni krótkich, jesiennych minęło i któregoś to ranka ozwało się ciche pukanie do drzwi Słaboniowej. Była to Anetka. Biła z niej wielka radość, ale też twarz miała ogromnie poważną i pełną skupienia. Siadła naprzeciw Słaboniowej i ostrożnie położyła na stole małe zawiniątko.

– Matko krzestna, przyniosłam korale i krzyż z różańca, coście u nas zostawili. – Słaboniowa nic się nie odezwała. – Bo ja się przebudziłam wtedy w nocy i widziałam, jak żeście diabła przepędzili, tym różańcem w niego rzucając, a ten krzyż to stopiony prawie całkiem od diabelskiego gorąca. I podziękować chciałam i nie wiem, jak ja się matce krzestnej wywdzięczę – zakończyła Anetka i jakoś niezręcznie się jej zrobiło.

– Nie masz mnie za co, dziecko, dziękować – rzekła po długiej chwili Słaboniowa. – Tyle ja zrobiła, ile mogła. Dla Klaudusi ja to zrobiła i dla siebie samej, żeb żywota dokonać w spokoju.

Anetka pokiwała głową i powiedziała:

– Postanowiliśmy ze Staśkiem, że damy Klaudusię do szkoły do zakonnicek, żeby jej myśli jakieś dzikie do głowy więcej nie przychodziły.

– Ty myślisz, Anecia, że jak Klaudusię do zakonnicek dasz, to dyabeł nie będzie miał do niej przystępu?

– Pewności mieć nie mogę – powiedziała Anetka. – Ale zawsze to wychowanie chrześcijańskie, blisko Boga i w klasztornej dyscyplinie, co młodej dziewczynie tylko na dobre wyjść może.

– Zrobicie, jako chcecie – rzekła Słaboniowa. – A te z różańca korale i krzyż zanieś, Anecia, Zapasiukowej, a powiedz jej ode mnie, że dobry uczynek spełniła i że niezbadane so wyroki i jeszcze wszystko odmienić się może.

Znowu zapadła cisza, którą znowuż Anetka przerwała:

– A, i jeszcze tę serwetkę, co ją dla mnie zrobiliście, tę różową, to Klaudusi dałam. Bo ona teraz różowy kolor najwięcej kocha i na honorowym miejscu u niej w pokoju ta serwetka leży.

– To i dobrze, to i dobrze – uśmiechnęła się Słaboniowa z zadowoleniem. – Harbaty narobię. Popijem sobie, co Anecia?

I tak Anetka ze Słaboniową siedziały przy stole i piły swoją herbatę do samego wieczora. A nie odzywały się wiele, bo czasem wieczorową porą, gdy deszcz drobny o szyby bije, gdy mrok po kątach izby się mości, gdy pod kuchnią ogień się pali, czasem chwila najdzie taka, że i gadania żadnego nie potrzeba.



ZADUSZKI

W dzień zaduszny pojechała Słaboniowa na cmentarz do Chmielowa, gdzie byli pochowani jej mąż Henryk Słaboń i pierworodna córka Marcjanna. Z nieba zaciął zimny, listopadowy deszcz, a cmentarnymi alejkami przemykali nieliczni, zziębnięci ludzie, odwiedzający swoich zmarłych. Tak i Słaboniowa okutana w wełnianą chustę, wsparta na swej leszczynowej lasce kusztykała między grobami nieco zagubiona, bo chociaż cmentarzyk chmielowski duży nie był, to rzadko tu bywając, rozeznać się nie w nim dobrze nie mogła. Wreszcie znalazła dwa grobki skromne, płytami lastrykowymi nakryte. Henryka grób większy był nieco, bo tam i miejsce wiecznego spoczynku na Słaboniową czekało.

– Kiedyż my się, Hendryk, na powrót zejdziem? – westchnęła Słaboniowa, zgarbiając z grobów suche liście i zdejmując znicze, co je Kryśka rok temu postawiła. – Toż już miejsce wygodne z dawna na mnie czeka, a tu człek żyje i żyje aż do znudzenia. Toż już żyć się odechciewa, jak człowiek ledwo chodzi, ledwo dycha. U mnie już, Hendryk, ino oczy dobre zostali, a na co mnie patrzeć po tem świecie podłym? Ino bezceństwa same oglundam, jak jeden drugiemu zawistny, jak jeden drugiemu ino wszystkiego najgorszego życzy, jak to się wadzo ludzie i po złości wzajem czynio.

Słaboniowa zapaliła dwie świece. Jedną postawiła na grobie męża, a drugą na grobie Marcysi. Patrzała tak na te dwa mizerne ogniki, póki ich deszcz nie zagasił. Kryśka to zawsze przywoziła z miasta znicze piękne, kolorowe, złotem malowane, a długowieczne, że i dwa tygodnie nieraz stały. Ale tego roku nie przyjechała. Gadała, że Ola się pochorowała, że Zygmunt czasu nie ma, dużo gadała, ale tak sobie Słaboniowa wydumała, że to niechęć tylko zwykła, że na wieś tyła drogi jechać, przeszłymi sprawami się zajmować i o śmierci myśleć. Tak sobie Słaboniowa dumiała, moknąc w listopadowym deszczu. Już i zimne krople przenikały przez wełnianą chustę, przez kamizelkę, ciekły po twarzy i wlewały się do butów. Poszła Słaboniowa dalej przez cmentarz, żeby stare kości rozruszać i rozgrzać się trochę, i tak zaszła na grób starego księdza Jana, który przed księdzem Barytonem parafię obejmował.

– Póki życia, bede ksindzu dziękować – powiedziała Słaboniowa, stawiając swoją świeczkę na granitowej płycie ze złotymi napisami.

– A za cóż to Słaboniowa tak księdzu Janowi dziękuje? – rozległ się za jej plecami tubalny głos księdza Barytona.

Słaboniowa podskoczyła w miejscu przestraszona i z wysokości swojego zgarbionego ciała popatrzała na księdza, który stał przed nią pod wielkim, czarnym parasolem, syty i zadowolony.

– A ja nic nie gadała.

– Dałbym głowę, że gadaliście, no, ale mozem się przesłyszał – powiedział ksiądz Baryton, a po jego rumianej twarzy rozlał się szeroki uśmiech. – Znaliście księdza Jana?

– Toż jak każdego tutaj. Dobry to był ksiądz, ale specjalnie dobry był z niego człowiek, co nigdy w potrzebie nie zostawił.

– A to na pewno – rzekł ksiądz Baryton. – A jak wikarym tutaj był, Słaboniowa pamięta?

– Toż jak ksiądz Jan był młody, to mnie jeszcze na świecie nie było. Ja dwudziesty pierwszy rocznik jezdem – Słaboniowa popatrzała na księdza Barytona, mrużąc powieki.

– A, prawda, toż wy by musieli mieć dobrze ponad setkę, żeby pamiętać jak ksiądz Jan był wikarym.

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– Stara jezdem, ale żeby żyć wincyj jak sto lat, to już takiej okoliczności mnie nie trza.

Ksiądz pokiwał głową czegoś niezadowolony.

– Ale pogoda jak zawsze w Zaduszki nie do- pisuje.

– Tak ja jeszcze nie pamiętam, żeby kiedy w dzień zaduszny słońce świeciło – odparła Słaboniowa.

– No to zostańcie z Bogiem – powiedział ksiądz Baryton i szybko się oddalił, niosąc przed sobą wydatne brzuszysko.

Deszcz ustał, a pomiędzy ołowianych chmur wychynął niespodzianie jasny promień słońca i ozłocił osypane kroplami wody kasztanowce porastające cmentarz. Słaboniowa przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca, czując jak dobroczynne ciepło rozlewa się po jej zmarzniętych członkach. I gdy tak grzała się w tym słońcu nieśmiało przezierającym z szarego nieba, tuż przy sobie posłyszała głos delikatny, a miły dla ucha:

– Teofila. – Słaboniowa odemknęła oczy i rozejrzała się, ale nikogo przy niej nie było, kto by mógł do niej gadać. – Teofila – ozwał się słodki głos, który dźwięczał w powietrzu jak srebrny dzwoneczek. – Tu jestem.

Słaboniowa popatrzała dookoła, ale znowuż nikogo nie spostrzegła. Tylko na grobie nieopodal zobaczyła dużą figurę Maryi w niebieskiej szacie, z sercem gorejącym na piersi i z rękami rozłożonymi zapraszająco. Słaboniowa postąpiła niepewnie ku figurze i stanęła przed nią. Maryjka twarz miała pochyloną, a półprzymknięte oczy ledwo maźnięte brązową farbą wpatrzone były gdzieś w przestrzeń.

– Kto to? – zapytała cicho Słaboniowa. Namalowane źrenice Maryjki uniosły się na staruszkę.

– To ja – odrzekł głos. – Przyszłam, żeby cię od grzechu oddalić i ku dobremu przywieść.

– A coż to ja za grzech taki popełniła?

– Ty wiesz, Teofila, co to za grzech. Grzech nienawiści i żądza zemsty tobą kierują, a to najgorsi doradcy.

Słaboniowa pochyliła głowę.

– Toż ja najsamprywatniej wielkiej krzywdy doznała. Nicem nie zawiniła przeciw Bogu i ludziom, a w nagrodę dali mnie ino ból i upodlenie.

– Znam ja twoją krzywdę, Teofila, i wiedz, że wiele łez wylałam, patrząc na ludzką podłość. Ale wiedz też, że w złości i zacierzeniu podobna jesteś swoim prześladowcom i nowym powodem moich łez się stałaś. To już nie o żywot doczesny idzie, ale o życie wieczne. Tyś ich osądziła, ale teraz musisz odpuścić krzywdzicielom winy i oddać tych grzeszników pod sąd wyższej instancji.

– A jakże ta wyższa instancja ich osądzi? Jakże im odpłaci za niesprawiedliwość, która mnie spotkała? Przypali ich rozżarzoną żelazem? Głodem ich weźmie, na lód i śnieg wypędzi? Niebiosa obojętne na krzywdę ludzką, tak tera, jak i w przeszłych czasach.

– Teofila, to, że wiarę zatraciłaś, to jedno, wielu zaparło się Boga, krzywdy wielkiej doznawszy, ale i ty osądzona będziesz za to, że ze Złym się zadałaś, aby zemsty dokonać.

– Nicem ja już nie jestem winna ani Złemu, ani wam w niebiesiach na chmurce żyjącym, co nic o ziemskie sprawy nie dbacie – rzekła Słaboniowa, patrząc w brązowe oczy Maryi.

– Teofila, zrobisz, jako zechcesz, ale pamiętaj, że żywota dokonać w złości i nienawiści to ciężar największy. Wspomnisz jeszcze moje słowa, Teofila...

Promień słoneczny skrył się za chmurami i cmentarz pogrążył się na powrót w jesiennej szarudze. Krople deszczu uderzyły ze zdwojoną siłą o kamienne płyty, rozpryskując się i ginąc w tłustym błocie. Teofila podniosła głowę i jeszcze coś rzec chciała, ale przed sobą ujrzała tylko płytę nagrobną, na której nijaka figura Maryi nie stała. I przypomniała sobie Słaboniowa, że żadnej świętej figury nigdy w tym miejscu nie było, jak daleko pamięcią sięgnąć mogła. Otuliła się więc swoją chustą i powoli poszła do domu, pogrążona w ponurych myślach.

Gdy na podwórko weszła, zobaczyła Mruczka, który przemoczony i z nastroszonymi wąsami siedział na progu i z wyrzutem miauczał do niej rozgłośnie.

– Już, już roztwieram – powiedziała Słaboniowa i weszli do chałupy. Mruczek otrząsnął się z wody i pobiegł na swoje miejsce przy piecu, w którym jeszcze tlił się ogień.

Słaboniowa wygarnęła popiół, dołożyła dREW pod blachę i nie zapalając światła, siadła na krześle. Siedziała nieruchomo w zapadającym mroku, z rękami wspartymi na kolanach a pod jej zamkniętymi powiekami przesuwwały się dawne, zamglone przez czas obrazy. Widziała białe zasy, na które opadały miękko płatki śniegu, przydając białym połaciom jeszcze większej puszystości, jeszcze czystszej bieli. Widziała światła wsi jarzące się ciepło w nocnej ciszy. I w tę ciszę miękko wdarły się nagle wściekłe wrzaski i tupot dziesiątek stóp, coraz bliższy, już są pod

progiem, już łomoczą do drzwi, już i słysząc w chałupie okrzyki i pohukiwania. A potem pochyła Słaboniowa głowę i widzi białe stopy brnące przez śnieg, a potem głowę podnosi i przed jej twarzą unosi się kłęb pary, a obok słyszy inne oddechy i głosy nienawistne, lżące. Wszystko zapada się w ciemność i następne, co widzi, to dziesiątki oczu wlepione w nią z ciekawością i obrzydzeniem. A naprzeciw niej siedzą owe trzy postacie. Jedna patrzy na nią butnie i w wielkim zadowoleniu, druga zerka tylko czasem, ale zaraz oczy spuszcza, jakby nie chcąc spotkać jej wzroku, a trzecia w górę spogląda, jakby szukając odpowiedzi.

A potem znowu widzi Słaboniowa tylko ciemność i czuje już tylko ból. Zaraz przebudza ją poranek zimny i rześki, słyszy szum wartkiej wody i głosy wielu ludzi zebranych na drewnianym moście. Czuje chłodną rękę na swojej głowie i słyszy ciche błogosławieństwo. Potem opada ku wodzie i płuca jej napełniają się lodowatym, duszącym strumieniem. Woda niesie ją, niesie, nie może złapać tchu, nic już nie widzi, tylko jasną topiel. I w tej topieli łapią ją czyjeś ręce, wyciągają na brzeg i kładą jakiś łach na jej zlodowaciałe ciało. Czuje Słaboniowa gładki kij leszczynowy w swojej dłoni i idzie po zimnej, rozmarzającej grudzie. Widzi szary horyzont, idzie dalej, ile sił, idzie, gdzie ją nogi poniosą.

Słaboniowa przebudziła się, jakby z jakiegoś sennego koszmaru. W izbie całkiem już było ciemno, tylko ogień przezierający między fajerkami rzucał ciepłe błyski na bielone ściany. Mruczek sapał cicho przez sen. Słaboniowa nie budziła go, wzięła łaskę leszczynową i wyszła w jesienny, nocny chłód.

Poszła dobrze znaną sobie drogą pod lasem. Szła długo. Zdawało jej się, że całą noc tak idzie, zapadając się po kostki w błocie, brnąc przez kolczaste, jeżynowe chaszczki. Wreszcie między drzewami ukazały się trzy niewielkie pagórki porośnięte trawą, a na każdym z nich białą duży, polny kamień. Słaboniowa stanęła przy tych bezimiennych grobach i popatrzała na nie smutnie. Potem na każdym postawiła zapaloną świeczkę, położyła kawałek chleba i z małej flaszeczki pokropiła każdy pagórek wódką.

– Ja przyszła do was w dzień zaduszny poświętować razem i stare czasy powspominać – rzekła ponuro. Odpowiedziała jej głucha cisza.

Słaboniowa rozpałała ognisko z chrustu, który po drodze zebrała, siadła na zwalonej kłodzie naprzeciw grobów i czekała, grzejąc zgrabią ręce. Otóż i po dłuższej chwili wyłoniły się z ciemności trzy cienie i unosząc się nad ziemią, nieśmiało zatrzymały się poza kręgiem wyznaczonym przez blask płomieni.

– Stawiamy się na twe wezwanie – powiedziały chórem trzy głosy, a wszystkie trzy ponure i wielkim smutkiem przepełnione.

– Chodźcie tu bliżej i siadnijcie przy moim ogniu – zaprosiła Słaboniowa swoich gości.

Duchy jakby z ociąganiem przybliżyły się i siadły naprzeciw Słaboniowej. Z bliska, w blasku tańczących płomieni mogła im się Słaboniowa lepiej przyjrzeć. Od lewej pierwsza siedziała kobieta, grubawa, w paradny strój odziana, w białej chuście na głowie, otoczona rozpościerającymi się wokół niej odświętymi spódnicami. Obok niej siedział mężczyzna postawny, z wielkim wąsem i gładko zaczesanymi siwymi włosami. Z samej prawej zaś siedział

ksiądz wychudły, o twarzy woskowo bladej i zapadniętych głęboko oczach.

– Dawno żeś do nas nie zachodziła, Teosia – powiedziała grobowym głosem kobieta. – Przepomniałaś swoich niewolników, przepomniałaś trzy dusze, które dałaś na wieczne zatracenie?

– Gdzieżbym mogła? – Słaboniowa machnęła ręką. – Wy zawsze u mnie w głowie siedzicie. Gdziebym nie poszła, gdziebym nie uciekła w szeroki świat, wasze gęby pamiętam jako swojo.

– Tak i powróciła nasza Teosia w rodzinne strony – powiedział mężczyzna z wąsem.

– Cichaj, Michale. – przerwała mu kobieta. – Tak i powróciła nasza Teosia starsza i mądrzejsza. Powróciła odmieniona, że i nikt w okolicy by jej nie poznał. Zbałamuciła dobrego chłopa, Słabonia Hendryka, jego żonę zostawszy, i pędziła żywot jakby wśród swoich.

– Powróciła nasza Teosia, aby każdego roku w dzień zaduszny przychodzić tutaj i dręczyć nasze umęczone dusze, co przez lata spokoju zaznać nie mogą – powiedział ksiądz. – Czyż nasz Pan Bóg ulituje się nad nami i pozwoli spocząć w poświęconej ziemi?

– Czekaj zdrów, księżu dobrodzieju, cob twój Pan Bóg spojrział z dalekich niebios w ten ciemny zakątek i uratował cię od tyj tułaczki – rzekła twardo Słaboniowa. – Ino ja, Słaboniowa Teofila, uwolnić was mogie, a uczynię to, jak mie ochota najdzie.

– Stara jesteś. Żeb cię śmierć nie zabrała, jak ci przyjdzie ochota nas uwolnić z twej władzy – powiedział gorzko mężczyzna z wąsem.

– Cichaj, Michale! – zgromiła go kobieta. – Zawsześ twardo przy swoim stała i tera, i za młodych lat, kiedy to do swoich grzechów przyznać się żeś nie kciała.

– Bo też nijakich grzechów ja nie miała na sumieniu.

– A władzy żadnej nad nami nie masz – ciągnęła dalej kobieta. – Ino Bóg w niebiesiach takie ma panowanie, żeb nas uratować z tego pohańbienia.

– Droga wolna, idź, jak ja żadnej władzy nad wami nie mam. – Kobieta zamilkła i ponuro popatrzała w ogień.

– Wielu czasu my w zapomnieniu siedzim. Jak tera ludzie żyjo? – spytał ciekawie mężczyzna z wąsem.

– Jak majo żyć? – Słaboniowa machnęła ręką. – Prawda, trochu inaczy jak za naszych czasów. Maszynami pole obrabiajo, koniów nikt już prawie we wsi ni ma.

– Koniów ni majo? – kobieta złapała się za głowę. – Toż zawdy koniami się orało, wozy ciungało, wszystkie w polu roboty konie robiły. A krowów tyż nie majo?

– Mało kto – odparła Słaboniowa. – Ino dla siebie ludzie trzymają, na mleko dla dzieciów. Gadają, co się nie opłaca na skup oddawać. Gadają, co teraz już się nic nie opłaca na gospodarstwie robić. Bo teraz, wicie, wszystko unijne być musi.

– Unijne? – wyjąkał mężczyzna z wąsem. – A coż to takiego to unijne?

– Ja tam tak do końca to nie wiem, ale gadała Zośka, że jak kartofli chcieli sprzedać, to wincyj jak połowę w skupie nie wzięli, bo nieunijne byli. Teraz, wicie, w skupie mają takie dziurki i bez to dziurki każdy kartofel przepuszczają. I jak kartofel za duży albo za mały, to takiego nie kco. A zboża to już wcale sprzedać się nie da, bo teraz do nasz zboże przywożą z dalekich krajów.

Duchy popatrzyły po sobie niepewnie.

– Toż to z kretešem inszy je świat... – westchnął mężczyzna z wąsem.

– Cichaj, Michale. A jak teraz kobiety ubierają się?

– O, sołtysowo, teraz tak jako my to ino stare ludzie ubierają się. A młode dziewczyny to teraz chodzą wymalowane, z włosami u fryzowanymi, a spódniczki to takie noszą, że ledwo co im tyłek nie wystaje.

– Toż to obraza boska. – Sołtysowa przeżegnała się bogobojnie.

– Obraza, nie obraza, takie teraz czasy nastali i nic nie poradzisz – powiedziała Słaboniowa i dołożyła do ogniska.

– A wódki teraz piją? Oj, jak ja bych się tak wódeczki napił, oj, napił... – rozmarzył się sołtys.

– Wódki jak chleli, tako i chlejo. Tu nijakiej różnicy nie uświadczysz – odpowiedziała Słaboniowa. – Ino teraz wódka też musi być unijna i nie musi być z kartofli.

– To z czego? – spytał sołtys z bezbrzeżnym zdziwieniem.

– Teraz wódki i z bananów można robić.

– A co to te banana? – spytała sołtysowa.

– A to takie sum słodkie owoce, żółte, długie i w grubej skórce. W telewizorze żem widziała.

– W telewizorze?

– Toż ja wam gadała o telewizorze i z dziesięć temu lat – zniecierpliwiła się Słaboniowa.

– Toż nie pamiętasz? – spytał żonę sołtys. – To takie, co Teosia gadała, pudełeczko, co

w nim różniste obrazki ruszają się. No, do czego jak do czego, ale do maszynerii to kobita głowy ni ma.

– Cichaj, Michale – burknęła sołtysowa.

– A do kościoła ludzie chodzą? – spytał ksiądz drżącym głosem.

– Mniej jak kiedyś – powiedziała Słaboniowa. – Wiara nie taka w ludziach, jak to dawniej bywało. Do komunii to ino ido, żeb dzieciom rowery kupować a zegarki, a inne dobra, no sukienki to dziewczynki majo, jakby do ślubu szli. A i takie dzieciaki w okolicy sum, co do bierzmowania wcale nie ido. Była taka jedna, nauczycielki z Chmielowa córka. Powiedziała, że sama o sobie decyduje, w Boga nie wierzy i do bierzmowania nie pójdzie.

– Jezuniu kochany! I rodzice nie kazali? – szepnęła sołtysowa i przeżegnała się.

– Nie kazali, bo tera dzieci sum chowane bezsztresowo. Znaczy się niczego dzieckom kazać nie można, a i uderzyć tyż nie wolno – rzekła Słaboniowa. – No i rozwodzo się tera ludzie na potęgę. A bo i nie wszystkie ślub kościelny bioro. A jak ino ślub w urzędzie, to i rozwód łatwiej wziunć.

– Toż niekościelny ślub, przez Pana Boga niepoświęcony, nieważny – powiedział ksiądz.

– Tera kaźden ślub ważny, a najważniejszy, jak młodzi razem kredyt na chałupę wezno.

– Kredyt?

– No toż wicie, za naszych czasów to się pożyczają od pana alibo Żyda jakiego, na ziarno na ten przykład alibo na krowy kupienie. A po zbiorach trza było oddać nieraz z procentem. Tak tera taki pan alibo Żyd w banku siedzą za szklanym okienkiem. Tak mnie Anetka gadała, że tera w mieście, jak młoda para chce se chałupę kupić, to ido do takiego banku, a pięknie tam podobnie jak w jakim pałacu, marmura i lustra kryształowe i złotem wszystko pomazane. No to tak ido do tego banku, a do tego to i ślubu nie trza wcale mieć, i tam gadają, że chco se chałupę kupić. Takie małe, na ten przykład pokoik taki małuśki z kuchenko, i to w takim wielkiem domu, gdzie i jeszcze z dwadzieścia innych rodzin żyje. No to bank daje im to chałupę, ale oni kaźdego miesiąca bez trzydzieści lat muszo bankowi zapłacić i to wiele, wiele wincyj, jak ta chałupa kosztuje.

– Za mojej czasów to chałupa z ojca na syna szła, a jak kobita, to mieszkała w chałupie mónża swojego i wszystkie mieli gdzie żyć. I wszystkie razem żyli, i babka, i dziadek, i dzieciaki, i wnuki... – rzekła sołtysowa i pokręciła głową. – Straszne to czasy bezbożne tera nastali.

– Unijne... – wyrwało się sołtysowi.

– Cichaj, Michale.

– No ale tera to młodzi nie chco na wsi żyć, ino w mieście, a tam chałupy drogie. I tera

nikt z matko i z ojcem w jednej chałupie żyć nie chce. A z babko to już wcale – powiedziała Słaboniowa. – No, pogadali my trochu, ale ja tu do was w innej sprawie przyszła. – Duchy popatrzały po sobie, nie wiedząc, czego się spodziewać. – Wielkieście mi krzywdy uczynili, jak ja była młoda i życia jeszcze nie znała. Nicem ja nie zawiniła, a wyście mię na pośmiewisko ludzkie wystawili i wieczne pohańbienie.

– A tyś nam, Teosia, odpłaciła z nawiązką – powiedziała sołtysowa. – A najgorsza to żałość mię bierze na te moje dzieci kochane, niczemu niewinne, co w strasznych mękach pomarli. – Sołtysowa wytarła rękawem zapłakane oczy. – Chocia tyle dobrego, że niewinne byli i do nieba ciurkiem poszli, jedno po drugim. Oj, dolo, moja dolo... – poczęła lamentować zdartym głosem. – Toż une życia wcale nie zaznali, te moje aniołki. Kciałażesz się mścić, to trudno, taka dola, ale że dzieciom, że moje dzieci... Toż dzieciów szkoda. – Sołtysowa popatrzała na Słaboniową żałościwie.

– Dzieciów szkoda, prawda, ale taka ja była rozsierdzona, taki ja żal do was miała, żeś taka była nieprzejednana, zaciekła, żeś mi życie przekreśliła fałszywymi oskarżeniami. Dzieciów żal i wiewa razy ja żalowała za tę karę straszno, com na nich spuściła, ale to kara dla ciebie była, boć największa żałość dla matki patrzeć na dzieciów śmierć. Bez twoje oskarżenia ja się tułała po świecie, nigdzie spokoju nie zaznawszy, schronienia mnie nigdzie nie dali, z każdej wsi gnali jak psa bez te włosy z waszego poduszczenia ucięte. – Słaboniowa popatrzała na sołtysa. – Powiedz, Michale, czy ja ci zadała jaki czar, żeś za mno oczami wodził?

– Ja tam nie wim...

– Cichaj, Michale. – Sołtysowa założyła ręce na piersi i spojrziała na Słaboniową spode łba. – A jakże inaczy? Toż ty musiała czar zadać, skoro wszystkie tak się na ciebie gapili jak w jaki obrazek. A coż ty takiego miała lepszego jak inne dziewuchy, że i ksindza Zawadę twój urok zmamił?

– No, moje dziecko... – Ksiądz uniósł do góry chudy palec. – Póki życia nigdy ja na żadną białogłową nie spojrziałem, chyba żem musiał porady udzielić w sprawach nabożnych.

– No to co inszego ludzie we wsi gadali – rzekła sołtysowa. – I sama żem widziała, jak żeście na Teosię patrzali na mszy. Toż to musiał być urok rzucony, bo zawdy świnty był z was człowiek i nikt złego słowa na was by nie powiedział. No ale jak czarownica we wsi swojemi wdziękami wszystkich mami, to i najświnty człowiek się nie oprze.

Ksiądz pochylał głowę w milczeniu i rzekł wreszcie powoli:

– Teraz to ja tak myślę, a dużo czasu na dumanie miałem na tym krańcu świata, gdzie od ziemi jeszcze się nie oderwawszy, na pół martwy trwam, że to słabość ludzka była, a nie uroków rzucanie. Nasza to słabość, Michale, sprawiła, że młodą dziewczynę oskarżyliśmy o własne grzechy i odtąd wszystko, co nas spotkało, przyjmuję z pokorą, bo żadna kara nie odkupi naszej winy, ino najgłębsze piekielne czeluście.

Słaboniowa popatrzała na bladą księżowską twarz i rzekła:

– Wielkieście mi krzywdę uczynili, ale ja tu przyszła w dzień zaduszny, żeb moje winy odkupić i żywo ta w spokoju ducha dokonać. Nie moja to powinność kary wam zadawać, chocia dawnymi czasy inaczy ja o tym dumała. I złości takiej już we mnie ni ma, żeb was trzymać tu na krańcu życia i śmierci, miast oddać was pod osąd sił wyższych. – Słaboniowa wstała i powstały z miejsca trzy duchy. – Opuśćcie moje przewiny, jako i ja wam odpuszczam. Idźcie w pokoju.

Słaboniowa podeszła do grobów i z każdego kamień polny zwała, a przy każdym kamieniu jakby jej lat ubywało i czuła, jakby te kamienie z serca swego zrzucała. A gdy obróciła się ku gasnącemu ognisku, zobaczyła, że została całkiem sama wśród drzew szumiących na wietrze. Ostatni raz spojrzała Słaboniowa na trzy wzgórki porośnięte trawą i wolnym krokiem powędrowała w stronę wsi, a lekko jej było na duszy, jak nigdy w życiu całym.

Anetka częściej teraz Słaboniową odwiedzała, jak za dawnych lat, kiedy to jeszcze paniąką była i potem, gdy Klaudusie przy piersi trzymała. Siadywały razem przy drewnianym stole i Anetka opowiadała, co się we wsi dzieje, choć po prawdzie tak wiele się nie działo. A to Zapasiukowej ostatnia krowa mleczna zdechła, a to u Dominików dziecko nowe przybyło, a to Stasiak Butrym wszystkie maszyny, co już niepotrzebne w stodole stały, na złom sprzedał i przechłał wszystko w dwa dni. Opowiadała Anetka, jak Klaudusi się w szkole u zakonnic powodzi, że uczy się dobrze, grzeczna jest i kłopotów nijakich nie sprawia. Tak dni jesienne płynęły spokojnie, na zimę się już powoli zbierało i pierwsze przymrozki zesły na pola, pędząc myszy do ludzkich zagród. I znowuż pod podłogą w chałupie Słaboniowej dało się słyszeć mysie chrobotanie.

Któregoś to listopadowego dnia Anetka przyszła i siadła przy stole wielce podniecona.

– Wiecie, co się stało?

Słaboniowa postawiła przed Anetką szklanke herbaty i kawałek babki.

– No nie wim. Toż jak by ty mnie nie gadała, co się we wsi dzieje, to ja bych nic nie wiedziała, bo nosa z chałupy nie wystawiam.

Anetka umościła się na krześle wygodnie.

– Groby trzy w lesie znaleźli.

Słaboniowa podniosła brwi.

– Januszek gadał, bo ekshumację robili. Znaczy się, wyciągali z grobów te trupy i patrzyli, co to za jedni, bo nijakich napisów na grobach nie było ani nawet krzyżyka postawionego. I zgadniecie, ile lat mają te groby?

– No, nie zgadne. Może z pindziesiąt?

– Gdzie?! – Anetka podskoczyła zadowolona. – Gadał Januszek, że może i sto! Że podobnież przed pierwszą wojną musiały być kopane. Tak z kości wyczytali i z resztek ubrań, co tam były.

– A wiesz, kto tam leżał? – zapytała Słaboniowa, patrząc w okno.

– No, tak do końca to nie. Gadał Januszek, że na pewno jedna kobieta, jeden mężczyzna i jeden ksiądz, bo guziki od sutanny były w grobie i koloratka się została. Ja to tak sobie myślałam... Pamiętacie, co ksiądz Baryton gadał, że przed pierwszą wojną zniknęły tuż przed pogrzebem te ciała sołtysowej, sołtysa i księdza? To może to oni? – Anetka popatrzała na Słaboniową wyczekująco. Stara wzruszyła ramionami.

– Ja tam nie wiem. A bo to zresztą prawda była? Tak jeden stary ksiundz młodemu ksindzu gadał ku przestrodze, ale czy prawdę gadał, tego ja nie wiem.

– No, tak czy tak, ale jeszcze wyszło, że ktoś na te groby chodził, bo stare świece były i ognisko tam było palone, i to całkiem świeże.

– A bo to mało bezimiennych grobów u nasz w lesie? I żołnierze przecie chowani byli w lasach bez całej wojny, to pewnikiem, jak kto po lesie chodzi, to te mogiły zna i czasem świeczkę postawi za ich dusze.

– No, może – Anetka westchnęła. – Ale to przecież nie żołnierze tam leżeli w tych trzech grobkach, tylko zwykli ludzie i ksiądz. Ciekawe, co to za historia.

– Ano, ciekawe – rzekła Słaboniowa.

I długo tak jeszcze siedziały przy drewnianym stole, gwarząc o tym i owym, a za oknem wiał zimny wiatr ze wschodu, zrywał z drzew kruche liście, pędził polami kłęby kurzu i wymiatał z obejść stare grzechy i niepotrzebne wspomnienia.



LISTY

Była druga w nocy. Klęcząc na kamiennej podłodze swojej celi, próbowała się modlić. Ale ledwo przychodziły do niej pierwsze słowa modlitwy, mąciło się jej w głowie i musiała zaczynać od początku. Już od wielu nocy nie spała, a jedynymi słowami najprostszego pacierza, jakie udawało się jej wymówić, były „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”. Tak więc spędzała całe noce i dni, powtarzając „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”. Potrzebowała modlitwy, rozpaczliwie pragnęła porozmawiać z Bogiem – było to jedyne, co mogło utrzymać ją przy życiu, przypomnieć jak wyglądało jej życie przedtem. Pierwszy raz w życiu zaczynała wątpić, że Bóg Ojciec naprawdę jest w niebie, skoro zakazał jej do siebie dostępu. Tak bardzo o niej zapomniał, że odebrał jej nawet to jedno, co mogło jej pomóc.

Nie wiedziała, jak długo już nie śpi. Przysypiała na kilka minut i budziła się zaraz zdjeta strasznym lękiem, który ścisnął jej żołądek i nie pozwalał odpocząć. Jasne noce zlewały się z ponurymi, zimowymi dniami spędzonymi na kilku metrach klasztornej celi – jej jedyne schronienia przed ciemną siłą, której niedawno doświadczyła. Wiedziała, że kiedy człowiek raz popatrzy w oczy prawdziwego zła i gdy czarci urok choć na chwilę go uwiedzie, nigdy już się od niego nie uwolni. Zawsze już będzie się czaić za jego plecami, zwodzić z prostej drogi, aż wreszcie doprowadzi biednego grzesznika do niechybnej zguby.

Promień księżycy wpadał przez wąskie okienko umieszczone wysoko nad jej głową, wydobywając z mroku jej twarz otoczoną ciasno rąbkiem białej chusty. Wyciągnęła spod kolan zakonną suknię, żeby poczuć orzeźwiająco zimny, twardy kamień posadzki, i zacisnęła na różańcu zgrabiące palce. Nie ustawała w swoich wysiłkach. „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, ojcze nasz, któryś jest w niebie, ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

Nagle poczuła w piersi rozdzierający ból, a w jej głowie eksplodowała oślepiająco jasna kula. Poczuła, jak jej ciało rozdziera się na kawałki. Upadając, uderzyła głową o kamienne płyty. Nim straciła przytomność, jej twarz wykrzywił nienaturalny grymas, a prawe ramię opadło jak złamana gałąź. Ogarnęła ją nieprzenikniona, nieskończona ciemność.

Zima przyszła tego roku bardziej deszczowa niż śnieżna i zamiast płatków śniegu z nieba kapały krople deszczu, a wszędobyłska wilgoć wdzierała się lodowatymi łapskami pod czapki i za kołnierze. Ledwo śnieg cienką warstwą przykrył pola i łąki, już deszcz roztopiał te nieśmiałe próby i zamieniał wszystko w błotnistą maź. Dni krótkie i ciemne płynęły powoli i Słaboniowej zdawało się, że ledwo szary świt z trudem nieco rozjaśniał ponury krajobraz, już nadchodził wieczór ze swoim mrokiem i wiatrem i znowu wszystko pogrążało się w ciemnościach.

Siedziała więc Słaboniowa całymi dniami w chałupie, wychodząc tylko na obrządki, jajka kurom podebrać, mleka udoić, drewna do pieca nanosić. Siedziała, bo chodzić było jej ciężko, a i gdzie, po prawdzie, miałaby chodzić. Tak i słuchała ognia huczącego w piecu, myszy skrobiących pod podłogą i na strychu i jabłunki, która stukała gałęziami o szyby, jakby zmarznięta chciała wejść do izby i ogrzać się choć trochę. Włączała Słaboniowa telewizor na wiadomości, a w nocy do snu słuchała radia, bo zasnąć było jej coraz trudniej i coraz dłużej

przewracała się z boku na bok, zanim przyszedł do niej sen lekki i krótki.

Czasem tylko Anetka zajrzała, przynosząc wieści ze świata. Siadała na swoim miejscu naprzeciw Słaboniowej i skubiąc róg obrusa, opowiadała, co Klaudusia pisze w listach ze szkoły, kiedy Stasiak był ostatnio w domu i co nowego przywiózł z tej zagranicy. Ale i te wizyty stały się coraz rzadsze, a wreszcie Anetka zupełnie do Słaboniowej przestała zachodzić. Chodziły po wsi słuchy, że jakieś kłopoty z Klaudusią wynikły, że Anetka choruje, że brat Anetki – Januszek, co policjantem w Chmielowie był – gdzieś jeździ cały w nerwach, ale nic więcej Słaboniowa wywiedzieć się nie mogła.

Któregoś to dnia, gdy szarówka już była, stała Słaboniowa swoim zwyczajem przy płocie i patrzyła na wieś, gdzie tyle długich lat przyszło jej żyć. Obok niej przycupnął Mruczek i też zerkał spomiędzy sztachet na to, co kot może ze swego miejsca na ziemi zobaczyć. Wieś była spokojna i cicha, od dawna już żadne zło do Capówki się nie przyplątało i Słaboniowa niby martwić się czym nie miała, ale nagle dziwny niepokój ją ogarnął i zimną obręczą ścisnął jej serce.

Pod lasem zamajaczyła jakaś postać, szła powoli, noga za nogą, jakby wszystko jedno jej było, dokąd idzie. Postać zbliżyła się i Słaboniowa rozpoznała w niej Anetkę, która brnęła w błotnistej brei rozjeżdżonej przez samochody. Czarny płaszczyk wisiał na jej wychudłej postaci jak na wieszaku, a reklamówka, którą trzymała w ręce, objęła się o jej nogi. Anetka patrzyła prosto przed siebie i mimo że mijała Słaboniową dosłownie o krok, nawet nie spojrzała na starą, tak była zatopiona we własnych myślach.

– Anecia! – zawołała Słaboniowa. Anetka szarpnęła głową zaskoczona i popatrzyła na Słaboniową nieprzytomnym wzrokiem. – Anecia, a coż to tak idziesz, na ludzi nie patrzysz?



Anetka wzruszyła ramionami i podeszła do płotu, ale na podwórko nie weszła. Twarz jej była blada, z policzkami zapadniętymi, a spod wełnianej czapki wyglądały ku Słaboniowej podkrążone ciemnymi sińcami, pełne rozpaczony oczy.

– Anecia, co tobie? – spytała Słaboniowa przerażona widokiem swej córki chrzestnej.

– A to jeszcze do was nie doszło?

– A co miało dojść? Przecie tu do mnie nikt tera nie zachodzi. Tyla wim, co ptaszki na

drzewach zaćwirkajo.

– I nie wyćwierkały wam ptaszki o moim nieszczęściu? – zapytała Anetka gorzko. – Bo nieszczęście wielkie na mnie przyszło, matko krzestna, straszne nieszczęście. Ja już łez nie mam, żeby płakać, matko krzestna, oczy całe wypłakałam.

– Anecia, gadaj – ponagliła Słaboniowa. – Z Klaudusio co złego stało się?

– Z Klaudusią... – Anetka westchnęła ciężko. – Kłopoty z nią były od zawsze, od samego początku, jeszcze jak z nią w ciąży chodziłam. Potem jakby nie wy, to nie wiadomo, czy żywa by się urodziła. Potem znowuż jak niemowlęciem była i te wrzaski urządzała, i nie wiadomo było, jak na to zaradzić, i znowuż wyście nam pomogli. A teraz ledwie dwa lata minęły od tych egzorcyzmów, ledwo ją diabeł odszedł i następne już nieszczęście na nas spadło. – Słaboniowa czekała w milczeniu, co dalej Anetka powie. – Jakie dwa miesiące temu telegram dostaliśmy od zakonnic ze szkoły, że Klaudusia na noc do internatu nie wróciła. Zadzwoiłam tam zaraz i pytam, co się stało. Matka przełożona odebrała i mówi, że wieczorem obecność w pokojach osobiście sprawdzała i że ani Klaudusi w pokoju nie było, ani koleżanki, z którą mieszkała. Siostry wszędzie szukały, po całym internacie, w szkole, w ogrodzie, nigdzie dziewczynek nie było. Następnego dnia też nie wróciły. Telegram do nas siostry wysłały, myślały, że może Klaudusia do domu przyjechała, ale przecież Klaudusi u nas nie było! Minęły dwa dni i zaginięcie na policji zgłosiliśmy – Anetka mówiła suchym, obojętnym głosem.

– I co?

– I nic. Żadnych wiadomości od tamtej pory nie ma. Januszek tam jeździł. To nie jego rejon, ale zawsze to policjant i wie, jak z ludźmi gadać. Jeździł, pytał, gadał z zakonnicami, z koleżankami, z nauczycielami, nikt nic nie wie. Uczyla się dobrze, grzeczna była, pobożna, zawsze pomocna. Januszek mówi, że każdy to samo gada, ale widać z tego, że każdy tak samo mało wie. Z nikim blisko nie była, nikt jej tak naprawdę nie znał, może tylko ta druga dziewczynka, co razem w pokoju mieszkały. No ale ta też zniknęła. – Anetka zamyśliła się na chwilę. – Jedna tylko zakonnica, Augustyna, powiedziec nic nie chciała. Gadał Januszek, że jak ją o Klaudusie pytał, to jakby wody w usta nabrała. Powiedziała tylko jedno zdanie: „Ta dziewczyna przynosi tylko śmierć i nieszczęście i dobrze, że jej ta ziemia święcona więcej nie nosi”, zakręciła się na pięcie i poszła. Prosił Januszek policjantów, co sprawę prowadzą, żeby ją przycisnęli, ale nagle się okazało, że przeniosła się do klasztoru zamkniętego i nikt nie ma do niej dostępu. – Anetka westchnęła ciężko. – Najgorsza to ta niepewność. Może kto ją porwał, może skrzywdził, tyle się teraz w telewizji o tych zbrodniach gada, co tylko czekają na młode dzieci. Toż ona dopiero szesnaście lat ma, nic o świecie nie wie, naiwna zawsze była jak mały kociak, kto do niej podszedł, ze wszystkimi gadała, żadnego strachu nie czuła. Tutaj u nas to jeszcze, przecież tu każdy każdego zna, nic złego by jej nie spotkało. – Anetką szarpał suchy szloch, ale po twarzy nie spłynęła ani jedna łza. – To moja wina! Moja wina, bo pozwoliłam, żeby z domu poszła. Tak to by człowiek miał na oku, a tam daleko nie wiadomo, co się z nią stało. Ale myśleliśmy, że u sióstr, jak w pobożności i dyscyplinie będzie żyła, to zło nie będzie miało do niej przystępu. Dobrzeście gadali, żeby jej do sióstr nie dawać. To moja wina.

Anetka zamilkła i spuściła głowę. Słaboniowa chciała pogłaskać ją po twarzy, ale Anetka cofnęła się i stała tak po drugiej stronie płotu samotna i nieszczęśliwa.

– Anecia, siebie nie obwiniaj, bo nie twoja to wina. Pewnie, ja gadała, cob Klaudusi do sióstr nie dawać, ale jak daliście, to tera ni ma co włosów z głowy rwać. Radzić trza.

– Co tu radzić? – Anetka popatrzała na Słaboniową bezradnie. – Matka powinna sercem wiedzieć, co dla jej dziecka najlepsze, a ja nie wiedziałam. Taka prawda.

Słaboniowa sapnęła przez nos, pomyślała chwilę i rzekła:

– Anecia, jedź do tego klasztoru, co ta siostra Augustyna siedzi, i poproś o widzenie. Toż matce w rozpaczy przystępu nie wzbronio.

Anetka wzruszyła ramionami.

– A co mi ona może powiedzieć?

– Jak nie pojedziesz, to wiedzić nie bedziesz.

– Ale bo ja wiem zresztą, gdzie ten klasztor.

– Nie na darmo Januszek w policji robi. Poproś go, to się dowi, co trza.

Anetka przestąpiła z nogi na nogę.

– Do widzenia, matko krzestna – powiedziała wreszcie i poszła dalej przez cichą wieś.

– A zajdź do mnie, jak co się wywiesz – zawołała za nią Słaboniowa, ale Anetka nawet głowy ku niej nie obróciła. – Biedne dziecko – powiedziała stara, patrząc za chudą postacią niknącą w ciemnościach. – Biedne, biedne dziecko, niczemu niewinne, ino w wir zdarzeń niepojętych wplątane. – Pociągnęła nosem. – Idziem, Mruczek, do chałupy zagrzać się trochu, bo zimnica naszła. – I poszła Słaboniowa z wolna w stronę domu, a za nią podreptało wierne kocisko, otrząsając łapki z zimnego błota, które zaczynała pokrywać cienka warstewka lodu.

Tydzień nie minął i któregoś to ranka ozwało się pukanie do drzwi Słaboniowej. W progu stanęła Anetka z miną poważną, wielce czegoś zaaferowana. W rękę ścisnęła torbę skórzaną i wyglądała, jakby w podróż jaką się wybierała.

– Dzień dobry, matko krzestna.

– Zachodź, Anecia, zachodź – rzekła Słaboniowa i zalała wrzątkiem herbatę w szklankach. – Siadaj, dziecko, harbaty ci dam. Zjisz co?

– E, nie będę jadła. – Anetka siadła przy stole. – Z tej zgryzoty całkiem mi chęć na jedzenie odeszła.

– Jeść musisz, siły musisz mieć, żeb Klaudusi szukać – powiedziała Słaboniowa, ukroiła pajdę chleba, posmarowała grubo masłem i na wierzch położyła plaster twarogu. – Na, jidz.

Postawiła przed Anetką talerzyk z chlebem i herbatę. Anetka zdjęła czapkę, a spod niej wysypały się włosy, z których dawno już zeszła farba i trwała ondulacja. Wśród myśich kosmyków przeświecały grube siwe pasma. Twarz kobiety poznaczona była głębokimi bruzdami, których Słaboniowa wcześniej u swej córki chrzestnej nie widziała. Bo i przez ostatnie miesiące postarzała się Anetka jakby o dziesięć lat.

– Wybierasz się gdzie, Anecia?

– Ano, zrobiłam, jak radziliście. – Anetka upiła łyk herbaty i niechętnie ugryzła małą kawałek chleba. – Poprosiłam Januszka, żeby się dowiedział, gdzie ta siostra Augustyna się ukryła. No i znalazł. Jest taki klasztor pod miastem. Bardzo ma surową regułę i podobnież ta siostra Augustyna śluby milczenia przed Bogiem złożyła. Jak ona nic nie gada, to nic się od niej nie dowiem, ale Januszek mówi, że spróbować trzeba, i telefon mi dał do tego klasztoru.

– To w klasztorach tera telefony sum? – zdziwiła się Słaboniowa.

– A co mają nie być? Toż i zakonnice teraz muszą mieć kontakt ze światem. Słyszałam, że w zakonach to teraz mają komputery i nawet internet.

Słaboniowa pokręciła głową.

– Za moich czasów telefonów w zakonach nie bywało. A już kompotrów jakich alibo tego drugiego, co gadasz, to już pewnikiem nie było.

– A skąd wy to możecie wiedzieć, czy były kiedyś telefony w klasztorach czy nie? Byliście kiedy w jakim? – zażartowała Anetka z niezwykłym jak na nią ożywieniem.

– Już ty mnie, Anecia, za język nie ciągnij – obraziła się Słaboniowa. – Powiedz lepi, coś się z tego dzwonięcia wywiedziała.

Anetka popatrzała na Słaboniową uważnie.

– Ano zadzwoniłam i z matką przełożoną rozmawiałam. Trudności robiła wielkie, mówiła, że siostra Augustyna na zdrowiu zapadła, że śluby milczenia złożyła i nic mi nie powie i że w ogóle w tym klasztorze żadnych widzeń nie ma. No to ja w płacz, że jestem matką, że dziecka szukam, że trzeba Boga w sercu nie mieć, żeby matce zrozpaczonej żadnej nadziei nie dać. – Anetka opowiadała o swoich dokonaniach z pewnym zadowoleniem i nawet błąd rumieniec zabarwił jej policzki, a Słaboniowa słuchała w skupieniu i kiwała głową. – No to ona trochę odpuściła i mówi, że to nic teraz pewnego, ale mam przyjechać, a to właśnie dzisiaj wypada, i w pierw się z przełożoną widzieć, a potem się zobaczy.

– To ty, Anecia, tera do tego klasztoru jedziesz?

– Jadę – rzekła Anetka i popatrzała prosząco na starą. – I chciałam was właśnie prosić, żebyście ze mną pojechali.

Słaboniowa westchnęła rozgłośnie i nie patrząc na Anetkę, powiedziała tylko jedno słowo:

– Nie.

– Ale, matko krzestna, ja błagam! – zawołała Anetka. – Jedźcie ze mną, z wami mi raźniej będzie i wy to zawsze wiecie, jak z ludźmi gadać, żeby się czego dowiedzieć. Ja to głupia całkiem jestem.

Słaboniowa kręciła się na swoim krześle bardzo niezadowolona.

– A gdzie mnie starej babie jechać w takie dalekie drogie, toż ja ledwo chodzę – powiedziała wreszcie.

– Godzina autobusem w jedną stronę, ja za bilety, za wszystko zapłacę i jeszcze na obiad zaproszę.

– Dzie na obiad?

– No, w mieście pójdziemy do restauracji i zjemy.

– W rystaurancji? Raz mnie Kryśka w mieście zaprowadziła do ty rystaurancji, to ja nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Ledwo łyżkę ja wziena do ręki, a już wszystkie się gapio jak sroka w gnat i już ten fircyk ze ścierko podlatuje i talerze zabiro. Już mnie takiej okoliczności wincyj nie trza.

– No to pójdziemy do baru mlecznego – powiedziała Anetka zniecierpliwiona. – A jak nie chcecie, to bułki kupimy w sklepie. Tylko jedźcie ze mną, proszę z całego serca.

– A samochodem nie można? – Słaboniowa zerknęła na Anetkę chytrze.

– Nie można. Stasiak pojechał i samochód zabrał, a Januszek czasu dzisiaj nie ma, bo na szkolenie pojechał. Z psów policyjnych tresowania. – Anetka wstała od stołu, przykucnęła przy Słaboniowej, wzięła jej sękate ręce w swoje i powiedziała: – Matko krzestna, ja was proszę na wszystkie świętości, pojedźcie ze mną. – Słaboniowa milczała. – Dla Klaudusi naszej nie pojedziecie? Nie pomożecie mnie biednej w takim nieszczęściu? – Anetka patrzyła Słaboniowej prosto w oczy.

– No, wygadana to ty się zrobiła... – burknęła Słaboniowa i chwyciła Anetkę za ramiona.
– No już, siadaj na stołku, bo wstyd.

Anetka siadła posłusznie i zapytała z nadzieją:

– I co, pojedziecie?

Słaboniowa namarszczyła się, sapnęła przez nos kilkakrotnie, ręce przyłożyła wpierw do twarzy, a potem na kolanach je złożyła i rzekła:

– Pojede, Anecia, pojede. Jak już taki los, że jechać trza, to pojede. – Słaboniowa westchnęła znowuż rozdzierająco. – No, nie bucz, dziecko, przecie pojede!

– Dziękuję, matko krzestna – wyjąkała Anetka i szybko otarła oczy rękawem płaszcza.

Podróż minęła im szybko. Anetka zerkała ukradkiem na Słaboniową, która z mieszaniną onieśmielenia i ciekawości wyglądała przez brudne okno autobusu. Owinięta szczelnie wełnianą chustą i z laską leszczynową, którą mocno ścisnęła w powykrzywianych palcach, wyglądała trochę jak z innego, starego świata, który już dawno przeminął. Teraz na wsi nawet stare kobiety ubierały się zimą w płaszcze, a na głowę zakładały wełniane berety, zamiast kolorowej chusty.

– Zdejmijcie tę chustkę, bo się zagrzejecie – powiedziała Anetka.

Słaboniowa spojrzała na nią zezem, wzruszyła ramionami, odwróciła się z powrotem do okna i spytała tylko:

– A daleko trza iść od przystanku?

– Niedaleko. Kawalek za miastem wysiadziemy i stamtąd już blisko będzie.

Słaboniowa pokiwała głową i zamilkła na powrót.

I oto stanęły przed drewnianymi drzwiami, w których tkwiło małe, zakratowane okienko, zaślepione klapką. Anetka pociągnęła za sznur od dzwonka. Zadzwoił głośno i po chwili klapka odsunęła się, a przez okienko wyjrzała twarz okolona ciasno białym welonem i zmierzyla surowym wzrokiem chudą kobietę odzianą w czarny płaszcz i stojącą obok starowinkę zakutaną w szarą, wełnianą chustę. Anetka odchrząknęła i powiedziała:

– Ja do matki przełożonej, na dzisiaj byłam umówiona.

Zakonnica przyjrzała się im bez słowa i wreszcie niechętnie otworzyła drzwi. Znalazły się na dużym dziedzińcu, otoczonym podcieniami wspartymi na białych kolumnach. Siostra poszła przodem, nadal milcząc, a Anetka ze Słaboniową podreptały za nią potulnie po kamiennych płytach dziedzińca. Ich kroki brzmiały donośnie w panującej tutaj ciszy, której nie przerywały żadne inne dźwięki: nikt nie rozmawiał, nikt nie przebiegł kruzgankiem. Zdawało się, że klasztor jest zupełnie pusty.

Zakonnica poprowadziła je przez kolejne drzwi, a potem zimnym, ciemnym korytarzem o wysokim sklepieniu, wzdłuż rzędów identycznych, zamkniętych drzwi, spoza których nie było słycać żadnego głosu. Zatrzymała się przed jednymi z nich i zapukała. Ze środka dobiegło niewyraźne „Proszę” i zakonnica zniknęła za drzwiami, zamykając je za sobą starannie. Po dłuższej chwili wyszła, gestem zaprosiła kobiety do wnętrza i zniknęła w czeluściach korytarza.

Gabinet matki przełożonej był wysoką komnatą o wąskich oknach, nieprzepuszczających zbyt wiele światła. Pomieszczenie rozjaśniały nieco kinkiety umieszczone wysoko na ścianach i mała lampka stojąca na wielkim, dębowym biurku. Obok lampki stał czarny aparat telefoniczny

pamiętający zamierzchłe czasy i komputer z płaskim ekranem.

Matka przełożona wstała zza biurka, ukrywając dłonie pod szkaplerzem. Była to korpulentna kobieta, posunięta już w latach. Jej okrągła twarz o małych, bystrych oczach wylewała się z okalającej ją szczerlnie białej chusty zakrywającej czoło i podbródek. Na jej piersi wisiał wielki drewniany krzyż. Zakonnica stała nieruchomo, jakby na coś czekając. Anetka drgnęła lekko i pospiesznie po wiedziała:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków, amen – odparła matka przełożona, spojrzała podejrzliwie na Słaboniową i rzekła oskarżycielsko: – Nie wspominała pani, że przyjedzie w towarzystwie.

– To moja matka krzestna – powiedziała Anetka, jękając się lekko. – Nie chciałam sama jechać w tak poważnej sprawie.

Zakonnica pokręciła głową z dezaprobatą i siadła za biurkiem.

– Proszę usiąść – powiedziała sucho, wskazując krzesło stojące naprzeciw niej. Słaboniowa usiadła z cichym stęknieniem, a Anetka stanęła obok niej, nerwowo skubiąc pasek od torebki. – Chciała się pani widzieć z siostrą Augustyną – stwierdziła surowo matka przełożona.

– Tak – szepnęła Anetka.

– Słucham? – zakonnica uniosła brwi. Anetka odchrząknęła i powiedziała tym razem za głośno:

– Tak!

Zakonnica splotła ręce i oparła ja na blacie, świdrując Anetkę swoimi okrągłymi oczami.

– Na pewno zdaje sobie pani sprawę z tego, że nasz klasztor jest klasztorem klauzurowym. Nasze zakonnice, gdy raz przestąpią nasze progi, nigdy już ich nie opuszczają. Nie przyjmują również odwiedzających. – Tu zakonnica spojrzała znacząco na Anetkę. – Dla siostry Augustyny uczyniliśmy wyjątek, gdyż jej powołaniem było nauczanie w szkole. Dostała więc zezwolenie na opuszczenie klasztoru i spełnienie swojego obowiązku względem zewnętrznego świata, a na chwałę naszego Pana. Swoje nauczycielskie powinności wykonywała godnie i starannie, dbając należycie o rozwój powierzonych jej dziewcząt i wychowanie ich w bojaźni bożej oraz wpajając im moralne zasady zgodne z chrześcijańskimi naukami. – Matka przełożona wstała i poczęła krążyć po komnacie wolnym, posuwistym krokiem. – Dwa miesiące temu siostra Augustyna wróciła do nas w bardzo złym stanie psychicznym i złożyła śluby milczenia. Niedługo potem dostała udaru, który spowodował u niej jednostronny paraliż. Nadspodziewanie szybko doszła do siebie, ale lekarze niewiele więcej mogli zrobić i siostra Augustyna przebywa teraz stale w swojej celi, nie utrzymując kontaktu ze światem. – Matka przełożona stanęła za plecami Anetki, która nie śmiała odwrócić się w jej stronę i ciągnęła dalej: – Musi pani wiedzieć, że jestem zdecydowanie przeciwna temu spotkaniu. Ale mając na względzie nieszczęście, które panią dotknęło, rozważyłam pani prośbę. Zapytałam siostrę Augustynę, czy wyraża chęć

widzenia się z panią, i ku mojemu zdziwieniu zgodziła się. W warunkach wyższej konieczności również nie mogłam się temu sprzeciwić. Jednak osobiście nie spodziewam się, żeby siostra Augustyna mogła udzielić pani jakichkolwiek przydatnych informacji. Trzeba również pamiętać o tym, że nadal obowiązują ją śluby milczenia, które złożyła przed Bogiem i choć wyjątkowo dostała pozwolenie na przerwanie ich w dniu dzisiejszym, tylko od niej zależy, czy zechce to uczynić właśnie dla pani. – Zakonnica stanęła przed Anetką i popatrzyła jej w oczy. – Ze swej strony bardzo proszę, żeby to spotkanie było krótkie, ze względu na stan siostry Augustyny. Wszystkie bardzo się o nią martwimy i modlimy się o jej szybki powrót do zdrowia. – Matka przełożona ruszyła w stronę drzwi. – Proszę za mną – poleciła, nie odwracając głowy.

Anetka i Słaboniowa popatrzały po sobie i poszły za zakonnica. Poprowadziła je wzdłuż podcieni okalających dziedziniec. Szare, zimowe światło przeciskało się pomiędzy grubymi kolumnami, ledwie wydobywając z mroku postać kroczącej przed nimi matki przełożonej. W końcu korytarza zamajaczyła nagle jakaś drobna postać. Była to malutka zakonnica, postury dziecka raczej niż dorosłego człowieka. Szła powoli w ich stronę, jedną ręką opierając się o ścianę, a drugą wspierając się na drewnianej lasce. Gdy zrównała się z nimi, wyszeptała nieoczekiwanie bezzębnymi ustami.

– Teofila?

Słaboniowa stanęła jak wryta i przyjrzała się lepiej zakownicy. Była to staruszcza o pomarszczonej twarzy i oczach przykrytych bielmem. Zakonnica podeszła do Słaboniowej, wyciągnęła drobną dłoń w kierunku jej twarzy i poczęła wodzić palcami po czole Słaboniowej, po jej policzkach i brodzie.

– Teofila – szepnęła zakonnica i uśmiechnęła się, ukazując różowe dziąsła. – Ileż to lat temu ty do nas przyszedłaś o schronienie prosić? – Słaboniowa stała w milczeniu, pochylając głowę ku staruszce, która chwyciła ją za rękę i mówiła głosem łagodnym i szeleszczącym jak liście na wietrze: – Jak tu przyszedłaś, to jakie czternaście lat miałaś, a ja wtenczas też jakie czternaście lat miałam. Teraz ja już się gotuję na spotkanie z Bogiem w niebiesiech, a ty żwawa jeszcze jesteś, bystra, chodzić możesz. Ja tu całe życie spędziłam, odkąd mnie rodzice do sióstr dali na wychowanie, i tak tu już zostałam, służąc Bogu modlitwą i pracą. Nie znam świata za murami, a ty wtenczas stamtąd przyszedłaś zabiedzona, wychudzona, w tej jednej dziurawej kapocie, do skóry ostrzyżona. Siostry nie pytały o nic, odkarmiły cię i przyjęły do pracy. Sprzątałaś, prałaś i nigdy nie mówiłaś, co cię do nas przygnało, ale dobra była z ciebie dziewczyna, pracowita i wesoła. Rok nawet nie minął, jak wróciłaś do wielkiego świata... – Zakonnica zamilkła i uśmiech zniknął z jej twarzy. – I zeszedłaś z prawej drogi. Powiedz, Teofila, spokojna jest twoja dusza? Warto było Złemu się oddać, żeby zemsty dokonać?

– Nie – odrzekła Słaboniowa cicho. – Znam swoje winy, ale nie na ludzki sąd czekam...

– Sostro Cecyljo! – przerwała im matka przełożona. – Czemu siostra sama z celi wyszła?

Stara zakonnica ścisnęła mocno rękę Słaboniowej i szepnęła:

– Będę się za ciebie modlić.

– Dziękuję – rzekła Słaboniowa i łagodnie uwolniła rękę z uścisku siostry Cecylii.

Matka przełożona otworzyła któreś drzwi i dało się słyszeć jej wysoki, nieznoszący sprzeciwu głos:

– Siostrze, proszę odprowadzić siostrę Cecylię do jej celi. Staruszka ma dzisiaj gorszy dzień.

Z drzwi wyszła młoda siostrzyczka, ujęła siostrę Cecylię pod ramię i powoli poprowadziła ją w głąb korytarza.

– To nasza najstarsza siostra w zgromadzeniu – wyjaśniła matka przełożona. – Kiedyś nawet przełożoną tu była, ale już dawno przekroczyła setkę, nie widzi, ledwo co słyszy i ciągle jakieś duchy z przeszłości spotyka. Proszę wybaczyć staruszce. Ale chodźmy, chodźmy! – ponagliła.

Przeszły długimi korytarzami i wreszcie znalazły się w klasztornej rozmównicy. Matka przełożona zapaliła światło i zostawiła kobiety same.

Pokój był przedzielony drewnianą kratą, a po jej obu stronach ustawiono po jednym krześle. Słaboniowa usiadła, a Anetka stanęła obok niej. Po chwili drzwi po drugiej stronie kraty otworzyły się i pojawiła się w nich znana im już ponura siostra furtianka, prowadząc ze sobą siostrę Augustynę. Siostra Augustyna okazała się niespodziewanie wysoka i chuda. Powłóczyła prawą nogą, a prawa ręka zwisała bezwładnie u jej boku. Siostra furtianka pomogła jej usiąść, schowała bezwładną rękę pod szkaplerz i stanęła w kącie jakby na straży.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała Anetka.

Siostra Augustyna z trudem skinęła głową i lewą ręką uczyniła na piersi znak krzyża. Prawy kącik jej ust opadał, ukazując dolne, długie zęby, a powieka niemal całkowicie przykrywała prawe oko. Lewe zaś patrzyło spod namarszczonej brwi uważnie, przenikliwie i niemal groźnie, co przyprawilo Anetkę o gęsią skórkę.

– Dziękuję, że siostra chciała się ze mną widzieć. Ja jestem matką Klaudii, pamięta ją siostra? – Siostra Augustyna skinęła głową i spochmurniała jeszcze bardziej. – Siostra wie, że Klaudusia zaginęła więcej jak dwa miesiące temu i słuch o niej zaginął. – Siostrę przyglądała się Anetce w milczeniu, a potem przeniosła wzrok na Słaboniową. – To moja matka krzestna – pospieszyła z wyjaśnieniem Anetka. – Sama nie chciałam jechać w tak poważnej sprawie. Rażniej tak z kimś... – Próbowała się uśmiechnąć, ale wyraz twarzy siostry Augustyny skutecznie odwiódł ją od tego zamiaru. – No i my przyjechałyśmy zapytać, czy czego siostra nie wie o tym Klaudusi zaginięciu. – Siostra powoli pokręciła głową. Anetka westchnęła, przełknęła ślinę i powiedziała: – Mój brat, Janusz, jest policjantem. Podobno rozmawiał z siostrą i siostra powiedziała... – Anetka odchrząknęła głośno. – Że Klaudusia przynosi nieszczęście i śmierć i że dobrze, że jej ta ziemia święcona więcej nie nosi. – Zakonnica siedziała bez ruchu i wpatrywała się w kobiety swoim lewym okiem. – Dlaczego siostra tak powiedziała? – spytała Anetka błagalnie. – Co siostra takiego wie o Klaudusi?

Siostra Augustyna ruchem ręki przywołała siostrę furtiankę i pokazała spierzchnięte wargi. Furtianka niechętnie wyszła, co i raz oglądając się za siebie. Gdy zakonnica wyszła, siostra Augustyna błyskawicznym ruchem wyciągnęła z rękawa mały pakunczek owinięty w kawałek pakowego papieru i przepchnęła przez drewnianą kratę. Zawiniątko upadło na blat tuż przed Słaboniową. Stara szybko chwyciła paczuszkę i schowała pod swoją wełnianą chustę, na co Anetka patrzyła w najwyższym osłupieniu. Gdy siostra furtianka wróciła ze szklanką wody, siostra Augustyna dała znak, że spotkanie uważa za skończone. Furtianka popatrzyła podejrzliwie na kobiety po drugiej stronie kraty, ale nic nie mogąc wywnioskować z ich zachowania, pomogła siostrze Augustynie wstać i wyprowadziła ją z rozmównicy.

Gdy szły na autobus, Anetka zawołała niecierpliwie:

– Pokażcie, co ona wam dała!

– Jak do domu zajedziem – rzekła twardo Słaboniowa i dodała: – Wczoraj żem kartofli nagotowała, to zjemy w domu ze zsiadłym mlekiem.

– A ta siostra Cecylia to co wam tam gadała? Znacie ją? – dopytywała Anetka.

– A to już, Anecia, nie twoja sprawa – odpowiedziała Słaboniowa.

Dalej Anetka dreptała w milczeniu obok swojej matki krzestnej, która z miną ponurą, a zaciętą szła przed siebie nadzwyczaj jak na nią dziarskim krokiem.

Gdy zajechały do wsi, ciemno już się robiło. W chałupie Słaboniowa podłożyła do pieca i z głośnym westchnięciem siadła przy stole.

– Nałóż tam, Anecia, na patelkę kartofli z garczka i zagrzej trochu. Ja mleka zara naleje.

Jadły w milczeniu. Słaboniowa z ponurym wzrokiem wbitym w talerz, a Anetka coraz to popatrywała na starą niepewnie, dziabiąc swoje kartofle, które jakoś przez gardło jej przejść nie chciały.

– Jak, Anecia, jeść nie będziesz, to słabować zaczniesz i tyła z tego będzie – burknęła Słaboniowa, patrząc na prawie nietknięty talerz stojący przed Anetką.

– Oj, bo mnie w niepewności trzymacie... – powiedziała Anetka.

Słaboniowa westchnęła znowuż ciężko i wzięła w ręce pakunek od siostry Augustyny. Zważyła go, przymknęła na chwilę oczy i pokręciła głową wielce niezadowolona.

– Złym czuć – mruknęła pod nosem i drżącymi dłońmi rozwinęła paczuszkę.

Na stół wypadła mała szmaciana laleczka zszyta zgrabnie ze skrawków żółtego materiału w czerwone kwiatki. Do głowy miała przypięty kosmyk brązowych, prostych włosów, a do pękatej ręki przywiązany był nitką mały woreczek. Słaboniowa otworzyła go i wysypała ze środka kilka obciętych paznokci. W zawiniątku mieściła się również wielka, groszowa igła

i złożona na pół kartka papieru.

– Coż to jest? – wyszeptwała Anetka zbielełymi wargami.

– To je, Anecia, narzędzie praktyk magicznych. Gadajo na to wudu, co z czarnego ładu przyszło. Z Afryki znaczy się.

– Widziałam w telewizji kiedyś taki film – przypomniała sobie Anetka – Amerykański, bardzo ciekawy, i tam jedna taka służąca chciała zabić żonę swojego pracodawcy, żeby się za niego wydać i przejąć jego dom i majątek. I zrobiła taką laleczkę, że to niby ta żona miała być, i wbijała w nią igły, i tę żonę a to ręka bolała, a to głowa, i na końcu umarła. No i potem ta służąca wydała się za tego męża, i potem jego też taką laleczką zabiła. I wszystko na nią przeszło, cały dom i wszystkie bogactwa. A potem dzieci tego męża i żony odkryły, że to ta służąca, co teraz już się pięknie ubierała i była ich macochą, i też zrobiły taką laleczkę, i ją zabiły, i cały majątek dostały. Czyli sprawiedliwość jest na tym świecie – Anetka zakończyła swoją opowieść bardzo przejęta.

Słaboniowa popatrzała na nią, podnosząc wysoko brwi.

– Ja tam nie wim... – rzekła wreszcie. – Ale wim, że to złe praktyki sum i trza się z dyjabłem zadać, żeb takie sztuczki magiczne czynić.

– Ciekawe, kto tę laleczkę zrobił i kogo chciał ukrzywdzić? – zaczęła się zastanawiać Anetka. – I skąd ją ta zakonnica wzięła. Toż przecież zakonnice takich rzeczy chyba nie powinny się dotykać, bo to zupełnie nie po chrześcijańsku...

– Niby nie – Słaboniowa wzruszyła ramionami. – Ale bo kto jo tam wi, tę siostrę Augustynę.

Słaboniowa rozwinęła kartkę, na której coś było wypisane drżącymi, kulfonowatymi literami, jakby dziecko dopiero co uczyło się pisać.

– I co tam napisane? – Anetka wyciągnęła szyję w wielkiej niecierpliwości.

– Gadajo, co ciekawość pirszy stopień do piekła – burknęła Słaboniowa i podała kartkę Anetce. – Masz, Anecia, czytaj, bo z daleka dobrze widzę, ale do czytania to już oczów ni mam.

Anetka wzięła list w drżące ręce i poczęła powoli czytać niewyraźne pismo.

– „Znalazłam to w pokoju u Klaudii i Inezy...”

– A coż to za imię, Ineza? – zdziwiła się Słaboniowa.

– A bo to teraz tak te dzieci nazywają. W Kwasówce to podobnież jednego dzieciaka nazwali jakoś tak Brajan czy coś... Podobnież jakimś piosenkarzowi z zagranicy tak było.

– A bo to nie ma normalnych imion na świecie, jak Marianna alibo Stanisław? – zapytała

Słaboniowa.

– Nie wiem, matko krzestna – powiedziała Anetka zniecierpliwiona. – Ta Ineza to chyba ta koleżanka, co z Klaudusią razem zginęła. – Anetka przełknęła ślinę. – „Znalazłam to w pokoju u Klaudii i Inezy”. To ona pisze, że tę laleczkę u nich znalazła? A co one niby miały z tym robić? – zachnęła się Anetka i czytała dalej. – „To one Martę doprowadziły do ciężkiej choroby i życie jej złamały”. Jaką znowuż Martę? A, coś mi kiedyś Klaudusia pisała w liście, że mieszka w pokoju z Martą i że to miła dziewczyna i dobrze się uczy, to dlaczego ją miały niby do choroby doprowadzać? „Mają złe skłonności i nie znają chrześcijańskiej moralności. I mnie też ku zgubie przyprowadzą. Siostra Augustyna”. – Anetka położyła kartkę na stole i chlipnęła. – Że niby moja Klaudusia ma złe skłonności? Że moralności nie ma? To na pewno tamta druga, ta Ineza ją do złego namówiła.

– Może i tak... – powiedziała Słaboniowa. – Ale coś mi się widzi, że bardzo to Klaudusi namawiać do złego nie trza było.

– Ale, matko krzestna, jak tak możecie mówić? Toż nie znacie mojej Klaudusi? Zawsze była grzeczna, pobożna, dobrze się uczyła...

– Dopokąd jej dyjabeł nie opętał.

– Ale bo to jej wina? Ksiądz Baryton gadał, że właśnie diabeł to tych najbardziej pobożnych chce dla siebie zwabić, tych, co się najwięcej modlą, bo takie dusze pobożne to najcenniejsze dla piekielnych czeluści. A poza tym to przecież diabła wygoniliście i potem już Klaudusia grzeczna bardzo była i siostry na nią w szkole wcale nie narzekały, a nachwalić się nie mogły. I w listach nic nie pisała, że coś złego się dzieje. Toż matce by napisała...

– Może ty wszystkiego o Klaudusi nie wiedziała, Anecia? Może ona ci w listach pisała to, co ty czytać chciała, a nie jak naprawdę było?

Anetka załamała ręce.

– Nie wierzę, że moja Klaudusia mogła coś takiego... – popatrzała z przestraszeniem na laleczkę. – To na pewno ta Ineza. Albo tej siostrze Augustynie coś się pomieszało. Toż ona po tym wylewie, to może coś jej się w głowie narobiło... Zresztą przecież to całe wudu to bajki i na pewno to wszystko nieprawda.

Słaboniowa popatrzała w okno.

– Sum, Anecia, na tem świecie takie rzeczy złe, że człowiek tego ludzkim rozumem ogarnąć nie zdoła. – Słaboniowa zawinęła laleczkę na powrót w papier razem z listem od siostry Augustyny. – Powiedz ty mnie, Anecia, miała Klaudusia jako koleżankę tutaj w chmielowskiej szkole? Tako od serca, jako to gadajo?

– No, niby miała. Z Gretą Łobaszuków się przyjaźniła. Byłam u nich zaraz, jak Klaudusia zginęła, i pytałam, czy co wie, ale nic nie wiedziała. Mówiła, że listy sobie pisały, ale nic tam nie było takiego, żeby to zaginięcie wytłumaczyć.

– Anecia, weź ty idź znowuż do Łobaszuków i zabier od tej Greta te listy, co jej Klaudusia pisała.

Anetka popatrzała na Słaboniową spode łba.

– A co tam może być w tych listach takiego? Jak to sobie nastolatki piszą, że się zakochały w nauczycielu albo inne takie...

– Jak nie przeczytasz, to wiedzieć nie bedziesz – rzekła Słaboniowa, nadal posepnie patrząc w okno, za którym ciemność już tylko była nieprzenikniona.

I oto któregoś dnia do chałupy Słaboniowej wpadła Anetka bardzo czymś przejęta. Z kieszeni płaszcza poczęła wyjmować listy w różowych kopertach i położyła je w dwóch stosikach na stole, po czym usiadła ciężko na krześle i popatrzała bezradnie na Słaboniową. Słaboniowa zaś spoglądała pytająco to na Anetkę, to na listy rozsypane na stole.

– Coż ci to, Anecia?

– Byłam u Łobaszuków, jak mówiliście. Przy rodzicach Greta nic gadać nie chciała, ale ją wzięłam na spytki i powiedziałam, że jak mi da te listy, to nic matce i ojcu nie powiem, nawet jak coś tam będzie złego. No i dała... – Anetka westchnęła. – Dwa dni myślałam, czy je przeczytać, ale sama nie mogłam. Przy was rażniej będzie, jak co straszego z tych listów się okaże.

Słaboniowa popatrzała na Anetkę poważnie.

– A co ma być złego? Toż czytaj, Anecia, czytaj, bać się nie ma czego.

– Do mnie zawsze ładnie i grzecznie pisała. Tutaj w liście z zeszłego roku pisze tak: „Kochana mammo, u mnie wszystko dobrze. W pokoju mam fajne koleżanki, zwłaszcza Marta jest bardzo sympatyczna i dobrze się uczy. Mamy tu dużo zajęć, dużo się modlimy, a siostry są dla nas bardzo dobre. Najlepiej idzie mi polski i historia, ale i z innych przedmiotów jestem niezła. Mammo, przyślij mi, proszę, przekaz z pieniędzmi, bo za tydzień jedziemy na wycieczkę do Lichenia, to przywiozę wam jakieś pamiątki, jak będę w domu następnym razem. Mam nadzieję, że u was wszystko dobrze. Całuję Cię mocno i prześlij ucałowania dla Babci i Martusi, i wujka Januszka, i Franka, i dla Ojca. Kochająca Klaudia” – Anetka siąknęła nosem.

– No, ładnie pisze – powiedziała Słaboniowa. – I czegoż tu płakać?

– A bo to takie kochane dziecko zawsze było i o rodzinę dbające... – Anetka drżącymi rękami wyjęła list z różowej koperty.

– A tu jest list do Greta tego samego dnia wysłany co do mnie. Pewnie na pocztę chodziła i wszystkie listy razem wysyłała. – Anetka wysmarkała się i zaczęła czytać: „Kochana Greto. Nie ma gorszego miejsca niż internat i szkoła prowadzona przez zakonnice. Matce i ojcu nigdy nie wybaczę, że mnie tu przysłali. Nienawidzę ich”. – Anetka przerwała na chwilę i spojrzała na Słaboniową niepewnie.

– No, czytaj, Anecia, czytaj – ponagliła ją Słaboniowa. – Co napisane, to napisane, nie odwróci się, a może się czego wywiemy.

Anetka czytała dalej, coraz częściej pociągając nosem: „Wszystko jest tutaj na dzwonek. Wstajemy na dzwonek, jemy na dzwonek i modlimy się na dzwonek. Msza jest codziennie rano i nie wyobrażasz sobie, jakie to nudne codziennie wysłuchiwać tych nudów, co je nasz tłusty ksiądz wygłasza. Żeby jakoś wytrzymać, wyobrażam sobie, że jestem królową, którą prawdziwi rodzice – król i królowa – oddali na wychowanie zwykłym ludziom. Żeby przyzwyczaiła się do życia w biedzie, wśród zwykłych ludzi. A żebym nigdy nie była dumna i żebym była grzeczna i miła, to mnie dali do zakonnice. Ale kiedyś prawdziwi rodzice przyjadą po mnie i zabiorą mnie do pięknego pałacu, i będą mnie bardzo kochali, i wtedy już cały czas będę szczęśliwa.

A potem nas jeszcze z kazania zakonnice przepytują. A jak nie pamiętamy kazania i źle odpowiadamy na pytania, to dostajemy kary. Na przykład sprzątanie w kościele albo pielienie w ogrodzie, albo obieranie kartofli w kuchni. Wyobraź sobie obieranie kartofli dla dwustu dziewczyn! No, oczywiście są kucharki i my im tylko pomagamy, ale nawet w domu tyłu ziemniaków nie obrałam. Mówiłam o tym mamie, ale ona mówi, że taka dyscyplina dobrze mi zrobi i że to dla mnie dobrze, że mam takie zajęcia, bo to przygotowuje do dorosłego życia, i że jak będę miała własny dom, to dopiero zobaczę, jaka to jest robota, i na zakonnice przy rodzicach złego słowa nie mogę powiedzieć. Ale ja nigdy nie będę żyła tak jak oni w tej dziurze zabitej dechami, gdzie nawet sklepu porządnego nie ma. Jeszcze czego, żebym wróciła do domu i grządki pielęła, i dawała krowom. Za karę proszę ich o pieniądze, że niby jadę na wycieczkę do Lichenia czy gdzieś, i kupuję sobie za to coś fajnego. Batoniki albo szminkę. Tutaj nie wolno się malować, ale wieczorem, jak siostry nie patrzą, malujemy się i robimy sobie pokaz mody.

Na początku drugiego semestru przyszła do nas nowa koleżanka i dali ją do naszego pokoju. Nazywa się Ineza i jest bardzo ładna. Ma czarne, długie włosy i niebieskie oczy. Jest bardzo wesoła i ciągle wymyśla jakieś żarty. Na przykład kiedyś w klasie wylała siostrze Anzelmie kisiel na krzesło. Żebyś widziała minę siostry Anzelmy, jak na tym usiadła. Strasznie się wściekła i za karę przez całą lekcję wszystkie klęczałyśmy na korytarzu z rękami w górze, a Ineza potem mówiła, że to nie jej wina, że siostra Anzelma ma kisiel w majtkach”. – Anetka zaczerwieniła się po cebulki włosów, ale czytała dalej: – „Czasem nie bardzo wiem, o co jej chodzi, ale i tak jest fajnie. Albo przewiesza do góry nogami krzyżyk, co wisi w pokoju na ścianie, i mówi siostrze, co sprawdza wieczorem obecność, że to diabelska sprawa i że internat jest nawiedzony. Ineza jest bardzo wygadana i siostra nigdy nie wie, co jej odpowiedzieć”.

– Jezu kochany, toż to jakaś szatanistka! – zawołała Anetka i czytała dalej: – „Z Inezą jest fajnie, bo zawsze wieczorem, po dzwonku na ciszą nocną rozmawiamy sobie o różnych rzeczach i opowiadamy sobie straszne historie. A co u ciebie? Całuję mocno. Klaudia”.

Anetka skończyła czytać całkiem czerwona na twarzy, starannie złożyła kartkę i włożyła ją do różowej koperty.

– Wiedziałam, że to ta Ineza moją Klaudusię na złą drogę sprowadza – powiedziała, nie patrząc na Słaboniową.

– Żeb kogo na zło drogę sprowadzić, to grunt żyzny być musi – rzekła Słaboniowa. Anetka wzruszyła ramionami i otworzyła następną kopertę.

– Dalej Klaudusia tak do mnie pisze: „Kochana Mamo, fajnie, że podobają się wam święte obrazki, co je w Licheniu dla was kupiłam”. A jakże, że się podobały, matka to płakała, jak jej te obrazki dałam – powiedziała gorzko Anetka. – „Wycieczka była bardzo fajna i pouczająca i poczułam jeszcze bardziej, że znowu jestem bliżej Boga. W szkole wszystko dobrze, dostałam 5 z polskiego za rozprawkę i 4+ z biologii. Mamo, prześlij mi trochę więcej pieniędzy, bo muszę zapłacić za internat i na plastykę potrzebuję nowe farby plakatowe i duży blok do rysowania. Bardzo lubię plastykę, bo prowadzi ją pani Kryszczak, która jest bardzo fajna. Przyjadę za dwa tygodnie, tak jak rozmawiałyśmy przez telefon. Muszę już kończyć, bo zaraz będzie cisza nocna. Gorące całusy dla całej rodzinke. Klaudia”. – Anetka pociągnęła nosem i włożyła list do różowej koperty. – A tutaj mam list do Greta z tego samego dnia. – Anetka szybko przeleciała wzrokiem równe, okrągłe literki i zacisnęła szczęki. – Klaudusia pisze tak: „Cześć, Greta! Na wstępie mego listu dziękuję ci bardzo za długi list. Przykro mi, że ten Piotrek, w którym się kochasz, nie zwraca na Ciebie uwagi. Ineza mówi, że jak chce się kogoś poderwać, to wcale nie można mu pokazać, że ci się podoba. Musisz udawać, że go w ogóle nie zauważasz. Ineza mówi, że poderwała już w ten sposób wielu chłopaków. Ineza jest bardzo doświadczona i zna się na tym. Już w podstawówce miała chłopaka i nawet się cało wała. Ja się w nikim niekocham i jeszcze się nie całowałam”.

– Chocia tyła dobrego, że za chłopami nie lata – powiedziała Słaboniowa posępnym głosem. Anetka spojrzała na Słaboniową z wdzięcznością i czytała dalej:

– „Jakoś nie bardzo jest z kim, bo u nas w szkole nie ma chłopców, a po szkole nie ma czasu, żeby wyjść i kogoś zapoznać. Niektóre dziewczyny w czasie wolnym wychodzą po kryjomu i spotykają się z chłopakami w parku niedaleko internatu, ale Ineza mówi, że ważniejsza jest prawdziwa przyjaźń i nie warto za chłopakami latać, bo cię wykorzystają, a potem porzucą.

Miałam ostatnio straszną przygodę. Wysłałam w nocy do ubikacji i gdy wracałam, w korytarzu zgasło światło. Bardzo się przestraszyłam, było zupełnie ciemno i słyszałam czyjeś kroki i taki szelest. Słyszałam, że ktoś straszny idzie za mną i macha takimi wielkimi, czarnymi skrzydłami. Ten ktoś stanął za mną i położył mi zimną, kościstą rękę na ramieniu. Myślałam, że to śmierć, i zaczęłam strasznie głośno krzyczeć ze strachu, ale to była siostra Augustyna. Siostra Augustyna uczy matematyki i jest najgorsza ze wszystkich zakonnic w internacie. Wszystkie dziewczyny strasznie się jej boją i jak ma dyżur, to wszystkie jesteśmy bardzo grzeczne. Ona nigdy nie krzyczy, tylko tak patrzy strasznie, że ciarki chodzą po plecach. Światło zapaliło się, a siostra Augustyna popatrzyła na mnie tymi swoimi wylupiastymi oczami i bardzo cicho zapytała, czy zrobiłam coś złego, że taka jestem strachliwa. Powiedziałam, że nie, a ona powiedziała, żebym jeszcze się pomodliła, zanim się położę, bo modlitwa odgania wszelkie złe pokusy. Ineza mówi, że siostra Augustyna patrzy na mnie, jakby chciała mnie zjeść. Nie wiem, dlaczego siostra Augustyna chce mnie zjeść. To głupie, ale Ineza czasem mówi takie rzeczy, których nie rozumiem.

Pisałam ci, że mieszkamy w pokoju z taką Martą. Marta jest kujonem i nigdy nie daje ścierać na klasówkach z matmy. Nikt jej nie lubi, a ja jeszcze muszę mieszkać z nią w jednym pokoju. Ineza mówi na nią Kępka, ale nie wiem dlaczego, i robi jej różne żarty. Ostatnio

schowała jej cyrkiel, ekierkę i linijkę i Marta nie mogła zrobić wykresów na matematykę. Chodziła po całym internacie, żeby pożyczyć cyrkiel, ale nikt jej nie pożyczył, bo nikt jej nie lubi i ona też nikomu nic nie pożycza, i jest nieużyta. I Marta dostała jedynekę, a siostra Augustyna była na nią tak zła, że mówiła szeptem. Marta się tłumaczyła, że zginął jej cyrkiel, ale i tak dostała jedynekę. Dobrze jej tak, bo jest sobkiem.

Wysłałam rodzicom święte obrazki, które ciągle dostajemy od zakonnicy, że niby je kupiłam w Licheniu. Bardzo się cieszyli. Muszę już kończyć. Całuję Cię mocno i czekam na szybką odpowiedź. Klaudia”.

– Dalej pisze do mnie to samo, co zwykle, że wszystko dobrze i żeby jej przysłać pieniądze, bo musi kupić nowy mundurek do szkoły. Mundurek... – powiedziała Anetka ponuro. – Pewnie nakupiła se jakichś batoników. I że to tak własnej matce kłamała. Nie tak ją wychowałam. Zawsze jej gadałam, że kłamstwo to grzech i że prawdę trzeba mówić. – Anetka rozwinęła następną kartkę. – A tak pisze do Greta: „Cześć, Greta! nie obrażaj się na mnie, że mam nową przyjaciółkę. Ciebie dalej lubię tak samo, ale widzimy się strasznie rzadko, a Ineza mieszka ze mną w pokoju i widzę ją codziennie. Jak ostatnio byłam w domu, nie miałam czasu do ciebie zajść, bo babcia zachorowała i musiałam pomagać przy sadzeniu kapusty. A w niedzielę mieliśmy gości i nie mogłam się wyrwać. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła.

Marta jest okropna i nienawidzę jej. Bo my z Inezą czasem razem śpimy w jednym łóżku i opowiadamy sobie straszne historie o duchach i wampirach. Ineza zna strasznie dużo strasznych historii, bo uczyła się wcześniej w innej szkole, też z internatem, ale nie u zakonnicy, i tam słyszała dużo historii. Najlepsza jest historia o księciu, który mieszkał w ponurym zamczysku i zamieniał się każdej nocy w wampira i wybierał sobie jakąś dziewczinę, żeby wyssać z niej krew. Gdy pochyla się nad białą szyją dziewczycy i ma wbić w nią swoje ostre zęby, to zawsze mam dreszcze. Marta jest zazdrosna, bo z nią nie rozmawiamy i nie słyszy, o czym mówimy. I doniosła siostrze Augustynie, że my razem śpimy, i siostra nas nakryła. Była straszna chryja i za karę musiałyśmy klęczeć na korytarzu z rękami w górze, ale razem wytrzymałyśmy. A Marty nienawidzimy i Ineza wymyśliła zemstę. Schowała jej ubrania i ręcznik, gdy Marta była pod prysznicem, i Marta biegła po korytarzu na golasa, i wszystkie dziewczyny strasznie się z niej śmiały. Trzymałyśmy od środka drzwi od pokoju, żeby Marta nie mogła wejść, i ona krzyczała po drugiej stronie i płakała. Było to strasznie śmieszne. A potem przyszła siostra Anzelma i powiedziała, że jesteśmy niemoralne, i za karę musiałyśmy wysprzątać cały kościół. Siostry nie mówią rodzicom takich rzeczy, bo by wyszło, że pozwalają na takie niemoralne zachowanie i nie mogą nas upilnować. A my przecież nic złego nie robimy. Ale teraz wiem, dlaczego Ineza mówi na Martę Kępka. Naprawdę jest tam zarośnięta jak małpa”. – Anetka przerwała czytanie i westchnęła ciężko: – Już ja bym wolała, żeby ona latała za chłopakami niż to, co w tych listach pisze.

Słaboniowa siedziała w milczeniu i głaskała Mruczka, który wskoczył jej na kolana. Wreszcie powiedziała:

– Że z kuleżankom śpi, to nic złego. I ja spała z siostrami za dziecka i dobrze było. Gorzy, że mściwa je i w złości zapiekła. A ta Ineza też się jej udała... – Słaboniowa pokręciła głową.

– Szkoda gadać – jęknęła Anetka i odsunęła od siebie stosik listów. – Ja już nie mogę

dalej czytać, za ciężko.

– Czytaj, Anecia – powiedziała twardo Słaboniowa. – Trza nam wiedzieć, jak tam było, chocia ciężko tako prawdę znać o rodzonym dziecku. – I łagodniej nieco dodała: – Tera to już ni ma co, Anecia. To już przeszłe wypadki, a na to, co było, zaradzić nie możem.

– Ja wiem... – westchnęła Anetka i z ociąganiem zaczęła oglądać koperty. – O, tu list do mnie, co Klaudusia pisała niedługo przed tym, jak zniknęła. – Wyjęła list. – Pisz jak zwykle, że wszystko w porządku, że w szkole dobrze, że... O, tu pisze tak: „Ta Marta, co z nią mieszkałam w pokoju, to chyba zachorowała. Pojechała do domu na niedzielę i już potem nie wróciła. Siostra Anzelma mówi, że jakiegoś udaru dostała i leży w szpitalu w śpiączce. Strasznie mi jej żal. Siostry mówią, że już Marta do nas nie wróci. Mam nadzieję, że u was wszyscy zdrowi. Całuję mocno. Klaudia”.

Anetka zamilkła i zaczęła przeglądać resztę listów. Wyciągnęła jeden i obejrzała dokładnie ze wszystkich stron, ale nieśpieszno jej było otwierać kopertę. Siedziała tak, obracając ją w rękach. Po dłuższej chwili wyciągnęła plik kartek i powiedziała powoli:

– A to jest list do Greta z tej samej daty. Pisz tak: „Cześć, Greta! Dziękuję ci za długi list. Fajnie mieć jakieś wieści z domu. Cieszę się, że się temu Piotrkowi też podobasz i że chodzicie ze sobą. Z rodzicami to już tak jest, że nic im się nie podoba i każdy chłopak to dla nich chuligan, którego lepiej do domu nie wpuszczać. Tak mówi Ineza. Ineza mówi, że ją za to, że chodziła z chłopakiem, rodzice wysłali do zakonnicy za karę, bo chcieli, żeby się moralnie prowadziła.

Muszę ci coś strasznego napisać, ale jak komuś wygadasz, to cię znieawidzę i już nigdy nie będziemy przyjaciółkami. Pisałam ci, że mieszkamy z Inezą i z tą Martą kujonką w jednym pokoju. No i nie mogłyśmy już z nią wytrzymać. Ciągłe się czepiała, że mamy nie gadać w nocy i gasić światło, bo chciała spać. A w ogóle śmierdziało od niej jak od brudnej świni. Tak mówi Ineza. I zaczęłyśmy myśleć, jak to zrobić, żeby Marta z nami nie mieszkała i żebyśmy mieszkały tylko we dwie. I Ineza powiedziała, że ma sposób, i kazała mi uszyć (bo ja dobrze umiem szyć) taką laleczkę z resztek takiej bluzki, co już jej nie nosiłam”. – Anetka przerwała i wykrzyknęła: – Jezu kochany, toż ja tak myślałam, co mi ta laleczka od siostry Augustyny przypomina, a to z tej bluzki, co kiedyś Stasiak przywiózł Klaudusi w prezencie! Jezu kochany, co ja teraz zrobię? Że moja własna córka takie rzeczy, Jezuniu kochany! – poczęła lamentować Anetka.

– No, no, Anecia, popłacz sobie, jak taki mus – powiedziała Słaboniowa. – Ale tera już nic nie zaradzim, nic już nie zaradzim. – Słaboniowa pogładziła miękkie, kocie futerko i popatrzała na Anetkę, która skulona bujała się na krześle i płakała rzewnymi łzami nad losem swoim i nad swojej córki upadkiem. Wreszcie obtarła rękawem oczy i czytała dalej, szlochając i ciągnąc nosem niemiłosiernie:

– „A potem w nocy Ineza poszła do Marty i obcięła kosmyk jej włosów. I pokazała mi paznokcie, co je sobie Marta obcięła, i Ineza je już dawno znalazła i schowała. A potem Marta pojechała na niedzielę do domu, a my zostałyśmy w internacie. I z soboty na niedzielę o dwunastej w nocy zapaliłyśmy świeczki i postawiłyśmy dookoła, a w środku położyłyśmy tę laleczkę z tymi włosami i paznokciami. Ja myślałam, że to żarty, bo Ineza zawsze coś takiego

wymyśli i to było tylko tak dla zabawy. I Ineza kazała mi trzymać laleczkę, i wyjęła taką wielką igłę groszową, i zaczęłyśmy myśleć, co byśmy chciały, żeby się Marcie stało. Ja chciałam, żeby ją brzuch mocno rozbolał, ale Ineza powiedziała, że poboli, poboli, a potem znowu Marta do szkoły wróci i będzie to samo. No to powiedziałam, żeby nogę złamała, ale Ineza powiedziała, że jak złamie nogę, to się zrośnie i nic z tego nie wyjdzie. No to Ineza powiedziała, że wbijemy igłę w głowę tej laleczki i zobaczymy, co się stanie. Ja się trochę bałam, bo Marty nienawidzę, ale nie chciałam, żeby stało jej się coś naprawdę złego. Ale Ineza powiedziała, że nic złego się nie stanie i że to tylko takie żarty. I wtedy powiedziała, że ta laleczka reprezentuje ciało fizyczne Marty Bielak i że Marta ma już nigdy nie wrócić do tego pokoju, i wbiła igłę w głowę laleczki. I nic się takiego więcej nie stało. Posprzątałyśmy i Ineza kazała mi schować laleczkę u siebie, bo u mnie zakonnice rzadko szukają, a w rzeczach Inezy grzebią cały czas, jak jesteśmy w szkole. I w niedzielę Marta nie wróciła z domu, a w poniedziałek zostałyśmy wezwane do siostry dyrektorki i powiedziała nam, że Marta dostała w domu jakiegoś porażenia i teraz leży w śpiączce w szpitalu. I że do szkoły już nie wróci, i będziemy miały w pokoju nową koleżankę.

Ja się wtedy bardzo przestraszyłam, że to nasza wina, ale Ineza powiedziała, że to przecież była tylko zabawa i że przez takie głupoty ludzie nie wpadają w śpiączkę. Ineza się tym wcale nie przejmuje, a ja nie mogę spać w nocy, bo śnią mi się koszmary. Ciągłe mi się śni, że Ineza wbija taką wielką igłę w głowę Marty i Marta tak strasznie krzyczy i się ślini, i przestaje się ruszać. Boję się, że to myśmy zrobiły, i w ogóle od tamtej pory nie chodzę do spowiedzi. Muszę kończyć. Całuję mocno. Klaudia”.

Anetka złożyła kartki, włożyła je do koperty i poskładała wszystkie listy w porządną kupkę.

– A co tam, Anecia, leży na podłodze? – spytała Słaboniowa. Anetka podniosła list w zwykłej, białej kopercie, który widać przez nieuwagę spadł jej pod nogi.

– Jeszcze jeden list. Do Greta – powiedziała Anetka głucho. – Pisz tak: „Cześć, Greta. To mój ostatni list do ciebie. Teraz nie będę mogła pisać, bo nikt nie może wiedzieć, gdzie jestem. Uciekamy stąd razem z Inezą, bo już tutaj nie możemy wytrzymać, i Ineza mówi, że możemy zaczepić się gdzieś w mieście, bo ona ma tam wujka. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Odezwę się, jak będę mogła. Całusy. Klaudia”.

– No i masz – powiedziała Słaboniowa, zrzucając Mruczka z kolan. – Herbaty narobię, to się ciepłego napijesz, Anecia.

Anetka skinęła głową i siedziała już tylko w milczeniu, całkiem z sił opadła. Herbaty nie tknęła, patrzyła na swoje ręce bezsilnie opadłe na podolek, to znów w ciemne okno, próbując powstrzymać cisnące się pod powiekami łzy. Potem włożyła listy od Klaudusi do kieszeni płaszcza i poszła do pustego domu, zgarbiona pod ciężarem prawdy, której wcale znać nie chciała.

Gdy Anetka wyszła, Słaboniowa usiadła na łóżku i popatrzyła na kawalera z wąsem, który dumnie się prezentował u boku jasnowłosej dziewczyny w płóciennym welonie.

– I co mnie tera, Hendryk, czynić z tym dyjabelstwem, co mnie ta zakonnica dała? Toż

nie idzie wy rzucić, bo jeszcze kto znajdzie i dopiero będzie albo pies jaki wygrzebie... Chiba spalić trza czy co? A bo to ja się wyznaję na tych murzyńskich sztuczkiach? – powiedziała zniecierpliwiona do Henryka, który nic sobie z tego nie robiąc, patrzył przed siebie. – W chałupie tego trzymać nie bede bo strach. Pewnikiem moc jaka w tem siedzi, jak dziewczynę do paraliżu doprowadziło. Musi ta cała Ineza zna jakieś tajemne zaklęcia... – Słaboniowa pomyślała jeszcze chwilę i zdecydowała. – Trza mi to spalić.

Wstała, podeszła do szafy i ostrożnie wyciągnęła z dolnej półki paczuszkę owiniętą w szary papier. Nie otwierając, wrzuciła ją do pieca. Po izbie rozszedł się ostry swąd palonych włosów i paznokci. Gdy ostatnie skrawki materiału zmieniły się w pył, Słaboniowa wyjęła szufelką pozostały popiół, wsypała go do słoika i poszła na pole.

Księżyc świecił jasno, posrebrzając zagony i leszczynowe krzaki rosnące na miedzy. Słaboniowa ostatni raz popatrzała na słoik i zdecydowanym ruchem obróciła go do góry dnem. Tuman popiołu, wirując, uniósł się na wietrze i powoli zniknął w mroku. „Na mrozy idzie” – pomyślała Słaboniowa, wciągając nosem rześkie powietrze, i podreptała do chałupy.

Była druga w nocy. Klęcząc na kamiennej podłodze swojej celi, próbowała się modlić, ale zamiast słów modlitwy, przychodziły do niej tylko myśli złe i gniewne. W jej sercu poczęła rodzić się nienawiść, która zimnym ciężarem osiadła w jej piersi. Siostra Augustyna, patrząc w promień księżyca wpadający przez małe okienko, właśnie wypowiedziała wojnę jednemu, prawdziwemu wcieleniu zła, jakie poznała.



CIEMNOŚĆ

Znał tylko ciemność. Była to ciemność nieprzenikniona, w której nie rozróżniał żadnych kształtów. Nigdy nie widział nawet własnej dłoni, a gdyby ją zobaczył, nie wiedziałby, co to jest, i byłby zdziwiony, że coś tak skomplikowanego należy do niego. Mógł tylko badać swoje ciało palcami, których istnienia nie był świadom. Mógł również dotykać chropowatych powierzchni, które go otaczały. Czuł je za plecami i pod stopami. Czuł zimną, twardą uwięź, która nie pozwalała mu zbadać dokładnie miejsca, w którym przebywał. Oczywiście nie wiedział, że to, co krępuje mu ruchy, to żelazny łańcuch dla krów i że jest on przytwierdzony do potężnego haka wbitego w ceglana ścianę. Nie znał czasu, a jedynym przeczuciem jego upływu była miska czegoś, co instynktownie rozpoznał jako jedzenie potrzebne mu do przeżycia. Miska i naczynie z chłodnym napojem bez smaku i zapachu pojawiały się zawsze po jego przebudzeniu, które również nie miało dla niego żadnej wartości, bo nie miał o czym śnić. A gdy budził się ze snu, nie był pewien, czy on sam naprawdę istnieje.

Jedyne, co znał, to ciemność. Ale ciemność nie była jego wrogiem i nie wzbudzała w nim lęku. Przeciwnie – traktował ją jak coś bliskiego, co otaczało go niczym aksamitny kokon, w którym czuł się bezpiecznie. Miał też przyjaciół, jedyne istoty, jakie towarzyszyły mu w jego odosobnieniu. Były niewielkie, mieściły się w dłoni, w której buszowały bez strachu, szukając okruchów pożywienia. Były miękkie i aksamitne jak ciemność. Myślał o nich, że są jej częścią, namacalnymi cząstkami mroku, który go otaczał. Dzielił się z nimi jedzeniem i rozmawiał z nimi w jedynym języku, jaki znał. Było to ciche popiskiwanie, a czasem ostrzegawcze wizgi, gdy niechcący przygniótł je ciężarem swego ciała. Dzielił się z nimi jedzeniem, a czasem one przynosiły mu małe twarde ziarenka, które żuł długo, aż zamieniały się między jego zębami w mączną papkę.

Jedyne, czego nauczył się w swoim więzieniu, to poruszanie się w pozycji pionowej. Odkrył, że to potrafi, gdy badając rękami ścianę, uczył, że gdyby przypomniał sobie jakąś z dawna tkwiącą w nim umiejętność, mógłby zbadać, co jest wyżej. Chwytając się szpar między prostokątnymi, szorstkimi modułami, podciągał się coraz wyżej przy każdej próbie, aż poczuł, że stoi na drżących nogach, przyklejony całym ciałem do zimnej ściany. Od tej pory wielokrotnie podciągał się na rękach i stawał przy murze, a udawało mu się to coraz częściej i mógł trwać w tej pozycji coraz dłużej. Aż wreszcie uznał, że może oderwać ręce od bezpiecznej podpory i stać o własnych siłach. Wielokrotnie się przewracał, musiał opierać się na powrót o swoją ścianę i kiedyś odkrył, że łatwiej utrzymać mu równowagę, gdy wysuwa przed siebie najpierw jedną nogę, a potem drugą – na zmianę. Gdy spróbował tego pierwszy raz, przewrócił się, boleśnie rozbijając sobie głowę i obcierając do krwi obie ręce. To zatrzymało go na jakiś czas w jego staraniach. Przestał wierzyć, że podoła, i zniechęcony siedział w kucki pod ścianą, bujając się w otępieniu na boki. Jednak jedną z wrodzonych cech, jakie posiadał, a o których istnieniu nie miał pojęcia, był upór. Spróbował więc znowu naprzemiennie poruszać nogami, tym razem opierając się o ścianę. Przy którejś próbie postanowił oderwać się od swojej surowej nauczycielki i przeszedł kilka kroków. Odtąd ćwiczył swoją nową umiejętność, najczęściej jak mógł. Jego ruchy krępował krowi łańcuch, który wyznaczał mu trasę zakreślającą ćwierć koła. Gdyby umiał liczyć do siedmiu, wiedziałby, że pokonując ten odcinek, wykonuje siedem kroków. Chodził więc od ściany do ściany i sprawiało mu to niewypowiedzianą radość, równą niemal uczuciom,

jakimi darzył swoich małych, miękkich przyjaciół. Nauczył się wtedy również uczucia wdzięczności, którą żywił do ceglanej, twardej ściany za ciepłość i wyrozumiałość, jakie mu okazała.

Gdy stał już pewnie i mógł chodzić, wyciągnął ręce do góry, żeby sprawdzić, co jest jeszcze wyżej, i dotknął kolejnej ściany rozciągającej się nad jego głową. Wiedział więc, że świat składa się z trzech powierzchni: tej, na której stoi, tej, o którą opiera się dłońmi, i tej, której może dotknąć, wyciągając ręce do góry.

Ale było jeszcze coś, co nie miało kresu i czego nie mógł dotknąć. Stawał z tym twarzą w twarz, gdy odchodził jak najdalej od swojego kąta, napinał łańcuch do granic możliwości i wyciągał ręce przed siebie. Nie było tam niczego, czego mógłby dotknąć, i bardzo chciał wiedzieć, co jest dalej.

Gdy się obudził, zobaczył coś, co go przeraziło, częściowo dlatego, że pierwszy raz naprawdę coś zobaczył. Była to mianowicie jasna smuga, która padała gdzieś z góry i oświetlała mizernym światłem kawałek podłogi oraz stojącą na niej miskę. Miska stała nieco dalej niż zwykle, więc musiał wstać i podejść do niej i wtedy zauważył, że łańcuch obejmujący dotąd jego kostkę leżał bezużytecznie pod ścianą, a on mógł swobodnie się poruszać. Mimo że od tak długiego czasu o tym marzył, nie był w stanie uczynić ani jednego kroku w stronę źródła tego niespodziewanego światła. Pierwszy raz czuł strach, a był to paraliżujący strach przed nieznanym. Usiadł więc z miską na swoim posłaniu, zjadł z przyzwyczajenia jej zawartość i próbując opanować konwulsyjne drżenie całego ciała, zaczął się zastanawiać nad swoim nowym położeniem.

Przede wszystkim zobaczył, że przebywa w niewielkim, zupełnie pustym, nie licząc jego obecności, pomieszczeniu, z którego była tylko jedna droga wyjścia – kilka schodków prowadzących do prostokątnego otworu przysłoniętego ciężkimi, metalowymi drzwiami. To właśnie spoza nich padała ta niepokojąca smuga światła.

Z jednej strony bardzo chciał pójść w kierunku tego światła, a z drugiej pragnął uciec do swojego kąta, nakryć głowę płachtą, pod którą zwykle spał, i poczekać, aż światło zniknie.

Targany tymi sprzecznymi uczuciami wspiał się po schodkach, uchylił szerzej drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Świat za drzwiami był zupełnie biały i gładki, gdzieniegdzie tylko czerniały jakieś rosochate, czarne kształty, a cała ta biel była podzielona na pół grubą, ciemną, poziomą linią. Wciągnął nosem ostry, zimny powiew, który niósł ze sobą feerię dziwnych, przemieszanych ze sobą zapachów. Były to piękne zapachy, zupełnie inne od tych, które dochodziły z głębokiej dziury w podłodze, do której załatwiał swoje potrzeby. Usłyszał też dochodzący z daleka metaliczny, powtarzający się wizg i pojedyncze, jazgotliwe dźwięki, które były bardzo nieprzyjemne. Prerażony tymi doznaniem i oślepiiony wszechobecną bielą, wczuł się z powrotem do znanego sobie miejsca, usiadł na posłaniu i przykrył się płachtą.

Tkwiał tak, dysząc ciężko i popiskując cicho ze strachu, co przywołało kilkoro jego małych przyjaciół, którzy wśliznęli się do jego schronienia i tręcali delikatnie jego ręce swoimi wąsatymi pyszczkami. Ten nowy świat, który rozciągał się za drzwiami, nie miał ścian, choć dotąd myślał, że cały świat składa się ze ścian. I nie było tam również ciemności – jedynej

rzeczy, której istnienia był pewien.

Gdy po dłuższym czasie uchylił rąbek płachty, zobaczył, że znowu otacza go bezpieczny mrok. Ale ciemność sącząca się przez uchylone drzwi była inna niż ta, którą znał do tej pory. Miała inny odcień, była chłodna, pachnąca i wzywała go do siebie. Ostrożnie wygrzebał się z legowiska i podszedł do drzwi. Uchylił je i węszył, nie poczuł jednak żadnego niebezpieczeństwa. Usiadł więc w progu i wyglądał ciekawie na ten nowy, nieskończenie wielki świat pozbawiony wszelkich ograniczeń. W górze świeciły jakieś drobne punkty, które mrugały do niego. W oddali czerniała ciemna linia, która dzieliła ten świat na pół. Wyszedł na zewnątrz. Powierzchnia, na której stanął, była zimna i miękka, a jego stopy zapadły się w niej po kostki, co niepomiernie go zdziwiło. Pochylił się, dotknął jej ręką i stwierdził, że może wziąć kawałek tej dziwnej materii w rękę i zgnieść ją, co powodowało, że stawała się twarda i wilgotna. Powąchał ją, a potem polizał. Nie posiadała zapachu ani smaku, ale płyn, który z niej wyciekał, gasił pragnienie i przypominał nieco napój, który znajdował koło swego posłania po przebudzeniu. Napił się, a resztę rzucił przed siebie.

Potem pisnął cicho i na to zawołanie przez drzwi wyszły małe istotki o błyszczących, czarnych oczkach. Węszyły, poruszając szybko wąsikami, i patrzyły na niego pytająco. Wziął jedną z nich w rękę i obejrzał uważnie. Była pokryta aksamitnym, mięciutkim futerkiem, a z tyłu miała łysy, długi ogon. Zaskoczyło go, że może je zobaczyć, bo do tej pory czuł tylko ich obecność i słyszał ich głosy. Właściwie nie był pewny, czy istnieją naprawdę.

Postawił istotę przy swojej nodze i przez chwilę stał niezdecydowany. Wiedział, że nie wróci więcej do swego domu, ale nie był też pewien, co go czeka na zewnątrz. Wreszcie począł iść pochylony nisko przy ziemi w stronę dalekiej, ciemnej linii, a myszy pobiegły za nim, skacząc lekko po powierzchni miękkiej materii.

Gdy obrócił się za siebie, żeby ostatni raz spojrzeć na miejsce, w którym spędził całe życie, zobaczył, że w głębi stoi coś wielkiego i czarnego i świeci ku niemu żółtymi, prostokątnymi oczami. Przyszło mu do głowy, żeby podejść tam i obejrzeć dokładniej te świecące przedmioty, ale coś mu podpowiedziało, że lepiej będzie uciekać stąd jak najdalej.

Stara Słaboniowa siedziała w chałupie i oglądała wiadomości. Oglądała je z przyzwyczajenia, bo to, co się działo na szerokim świecie, przestało ją już interesować. Patrzyła obojętnie na czarno-białych ludzi poruszających ustami, ale dźwięk był ściszony i nie wiedziała, o czym mówią. Nie chciała wiedzieć po prawdzie. Zegar tykał ociężale, przesuając z wysiłkiem wskazówki.

Czasem zachodziła do niej Anetka. Zazwyczaj siedziała w milczeniu, popijała przyrządzoną przez Słaboniową herbatę i gapiła się w okno, za którym nic się nie zmieniało. Gałęzie starej jabłonki jak zawsze skrzypiały na wietrze, drogą przemykał z rzadka jakiś samochód lub ktoś nieśpiesznie jechał na rowerze. Czasami Anetka przybiegała zarumieniona i zaaferowana i pokazywała Słaboniowej jakieś dokumenty, gazety, ślady informacji o zaginionych, które regularnie przynosił jej Januszek. Czasami była to informacja, że ktoś widział blondynkę o ciemnych oczach w takim to a takim miejscu, o takiej a takiej porze. Ktoś dzwonił na policję, gdzieś Januszek znajdował strzępek informacji. Wszystko to były fałszywe alarmy i krótkie chwile nadziei, które szybko przemijały.

Ale zazwyczaj Anetka siedziała nieruchomo, patrzyła na drogę i czekała, że pod lasem pojawi się dziewczęca postać idąca od strony przystanku PKS. Na pewno będzie wyższa, doroślejsza, ale będzie to jej Klaudusia. A Anetka, gdy zobaczy córkę, przytuli ją mocno i nie będzie miała żalu o nic złego, co Klaudusia być może kiedyś zrobiła.

Słaboniowa towarzyszyła Anetce w tym oczekiwaniu, choć sama miała dziwne przeczucie, że Klaudusia nigdy już nie przyjdzie od strony lasu, nie przejdzie drogą obok domu Słaboniowej i nie zapuka do drzwi Anetki.

Najczęściej jednak Słaboniowa spędzała samotne wieczory, słuchając radia i wykonując proste gospodarskie czynności. Teraz też czekała na nią kamionka pełna tłustej śmietany, którą miała ubić w maselnicy, a resztę udojonego mleka miała postawić przy piecu na zsiadłe. Nagle zdała sobie sprawę, że mysie chroboty pod podłogą i na strychu ucichły, słychać było tylko ostrzegawcze, przerażone popiskiwania.

Wstawała właśnie z krzesła zdziwiona tą nagłą ciszą, gdy kątem oka dostrzegła za oknem jakąś jasną plamę. Była to twarz, brudna i porośnięta czarną szczecina. Zanim Słaboniowa zdążyła dokładniej się jej przyjrzeć, twarz zniknęła. Jedyne, co zapadło jej w pamięć, to oczy widoczne pod mierzwą splątanych, ciemnych włosów. Oczy te były głęboko osadzone i czarne jak noc, a wyzierał z nich wielki smutek i bezbrzeżna samotność.

Słaboniowa wyszła przed chałupę, ale pod oknem już nikogo nie było. Jedyne, co świadczyło o tym, że nie było to przywidzenie, to ślady bosych stóp wygniecione w puszystym śniegu. Wróciła do izby i ubijając masło, zastanawiała się, kto też może biegać po wsi boso w środku zimy.

Myszy powoli wracały do swoich zajęć, do moszczenia gniazdek i poszukiwania jedzenia. Ale w ich nerwowym popiskiwaniu dało się wyczuć jakiś niepokój, który wkroczył do ich dotąd niczym niezmażonej egzystencji.

Gdy dopadł pierwszych drzew, znowu poczuł się bezpiecznie. Przyłgął całym ciałem do szorstkiej kory jednego z nich. Była to powierzchnia zupełnie inna niż te, które znał do tej pory. Drzewo było ciepłe i żywe i przyciskając do niego twarz, słyszał, jak soki krążą w jego wnętrzu. Drzewa nie otaczały go jak ściany, które znał, każde z nich było raczej nieskończoną, obłą ścianą, którą można było obejść dookoła. Chodził wokół drzew z lubością i dotykał ich czule, witając je jako swoich nowych towarzyszy i nauczycieli.

Gdy gdzieś z góry przez rosochate gałęzie zaczęło przenikać ku niemu ciepłe, ogniście czerwone światło, wygrzebał w śniegu i w miękkim błocie norę i schował się w niej, otulony delikatnymi korzonkami i zbutwiałymi liśćmi. Przy jego ciele zaś wymościły sobie legowiska małe, aksamitne istoty.

Pierwsze dni na wolności spędził, poznając swój nowy dom. Był to dom nieskończenie wielki i bezgraniczny, pełny nieznanymi odgłosów, pohukiwań i trzasków. W nocy przemykał między drzewami podniecony nowymi doznaniem, a przed świtem wślizgiwał się do swojej nory, której śnieżno-ziemne ścianki twardniały w czasie mrozów, tworząc nad jego ciałem małą

kopułę.

Nigdy nie odczuwał zimna. Po kilku dniach spędzonych w lesie jego ciało pokrył delikatny meszek, który po jakimś czasie przemienił się w krótkie, aksamitne futro, przypominające nieco futerko towarzyszących mu małych istot.

Jego największym problemem stał się głód, który ścisnął boleśnie żołądek i nie pozwalał mu spokojnie zasnąć. Nie miał pojęcia, jak zdobyć pożywienie, bo był przyzwyczajony do miski pełnej jedzenia pojawiającej się po jego przebudzeniu. Czekał więc przez kilka dni, aż upragniona miska się pojawi, jednak nadaremnie. Małe istoty przynosiły mu czasem mączne ziarenka i okruchy jakichś innych, nieznanych mu potraw, ale mimo starań nie były zdolne wykarmić siebie i jego. Zresztą po jakimś czasie nie był w stanie przełknąć nawet tych mizernih resztek. Gdy tylko zaczynał żuć podarowane mu ziarenka, wymiotował gorzką żółcią i długo jeszcze nie mógł uspokoić zbuntowanego żołądka.

Wędrował więc po lesie w poszukiwaniu czegoś, co mógłby zjeść bez obaw, że za chwilę wszystko wyląduje w zmarzniętym śniegu. Pewnego wieczoru, zaraz po przebudzeniu wyczuł w powietrzu jakiś zapach. Był to zapach czegoś ciepłego, żywego i smakowitego. Ostrożnie wysunął głowę ze swego schronienia i rozejrzał się dookoła, przyzwyczajając wzrok do ciemności. W ostatnich dniach zauważył, że jego oczy z coraz większą łatwością przenikają nocne mroki i nawet przy zupełnie bezksiężycowej nocy widział wszystko bardzo wyraźnie.

Gdy się tak rozglądał, zobaczył niedaleko siebie jakieś nieznanne stworzenie. Było o wiele większe od jego małych przyjaciół, miało duże, brązowe oczy i długie uszy, które leżały teraz przytulone do kształtnego łebka. Stworzenie, bardzo zaambarasowane, rozgarniało pyszczkiem śnieg, zapewne w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. W pewnej chwili uniosło głowę, postawiło uszy i zaczęło węszyć, ale uspokojone znowu wróciło do swoich zajęć i wyglądało na to, że nie zdaje sobie sprawy, że ktoś je obserwuje.

Przyglądał się przez chwilę temu idealnemu stworzeniu, a potem jednym susem rzucił się w jego kierunku i wbił zęby w szyję zwierzątka, tak że nawet nie zdążyło krzyknąć ze strachu. W jego ustach wytrysnęła fontanna czegoś ciepłego i słodkiego. Ciecz miała smak i zapach niepodobny do niczego, co znał wcześniej. Była gęsta, metaliczna i przedziwnie czysta.

Gdy napił się do syta, rozerwał brzuch zwierzątka i począł jeść jego wnętrzności. Najpierw bijące jeszcze serce, potem wątrobę, nerki, płuca, a na końcu długie, ciągnące się jelita.

Gdy skończył, rzucił zewłok na śnieg. Małe istoty, które przyglądały się temu wszystkiemu w milczeniu, podeszły nieśmiało do zakrwawionego futerka i obwąchały je. Zaczęły wylizywać krople krwi zatrzymane na puszystej sierści, a potem szarpały ząbkami resztki mięsa.

Patrzył na to obojętnie. Miał takie zawroty głowy, że musiał przykucnąć na chwilę i natrzeć twarz szorstkim śniegiem. Czuł wielką radość i jednocześnie nieokreślony smutek spowodowany tym, że to, co przed chwilą było żywe, teraz leżało w śniegu uśmiercone właśnie przez niego. Małe istoty, nasycone, podeszły do niego i w otępieniu przytuliły się do jego stóp.

Pewnego mroźnego, styczniowego poranka Słaboniowa wybrała się do sklepu po chleb. Ubity, zlodowaciały śnieg pokrywał ulicę szczelną warstwą. Słaboniowa stawiała ostrożne, powolne kroki, wspierając się na swojej leszczynowej lasce. Przed jej twarzą unosił się mały obłoczek pary, który dobitnie zaświadczał, że stara jeszcze wciąż należy do świata żywych, co ją samą czasem niepomnie dziwiło. Gdy przechodziła koło domu Czarnego Jana, zauważyła, że ten stoi na środku podwórka i przygląda się czemuś w skupieniu. Weszła przez półotwartą furtkę i podeszła do niego.

– Dzień dobry.

Czarny Jan potarł dłonią nieogoloną twarz i patrząc pod nogi, rzekł zafrasowany:

– Coś mojego Murzyna zagryzło.

– Murzyna? – Słaboniowa zmarszczyła brwi.

– Ano, czarny był całkiem, to ja na niego wołał Murzyn – wyjaśnił Czarny Jan.

Słaboniowa podeszła jeszcze bliżej i zobaczyła, że na śniegu w kałuży skrzepłej krwi leży zmierzwiony kłęb sierści, w której białeły zmiażdżone kości.

– Ino łapy się zostali i trochu futra – stwierdził Czarny Jan flegmatycznie, ćmiąc popularnego. – Musi coś przyszło z lasu i zagryzło.

– To u nasz takie drapieżne bestyje żyjo, że psa z kośćcami zeżro? – zapytała Słaboniowa. Czarny Jan wrzuszył ramionami.

– Podobnież w Borku wilki sum. Ale żeb pod dom przyszli w środku wsi i psa zjedli? – Czarny Jan pokręcił głową. Potem z papierosem przyklepionym do dolnej wargi wziął szpadel, zebrał resztki Murzyna i poniósł je za stodołę.

Słaboniowa zaś, zaszępiła, poszła dalej w swoją stronę. Po obiedzie odwiedziła ją Anetka. Jak zwykle siadła przy stole i nie zdejmując płaszcza, popijała swoją herbatę.

– Gadają, że jakiegoś drapieżnika w lesie mamy.

– A coś gadał Czarny Jan, że może wilcy z Borku przyszli. Psa mu zagryźli.

– Psa? – zdziwiła się Anetka. – Bo mnie to Januszek mówił, że chłopcy ze wsi sarny rozszarpane po krzakach znajdują.

– Kłusownicy?

– No te, co sidła zastawiają. To chyba kłusownicy. – Anetka wrzuszyła ramionami. – Januszek taką robotę ma, że musi za nimi łązić i upominać. Ale bo to upomnienie da, karę zapłacą i dalej swoje robią. Ale tak gadali, że te sarny znajdują. A podobnież i jelenia wielkiego znaleźli. Szyję miał przegryzioną, brzuch rozpruty i wszystko, co ze środka, wyjedzone. A z krwi

całkiem wysuszony – opowiadała Anetka. – Ale wilki to chyba być nie mogą, bo słyszałam, że i w Borku znaleźli wilka tak samo z wyjedzonymi flakami. Toż chyba wilki swoich nie napadają.

– Chiba nie – odparła Słaboniowa. – Chiba, że jacyś strasznie głodni.

– No bo zima ostra przyszła – stwierdziła Anetka.

– Eeee... – powiedziała Słaboniowa. – Dawniej to była zima. Jak ja była młoda, to jak śniegu napadało, to nie szło z chałupy wyjść. Musiał chłop z łopato przez okno wychodzić i drogę od drzwi odgrzebywać. A zasy to wyżej płota byli.

– Toż i ja pamiętam, jak takie zasy były. Jeszcze jak Klaudusia się urodziła, to takie zasy czasem były – powiedziała Anetka i pociągnęła smutno nosem.

– A o Klaudusi co wiadomo?

– Nie – powiedziała krótko Anetka i smętnie popatrzała swoim zwyczajem przez okno na pustą, białą drogę.

Obserwował ich z daleka, gdy zaczynało zmierzchać. Byli do niego podobni. Tak jak on mieli dwie nogi, dwie ręce i okrągłą głowę, ale chodzili swobodnie w pełnym świetle i wyglądało na to, że niczego się nie boją. Wydawali z siebie dziwne, śpiewne dźwięki, dzięki którym mogli się porozumieć między sobą. Czasami zaś wydobywały się z nich serie rytmicznych odgłosów przypominające krótkie szczeknięcia. Poklepywali się wówczas po plecach i odchylali głowy do tyłu. Ich twarze były bardzo ruchliwe. Usta otwierały się szeroko, to znów rozciągały w wąską linię, której końce unosiły się do góry, to znów opadały. Powodowało to powstawanie przeróżnych grymasów, których znaczenia nie rozumiał. Były tam też włochate, czteronożne stworzenia, do których od razu poczuł niechęć, gdyż mówiły bardzo głośno i przenikliwie, wprawiając go w paniczny dygot.

Istoty do niego podobne różniły się wzrostem. Te mniejsze poruszały się szybko i zwinnie, a ich głosy były wysokie, jasne i patrzanie na nie oraz słuchanie ich sprawiało mu wielką przyjemność.

Mieszkali w budynkach, które miały w ścianach duże, przezroczyste otwory i drzwi zamykane tylko na noc. Czasem podchodził pod domostwa i patrzył, jak chodzą po jasnych pomieszczeniach oświetlonych żółtymi kulami. Obserwował, jak jedzą, rozmawiają ze sobą lub patrzą na prostokątny przedmiot, w którym poruszały się takie same istoty, tylko malutkie. Patrząc na nich, zaczął sobie zadawać pytania. Na przykład dlaczego całe dotychczasowe życie spędził w ciemnościach, przykuty do ceglanej ściany i nie mógł rozmawiać z podobnymi sobie istotami. Dlaczego nie mógł z nimi jeść i poklepywać się po plecach, wydając z siebie krótkie szczeknięcia.

Pewnego wieczoru zobaczył przez otwór w ścianie jednego z domów, jak mała, podobna do niego istota, która do tej pory poruszała się na czworakach, dźwignęła się na swoich niepewnych jeszcze, tłusciutkich nogach i zaskoczona tym niespodziewanym wydarzeniem gapiała się okrągłymi oczami na dwie duże istoty, które siedziały przy stole. Jedna z nich –

długowłosa i ładna – podbiegła do małego, wydając krótkie szczeknięcia i chwyciła go za rękę. Druga stanęła naprzeciw. Długowłosa istota delikatnie popchnęła malca, a ten stawiając niepewne kroki powędrował w stronę drugiej istoty, która również wydając z siebie serię szczeknięć, złapała go w ramiona.

Patrzył na to odrętwiały, szeroko otwartymi oczami. Gdy wrócił do swojej nory, długo nie mógł zasnąć. Myślał o tym, co zobaczył, i zaczął się zastanawiać, dlaczego jego nauka poruszania się na dwóch nogach wyglądała zupełnie inaczej. Dlaczego jego nauczycielami nie były te żywe, szczekające istoty, tylko nieruchome, zimne ściany. W ten sposób poznał nowe, zupełnie obce mu dotąd uczucie zazdrości, które po jakimś czasie zaczęło przemieniać się w dziką, płynącą z samej głębi furję.

Wszedł cicho na podwórko zasypane świecącym w blasku księżyca śniegiem. Przycupnął na chwilę przy zabudowaniach gospodarskich i z daleka obserwował miejsce, z którego tak niedawno uciekł. Serce podeszło mu do gardła na wspomnienie tego zamknięcia, które teraz wydawało mu się jakimś złym snem. Gdy kładł się o świtanie w swojej leśnej norze, śniło mu się nieraz, że tkwi samotnie i nieruchomo w zupełnych ciemnościach. W snach przeżywał wielokrotnie to uwięzienie, które zaczynał rozpoznawać jako coś niesprawiedliwego, i nie rozumiał, dlaczego spotkało go coś takiego.

Węszył chwilę, ale nie wyczuł w okolicy obecności czteronożnego, jazgoczącego stworzenia. Wiedział już, że istoty mu podobne trzymają te nieprzyjemne stwory jako ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Lubił je zabijać, mimo że śmierdziały, a smak ich krwi i łykowego mięsa był nieprzyjemny w porównaniu ze stworzeniami, które jadł w lesie.

Wspierając się na rękach, podbiegł bezszelestnie do dużego domu zbudowanego z czerwonej cegły. Przytulił się do zimnej ściany i zajrzał ostrożnie przez okno. Przy stole siedziały dwie istoty i coś jadły. Jedna była pomarszczona i tęga, a druga chuda i jakaś zasuszone. Pomarszczona mówiła coś głośno zdartym, twardym głosem, a chuda odpowiadała cicho i piskliwie. Jedyne, co zrozumiał, to słowa, które brzmiały dziwnie znajomo. „Synuś kochany”. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że już kiedyś słyszał te słowa – kojarzyły mu się z czymś ciepłym, miękkim i jasnym. Pomarszczona powtórzyła je kilkakrotnie, ale w jej ustach brzmiało ono gorzko i nieprzyjemnie. Wsłuchał się w szeleszczące odpowiedzi chudej istoty i pomyślał, że gdyby to ona powiedziała „synuś kochany”, byłoby to bliższe temu niewyraźnemu wspomnieniu, które wyłoniło się z zakamarków jego pamięci. Ale chuda istota nie powiedziała ani razu „synuś kochany”, mimo że długo wsłuchiwał się w ich rozmowę.

Siedziały przy stole oświetlonym przez marną żarówkę. Starsza powoli, w milczeniu jadła zupę, młodsza siedziała nad pełnym talerzem i obracała w palcach łyżkę.

– Podobnież psy na podwórkach zagryza – rzekła młodsza wysokim głosem, który ze zdenerwowania przechodził czasem w piskliwy falset. – Nawet i owcę rozszarpał, a u Dominików krowę w oborze z wyżartymi wnętrznościami znaleziono. Ludzie zamykają obórki, psy wpuszczają na noc do sionki, a na drzwi do domów pozakładali podwójne zamki, bo jak do krów podchodzi, to i na człowieka jeszcze się gotów rzucić.

Starsza odłożyła łyżkę na stół, popatrzyła na młodszą ciężkim wzrokiem i powiedziała:

– Głupia! Ja tobie gadała, że trza go było utopić zara po urodzeniu. Ale ty nie, że synuś kochany, że jak takiego małego zabić. I tera masz, co żeś chciała. – Na powrót zaczęła jeść swoją zupę i burczała przy tym pod nosem. – Nigdy matki nie posłucha. Z cyganami się wpierw puszcza, bękarta bez ślubu majstruje i że synuś kochany. Synuś, co już z brzucha wylazł z zębiskami jak u strzygi. Ja ci gadała, że takie ścierwo to lepi zabić jak małe.

Młodsza spuściła głowę.

– To dziecko moje przecież. Jak ja mogła zabić? – powiedziała cicho.

– Ty nie musiała. Ja ci gadała, że weznę sama, pójdę nad staw i utopię jak kociaka. Ale ty tak prosiła i lzy lała, że ja się ulitowałam i pozwoliłam go w piwniczce trzymać. I to tyli lat! Ze szesnaście będzie na nasze nieszczęście. – Starsza odstawiła talerz do zlewu. – A jak ty tera poszła po rozum do głowy, to un wzium i dał dyla.

– Toż my go zadusiły. Nie dychał wcale. Jakże mógł uciec? – młodsza podniosła na starszą błagalny wzrok.

– Ech, głupia ty, głupia! – zawołała stara kobieta zdartym głosem i uderzyła pięścią w stół. – Nic ty wyrozumieć nie umiesz, co ci stara baba gada. Już ja widziała te potworki, co nieraz po wsiach rodziły się. Dwie głowy miały albo bez nogów wcale. Wszystko to dyjabelskie nasienie, co z ludzkiej chuci wychodzi i na życie pośród ludzi nie zasługuje. A tyn, jak ty go urodziła, to ja od razu widziała, że to jakieś nienormalne. Dzieci z zębiskami się nie rodzo, tak to jeszcze nie bywało. A mnie matka gadali, że jak dziecko z zębiskami rodzi się, to strzyga jaka być musi i trza takiego bez namysłu zabić.

Młodsza wzdrygnęła się nagle i popatrzyła w stronę okna.

– Coś pod domem chodzi – szepnęła zbielełymi wargami.

– A tam, chodzi! – burknęła starsza. – Toż ja ci gadała, że jak takiego strzygonia źle ubijesz, to un żyć dalej może, bo ma dwa serca i dwie dusze. Jak jedną ubijesz, to druga zostaje. Ja ci gadała, że trza kołek osinowy...

– Mama przestanie! – krzyknęła młodsza. – Ja bym nie mogła kołka żadnego w żywego człowieka wbić.

– Toż ci gadam, że to nie człowiek! – ryknęła stara. – Duszeniem takiego ze szczędem nie ubijesz. Ale żeś się zapęrla, że bedziem dusić, bo inaczej nieludzko zabić, to tera masz!

– Jezu kochany! – poczęła lamentować młodsza. – I co teraz? Toż on po wsi grasuje, zwierzęta zabija, a to wszystko przez nas!

– Bez ciebie – poprawiła ją starsza. – Jak by ty womiotów nie dostała, to by my drzwi od piwniczki zaryglowały i by antykryst nie uciekł. I czego ty jemu łańcuch z nogi zdjęła? Może ty kciała, żeb to djablestwo uciekło, aaa? Do Jezusa Krystusa lamentów ty tera nie zanoś, bo na

boską interwencję za późno. Trza nam tera cicho siedzieć i patrzeć, co dali będzie. Toż nikt nie może wiedzieć, że to z naszej chałupy takie ścierwo wyszło.

– Mama, chodzi coś pod domem...- powiedziała znowu młodsza, nadstawiając uszu.

– Coż tam tobie znowu chodzi? – zdenerwowała się starsza. – Po głowie coś tobie chyba chodzi, boś głupia!

Nagle szyba w oknie rozprysła się, a przez ziejący zimowym chłodem otwór wpadł do kuchni jakiś czarny kształt. Był to zarośnięty gęstą sierścią stwór o długich, silnych kończynach i krępym tułowiu. Tuż pod spłaszczonym czołem w szczecinie porastającej jego twarz świeciły czarne, błyszczące oczy. Dysząc i parskając, stwór błyskawicznie wskoczył na stół i kucając niczym małpa, począł przyglądać się dwóm kobietom, które gapiły się na niego z otwartymi do krzyku ustami. Po chwili pisnął przeciągle i przez okno wbiegło do izby kilka małych, szarych myszek. Jedna po drugiej wdrapały się zgrabnie na górę po nodze od stołu i przycupnęły przy jego stopach.

– Synuś kochany – rzekł stwór powoli zgrzytliwym głosem, a z takim wysiłkiem, jakby były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział w swym życiu. Zadowolony z efektu, wyszczerzył w straszliwym grymasie podwójny rząd ostrych jak noże zębów.

I tak pewnego styczniowego poranka po wsi rozniosła się wieść straszliwa, a na ludzi padł błąd strach i widmo krwawego wampira, który czyha w jakimś ciemnym miejscu na niewinne ofiary.

Pod Gorodkiem w ceglany, stojącym na uboczu domu znaleziono ciała dwóch kobiet. Była to Marcelina Kiryłowa i jej córka – Hanna. Ciało Marceliny było całkiem rozszarpane i rozwleczone po całej kuchni. Hannę oszczędzono – miała tylko przegryzione gardło i kilka innych, powierzchownych ran. Leżały tak w kuchni przy zapalanej lampie przez kilka dni, dopóki nie znalazł ich listonosz, który przyszedł z emeryturą dla Marceliny.

Ludzie w okolicznych wsiach od razu doszli do wniosku, że musi to być ten straszliwy drapieżnik, który zagryza ich psy i zjada krowy w obórkach. Na drzwiach pojawiły się dodatkowe zamki, w progu stanęły widły i co kto miał do obrony, dzieci miały zakaz opuszczania domów po zmroku, który jak to w zimie zapadał bardzo szybko. Ludzie siedzieli w swoich domach przerażeni i gapili się bezmyślnie w telewizory. Potem kładli się do łóżek i przewracali całe noce z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Jedynym bezpiecznym czasem – przynajmniej tak im się zdawało – było te kilka godzin między wschodem a zachodem słońca. W wiejskiej szkole skrócono nawet lekcje, żeby dzieciaki nie musiały wracać po nocy do domu. Ludzie krzyczeli, że policja ich nie chroni, że powinna coś zrobić, złapać tego sukinsyna.

– No ale co ja mogę? – westchnął ciężko sierżant Garsija, zapalając papierosa. – Toż nas tylko trzech na posterunku. Niby z miasta policja przyjeżdża, ale to tylko jak jaka sprawa poważna jest, jak z tymi Kiryłami. Przecież nie będą tu przyjeżdżać do zagryzionych psów i jałówek, bo mają swoje sprawy. No i co ja mogę? – Garsija rozłożył ręce. Słaboniowa pokiwała głową i podstawiła mu pokrywkę od słoika, żeby miał gdzie popiół strzepnąć. – A poza wszystkim żadnych śladów użytecznych on nie zostawia, tylko rany gryzione i szarpane. –

Sierżant Garsija zasepił się i powiedział szeptem: – Po prawdzie to nie wiadomo, czy to człowiek, czy co innego. Narzędzi nie używa, tylko gryzie i pazurami drapie, odcisk palca tylko jeden niepełny znaleźliśmy – niby ludzki, ale i to na nic, bo w kartotekach taki nie figuruje. – Sierżant strząsnął popiół z papierosa na podłogę. – Motywu też nijakiego jak na złość nie widzę. Nic nie zginęło, więc kradzież odpada. Śladów gwałtu nie było, znaczy się motywu seksoalnego nie ma. Żadnych wrogów takie dwie kobieciny też mieć nie mogły, na zdrowy rozum. Żyły na uboczu, z nikim się nie wadziły. Ta młodsza, Kiryłowej córka, raz na tydzień jeździła do Chmielowa na zakupy i tyle. Zresztą nigdy za męża nie wyszła, chłopca żadnego nie miała, więc o zazdrość też nie idzie. Żyły sobie po cichu, rodziny tu żadnej nie miały. Nie wiem. Musi to jakiś zboczeniec, co we krwi lubi się babrać. No, takiego tu jeszcze nie mieliśmy. Słyszało się o wampirze z Radomia i jeszcze jeden był taki upośledzony, co na Śląsku kobity gwałcił ze szczególnym okrucieństwem, ale u nas to takiego jeszcze nie było. Już ludzie zaczynają gadać o wampirze z Gorodka, panika jest. – Sierżant pokręcił głową i zgasił papierosa, przydeptyjąc go butem. – A może wy co podpowiecie? – zapytał nagle z nadzieją. – Jak tu tego trupa mieliśmy za stodołą Zapasiuków, to czasem coś takiego powiedzieliście, że się w głowie jakoś rozjaśniało.

Słaboniowa uśmiechnęła się pod nosem.

– No, Mieciu, w ty sprawie to ja tobie nic nie pomogę – rzekła. – Nie na moje to głowę. Ja już stara, pomysłu nie ten, co dawniej. A ty Mieciu, do miasta nie przenosisz się?

– Gdzie... – policjant machnął ręką. – Żadnych ja tutaj sukcesów nie odnoszę. A żeby w mieście karierę robić, to osiągi trza mieć. Mam przyjaciela jednego, z wojska jeszcze, i on w mieście komendantem jest. Gadał, że może co pomoże, ale na razie nic nie pomaga. Jolka już mi głowę suszy, że w tej dziurze musi siedzieć, a mogłaby w mieście mieszkać jak pani. Ja myślał, że może co powiecie... – Garsija zmartwiony pochylił głowę.

– No, coż ja tobie mogię powiedzieć? – Słaboniowa patrzyła na sierżanta łagodnym wzrokiem. – Nic ja nie wim, nic nie widzę, nikt tu do mnie nie zachodzi, ino Anetka czasem wpadnie, ale ona to tylko o Klaudusi myśli. Co we wsi się dzieje, jej nie ciekawi. Była nawet tera i gadała, że jak kczę, to mogię u niej trochu posiedzieć, żeb ja sama nie była, ale gdzie mnie starej po obcych się włóczyć. Jak śmierć ma mnie spotkać, to w mojej chałupie.

– No tak – powiedział smutno policjant i klepnął się po udach. – To będę leciał, komu w drogę temu kopa, jak to tera gadają. Co robić...

– A zgon kto poświadczył? – spytała jeszcze Słaboniowa.

– A jak zwykle doktor Palenica. Jedyne to u nas doktor, a w mieście, zanim tu do nas przyszedł, robił za lekarza sądowego. To i tutaj robi. Dla nas tylko lepiej, bo człowiek swój, zaufany, i z miasta nie musimy wzywać do każdego zgonu. No, do widzenia i uważajcie na siebie, widły w sionce postawcie. Wiele to pewnie nie pomoże, ale zawsze to jakaś obrona... – Sierżant nałożył czapkę, podkreślił wąsa i poszedł.

– Do widzenia, do widzenia – mruknęła Słaboniowa. Gdy została sama, wpatrzyła się w zapadający za oknem zmierzch.

– Przewidział ty, Hendryk, że taka krwiożercza bestyja w naszej wsi nastanie, co litości żadnej ni ma? Toż to nie człowiek, jak ino krwi i flaków jej trza. I co my biedne pocniem? Ni ma przed takim ochrony nijakiej.

Słaboniowa zaryglowała drzwi i w sieni postawiła widły. Ale wiedziała, że jeśli ów wampir krwiożerczy na nią się zasadzi, to ratunek znikąd nie przyjdzie, a ona sama – stara już i niedołączna – takiego potwora nie przejedna.

Wieczór już był głęboki, gdy na podwórku Słaboniowa jakiś ruch usłyszała. Próbując uspokoić bijące mocno serce, zagasiła radio i leżała, nasłuchując. Jakieś skrzywienie ozwało się pod oknem i czyjeś ciche kroki ku drzwiom poczęły stąpać. Przycichły na chwilę i znowuż na zmarzniętym śniegu dało się słyszeć, jak ktoś idzie ostrożnie tuż przy domu. Słaboniowa wstała z łóżka, poszła do sieni, chwyciła mocno swoje widły i postanowiwszy nie poddawać się bez walki, odryglowała drzwi. Wycelowała broń w ciemność i ostre, żelazne zęby niechybnie dosięgłyby celu, gdyby oniemiał doktor Palenica nie uchylił się w porę.

– Jezu kochany! – wrzasnął doktor i chwycił się za pierś. – Właśnie miałem do drzwi pukać.

Słaboniowa, całkiem pobladła, odstawiła widły i ciężko dysząc, oparła się o ścianę.

– Ja myślała, że to tyn wampir pod domem się przetwiera i chciała go wziąć z zaskoczenia – wysapała. – A was co naszło, żeb po nocy pod mojo chałupo chodzić i staro babę na śmierć straszyć?

– Przepraszam was najmocniej, ale cały dzień robotę miałem, a z ważną sprawą do was przychodzę i czekać nie mogłem, bo to o życie i śmierć może iść – rzekł doktor. – Wpuściecie mnie?

– A zachodźcie, zachodźcie, skoro już taki kawał tu do mnie jechaliście. Harbaty narobię. – Słaboniowa poprowadziła doktora do izby, podłożyła dREW do pieca i nastawiła wodę. Doktor zdjął z ramienia wielką, skórzaną torbę, postawił ją ostrożnie koło krzesła i usiadł.

– Nie wiedziałem, że z was taka amazonka – uśmiechnął się z uznaniem. – Już gdyby ten cały wampir wiedział, że z tak bojowymi ludźmi będzie tu miał do czynienia, to może by taki hardy nie był.

Słaboniowa przyjęła komplement z wyraźnym zadowoleniem i postawiła przed doktorem szklankę z gorącą herbatą.

– Eee, ja stara baba, ale z różnymi już ja miała do czynienia bez tyle lat, co żyję. Ja niezwyczajna czekać jak kura na rzeź, aż mie jakie ścierwo dopadnie.

– To się chwali – rzekł doktor.

– A nie baliście się tak samemu po nocy iść, jak tu taki potwór po wsi grasuje? – spytała Słaboniowa, narzucając na ramiona wełnianą chustę.

– Samochodem przyjechałem – odparł doktor, grzejąc ręce o szklanekę z herbatą. – Ale musiałem u Kubaszków zostawić, bo na tym mrozie zapalić mi nie chciał. Pomyślałem, że po drodze na autobus do was zajdę.

– Toż tyn wampir po zmroku wyłazi i na ludzi się zasadza. Wszystkie drzwi zamykają na noc w strachu, że do nich przyjdzie. A wy tak po nocy łazicie?

– Taka robota – westchnął doktor. – Nie mogę swojej powinności zaniechać, nawet jak strach w oczy zagląda. A ten Dominików najmłodszy w takiej gorączce leży, że od rzeczy gada. Dominikowa tak mi lamentowała do słuchawki, że wyjścia nie miałem i musiałem jechać. Toż ja nie myślałem, że przyjdzie mi wracać autobusem. Cholerny grat!

– Nie mógł was Dominik odwieźć do Chmielowa alibo chociaż na PKS? – zdziwiła się Słaboniowa.

– Dominik pijany leżał, a Dominikowa bała się Krzyśka puścić ciągnikiem. Oni samochodu nie mają. Ludzie w strachu...

Słaboniowa pokręciła głową i zapytała:

– To z czym wy do mnie przyszli?

Doktor siedział chwilę w milczeniu. Wreszcie wyjął z torby wielką księgę w skórę oprawną i położył ją na stole.

– Coż to jest? – Słaboniowa podniosła brwi.

– Ja nie wiem, czy powinienem gadać o tym, bo jeszcze na wariata wyjdę, ale do kogo miałem pójść, jak nie do was? Ja wiem, że kiedyś zielarką byliście i temat sił nadprzyrodzonych nie jest wam obcy. Różne rzeczy o was gadają, że uroki, że zamawianie... Słyszałem, że zmore od sołtysów wykurzyliście... – doktor Palenica zawiesił głos i spojrzał na Słaboniową. Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– Kto tak gadał?

– Sołtysowa coś kiedyś powiedziała, jak u niej byłem. Przysięgała, bijąc się w piersi, żeście Zmore do butelki po occie złapali – doktor zaśmiał się nerwowo. – Ja jestem umysł ścisły i interesują mnie tylko racjonalne wyjaśnienia, ale może nie wszystko da się naukowo wyjaśnić na tym świecie. A może ludzie potrzebują czasem wytłumaczyć sobie to, czego nie rozumieją, nawet jeśli pachnie zabobonem?

– Ludzie różnie gadają – powiedziała Słaboniowa. – Niby w zabobony tera już wierzyć nie idzie, ale jak przyjdzie co do czego, to ratunku i u starej baby poszukają. Ja już nie takie rzeczy widziała. Czasem tak sobie dumam, że ja do innego świata zwyczajna. Jak ja była młoda, to zmore, strzygi i upiory żyły pospół z nami na tym świecie i nikomu to dziwne nie było. Tera inaczej je...

– Strzygi, powiadacie... – rzekł doktor cicho.

– Był tu u mnie Miecio i gadał, że poświadczaliście zgon u Kiryłowej.

– No, ja właśnie w tej sprawie – powiedział doktor bardzo poważnie. – Ano poświadczalem. Straszna to zbrodnia. Krew była wszędzie i po całej kuchni rozwleczone wnętrzności. Policjanci do różnych rzeczy nawykli, ale rzygali jak koty. Zresztą ja też, wstyd przyznać, a w mieście, jak lekarzem sądowym byłem, to też przecie niejedno widziałem. Smród nie do opisania. Na szczęście zimno było i zwłoki lepiej są zachowane, niż by to w lecie było. Ze starej Kiryłowej ledwo co zostało. Strzęp mięsa. – Doktor patrzył w ogień wyglądający spomiędzy fajerek. – Nie było co oglądać. Pozbieraliśmy do worka i tyle. Córki ciało lepiej zachowane i papier na sekcję zwłok można było wypisać. Sekcję trzeba było w mieście robić, bo u mnie warunków nie ma. Nie musiałem jechać, ale pojechałem, bo sprawa poważna, a poza tym miałem ja swoje przemyślenia na ten temat. – Słaboniowa słuchała w skupieniu, patrząc na doktora swoimi bystrymi oczami i tylko kiwała głową. – Wynik sekcji był taki... – Doktor wyjął paczkę papierosów i zapalił. – Rzuciłem dwadzieścia siedem lat temu, jak tu do pracy przyjechałem, ale jak człowiek coś takiego zobaczy, to ciężko nie palić. Więc wynik był taki: rany gryzione i szarpane. Pomyśleliśmy, że są to rany zadane przez wilka, z taką siłą ciało było pogryzione i pazurami poszarpane. Ale wilków u nas jak na lekarstwo, a poza tym, gdyby nawet jakiś się tutaj zabłąkał i na tyle był śmiały, żeby pod ludzkie obejścia podchodzić, to przez okno by przecież do chałupy nie wskoczył. Poza tym w śledztwie wyszło, że pod oknem były odcisnięte w śniegu ludzkie ślady. I to ktoś na boso pod chałupą Kiryłowej chodził. Z jednej więc strony ślady jak po ugryzieniach dzikiego zwierzęcia, a z drugiej ślady ludzkich stóp. Policjanci nie wiedzą, jak to wszystko do kupy zebrać. – Doktor zamyślił się. – Ale gdyby założyć, że to człowiek, który ma pazury i zęby zwierzęcia oraz nadludzką siłę, to wychodzi z tego jakaś niestworzona historia.

– Nie takie rzeczy ja widziała – rzekła Słaboniowa.

– Nie wątpię – odparł doktor. – Poza tym jeszcze jedna sprawa w czasie tej sekcji wyszła. Ta Kiryłowej córka rodziła i to na oko paręnaście lat temu. Ale dziecka nijakiego u Kiryłówny nigdy nie było i narodziny nigdzie nie zostały zarejestrowane. Mogła urodzić martwe i pochować poza rejestrem albo oddać po cichu jakiejś dalekiej rodzinie. Ludzie na wsi czasem tak robili, tym bardziej że najwyraźniej było to dziecko z nieprawego łoża, bo Hanna Kiryłówna nigdy za męża nie wyszła. A tutaj dla niezamężnej dziewczyny dziecko urodzić to wielki wstyd i hańba. Biorąc pod uwagę, że Hanna mogła mieć wtedy kilkanaście lat, mogło tak być, że ukryły z matką ciążę, a po porodzie pochowały noworodka gdzie w polu.

Doktor zgasił papierosa w podstawionej mu przez Słaboniową nakrętce od słoika i zapalił następnego.

– Teraz założmy, że dziecko urodziło się żywe. Przypuśćmy, że miały jeszcze tyle serca, że od razu go nie zabiły. Co więc miały zrobić z tym widowym dowodem hańby i powodem do wielkiego wstydu?

– Ja słyszała, że jak dawniej ludziom rodzili się kaleki alibo inne takie potworki, to

zdarzało się, że i długie lata w komórcie ich trzymali, chowając przed światem.

– No właśnie – powiedział doktor, wypuszczając kłęb dymu. – Mogło być też tak, że dziecko nie dość, że było bękartem, to jeszcze mogło być upośledzone. Dom Kiryłów stoi na uboczu, nikt tam nie chodził, tylko listonosz raz na miesiąc emeryturę Kiryłowej nosił. Żyli spokojnie i nikomu nie wadziły. Mogły gdzieś dzieciaka ukrywać przez długie lata, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Teraz druga sprawa. I to już mniej oczywista. – Doktor położył dłoń na księdze oprawnej w skórę. – Mój dziadek, Teodor Palenica, wielki miał pociąg do zjawisk nadprzyrodzonych i nieprzeciętną żyłkę badacza. Jeździł po tutejszych wsiach i wszystkie te ludowe wierzenia pieczołowicie spisywał jako pamiątkę po wiejskich zabobonach. Nie znałem go osobiście, bo zmarł przed moimi narodzinami, ale ojciec mówił, że dziadek Teodor miał niezłego hopla. Twierdził, że ponoć niejedną z tych zjaw widział osobiście. W rodzinie uchodził za wielkiego dziwaka i ekstrawaganta i nikt tych jego opowieści poważnie nie traktował. Miał też dziadek Teodor wielki talent rysowniczy i wszystkie swoje zapiski opatrywał dokładnymi ilustracjami. Ta książka to jedyna po nim pamiątka, wstydliwie ukrywana przez mojego ojca na najwyższej półce rodzinnej biblioteki, ale ja mimo mojego racjonalnego podejścia do wszelkich zjawisk, od dziecka wertowałem ją z wielką ciekawością.

Doktor otworzył księgę i ostrożnie przewrócił kilka wystrzępionych na brzegach, pożółkłych kart.

– Proszę usiąść przy mnie, to was powinno zainteresować. Jest tu i zmora, i południca, i wiele, wiele innych podobnych dziwów – zachęcił doktor. Słaboniowa przysunęła się bliżej i ciekawie oglądała strony zapisane pięknym, kaligraficznym pismem.

– „Zmora – zaczął czytać doktor. – Przedziwna ta istota kocha pławić się w księżycowych promieniach. Złośliwa jej natura każe tej zjawie siadać w nocy na ludzkiej piersi i dusić ofiarę, póki jucha się nie puści. Zmora chciwie juchę spija, a oblizuje się przy tym straszliwie, tak jej ludzka krew smakuje”. Dziadek miał skłonność do kwiecistego języka – wyjaśnił doktor i czytał dalej: – „Największą dla zmory radością jest zajeżdżanie na śmierć jakiegoś biednego konia i co poczytane za wielką nieprzystojność być może, czyni to całkiem nago, przeginając swoje przejryste jak szkło ciało w świetle księżyca”. – Doktor przewrócił kartkę. – O, tu jest ilustracja.

– Jak żywa... – sapnęła Słaboniowa, wpatrując się w piękny rysunek przedstawiający przeźroczystą kobietę na koniu na tle bardzo udatnie odwzorowanego nocnego krajobrazu. Doktor zerknął na nią i przewrócił kolejną stronę.

– A tutaj dziadek Teodor pięknie narysował warkoczyki, które zmory mają zwyczaj zaplatać na końskich grzywach. Ale ja nie o tym... – stwierdził doktor i zaczął czegoś szukać, przewracając kolejne, kruche karty. Wreszcie znalazł i począł czytać: – „Strzyga. Krwiożerczy ten demon podobny wampirzowi, rodzi się pod niewinną postacią dziecka. Jednak dziecko takie nie jest zwyczajnym niemowlęciem o słodkim spojrzeniu. Rodzi się ono z podwójnym rzędem zębów ostrych ja szpilki, zaopatrzone w dwa serca i dwie dusze. Gdy przerażeni rodzice ubijają takiego potwora, przemienia się on w strzygę lub strzygonia, zależnie od płci owego dziecka. Strzyga, posiłkując się pozostałym sercem i duszą, żyje nadal, ale jedyne, czego szuka, to pożywienie, jako to ludzka krew, jak również wąpła ludzkie, także mięso. Niczym straszliwy zwierz, rozszarpuje swoją ofiarę i wyžera wszystko ze środka, tarzając się we krwi”.

Doktor przewrócił stronę i ich oczom ukazały się anatomiczne rysunki przedstawiające czaszkę strzygi odartą z mięśni i skóry. W szczękach tkwiły wyrastające z kości podwójnym rzędem najeżone zębiska. Obok widniał rysunek rozciętego na pół dziecka, w którego piersiach widoczne były dwa serca. Doktor popatrzył na Słaboniową. Ta przyglądała się rysunkom z wysoko podniesionymi brwiami.

– No i sobie tak pomyślałem, że może... – doktor zamilkł na chwilę i skończył wstydliwie, ścisząc głos: – Może to taka strzyga nas nawiedziła.

– Wielika wiedza u waszego dziadka była, że tak umiał ładnie wszystko odwzorować, jak było – powiedziała Słaboniowa, zerkając z uznaniem na rysunki. – A jak wy myślicie, może to być taka strzyga czy ni?

– Toż ja was przyszedł pytać o radę – rzekł doktor.

– Niby tak... – Słaboniowa westchnęła ciężko, podumała chwilę i powiedziała: – Po mojemu nie ma innego sposobu, ino naocznie wszystko trza sprawdzić.

– Jak naocznie?

– No, ja to bych wpierw zaszła do Kiryłowej chałupy i popatrzała, gdzie by oni mogli trzymać tego dzieciaka.

Doktor zasepił się.

– No, ja ze śledztwem związany, to bym mógł tam pójść i poszukać. Teraz już nikogo tam nie ma, bo pilnować nie ma czego, tylko drzwi taśmami zalepione. Można by sierżanta albo Januszka poprosić, żeby poszukali, ale jak im zacznę wszystko tłumaczyć, to mnie wyślą do Tworek.

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– No, jak nikogo tam ni ma, to czego ich pytać? Trza samemu iść.

– A pojechalibyście ze mną? – spytał doktor. – Samochodem podwoję, nie będziecie musieli chodzić daleko. Najstarszy Dominików na mechanice się zna i mówił, że naprawi do jutra.

– A na co ja tam potrzebna?

– No, może co zobaczycie, na co ja bym nie zwrócił uwagi. Wy wprawieni jesteście w takich sprawach...

– Że ludzie gadają, że ja wiedźma, to jeszcze niczego nie dowodzi – rzekła Słaboniowa, zakładając ręce na piersi.

– Słaboniowo – doktor pochylił się ku starej. – Ja dla siebie was o to nie proszę, tylko dla dobra wszystkich, co tutaj żyją. Jeśli nie da się tego wytłumaczyć ludzkim sposobem, to trzeba będzie wytłumaczyć inaczej, a na tym to już wy się znacie. Chcecie, żeby znowu kogo ten wampir życia pozbawił?

Słaboniowa pochyliła głowę.

– Ja tam nie wiem, co ja bych mogła z tem zrobić. Żeb z takimi potworami wojować, trza silnego chłopca, co mocne nerwy ma. A poza wszystkim to tu macie napisane, co trza czynić, żeb strzygę ubić. – I Słaboniowa poczęła czytać, powoli wodząc palcem po krągłych literach: – „Przeciw strzydze nie ma innego sposobu, jak tylko zaskoczyć potworę w czasie snu i wbić w jej pozostałe serce, jak i w głowę kołki osinowe, aby już więcej po świecie nie mogła krążyć i niewinnych ludzi zabijać”.

– Siły mam trochę, choć może nie widać – doktor wyprężył pierś. – A nerwów mocnych nie można mi też odmówić.

– Gierojem kcecie zostać? – zaśmiała się Słaboniowa.

– Może i chcę – odparł doktor. – Taki u mnie przymus, żeby ludziom pomagać. Żony nie mam, dzieci nie spłodziłem, chociaż tak się ludzkości przysłużę.

– Ze strzygą żartów ni ma – powiedziała Słaboniowa poważnie. – Jeśli człowiek znajdzie miejsce jej spoczynku, gdzie za dnia siedzi, to bez wahania trza kołki w nio wbić. Bez litości, bez żalu, bez zmiłowania, chocia to żywa istota. Bo jak ona obudzi się, to nijakiej litości dla was mieć nie będzie.

Doktor wytarł spocone dłonie o spodnie.

– No dobrze. Najpierw sprawdzmy, czy u Kiryłów jaka kryjówka jest, gdzie mogły dziecko trzymać. Zajadę do was w sobotę z rana. Wcześniej nie dam rady, bo sezon grypowy i roboty huk, i pojedziemy.

– Jak mus, to mus – powiedziała Słaboniowa.

Doktor włożył wielką księgę na powrót do torby, pożegnał się i poszedł na autobus. Słaboniowa zaryglowała za nim drzwi, siadła na łóżku i poczęła gadać do siebie:

– Na co mnie znowuż przyszło? Toż ja stara baba, co siły ni ma ze złem wojować. Ja bych kciała już ino w chałpie siedzieć i na śmierć czekać. Do ciebie, Hendryk, powędrować w zaświaty...

Po pomarszczonych policzkach starej kobiety spłynęły dwie łzy. Słaboniowa otarła szybko oczy i nakryła się pierzyną. Potem długo w nocy leżała, nasłuchując dźwięków zza okna i dumając o nowym zadaniu, jakie ją czekało.

Za jakie dwa dni, ledwie Słaboniowa skończyła jeść śniadanie, zapukała do drzwi Adelka,

cała bordowa z przejęcia i zasapana, jakby całą drogę biegła.

– Pochwalony! – zawołała, rzuciła torby z zakupami na podłogę i z impetem siadła na krześle, przyciskając dłonie do falującej piersi.

– Dzień dobry – odparła Słaboniowa nieco zaskoczona tymi nagłymi odwiedzinami. – Coście taka zziajana?

– Aaaa... – Adelka próbowała złapać oddech. – Od Chmielowa jadę, bo tera, żeb zakupy zrobić, to trza biegiem za dnia zdążyć, coby gdzie po nocy człowieka tyn cały wampir z Gorodka nie zaskoczył. Jezu kochany, co to za straszne rzeczy się tera wyprawiajo! Czegoś takiego to, jak żyję, u nasz nie było.

– Ano nie było – przytaknęła Słaboniowa i postawiła przed Adelką szklanke wody. Adelka wypła chciwie i otarła usta.

– A słyszeliście co się stało?

– Ja nic nie słyszała.

– Ło Jezu kochany! – zawołała Adelka, splatając ręce jak do modlitwy. – Toż tyn wampir znowuż zabił! W lesie, jak się na PKS idzie! Toż nic wam Anetka nie gadała?

– A kiedy miała gadać, jak jej u mnie nie było? – zdenerwowała się Słaboniowa i spytała w napięciu: – Kiedy zabił i kogo?

– A z dwa temu dni, to środa bedzie. Zabił Adama Kuca z Sinokrejów! Wracał po pijaku bez las jak jaki głupi. Toż wiadomo, że wampir z Gorodka po zmroku wyłazi i na ludzi się zasadza. Toż i w naszy gazecie piszo. No i znaleźli Adama na drodze rano całkiem poszarpanego. I to jeszcze kierowca autobusu szkolnego go znalazł, a autokar cały był dziećmi zapakowany, co do Chmielowa do szkoły jeżdzo. Powiadam wam, dzieciaki już po wsi rozniosły, że po całej ulicy Adam był rozwleczony. Stara Kucowa, bo un z matko mieszkał, to w szoku jest podobnież i nic nie gada, odkąd się dowiedziała. Straszne rzeczy, straszne rzeczy... – lamentowała Adelka. – Że to Bóg w niebiesiech pozwala na takie bezeceństwa. A Adam dobry był chłopak, matce pomagał, nie chlał wcale dużo i ładny był, taki czarniawy, i tańcował pięknie...

Słaboniowa siedziała w milczeniu i patrzyła na swoje ręce.

– A wszystko do drogi przymarznęte, bo to tera takie mrozy naszły. Łopatami go musieli z lodu zdymać. – Adelka dopiła resztkę wody. – Jak ja tera szła od PKS-u, to jeszcze takie czerwone ślady widać na śniegu. Jezu kochany, strach bez tyn las tera chodzić. – Adelka wstała i pozbierała swoje torby – No, lecieć muszę, bo to tera wszystko trza przed noco zdążyć na gospodarstwie porobić. Z Bogiem. Bo to tera nam się boska opieka mocno przyda. Już my wszystkie gremialnie mszę zamówili na niedzielę za zabitych dusze i żeb o opiekę z nieba prosić. Do widzenia, Słaboniowo.

– Do widzenia, do widzenia – mruknęła Słaboniowa. Adelka popędziła w swoją stronę,

a Słaboniowa zabrała się za robienie twarogu.

Sobotni poranek nastał mroźny i słoneczny. Oślepiające refleksy odbijały się od roziskrzonego śniegu i lodowych sopli wiszących z dachów i gałęzi drzew. Las z oddali wyglądał jak misterna korona, tak każda gałązka była przybielona delikatnymi igiełkami szronu.

Słaboniowa gotowa do drogi stała przy płocie już od ósmej rano i czekała na doktora Palenicę, wdychając rześkie powietrze i oglądając ten biały, czysty świat. Wszystko wyglądało niewinnie i świetliście, jakby żadne zło w ten zimowy czas nie miało do ludzi przystępu, jakby żaden wampir z Gorodka na ludzkie życie nie nastawał, chowając się w jakiejś ciemnej norze.

Otóż i zajechał pod bramkę doktor w swoim czerwonym małym fiacie. Pomógł Słaboniowej wsiąść i pojechali w stronę Gorodka.

– Pewnie już słyszeliście, co się stało – stwierdził doktor, usiłując wytrzeć przednią szybę z pary.

– Ano słyszałam.

– Jak to usłyszałem, to serce mi stanęło – powiedział doktor. – Toż on tego Adama zabił w ten wieczór, jak ja od was na autobus do Chmielowa szedłem. To mogłem być ja. – Doktor wyciągnął papierosa i zapalił uchyliwszy okno.

– Wołali na niego Kuc, bo jego ojciec kucyka chował jedyne w całej wsi. Tak się uparł, że będzie miał takiego kuca, a nie tylko zwykłe konie jak wszyscy – powiedział doktor. – Wielkie to było dziwo, wszyscy chodzili tego kucyka oglądać i dziwili się, że koń może być taki mały. Kucyk szybko zdechł, ale odtąd wołali na ojca Kuc, a potem na Adama i tak przyrosło jak nazwisko.

Jechali dalej w milczeniu, każde zatopione w swoich myślach. Wjechali na zaśnieżoną drogę do Gorodka i zobaczyli samotny ceglany dom otoczony starymi jabłoniami. Po prawej stronie rosła duża, rozłożysta osika. Jej drobne gałązki drżały delikatnie w słabych podmuchach wiatru.

– Nie było komu odgarnąć – rzekł ponuro doktor i zaparkował przy wjeździe na podwórkę. Dalej musieli iść, brnąc po kolana w puszystym śniegu.

– Ładna pogoda dzisiaj – powiedział znowu doktor, jakby nie mógł znieść otaczającej ich ciszy. W oddali ozwało się czasem tylko pojedyncze szczeknięcie i słychać było daleki metaliczny dźwięk piły tarczowej u Łobaszuków, który przecinał powietrze niczym srebrna struna.

– Ładna, ładna – odparła Słaboniowa. – Słońce nareście się pokazało.

Na drzwiach domu i na wybitym oknie widniała biało-niebieska taśma policyjna. Słaboniowa podeszła pod okno i spojrzała do środka. Niewiele tam było widać, tylko na podłodze i ścianach dało się zobaczyć ciemne smugi. Doktor rozglądał się po podwórku, zajrzał

do szopy, do pustej obórki, ale nic tam nie znalazł.

– Dom niepodpiwniczony, może na strychu go trzymały? – zastanawiał się na głos. – Ale policja cały dom przeszukała i nic nie znaleźli...

Słaboniowa wskazała palcem spory pagórek przysypany śniegiem, który wystawał z ziemi nieco na uboczu.

– Na co pokazujecie? – zdziwił się doktor.

– Weźcie łopatę – powiedziała Słaboniowa i poczęła iść w stronę pagórka. Doktor posłusznie wziął z szopy łopatę i poszedł za starą. – O tu odgarnijcie – pokazała palcem Słaboniowa.

Doktor zaczął kopać i po chwili ich oczom ukazały się grube drzwi obite blachą.

– A co to?

– Toż nie wicie? Dawniej ludzie piwnicy pod chałupą nie budowali, ino gdzie obok kopali w ziemi. U mnie też taka na podwórku je.

Drzwi nie były zamknięte. Doktor otworzył je i zobaczyli prowadzące w dół ceglane schodki, które niknęły w ciemnościach.

– Wziąłem latarkę na wszelki wypadek – powiedział doktor, zapalił latarkę i ostrożnie zszedł na dół, a za nim poszła Słaboniowa.

W żółtym kręgu światła zobaczyli ponury widok. W kącie leżał stary materac nakryty podartą, parcianą płachtą. W ceglanej ścianie nad barłogiem tkwił wielki, żelazny hak z przyczepionym do niego grubym łańcuchem długości około półtora metra. Na końcu łańcucha przytwierdzona była metalowa obejmka pasująca średnicą na ludzką nogę. Obok stała pusta miska, a na środku posadzki znajdowała się dziura kloaczna.

Doktor westchnął ciężko i bez słowa wyszedł z piwniczki. Odetchnęli z ulgą ostrym powietrzem, wystawiając twarze ku słońcu.

– Musiały to biedne stworzenie trzymać tutaj przez te kilkanaście lat – powiedział doktor. – Bez światła, w zimnie, na tym śmierdzącym materacu. Uwiązany na łańcuchu jak zwierzę, gorzej niż pies, bo pies chociaż na świat z budy wyrzeć może, a ten... toto świata pewnie nigdy nie widziało, zanim uciekło. Serca trzeba nie mieć, żeby kogoś na takie więzienie skazać.

– Na nich już kara spadła – stwierdziła Słaboniowa.

– To prawda, kara straszliwa. Ale tych lat straconych nic już mu nie wróci.

– Tera trza pomyśleć, jak go zabić, żeb wincyj ludzi niewinnych nie zagryzał – powiedziała trzeźwo Słaboniowa.

Doktor popatrzał na nią, czując, jak jego żołądek zamienia się w ciężki kamień. Twarz Słaboniowej była nieprzenikniona, nie malował się na niej żal ani strach, ani żadne inne uczucie, jakiego można by się spodziewać w takiej chwili. Jej zmrużone, jasne oczy wpatrywały się bystro w widniejący w oddali las. Doktor zdał sobie sprawę, że stara Słaboniowa właśnie ruszała na polowanie i nagle poczuł w stosunku do niej jakiś dziwny lęk i odrazę.

– I co teraz? – spytał niepewnie.

– Trza nam go znaleźć, póki słońce świeci. Musi siedzi gdzie w lesie w ciemnej norze. Strzygi nigdy za dnia z legowiska nie wyłażą.

– Ale jak go znajdziemy?

Słaboniowa wzruszyła ramionami, przeszła kilka kroków i popatrzała na śnieg otaczający piwniczkę.

– O, tu mysią ścieżkę widać – pokazała palcem pod nogi.

Doktor podszedł bliżej i rzeczywiście zobaczył na śniegu drobne ślady mysich łapek, które układały się w wyraźną dróżkę prowadzącą przez pole w stronę lasu.

– Ja wam nie mówiłem, ale na sekcji zwłok znaleźliśmy na nogach Kiryłowej córki ślady jak po ugryzieniach małych gryzoni. Wyszło nam, że to mysie zęby, ale przecież myszy nie jedzą mięsa.

– Chiba że mięsa popróbujecie i im posmakujecie... – powiedziała Słaboniowa. – Pójdziem za myszami i zobaczymy, gdzie nas zaprowadzą. – Obróciła się ku doktorowi. – Tamuj osika rośnie. Utnijcie z niej dwa kołki i zastrugajcie. I jaki młotek weźcie z szopy, żeb było łatwiej wbić.

Doktor zrobił, jak Słaboniowa kazała. Setki myśli przewalały mu się przez głowę, gdy ostrzył końce kijków. Nie chciał myśleć o tym, jak będzie musiał wbić je w żywe, oddychające ciało tej biednej, znenawidzonej przez świat istoty. Strugał drewno bardzo długo, ale końce kołków ciągle nie wydawały mu się wystarczająco ostre. Słaboniowa nie ponaglała go, czekała cierpliwie, aż skończy, wygrzewając się w promieniach słońca i mrużąc oczy pod płatkami śniegu, które znowu zaczęły prószyć z jasnego nieba.

Wreszcie ruszyli za mysimi śladami. Doktor trzymał się nieco za Słaboniową, nie chcąc na nią patrzeć ani z nią rozmawiać. Ta zaś szła dziwnie dziarskim krokiem, jakby zapomniała o reumatyzmie i starym niedołęstwie. Wsparta na swojej leszczynowej lasce, kroczyła przed siebie z głową wysuniętą do przodu niczym pies gończy.

Gdy weszli między pierwsze oszronione drzewa, drobne ślady poczęły kluczyć, ale Słaboniowa niepojętym sposobem zawsze znajdowała właściwy trop. I tak weszli w głąb lasu, strącając z gałęzek chłodny, lekki puch i strasząc szeleszczące w śniegu drobne zwierzątka.

– Nie ustawajcie – powiedziała Słaboniowa, nie obracając głowy ku wlokącemu się za nią

doktorowi. Czuł spływający po plecach pot, wsiąkający w koszulę i wełniany sweter. Gdzieś z daleka dochodziło uparte stukanie dziecięcia odbijające się echem od drzew.

Weszli wreszcie do zacienionego jaru, ukrytego dobrze wśród jeżynowych krzaków. Na śniegu było widać lekko już zatarte wygniecione ślady ludzkich stóp zmieszane z kluczącymi tropami mysich łapek i z ciemnymi, zmarzniętymi grudkami krwi. Ślady prowadziły do podłużnej szczeliny widniejącej w śnieżnym nawisie. Słaboniowa podeszła do szczeliny i zaczęła rozgarniać śnieg gołymi rękami.

– Pomóżcie – powiedziała. Doktor odłożył osinowe kołki i począł rozgarniać śnieg zmieszany z gałązkami, korzonkami i ziemią. Spod ich rąk wyskoczyło nagle kilka myszek i rozprysnęło się we wszystkie strony, popiskując rozpaczliwie. Słaboniowa sapnęła tylko i kopała dalej. Po jakimś czasie zobaczyli czarny kształt leżący w białej, gładkiej kołysce.

– To chłopiec – szepnął doktor, przyglądając się obrośniętej krótkim futerkiem postaci. Faktycznie był to chłopiec, choć nieco odmienny od zwykłych dzieci. W półotwartych ustach szczyrzyły się podwójne, ostre zęby, oczy poruszały się nerwowo pod cienkimi powiekami. Oddychał niespokojnie, ale z jego ust nie wydobywała się para. Ręce o palcach zakończonych długimi szponami przyciskał do piersi, jakby chronił coś cennego.

– Weźcie kołki osinowe – szepnęła Słaboniowa.

Doktor z ociąganiem podniósł kołki i wyciągnął zza pazuchy spory młotek.

– A teraz wbijcie prosto w serce jego.

Słaboniowa popatrzała poważnie na doktora. On nie odpowiedział na jej spojrzenie. Przyłożył pierwszy kołek do piersi chłopca tuż nad jego dłońmi. Ostry koniec zagłębił się w miękkim futrze. Doktor poczuł mdłości i wszystko zaczęło mu podchodzić do gardła.

– Wbijcie! – ponagliła Słaboniowa.

Chłopiec otworzył oczy. Były czarne, przepastne i bezbrzeżnie zdziwione. Wpatrzyły się w twarz doktora z wielkim skupieniem i ciekawością.

– Tera! – wycharczała Słaboniowa, położyła ręce na dłoniach doktora zaciśniętych na kołku i popchnęła w dół. Kołek z głośnym chrzęstem przebił skórę i wewnętrzne powłoki, przeszedł między żebrami i natrafił na coś miękkiego.

– Nie! – krzyknął doktor, ale Słaboniowa błyskawicznie chwyciła młotek i wbiła kołek do końca dwoma zdecydowanymi ruchami. Z ust chłopca wydobył się głuchy charkot. Szybkim ruchem podniósł rękę i wbił długie pazury głęboko w ramię Słaboniowej, a drugą próbował dosięgnąć jej twarzy.

– Tera w głowę, szybko! – wrzasnęła Słaboniowa, próbując uniknąć ciosów miotającego się strzygonia, który nie mógł się uwolnić przybity do zmarzniętej ziemi.

Doktor patrzył na to wszystko całkiem ogłupiały, jak przez mgłę widział krew tryskającą z rany na śnieg i twarz Słaboniowej. Widział, jak stara kobieta ostatkiem sił walczy z rozszalałym stworzeniem. Czas zwolnił, doktor, czując, że nie może przyspieszyć swoich ruchów, w zwolnionym tempie podniósł drugi kołek, uniósł go nad głową strygonia i wbił na oślep. Potem poprawił młotkiem. Więcej nie patrzył.

Kołek trafił w prawe oko. Lewe patrzyło na Słaboniową szeroko otwarte w niewypowiedzianym cierpieniu. Spomiędzy wyszczerzonych zębów wypływała ciemna krew. Stwór złożył usta, jakby usiłował coś powiedzieć. Kosztowało go to wiele wysiłku, ale wreszcie udało mu się wypowiedzieć chrapliwym, nienawyktym do mówienia głosem: „Synuś kochany”.

– Synuś kochany – powtórzyła za nim Słaboniowa. Czarne oko zaszło mgłą i strygon znieruchomiał. Słaboniowa drżącą ręką zakryła to czarne oko miękką powieką.

Siedzieli tak wśród krwi i skotłowanego śniegu. Doktor z głową opuszczoną na piersi i z rękami opadłymi bezsilnie wzdłuż ciała, kiwał się w ośpieniu do przodu i w tył. Słaboniowa otarła twarz śniegiem i szorstko potrasnęła doktora Palenicę za ramię.

– Trza posprzątać – powiedziała głucho. – Ja nie mogię, czucie w rynce całkiem ja straciła. – Popatrzała znacząco na ciemną plamę przesiąkającą przez sweter i wełnianą chustę.

Doktor w milczeniu przysypał śniegiem martwe ciało i zamaskował ślady krwi na tyle, na ile się dało. Potem odeszli. Odprowadziło ich spojrzenie kilku par błyszczących, paciorkowatych oczu.

Jakoś dowlekli się do samochodu, doktor pomógł Słaboniowej usiąść i odwiózł ją pod dom. Gdy stanął przy bramce, już się ściemniało. Nie patrząc na starą, powiedział:

– Trzeba was opatrzyć. – Wziął z tylnego siedzenia kuferek z narzędziami i wysiadł z samochodu.

– Zachodźcie, zachodźcie – powiedziała Słaboniowa.

Doktor oczyścił cztery głębokie rany, które ziały czernią tuż nad obojczykiem Słaboniowej, nałożył maść, położył opatrunek i zawiązał wszystko bandażem, unieruchamiając ramię.

– Dobrze, że tętnicę ominęło – mruknął. – Do szpitala trzeba by pojechać.

– Do śpitala! – zachnęła się Słaboniowa. – Ja już wam gadała, że do nijakiego śpitala mnie nie dacie. W domu zostanę.

– Jak chcecie. Silna jesteście jak wół, jakoś się wylizecie. Zajadę do was jutro opatrunek zmienić. – Doktor pobierał swoje lekarskie przybory i zaczął szykować się do wyjścia.

Słaboniowa wyjęła z kredensu butelkę wódki i postawiła na stole dwa kieliszki z grubego szkła.

– Napijcie się? – spytała.

Doktor podniósł głowę. Zobaczył przed sobą bardzo starą kobietę, która patrzyła na niego prosząco zaczerwienionymi oczami. Głowa trzęsła się jej nieznacznie na wyciągniętej do przodu szyi, a kąski ust opadały smutnie w dół. Wyglądała teraz jak stary, zmęczony pies, który szuka miejsca dobrego na śmierć. Podsunął ku niej kieliszek. Nalała. Wypili bez zagryzania. Połała znowu i wypili duszkiem drugą kolejkę. Doktor oparł czoło na stole.

– Jezu, co my zrobiliśmy?

– Zrobiliśmy, co było trza – rzekła Słaboniowa i uśmiechnęła się krzywo. – Tak gierojem zostaje się. Nikt o tym wiedzieć nie będzie, żadnych orderów za to nie dadzą ani pochwał. Ludzie się ino cieszą, że kłopot z głowy, ale kto, jak i kiedy, to już nikogo nie ciekawi. Tak i z was tera gieroj jak się patrzy.

Nalała trzecią kolejkę. Wypili i doktor całkiem się rozkleił. Po twarzy pociekły mu łzy, ocierał je niezgrabnie rękawem koszuli.

– Nie żal wam? – wychlipał.

– Wiele ja w życiu takich rzeczy zrobiła, co mi było żal. No, taki los, że jak trza, to trza. – Słaboniowa popatrzyła na doktora, kiwając głową na boki, i wychyliła kolejny kieliszek. – Jak ja nie zrobię, to kto zrobi? Nikt za mnie nie zrobi. Już tylko ja się ostała. – Język począł się jej plątać. Wstała chwiejnie od stołu i poszła do drugiego pokoju. Wróciła po chwili i powiedziała: – Ja wam dała tam pierzynę, to się prześpicie do rana. Tera już nie ma co po nocy jeździć.

Doktor pokiwał głową i nalał sobie wódki.

– Ta... Ta... Tylko się jeszcze napiję – wybełkotał. – Jak rzuciłem palenie, gdy tu z miasta przyjechałem, to i picie rzuciłem. A piłem... Wszyscyśmy pili na patologii i potem w kostnicy. A tu nie musiałem, tu przecież życie spokojne. Tak gadali, że na wsi życie spokojne. – Doktor dostał czkawki, wstał od stołu i powlókł się do drugiego pokoju.

Słaboniowa położyła się do łóżka, tak jak stała, ściągnęła tylko buty i chustkę. Leżała przy włączonej lampie, radio szumiało z cicha, z sąsiedniego pokoju przez półotwarte drzwi dochodziło ją chrapanie doktora Palenicy. Gdy przymknęła oczy, zdało jej się, że to Hendryk leży obok niej i chrapie, jak to zawsze było, dopokąd żył i razem pod jedną pierzyną spali. Obandażowane ramię zaczynało pulsować coraz większym, dojmującym bólem. Mimo to stara Słaboniowa pierwszy raz od dawna zasnęła szybko i mocno, bez przewracania się z boku na bok i patrzenia godzinami w rozjaśniającą się ku świtowi ciemność.

Minęło parę tygodni. Na wiosnę już szło i wraz z nadchodzącą odwilżą strach powoli ulotnił się z wiejskich obejść. Nikt nie wiedział, czemu wampir z Gorodka zniknął tak nagle, jak się pojawił, ale też i nikt prawdy nie chciał dociekać. Ludzie gadali tylko, że to msza święta sprawiła, którą w niedzielę po śmierci Adama Kuca pięknie odprawił ksiądz Baryton na okoliczność tych straszliwych zająć. Gospodarze znaleźli sobie nowe psy, kupili na powrót

krowy i konie, dzieci znowu poszły do szkół, a wieczorem bawiły się na podwórkach. O Marceli Kiryłowej i jej córce szybko zapomniano, bo i za życia też nikt o nich nie pamiętał. Płakano trochę po Adamie Kucu, ale jego postać też z czasem zatarła się w ludzkiej pamięci. Wszystko znowu było tak samo jak przedtem i nikt się temu nie dziwił.

Któregoś to dnia zaszła do Słaboniowej Anetka.

– Woda po kostki – mruknęła Anetka, siadając jakoś boczkim na krześle.

– Ano odwilż – powiedziała Słaboniowa.

Anetka pomedytowała chwilę i wreszcie powiedziała, śmiejąc się sztucznie:

– Co, młodszego sobie znaleźliście na stare lata?

Słaboniowa otworzyła szeroko oczy.

– Ja tam nic nie chcę mówić, ale ludzie we wsi gadają, że samochód doktora Palenicy ostatnio często pod waszym domem stoi, a niedawno to całą noc nawet stał, od wieczora do rana. No to ludzie gadają, że macie... – Anetka zarumieniła się i w strasznej mące wykrztusiła: – że macie kochanka.

– A niech gadają, co mają robić...

– A was to nic nie obchodzi? – zdziwiła się Anetka.

– A co to mnie starej babie może zaszkodzić? A jakbych ja z doktorem co i miała, to co?
– Słaboniowa zaśmiała się rubasznie. Anetka wzruszyła ramionami i zrobiła buzię w ciup.

– Mnie nic do tego, ale wiecie, ludzie gadają.

– Gadają, gadają i do końca świata gadać bedo – Słaboniowa machnęła ręką. – Ty patrzaj, Anecia, żeb własnego nosa pilnować, a nie plotek po wsi wysłuchiwać. Tyla ja ci powim, że my z doctorem Palenico nic nie mamy.

– To czego on tak do was jeździ?

– Bo dobry z niego człowiek. Krowa mnie kopnęła przy dojeniu, o tu. – Słaboniowa pokazała na lewe ramię. – Doctór wi, że ja do szpitala nie pójde, to jeździ do mnie i opatrunki zmienia. Inny by tak nie jeździł, a doctór Palenica jeździ. O, i już mogie trochu ręką ruszać. – Słaboniowa poruszała ramieniem, ale zaraz przestała, krzywiąc się z bólu.

– Aha – powiedziała Anetka, ale nie wyglądała na przekonaną. – Ale z tym wampirem z Gorodka to była historia, co? – zagaiła z innej beczki. – Szkoda tego Adama Kuca. Dobry był chłopak. Ale Januszek gadał, że te Kiryłowe podobnie trzymały kogoś w zamknięciu w piwniczce na podwórzu. – Anetka ściszyła głos. – Że podobnie ta Kiryłowej córka to w ciąży zaszła bez ślubu. To z sekcji zwłok podobnie wyszło, że ona w ciąży była. I żeby nie było

wstydu, to tego dzieciaka mogły trzymać w zamknięciu. Ale dzieciaka policja nie znalazła. Ani w ogóle niczego. Żadnych śladów, żadnego grobu, niczego. Tylko w tej piwniczce był taki łańcuch jak dla krowy do ściany przyczepiony i materac, na którym ten dzieciak mógł spać. Ludzie to mają pomysły. Żeby dziecko, nawet i nieślubne, w piwnicy trzymać jak jakie zwierzę. – Anetka pokręciła głową i popatrzała na swoje ręce. – Jedni dzieciaka nie kochają i w piwnicy trzymają, a inni kochają i im ucieka.

– No, Anecia, nie becz – rzekła szorstko Słaboniowa. – Jeszcze ty o Klaudusi usłyszysz. Nie tera, nie za rok, ale usłyszysz.

– A skąd wiecie? – Anetka podniosła głowę z nadzieją.

– Skund wim, to wim. – Słaboniowa podeszła do pieca i zamieszała w garnku. – Zjisz co? Zupy nagotowałam z kaszo, dobra już będzie.

– No, ręka wam zdrowieje – powiedział doktor Palenica, zawijając ramię Słaboniowej świeżym bandażem. – Aż dziw, że tak szybko. Możecie ruszać już ramieniem?

– Trochu mogie – odpowiedziała Słaboniowa. – Ale wszystkiego jeszcze na gospodarstwie nie idzie robić. Czarny Jan przychodzi i co może, to pomaga.

– To dobrze. – Doktor usiadł, złożył ręce na stole i powiedział poważnym głosem: – Słaboniowo, ja wam jeszcze tego nie mówiłem, ale chciałem wam podziękować.

– A za coż mnie dziękować? – zdziwiła się Słaboniowa.

– Że skończyliście, co ja zacząłem, to znaczy, że pomogliście mi. On był taki bezbronny i zanim... zanim ja wbiłem ten... pierwszy kołek, on popatrzył na mnie tak... Nie było w nim złości. On po prostu tak patrzył, jakby był ciekawy. Ciekawy, kim jestem. – Doktor potarł rękami policzki. – Ja myślałem z początku, że wy nie macie litości, że wam wszystko jedno, że wam nie żal. Ale teraz rozumiem, że to wszystko nie jest takie proste.

– Ano nie jest.

– Musieliśmy to zrobić – rzekł doktor, jakby do siebie. – Tylko czasem człowiek nie wie, ile warte ludzkie życie i czyje warte więcej, a czyje mniej. I czy to ludzkie życie było czy jakie inne...

– Trochu to człowiek był z ludzkimi bólami i mizerio ludzko, a trochu potwór, który sumienia ni ma ni litości.

– Tak – przytaknął smętnie doktor. – Myślicie, że go nie znajdzie jaki kłusownik w tym lesie? Niby zakryliśmy wszystko, ale jak jakie zwierzę wygrzebie albo co? Toż teraz śnieg topnieje, wszystko na wierzch może wyleźć. – Doktor spuścił oczy. – Chciałem tam pójść ostatnio, żeby zobaczyć, czy na pewno wszystko zakryte, ale to dziwne, jakoś tego jaru znaleźć nie mogłem...

– Dobrze un schowany w swoim grobku – uspokoiła go Słaboniowa. – A jak wy go odszukać nie mogliście, to i nikt inny nie odnajdzie.

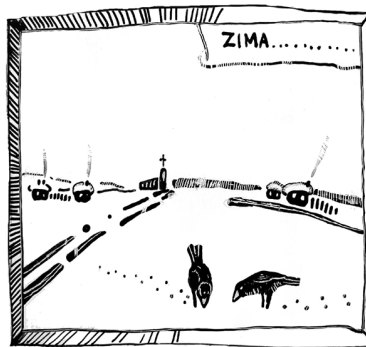
Doktor pokiwał głową.

– Gadajo we wsi, że wy tu do mnie jeździecie nie w lekarskich sprawach – powiedziała Słaboniowa z uśmiechem.

– Że niby w konkury do was jeżdżę? – Doktor roześmiał się. – Coś słyszałem, ale to ludzkie gadanie to wiecie, ile mnie obchodzi?

– Dworuję sobie ze starej baby... Ale jak ja bych była młodsza, to jeszcze bych się i za wami obejrzała.

Doktor bez słowa położył dłoń na jej szorstkich, powykęcanych reumatyzmem palcach. Siedzieli tak nad stygnącą kawą, patrząc na szklące się za oknem, topniejące sople lodu.



GOŚCIE

Stary Daciuk siedział sam w ciemnej izbie. Na stole stał tylko ogarek świecy, który więcej dymu dawał niż światła. Małe radyjko stojące na taborecie zaczęło się krztusić i wreszcie zamilkło. Ciągłe się psuło. Daciuk nosił je Czarnemu Janowi, żeby nareperował, bo dryg miał do elektryki, ale już Czarny Jan prosił, żeby nie nosić, bo to już nie ma czego ratować, i tak zaraz znowuż się zepsuje. Ale Daciuk dalej do niego zachodził i zanosił, a to jabłka jakie ze dwa, co w sadzie znalazł, a to garść dzikiego szczawiu na łące zerwanego, stawiał na stole zepsute radio i prosił o naprawę. Czarny Jan, wzdychając ciężko, rozkręcał radio, lutował porwane kable i oddawał je Daciukowi ze smętną miną. A za tydzień maszynka znowu się psuła. Teraz nie było czego Czarnemu Janowi zanieść w podzięce, więc stary Daciuk musiał jakoś przeczekać do wiosny bez wieści ze świata.

Otulony starym płaszczem i narzutą zdjętą z łóżka patrzył w kopcący ognek i słuchał wiatru, który rzucał w szyby okienne garściami grubego śniegu. Budzik tykał ospale. Pokazywał godzinę piątą, ale na dworze było już zupełnie ciemno.

Pod piecem tliła się szczapka drewna. Daciuk oszczędzał na opale, bo mizerny zapas kurczył się szybko, a do końca zimy było jeszcze daleko. Czasem chodził Daciuk do lasu nabierać chrustu, ale po wylewie jedną połowę ciała mu sparaliżowało i taka wyprawa musiała trwać nieraz cały dzień, zanim przywłókł się z powrotem do chałupy.

Mieszkał sam. Żona już dawno go odumarła, a córka i syn pojechali do miast i nie przyjeżdżali na stare śmiecie. Nawet teraz, gdy szło na Boże Narodzenie, nie zajechali do ojca. Wnuki widział ostatnio na chrzcie, a było to już wiele lat temu. Pewnie zresztą wszystkich wnuków swoich nie znał, bo dzieci przestały się do niego odzywać, ani listu nie napisały, ani nawet kartki nie wysłały, a przecież codziennie czekał przy płocie na listonosza. Ten jednak z zakłopotanym uśmiechem twierdził, że nic dla niego nie ma, i tylko co miesiąc przynosił Daciukowi rentę.

Czasem wychodził na ulicę, żeby popatrzeć, jak inni żyją, ale dorośli omijali go z obrzydzeniem, bo śmierdział, a dzieci bały się mówić mu „dzień dobry”. Siedział więc sam całymi dniami i słuchał tykania budzika, jedynego przyjaznego dźwięku w otaczającej go ciszy.

Słaboniowa wychodziła właśnie od Anetki, do której zaszła po drodze ze sklepu, gdy zobaczyła, że przy płocie stoi stary Daciuk i jakby na coś czeka.

- Dzień dobry! – zawołała i podeszła bliżej, brnąc przez wysoki śnieg.
- Dzień dobry – odparł Daciuk, patrząc uparcie na drogę.
- A na co to tak wyglądacie? – Słaboniowa rozejrzała się, ale nikt drogą nie szedł ani żaden samochód też od strony lasu nie jechał.
- A na dzieci czekam. Na święta idzie, to pewnikiem przyjadą do ojca. – Daciuk

pociągnął nosem. – Wnuków ja dawno nie widział, to pewnikiem przyjadę, żeb dziadkowi życzenia złożyć. Zasiądziem wszystkie razem przy stole wigilijnym i przełamiam się opłatkiem po bożemu.

Słaboniowa nic na to nie powiedziała. Popatrzała na drogę wraz z Daciukiem, pogrzebała w torbie i podała mu pęto kiełbasy zawinięte w szary papier.

– Macie, Anetka mnie dała, ale mnie na żołundek niedobrze robi. Za tłusta. – Daciuk przyjął podarunek bez słowa, schował kiełbasę za pazuchę i dalej patrzył na drogę.

– No to żeb wy się doczekali tych dzieciów – powiedziała Słaboniowa. – Do widzenia.

– Z Bogiem – odparł stary Daciuk. Słaboniowa pomedytowała chwilę, zawróciła się i powiedziała:

– A jak by te wasze dzieci nie mogli przyjechać, to zajdźcie do mnie na Wigilię. Jeden pusty talerz zawsze się znajdzie.

– Nie trza, nie trza – powiedział stary Daciuk. – Toż przyjadę. Jakże do starego ojca na święta nie przyjechać. Toż przyjadę. A jak nie przyjadę, to już niech lepi mnie Pan Bóg do siebie weźnie. Po co mnie żyć na tem świecie?

Słaboniowa nic na to nie rzekła i poszła w swoją stronę.

Z wieczora zaszła do Słaboniowej Anetka telewizję pooglądać.

– Stasiek znowuż w robocie siedzi, a przed świętami szczególnie jest zarobiony – mówiła Anetka, mieszając głośno herbatę w szklance. – Jak do domu przyjeżdża, o Klaudusi nic nie gada. Ja to bym chciała czasem porozmawiać, powspominać chociaż, ale jak tylko coś zacznę mówić, to on z pokoju wychodzi. Jakby nigdy córki nie miał. – Anetka zacisnęła usta.

– A wiadomo co o Klaudusi?

– Podobnież ktoś ją widział w mieście, ale to już czasu tyle minęło, że mogła się zmienić. – Anetka odstawiła szklankę na stół. – Ja tak sobie pomyślałam, że do miasta pojedę, zaczepię się gdzieś, robotę znajdę i sama jej poszukam.

Słaboniowa podniosła brwi.

– A gdzie ty, Anecia, robotę znajdziesz, jak ty całe życie na gospodarstwie robiła, aaa? – Anetka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale poszukam czegoś. Umieć szyć, to może gdzie w szwalni będę pracować. Ja nawet mogę długopisy skręcać albo inne takie chałupnicze prace wykonywać, bylebym tylko mogła tam mieszkać i być bliżej mojej Klaudusi. Jeśli ona tam jest. Pokój gdzie wynajmę przy rodzinie i jakoś to będzie.

– A Stasiek?

– Co Stasiek? – Anetka jeszcze bardziej spochmurniała. – I tak go nigdy nie ma. Ja to się czuję, jakbym męża wcale nie miała. To ja też nie muszę tu siedzieć. Przyjadę na niedzielę wtedy co on i na to samo wyjdzie.

– A chałupą kto się zajmie?

– Matce zostawię. Zwierząt i tak już nie mamy, a maszyny w stodole stoją, bo nikt nie pożycza. Ludzie już teraz na polu nie robią.

Słaboniowa pokiwała głową i pogłośniła telewizor, bo się prognoza pogody zaczęła. „W tym roku zapowiadają się prawdziwe, białe święta, będziemy cieszyć się białym puchem, a wszystkim, którzy planują spędzić Boże Narodzenie poza domem, życzymy udanego szusowania” – terkotał miły młody człowiek odziany w szary garnitur.

– Białe święta – prychnęła Słaboniowa. – Za moich czasów...

– Tak, tak, wiem. I zaspy wyżej płota były – powiedziała Anetka kwaśno. – Każdej zimy to mówicie.

– Gadam, jak było – odparła Słaboniowa i z wielkim zainteresowaniem wpatrzyła się w czarno-biały ekran telewizora.

– A gdzie Mruczek? – zainteresowała się nagle Anetka, bo bardzo nie lubiła cichych chwil, którymi matka chrestna dawała do zrozumienia, że czuje się urażona.

– Nie wiem – odburknęła Słaboniowa. – Ze dwa dni będzie, jak do chałupy nie przyłaz. Mliko wystawiam co rano na schodki i nieruszone do wieczora. Musi gzi się gdzie po krzakach, zasraniec jeden.

– Stary już był – powiedziała Anetka. – Może gdzieś się schował, żeby umrzeć sobie w samotności. Nasz Burek tak zrobił. Znaleźliśmy go potem za stodołą.

Słaboniowa posłała Anetce ponure spojrzenie i powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Prawda, że zwierzęta tak czynio, ale Mruczek pewnikiem gdzie siedzi, cholernik jeden, w jakiej szopie i dworuje sobie ze starej baby.

– Może i tak – zgodziła się Anetka.

– Ja widziała starego Daciuka, jak przy płocie stał. Gadał, że na dzieci czeka – powiedziała Słaboniowa.

– Na dzieci czeka? Toż Danki z dziesięć lat tutaj nie było, a Sławka to i jeszcze dłużej. Tyle lat z miasta nie przyjeżdżali, to i teraz nie przyjadą. – Anetka westchnęła. – Żal starego.

Zachodzę czasem do niego, przyniosę coś do zjedzenia, zupy ugotuję, ale to w końcu nie rodzina. Córka powinna zająć się nim, wziąć do siebie. Nie wiem, że dzieci to potrafią być takie niewdzięczne.

– Córka, powiesz – powiedziała Słaboniowa. – Ja słyszała, że do dzieciów to Daciuk ciężką rękę miał, oj, ciężką, to i nie dziwota, że serca do starego nie majo.

– Ja tam nie wiem – bąknęła Anetka.

– Ale ja tobie powim, Anecia, że jak mnie by miała Kryśka do siebie brać, to ja bych wolała tu śmiercią na miejscu zejść.

– Ale, co wy gadacie?! – zawołała Anetka. – Nie milej to na starość z rodziną być, jak siedzieć tak samemu w chałupie i na śmierć czekać?

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– A na co mnie to? A bo ja mam tu źle? Jeść co mam i krowę mam mleczno, i kury jajka dobrze znoszo. I nikt mnie nie gada, co mam robić.

– Toż wy ledwo już chodzicie. Zaraz sił nie będziecie mieli, żeby po ogrodzie chodzić, obrządki robić. A w mieście zawsze ktoś da wam jeść, jak to się mówi, szklankę wody poda.

– Aaa... – Słaboniowa machnęła ręką zniecierpliwiona. – Ja już ci, Anecia, gadała, żeb ty pilnowała swojego nosa.

– To może przyjdziecie do nas na wigilię? – spytała Anetka nieśmiało. – Przecież nie będziecie tak sama siedzieć w święta.

– Anecia, jak ja by kciała z ludźmi w święta siedzieć, to bych siedziała – odparła Słaboniowa szorstko.

Anetka zamilkła. W telewizji zaczynał się film po dzienniku. W gazecie napisali, że komediodramat, i Anetka zupełnie nie wiedziała, o czym mógłby być taki film wesoły, a jednocześnie smutny.

Stary Daciuk siedział przy stole, przed nim stał talerz z bigosem, który mu Anetka Samoszuków przyniosła dzień wcześniej. Więcej potraw świątecznych u Daciuka nie było. Ale od święta zapalił lampę naftową, a do pieca dołożył więcej drewna. Jak Danka ze Sławkiem przyjadą i z dziećmi, to przecie nie mogą marznąć. A na pewno przyjadą. Już słyszał dźwięk samochodu jadącego powoli zaśnieżoną ulicą. Już zajeżdżają na podwórko, trzaskają drzwi, już tupią ich kroki w sieni. Oto wchodzi do izby weseli, witają się z nim wśród śmiechów i krzyków małych dzieci. Pytają, jak ojca zdrowie, i mówią, że dobrze wygląda. A on na to odpowiada, że się cieszy, że zajechali, bo święta trza w rodzinie spędzać. Danka nakrywa do stołu i stawia na nim jedzenie, które ze sobą przywieźli, pierogi, zupę grzybową, sałatkę warzywną. Siadają wszyscy razem i jedzą kolację. Daciuk nie gada dużo, tylko przygląda się rodzinie. Danka większa trochu, niż kiedy ją ostatnio widział, a Sławek zapuścił wąsy, z którymi wygląda jak

groźny borsuk. Wnuków stary Daciuk nie może policzyć, nie widzi ich też wyraźnie w słabym świetle lampy. Wszystko mu się rozmazuje w zaszklonych oczach.

– Boże kochany, zabier ty mnie do siebie – mówi Daciuk drętwiącymi wargami. – Po coż mnie żyć na tem świecie w samotności? Gymby ni ma do kogo otworzyć i radio już całkiem popsute. Zabier mnie do siebie.

Nie jest głodny. Jego ciało ogarnia dziwne mrowienie, ręki nawet nie może podnieść ze stołu, ciężkie powieki powoli opadają. Zасыpia wreszcie, nie tknąwszy swojego bigosu.

Słaboniowa zjadła kolację świąteczną wcześniej, tak jak dawniej bywało, kiedy była młoda. Do stołu wigilijnego zasiadało się, gdy zmrok zapadał, po dniu wypełnionym ciężką pracą. Odpoczywało się dopiero pierwszego dnia świąt, choć i to nie całkiem, bo przecie zwierzęta chcą żyć nawet i w święta. Nie nagotowała dużo, ot, kolacja na jedną osobę, kapusta z grzybami, kilka pierogów, kluski z makiem, kompot z suszu. Przy piecu postawiła miseczkę ze śmietanką, tak jak zawsze Mruczkowi stawiała w każde święta. Ale Mruczek nie przychodził.

Przysnęła wreszcie Słaboniowa ukojona ciepłem i półmrokiem zalegającym izbę. A gdy po chwili oczy odemknęła, zobaczyła, że na krześle po drugiej stronie stołu siedzi mała dziewczynka w niebieskiej sukience i macha nogami obutymi w sandaalki. Ciemne włosy miała zaplecione w warkocz przewiązany porządnie błękitną kokardą. Słaboniowej zdało się przez chwilę, że to jej wnuczka Olusia, ale przecie Olusia miała teraz już pewnie ze dwadzieścia lat. Dziewczynka patrzyła w płomień wyzierające spomiędzy fajerek i śpiewała coś cichutko pod nosem.

– Ktoś ty? – spytała Słaboniowa.

Dziewczynka obróciła ku niej głowę i popatrzyła na starą poważnymi oczami, jasnymi i zimnymi jak woda prosto ze studni.

– Ja jestem Śmierć.

– Śmierć? – spytała Słaboniowa.

– Przecież mówię – odrzekła dziewczynka poważnie. – A ty myślałaś, że jak wygląda śmierć?

– Ja nie dumala nigdy, jak to może śmierć wyglundać. – Słaboniowa splotła ręce na podołku. – Ja dumala, co człowiek zasypia, ot tak jako ja tera, potym go kłado w trumnie do ziemi i tyła.

Dziewczynka przekrzywiła głowę ciekawie.

– To ty myślisz, że człowiek umiera i nic już potem nie ma?

– Tego ja nie wim. Skund mam niby wiedzić, aaa?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Kiedy po kogoś przychodzę, to każdy mnie pyta, jak tam jest potem. Bo każdy myśli, że coś tam jest. Piekło, niebo albo coś jeszcze innego. Ludzie mówią o świetlistych tunelach, o rodzinie, która czeka na nich w rajszych ogrodach. Jeszcze inni mówią o unoszeniu się w wiecznej przestrzeni, ale nie bardzo rozumiem, o co im chodzi. Są tacy, co myślą, że kiedy umrą, to wejdą w inne ciało i narodzą się na nowo jako małe dzieci albo zwierzątka, albo drzewa, i tego też nie rozumiem. I wszyscy pytają mnie, jak to jest naprawdę. A ty nie jesteś ciekawa?

– No to jak tam je? – spytała Słaboniowa.

– Nie wiem – odparła dziewczynka. – Ja tylko was odprowadzam.

– Dzie odprowadzasz?

– W takie miejsce, gdzie jest zupełnie pusto. Nic tam nie ma, zupełnie nic. – Dziewczynka odwróciła się ku Słaboniowej i ciągnęła poważnym głosem: – Po drodze opowiadacie mi swoje życie. Wszystkie wasze uczynki, które uważacie za dobre i złe, choć ja nie wiem, co to znaczy dobry czy zły uczynek. Jak uważacie, że więcej było tych złych uczynków, to boicie się kary za grzechy, jak je nazywacie, i płaczecie nad swoim marnym życiem, a jak więcej dobrych, to idziecie z podniesioną głową i prawie bez strachu. A gdy tak was odprowadzam, to wyobrażam sobie, że odprowadzam mamę albo tatę, albo wujka, albo swojego braciszka. Albo babcię... Mogę mówić do ciebie „babciu”? – spytała dziewczynka.

– Żadna ja dla ciebie babcia, ale gadaj na mnie, jako chcesz.

– Babciu, mogę usiąść ci na kolanach?

Dziewczynka podeszła do Słaboniowej i wdrapała się na jej kolana. Ciężaru nie miała żadnego, a chłodem od niej takim wiało, że Słaboniowej zdało się, że bryłę lodu na kolanach trzyma. Dziewczynka objęła ją za szyję zimnymi rączkami.

– Pocałujesz mnie?

Słaboniowa dotknęła ustami policzka, który był gładki i chłodny niczym marmur. Dziewczynka przysunęła się jeszcze bliżej do Słaboniowej i szepnęła jej prosto do ucha, a zdawało się, że to wiatr ze wschodu do ucha coś szepcze.

– Ja nie po ciebie przyszedłam, babciu.

– A po kogo?

– Po dziadunia.

– Toż tu dziadunia nijakiego ni ma.

– Jest we wsi jeden dziadunio. Mówią tu na niego stary Daciuk.

Słaboniowa pokiwała głową smętnie i rzekła:

– On już po prawdzie stary. A i nie chce on już żyć na tym świecie.

– Ja przychodzę tylko wtedy, jak mnie poproszą, a dziadunio prosił wiele razy. – Dziewczynka zamyśliła się na chwilę. – Ale ja nie tylko po dziadunia przyszedłam.

– A po kogo jeszcze?

– Po Mruczka. On już dawno w lesie siedzi i na mnie czeka, a ja tak bym chciała mieć kotka. Nigdy nie miałam kotka, bo mi nie wolno. Ale mogę go chociaż odprowadzić. Lubię odprowadzać zwierzątka.

Słaboniowa milczała.

– A nie zabrałabyś mnie ze sobą? – spytała wreszcie drżącym głosem.

Dziewczynka pomyślała chwilę.

– Wiesz? Nie. Bo ty wcale jeszcze nie chcesz umierać. Tobie się tak tylko wydaje.

– Toż nikt nie chce umierać, ino stare ludzie już umęczone sum.

– Masz rację, babciu. To jest tak, że już życia nie starcza. Wszystko jedno, czy ktoś umiera w wypadku czy po długiej chorobie, stary czy młody. I tak więcej by już nie miał tutaj nic do roboty. Nic by go dalej nie czekało. Jedyne wyjście to umrzeć. Ale ty jeszcze masz przed sobą długie życie.

– Ile jeszcze? – spytała Słaboniowa ponuro.

– Nie wiem. Dużo. – Dziewczynka zsunęła się z jej kolan.

– A teraz muszę iść. Dziadunio już na mnie czeka.

Słaboniowa pokiwała głową i zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, była sama. Ogień przeświecał między fajerkami, a na stole stał niedopity kompot z suszu. Nagle rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

– Wchodzi! – powiedziała Słaboniowa. Do izby wszedł jej zięć Zygmunt, zaspany i czerwony na twarzy. Był ubrany w odświętny garnitur i kozuch.

– Dobry wieczór, mamó – powiedział i usiadł ciężko przy stole, otrzepując nogawki spodni z topniejącego śniegu.

– Dobry wieczór. – Słaboniowa popatrzała na niego niechętnie. – Ja nie słyszała, jak ty zajechał. Śpił mnie trochę zmożył. A ciebie co tu przygnało?

– Mama naleje kompotu – wysapał Zygmunt. – Dojechać na to zadupie nie idzie. Musiałem samochód zostawić pod lasem, bo drogę całkiem zasypało, i piechotą musiałem zasuwać ten kawałek do mamy.

Słaboniowa podała Zygmuntowi szklanę kompotu i usiadła.

– A po coż ty taki kawał jechał?

– Chcemy mamę do nas na święta zabrać.

– A po co mnie do was jechać? Ja już tu miała wigilię, kolację zjadła.

Zygmunt splótł ręce na stole i powiedział błagalnie:

– Mamo, mama nie daje się prosić. Kryśka i tak mi głowę suszy o każdą pierdołę. Jak mamy nie zawiozę do miasta, to mnie na Wigilię nie wpuści i będą dwa puste nakrycia... – westchnął ciężko. – Powiedziała, że bez mamy mam się w domu nie pokazywać.

– No to u mnie się zostaniesz – powiedziała Słaboniowa, uśmiechając się pod nosem.

– Oj, mama to sobie zawsze żarty ze mnie robi. – Zygmunt zmarszczył brwi. – Ja nie wiem, czemu mama nigdy do nas nie zajedzie nawet na święta. A przecież święta trzeba rodzinnie spędzać. Inni rodzice to by się cieszyli, jakby dzieci chcieli ich do siebie wziąć. Mama nawet nie wie, jak Kryśce jest przykro.

– Może i przykro.

– A w ogóle to mogłaby mama u nas mieszkać. Pokój Olki byśmy mamie dali. Jeszcze trochę i mama koło siebie wszystkiego nie robi. Gospodarstwo byśmy sprzedali, miałyby mama dach nad głową i zabezpieczenie na stare lata.

– No to już wy tam sobie wszystko obmyślili z Kryśko, co?

Zygmunt popatrzał na swoje ręce.

– No, Kryśka nawet patrzyła, za ile by można taki kawałek ziemi w tej okolicy sprzedać. Parę groszy by z tego było. Teraz ludzie skupują łąki, pola, bo dopłaty można za to dostać.

– Aha. Znaczy się, że wiewa ja do gadania ni mam. – Słaboniowa zacisnęła wargi.

– Mamo, to nie tak. Mama pojedzie ze mną, na razie na święta tylko i wszystko na spokojnie obgadamy.

– Ja tobie Zygmunt powim tak. Ja już była u Czarnego Jana, żeb się gospodarstwem zajął pod moją nieobecność. A krowę żem Zapasiukowej dała, bo z trzy lata bedzie, jak jej ostatnia mleczna zdechła. – Słaboniowa wstała i wyciągnęła spod łóżka kuferek podróżny. – Ja już

wszystko spakowała. Możem jechać.

Zygmunt otworzył usta bardzo zdziwiony.

– Ale skąd mama wiedziała?

Słaboniowa wzruszyła ramionami.

– Możem jechać.

Zygmunt, popatrując na starą podejrziwie, wziął od niej kuferek i wyszli z chałupy. Słaboniowa zarygłowała drzwi, rzuciła ostatnie spojrzenie na podwórko, na szopę, na puste obórki i na miskę dla kota, którą zapomniała sprzątnąć ze schodków. Potem poszli w stronę lasu, gdzie Zygmunt samochód zostawił.

Zaśnieżone pole bieleło się w blasku księżyca, który wzeszedł wielki i okrągły. W tej srebrnej poświacie zobaczyła Słaboniowa, jak w stronę księżycowej tarczy idzie mała dziewczynka. Trzyma za rękę kulejącego starca w czarnej, poszarpanej jesionce, a po drugiej jej ręce drepcze, otrząsając łapki ze śniegu, czarny kot w białych skarpetkach.

– Mruczek! – zawołała Słaboniowa, ale kot nawet nie obrócił łebka w jej stronę.

– Co mama? – spytał Zygmunt.

– O, tam Mruczek idzie. – Słaboniowa pokazała palcem na pole. – I stary Daciuk. – Zygmunt popatrzał na puste, rozsrebrzone pole.

– Prawdę Kryśka mówiła, że mama to już całkiem w piętękę goni. Nikogo tam nie ma. Mama idzie, bo do nocy nie będę tu siedział.

Doszli do samochodu. Zygmunt posadził Słaboniową na tylnym siedzeniu, bo stwierdził, że tak jej będzie wygodniej, i zapalił silnik. Gdy odjeżdżali, Słaboniowa obróciła się ku tylnej szybie i popatrzała na rozświetloną żółtymi światłkami wieś. Więcej już za siebie nie patrzyła.



PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Kazikowi, Mamie, Asi Marek, Alicji Johansen i pani Jolancie Świetlikowskiej. Bez Waszego wsparcia, entuzjazmu i wiary w możliwości moje oraz Słaboniowej ta książka nie ujrzałaby światła dziennego.